

BB

HEINRICH
BÖLL

Bilard o wpół do dziesiątej

Przełożyła

TERESA JĘTKIEWICZ



Tytuł oryginału: *Billard um halb zehn*

Projekt okładki: *Maciej Sadowski*

Redakcja graficzno-techniczna: *Stawomir Grzymiel*

Korekta: *Alija Chylińska*

© 1959 by Heinrich Boll

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2000 © for the

Polish translation by Teresa J^tkiewicz

ISBN 83-7200-626-1

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZ A SA W.u s/ iw.i '000

Rozdział pierwszy

Tego ranka Fahmel po raz pierwszy był wobec niej nieuprzejmy, prawie grubiański. Zatelefonował około wpół do dwunastej i w samym brzmieniu jego głosu tkwiła zapowiedź czegoś niedobrego; jego drganie było czymś całkiem nowym i właśnie dlatego, że słowa zachowały swą zwykłą poprawność, przeraził ją ich ton: w głosie Fahmela cała uprzejmość została zredukowana do suchej formułki, tak jakby ktoś zamiast wody zaofiarował jej H₂O.

- Proszę wyjąć z biurka czerwoną karteczkę, którą pani wręczyłem przed czterema laty - powiedział.

Leonora wyciągnęła prawą ręką szufladę, odsunęła na bok tabliczkę czekolady, welnianą ściereczkę i butelkę płynu do czyszczenia metali, wyjęła czerwoną kartkę.

- Proszę przeczytać, co jest napisane na kartce.

Drżącym głosem przeczytała:

- „Numer, który wolno podać mojej matce, ojcu, córce, synowi i panu Schrelli, poza tym nikomu”.

- Proszę powtórzyć ostatnie słowa.

Powtórzyła:

- „Poza tym nikomu”.

- I w ogóle, skąd pani wiedziała, że jest to numer telefonu w hotelu „Książę Henryk”?

Milczała.

- Zwracam uwagę, że pani obowiązkiem jest stosować się do moich dyspozycji, nawet jeśli pochodzą sprzed czterech lat... bardzo proszę.

Milczała.

- Głupie stworzenie... - Czyżby tym razem zapomniał dodać „proszę”?

Usłyszała szmer rozmów, potem głos wołający: - Taksówka! Taksówka! - i brzęczenie sygnału telefonicznego. Odłożyła słuchawkę, przesunęła kartkę na środek biurka - odczuła jakby ulgę - ta nieuprzejmość, która ją spotkała po raz pierwszy od czterech lat, wydała się jej niemal pieszczotą.

Kiedy ją coś wytrącało z równowagi albo miała już powyżej uszu precyzyjnie uregulowanego trybu pracy, wychodziła przed drzwi i zabierała się do czyszczenia mosiężnej tabliczki: „Dr Robert Fahmel, Biuro obliczeń statycznych, po południu nieczynne”. Dym z parowozów, osad gazów spalinyowych i kurz uliczny dostarczały jej co dzień uzasadnionego powodu do wyjmowania z szuflady welnianej ściereczki i płynu do czyszczenia; lubiła przeciągać minuty poświęcane temu zajęciu do kwadransa, a nawet do pół godziny. Za zakurzonymi szybami przeciwległego domu,

przy ulicy Modesta 8, widziała dudniące maszyny drukarskie, które niezmordowanie drukowały na białym papierze budujące teksty; czuła równomierne dygotanie i wydawało się jej, że jest na płynącym lub właśnie wychodzącym w morze okręcie. Ciężarówka, praktykanci, zakonnice; ruch uliczny; w skrzyniach przed sklepami warzywnymi: pomarańcze, pomidory, kapusta. A przed sklepem Gretza, mieszczącym się w sąsiednim domu, dwaj chłopcy zawieszali właśnie ogromnego dzika; ciemna krew odyńca kapala na asfalt. Leonora lubiła zgiełk i brud tej ulicy. Czuła rosnącą przekorę, myślała o wymówieniu posady. Chciałaby pracować w jednym z tych zagraconych sklepików z wejściem od podwórza, gdzie sprzedaje się przewody elektryczne, l>i yprawy korzenne albo cebulę, gdzie niechlujni właściciele z opadającymi szelkami, wydani na pastwę coraz to nowych kłopotów, skłonni są do poufalości, które można przynajmniej odrzucić; gdzie trzeba walczyć o godzinę spędzoną w poczekalni dentysty; gdzie robi się składkę na zaręczynowy prezent dla koleżanki, składkę na sentencję do zawieszenia w mieszkaniu lub na książkę o miłości; gdzie obleśne żarty kolegów przypominają, że samemu zachowało się cnotę. Życie. Był nie ten nieskazitelny ład, nie ten szef - nieskazitelnie ubrany, nieskazitelnie uprzejmy - i jakiś niesamowity; za jego uprzejmością Leonora wietrzyła pogardę, którą dawał odczuć każdemu, z kim miał do czynienia. Ale z kim oprócz niej miał w ogóle do czynienia? Jak daleko sięgała pamięcią, nie widziała, żeby rozmawiał z kimkolwiek - poza ojcem, synem, córką. Nigdy nie widziała jego matki, przebywającej w jakimś sanatorium dla nerwowo chorych, a ten pan Schrella, którego nazwisko wymienione było również na czerwonej kartce, nigdy o niego nie pytał. Fahmel nie miał godzin przyjęć, a klientów, którzy chcieli się z nim porozumieć przez telefon, musiała prosić, by zwracali się do

niego listownie.

Kiedy złapał ją na jakiejś omyłce, robił tylko lekceważący ruch ręką i mówił: „Nic nie szkodzi, proszę to zrobić jeszcze raz”. Zdarzało się to jednak bardzo rzadko, gdyż swoje nieliczne omyłki przeważnie wykrywała sama. Nigdy jednak nie zapominał dodać swego „proszę”. Ile razy go poprosiła, zwalniał ją na parę godzin lub nawet parę dni; kiedy jej matka umarła, powiedział: „Zamkniemy biuro na cztery dni... a może wolalaby pani na tydzień?”. Ale ona nie chciała zwolnienia na tydzień ani nawet na cztery dni, tylko na trzy, i już te trzy dni w pustym mieszkaniu wydały się nieskończenie długie. Na mszy żałobnej i na pogrzebie Fahmel zjawił się oczywiście w nieskazitelnej czerni, przyszedł także jego ojciec, syn i córka z olbrzymimi wieńcami, które własnoręcznie położyli na grobie; wysłuchali nabożeństwa, a stary pan Fahmel, którego bardzo lubiła, powiedział do niej szeptem: „My, Fahmelowie, znamy śmierć, jesteśmy z nią za pan brat, drogie dziecko”.

Fahmel bez sprzeciwu wyrażał zgodę na wszelkie udogodnienia, o jakie go prosiła, tak że z biegiem lat coraz trudniej było jej o cokolwiek prosić; stopniowo skracał jej godziny urzędowania; w pierwszym roku pracowała od ósmej do czwartej, ale już od dwóch lat jej czynności zostały tak zracjonalizowane, że z łatwością wykonywała je między ósmą a pierwszą i nawet pozostawało jej jeszcze dość czasu na nudę i przeciąganie czyszczenia tabliczki do pół godziny. Teraz nie było już ani jednej mgielki na mosiężnej tabliczce! Z westchnieniem zakręciła butelkę, złożyła ściereczkę; maszyny drukarskie wciąż jeszcze dudniły, nieubłaganie drukowały na białym papierze budujące teksty, i wciąż jeszcze skapywała krew dzika. Praktykanci, ciężarówki, zakonnicę: ruch uliczny.

Czerwona kartka leżała na biurku; jego nieskazitelne pismo techniczne: „...poza tym nikomu”. Numer telefonu,

który w godzinach nudy, wstydząc się swej ciekawości, zidentyfikowała po żmudnych poszukiwaniach: hotel „Książę Henryk”. Nazwa ta podsycala jej dociekliwość: co robił rano, między wpół do dziesiątej a jedenastą, w hotelu „Książę 1 Icnryk”? Lodowaty głos w telefonie; „Głupie stworzenie”. C/y rzeczywiście nie powiedział przy tym swego „proszę”? To odstępstwo od przyjętego stylu napelniło Leonorę nadzieją, stało się jakąś pociechą w jej pracy, którą mógłby równie dobrze wykonywać automat.

Listy według dwóch wzorów, które w ciągu czterech lat nic uległy najmniejszej zmianie i które odnalazła już w kopiach listów swojej poprzedniczki. Pierwszy wzór - do klientów nadsyłających zamówienia: „Uprzejmie dziękujemy za okazane nam zaufanie. Postaramy się go nie zawieść, wykonując Pańskie zlecenie szybko i dokładnie. Z poważaniem...”. Drugi wzór stosowała odsyłając klientom gotowe obliczenia statyczne: „Przy niniejszym załączamy żadaną dokumentację, dotyczącą budowy X. Honorarium w sumie Y prosimy wpłacić na nasze konto bankowe. Z poważaniem...”. Oczywiście do niej należało wprowadzenie odpowiednich wariantów: zamiast X wstawiała „dom pod lasem dla wydawcy”, „dom nad rzeką dla nauczyciela”, „wiadukt kolejowy nad ulicą Hollebena”. Zamiast Y podawała sumę honorarium, którą sama musiała obliczać według ustalonego nieskomplikowanego klucza.

Pozostawała jeszcze korespondencja z trzema współpracownikami Fahmela: Kandersem, Schritem i Hochbretem. Leonora obowiązana była przekazywać im zlecenia kolejno, według ich napływania. „Aby pozostawić wolną rękę automatycznemu działaniu sprawiedliwości i dać losowi pole do popisu” - jak się wyraził Fahmel. Kiedy nadchodziła gotowa dokumentacja, Leonora musiała obliczenia Kandersa przesyłać do sprawdzenia Schritowi, Hochbreta - Kandersowi, Schrita zaś Hochbretowi. Do jej

obowiązków należało poza tym prowadzenie kartoteki, księgowanie rachunków, kopiowanie planów i sporządzanie z każdego projektu budowy jednej kopii w formacie pocztówkowym do prywatnego archiwum Fahmela. Najwięcej pracy miała jednak Leonora z frankowaniem listów: raz po raz wolno przesuwiała po gąbce odwrotną stronę zielonego, czerwonego, niebieskiego Heussa i nalepiała go starannie w prawym górnym rogu żółtej koperty; już pewnym urozmaiceniem było dla niej, kiedy wśród znaczków trafiał się brązowy, fioletowy lub żółty Heuss.

Fahmel miał zasadę, aby nigdy nie przesiadywać w biurze dłużej niż godzinę dziennie. Kładł podpis pod licznymi „z poważaniem”, na przekazach pieniężnych. Jeśli napływało więcej zleceń, niż mógł załatwić w ciągu godziny, odmawiał ich przyjęcia. Do tego celu służyły odbite na powielaczu kartki z tekstem: „Z powodu nawału pracy zmuszeni jesteśmy, niestety, zrezygnować z cennego zlecenia WP”. Podpis: F.

Ani razu, siedząc naprzeciw niego między wpół do dziewiątej a wpół do dziesiątej rano, nie widziała, aby wykonywał jakąś zwykłą ludzką czynność - jadł czy pił; nie miał nawet kataru; czerwieniąc się myślała o jeszcze intymniejszych sprawach. Tego wszystkiego nie mogło zastąpić palenie - zbyt nieskazitelna była biel papierosa. Tylko popiół lub niedopalek na dnie popielniczki stanowił pewną pociechę; to były przynajmniej jakieś odpadki, które dowodziły, że coś uległo zużyciu. Leonora pracowała poprzednio u rozmaitych potężnych szefów, których biurka przypominały mostki kapitańskie, a wyraz twarzy budził lęk; ale nawet tym wielkim ludziom zdarzało się wypić filiżankę herbaty czy kawy albo zjeść kanapkę i widok pijących lub jedzących potentatów zawsze wywierał na niej silne wrażenie: pozostawały okruchy chleba, skórki od kielbasy lub odkrajany tłuszcz od szynki, potentaci musieli myć ręce, wyciągali chustki do nosa. Coś

pojedynczego tkwilo za granitowymi czołami ludzi, którzy rozkazywali całym armiom; ocierali usta, będące fragmentem twarzy, które kiedyś, odlane w brązie, umieszczone na cokółkach pomników, miały późniejszym pokoleniom dawać świadectwo ich wielkości. Ale kiedy Fahmel o wpół do dziewiątej przychodził z oficyny, nie znać było po nim, że dopiero co jadł śniadanie, nie był ani zdenerwowany, ani szczególnie skupiony, co się nierzadko zdarza szefom; jego podpis, nawet jeśli go kładł czterdziestokrotnie pod słowami „z poważaniem”, był nieodmiennie czytelny i ładny. Fahmel palił, podpisywał, rzadko kiedy rzucał okiem na plany, punktualnie o wpół do dziesiątej wkładał płaszcz i kapelusz, mówił: „A więc do jutra” - i znikał. Między wpół do dziesiątej a jedenastą można go było zastać w hotelu „Książę Henryk”, między jedenastą a dwunastą w kawiarni „Zona”, informacja tylko dla jego „matki, ojca, córki, syna - i pana Schrelli”. Po dwunastej szedł na spacer, o pierwszej spotykał się z córką na obiedzie w restauracji „Pod Lwem”. Leonora nie wiedziała, w jaki sposób Fahmel spędza popołudnia i wieczory: wiedziała tylko, że co dzień o siódmej rano chodzi na mszę, od wpół do ósmej do ósmej przebywa z córką, od ósmej do wpół do dziewiątej jada samotnie śniadanie. Niespodzianką była zawsze dla Leonory radość, jaką okazywał Fahmel na wiadomość o przyjeździe syna. Raz po raz otwierał wtedy okno, wyglądał na ulicę, sięgał wzrokiem aż do Bramy Modesta; przynoszono kwiaty, przyjmowano na czas odwiedzin gosposię. Mała blizna u nasady nosa czerwieniała mu z podniecenia, w ponurej oficynie roilo się od sprząających kobiet, które wydobywały na światło dzienne butelki po winie i ustawiały je w sieni dla handlarza starzyzną; butelek gromadziło się coraz to więcej, ustawiano je najpierw rzędami po pięć, potem po dziesięć, ponieważ długość sieni nie wystarczała - ciemnozielony skostniały las sztachet, których wierzchołki Leonora liczyła, czerwieniąc się

na myśl o swojej karygodnej ciekawości: dwieście dziesięć butelek, opróżnionych w okresie od początku maja do początku września, więcej niż jedna butelka dziennie.

Od Fahmela nigdy nie zalatywało alkoholem, ręce mu nie drżały. Ciemnozielony skostniały las stał się nierealny. Czy go naprawdę widziała, czy też istniał tylko w jej snach? Nie знаła ani Schrita, ani Hochbreta, ani Kandersa; mieszkali w oddalonych od siebie zapadłych dziurach. Tylko dwa razy zdarzyło się, że jeden z nich wykrył błąd drugiego: kiedyś Schrit źle obliczył fundamenty kąpieliska miejskiego i Hochbret znalazł omyłkę. Leonorę wprowadziło to w wielkie podniecenie, ale Fahmel poprosił ją tylko, aby ustaliła, które z cyfr, naniesionych na marginesie czerwonym ołówkiem, pochodzą od Schrita, a które od Hochbreta. Wtedy po raz pierwszy uświadomiła sobie, że Fahmel jest również fachowcem w tej dziedzinie: pół godziny manipulował przy biurku suwakiem, tabelami i ostro zatemperowanymi ołówkami, po czym orzekł:

- Hochbret ma rację; kąpielisko zawaliłoby się najpóźniej za trzy miesiące.

Nie padło ani jedno słowo nagany dla Schrita czy pochwały dla Hochbreta i kiedy Fahmel - ten jeden jedyny raz - sam podpisywał dokumentację, śmiał się; jego śmiech wydawał się Leonorze równie niesamowity jak jego uprzejmość.

Drugi błąd zdarzył się Hochbretowi przy obliczeniach statycznych wiaduktu nad torami kolejowymi przy fosie Wilhelma. Tym razem błąd" został wykryty przez Kandersa i wtedy Leonora po raz drugi w ciągu czterech lat widziała Fahmela przy biurku, pochylonego nad obliczeniami. Znowu musiała zidentyfikować naniesione czerwonym ołówkiem cyfry Hochbreta i Kandersa. Po tym wydarzeniu zrodził się pomysł Fahmela, aby wyznaczyć każdemu ze współpracowników inny kolor ołówka: Kandersowi czerwony, Hoch-

bretowi zielony, Schritowi żółty.

Powoli ssąc kawalek czekolady, Leonora pisała: „Domek weekendowy artystki filmowej”, przy drugim kawalku czekolady: „Rozbudowa gmachu instytucji użyteczności publicznej «Societas»”. Bądź co bądź klienci różnili się przynajmniej nazwiskami i adresami, a załączone plany budziły w niej uczucie, że ma do czynienia z czymś rzeczywistym: cegły, płyty z tworzyw sztucznych, belki żelazne, klinkier, worki cementu - to można sobie było wyobrazić, podczas gdy obrazu Schrita, Kandersa, Hochbreta, mimo że dzień w dzień wypisywała ich adresy, nie potrafiła sobie stworzyć. Nigdy nie widziała ich w biurze, nie telefonowali, nie pisali. Odsyłali obliczenia z załącznikami bez komentarzy. „Po co nam listy? - powiedział kiedyś Fahmel. - Nie mamy przecież zamiaru zbierać cudzych wyznań, prawda?”.

Czasem Leonora brała z półki encyklopedię i szukała w niej nazw miejscowości, które co dzień wypisywała na kopertach: „Schilgenauel, 87 mieszkańców, w tym 83 wyzn. rz.-kat., kościół parafialny z XII wieku ze słynnym ołtarzem”. W Schilgenauel mieszkał Kanders, jego personalia zdradzała karta ubezpieczeniowa: lat 37, nieżonaty, wyzn. rz.-kat... Schrit mieszkał na północy, w Gladum: „1988 mieszkańców, w tym 1812 ewang., 176 wyzn. rz.-kat. Wytwórnia marynat. Szkoła misyjna”. Schrit miał czterdzieści osiem lat, był żonaty, wyzn. ewang., miał dwoje dzieci, jedno w wieku ponad 18 lat. Siedziby Hochbreta nie potrzebowała szukać w encyklopedii; mieszkał na przedmieściu Blessenfeld, zaledwie trzydzieści pięć minut jazdy autobusem. Leonorze często przychodził do głowy niemądry pomysł, aby odwiedzić Hochbreta, upewnić się, że w ogóle istnieje, usłyszeć jego głos, zobaczyć go, poczuć uścisk jego dłoni. Powstrzymywał ją jednak od takiej bezceremonialności młody wiek Hochbreta, który miał zaledwie trzydzieści dwa lata, i okoliczność, że był kawalerem. Miejscowości, w których mieli

swe siedziby Kanders i Schrit, opisane były w encyklopedii, tak jak w dowodzie osobistym podany jest rysopis człowieka, a Blessenfeld Leonora dobrze знаła, jednak żadnego z tych ludzi nie mogła sobie wyobrazić, choć co miesiąc przekazywała za nich składki ubezpieczeniowe, wypełniała przekazy pocztowe, wysyłała im czasopisma i tabele. Byli dla niej równie nierzeczywiści, jak ten pan Schrella, którego nazwisko figurowało na czerwonej karteczce, którego Fahmel gotów był widzieć każdej chwili, który jednak w ciągu tych czterech lat nawet nie próbował się z nim zobaczyć.

Czerwona karteczka, powód pierwszej nieuprzejmości Fahmela, leżała na biurku Leonory. Jak brzmiało nazwisko tego pana, który około dziesiątej przyszedł do biura i powiedział, że musi w bardzo, bardzo, bardzo pilnej sprawie widzieć się z Fahmelem? Był wysokiego wzrostu, szpakowaty,

o nieco zaczerwienionej twarzy, otaczała go woń wykwintnych kosztownych posiłków, a wysoką jakością jego garnituru wyczuwało się po prostu na odległość. Potęga, godność i władczy wdzięk jednoczyły się w tym panu, tak że nie sposób było mu się oprzeć. Tytuł, który gość bąknął z uśmiechem, miał coś wspólnego z ministerstwem - radca ministerialny, dyrektor czy wiceminister? - a kiedy Leonora uparcie twierdziła, że nie wie, gdzie w tej chwili przebywa Fahmel, ten pan przypuścił nagły szturm, kładąc jej przy tym rękę na ramieniu: „No, śliczna panienko, proszę wreszcie powiedzieć, gdzie go mogę zastać?”. - A ona popełniła zdradę, sama nie wiedząc, jak to się mogło stać, bo tajemnicę, która tak bardzo absorbowwała jej ciekawość, ukrywała przecież głęboko na dnie świadomości. - W hotelu „Książę Henryk”.

- Wtedy gość mruknął coś o koleżce ze szkoły, o bardzo, bardzo, bardzo pilnej sprawie, coś o obronie, o broni; po jego wyjściu pozostała w pokoju woń cygara, którą jeszcze po godzinie wywęszył z podnieceniem ojciec Fahmela.

Mój Boże, mój Boże, jakież to musiał być gatunek!

Stary węszył pod ścianami, niemal przytknął nos do blatu biurka, włożył kapelusz na głowę, po paru minutach wrócił z kierownikiem sklepu tytoniowego, w którym zaopatrywał się już od pięćdziesięciu lat, i obaj stali przez chwilę w drzwiach, wciągając nosem powietrze; potem krążyli po pokoju jak zaniepokojone psy, właściciel sklepu wlaź pod biurko, gdzie widocznie zatrzymała się cała chmura dymu, wreszcie podniósł się, otrzepał ręce, uśmiechnął się z triumfem i powiedział:

- Tak, panie radco, to było Partagas-Eminentes.
- Mógłby mi pan takie dostarczyć?
- Oczywiście, mam je na składzie.
- Biada panu, jeśli ich aromat nie będzie taki sam, jak

ten, któryśmy tu wywączali.

Kierownik sklepu pociągnął jeszcze raz nosem i oświadczył:

- Partagas-Eminentes, głowę za to daję, panie radco.

Cztery marki sztuka. Ile pan sobie życzy?

- Jedno, drogi Kolbe, jedno. Cztery marki - tyle wynosił tygodniowy zarobek mego dziadka, a ja mam szacunek dla zmarłych, pan wie, że jestem sentymentalny. Mój Boże, to cygaro zabiło zapach dwudziestu tysięcy papierosów, które mój syn tu wypalił.

Leonora odczuła to jako wielki zaszczyt, że stary pan wypalił swoje cygaro w jej obecności. Rozparł się w zbyt obszernym dla niego fotelu syna. Leonora wsunęła mu poduszkę pod plecy i przysłuchiwała się jego słowom, jednocześnie wykonując najbardziej nieskazitelną ze wszystkich swych czynności: frankowanie listów. Wolno przesuwiała po powierzchni gąbki odwrotną stronę zielonego, czerwonego, niebieskiego Heussa i nalepiała go starannie w prawym górnym rogu koperty, która miała odbyć podróż do Schilgenauel, Gladum lub Blessenfeld. Robiła to z wielką

precyzją, podczas gdy stary pan oddawał się rozkoszy, której, jak się zdawało, na próżno szukał od lat pięćdziesięciu.

- Mój Boże - mówił - nareszcie wiem, co to jest cygaro, drogie dziecko. Tak długo musiałem na to czekać, aż do dnia, w którym skończyłem osiemdziesiąt lat - niechże się pani tak nie przejmuję, oczywiście, że dziś skończyłem osiemdziesiąt lat - więc to nie pani zamawiała dla mnie kwiaty od mego syna? No dobrze, dziękuję, o urodzinach pomówimy później, dobrze? Serdecznie proszę panią o wzięcie udziału w urodzinowej kolacji, dziś wieczorem w kawiarni Kronera - ale niech mi pani powie, droga Leonoro, dlaczego w ciągu tych pięćdziesięciu lat, ściśle mówiąc nawet pięćdziesięciu jeden, odkąd się w tym sklepie zaopatruję, nigdy nie zaproponowano mi takiego cygara? Czyżby mnie uważali za skąpca? Pani wie, że nigdy nie byłem skąpy. Za młodych lat paliłem cygara po dziesięć fenigów, kiedy zarabiałem trochę więcej - po dwadzieścia, potem przez długie lata po sześćdziesiąt. Niech mi pani powie, drogie dziecko, jacy to ludzie z takim czymś za cztery marki w ustach spacerują po ulicy, przychodzą do biura, wychodzą z niego, jakby to było cygarko za dziesiątkę? Jacy to ludzie między śniadaniem a obiadem puszczają z dymem trzykrotną tygodniówkę mego dziadka i zostawiają po sobie taki aromat, że staremu człowiekowi jak ja dech zapiera i zaczyna jak pies węszyć w biurze syna? Co? Kolega szkolny Roberta? Radca ministerialny, dyrektor czy wiceminister, może nawet minister? Muszę go znać. Obronność? Broń?

I nagle pojawił się w jego oczach błysk, jakby opadła z nich jakaś zasłona: starzec cofnął się do pierwszego, trzeciego czy szóstego dziesięciolecia swego życia, grzebał jedno ze swoich dzieci. Które? Joannę czy Henryka? Na czyją białą trumnę rzucił grudki ziemi, sywał kwiaty? Czy lzy, które przepelniały mu oczy, były łzami z roku 1909, w którym pochował Joannę, czy z 1917, kiedy stał nad grobem

Henryka, a może z 1942, kiedy nadeszła wiadomość o śmierci Ottona? Czy płakał przy furcie zakładu dla umysłowo chorych, za którą zniknęła jego żona? Łzy, które napłynęły mu do oczu, podczas gdy z cygara dobywały się lekkie obłoczki dymu, były łzami z roku 1902; pochował wówczas swoją siostrę Szarlotę, dla której ciulał złote monety, aby mogła mieć lepsze życie. Trumna zsuwała się w dół na skrzypiących sznurach, podczas gdy dzieci ze szkoły śpiewały: „Wieże, powiedzcie, gdzie odleciała jaskółka?”; szczebiot dziecięcych głosów przenikał do tego nieskazitelnie urządzonego biura, a starczy głos nucił piosenkę ponad minionym półwieczem. Tylko tamten październikowy ranek 1902 roku był rzeczywisty: opary unoszące się nad dolną Nadrenią, pływające mgliste welony nad polami buraczanymi, w wierzbach krakały gromady wron jak kolatki zapustne, a Leonora przeciągała czerwonego Heussa po wilgotnej gąbce. Trzydzieści lat przed jej urodzeniem wiejskie dzieci śpiewały: „Wieże, powiedzcie, gdzie odleciała jaskółka?”. Przeciągnęła zielonego Heussa po gąbce. Uwaga, listy do Hochbreta należy ofrankować jako korespondencję miejscową.

Kiedy to nachodziło starego, wyglądał jak ślepiec; Leonora miała wielką ochotę pobiec do kwaciarni i kupić dla niego ładną wiązanke, ale bała się zostawić go samego. Wyciągnął ręce, więc ostrożnie przysunęła popielniczkę, a on włożył znów cygaro do ust, spojrzal na Leonorę i powiedział cicho:

- Nie myśl, dziecko, że zwariowałem.

Leonora lubiła go. Co parę dni przychodził po nią do biura, żeby w wolne popołudnie zlitowała się nad jego niedbale prowadzonymi księgami, po przeciwnej stronie ulicy, wysoko nad drukarnią, gdzie mieszkał w swojej „pracowni z czasów młodości”. Przechowywał tam dokumenty, badane jeszcze przed jej przyjściem na świat przez rewidentów podatkowych, których groby dawno już

zapadły się w ziemię; salda w funtach angielskich, w dolarach, udziały w plantacjach w El Salvador; tam, na górze, w pracowni, Leonora grzebała w zakurzonych rozliczeniach, odcyfrowywała ręcznie pisane wyciągi z kont w dawno zlikwidowanych bankach, czytała testamenty zawierające legaty dla jego dzieci, które przeżył już o czterdzieści lat. „Dla mojego syna Henryka zastrzegam wyłączne użytkowanie obu posiadłości ziemskich, Stehlinger Grotte i Górlinger Stuhl, ponieważ zaobserwowałem w nim ów spokój i radość na widok rozwijającej się przyrody, co wydaje mi się nieodzownym warunkiem życia rolnika...”.

- Tutaj - wołał starzec wymachując cygarem - tutaj dyktowałem teściowi testament, wieczorem, w przeddzień stawienia się do wojska. Dyktowałem, podczas kiedy mój chłopiec spał na górze; następnego ranka odprowadził mnie jeszcze na dworzec, pocałował w policzek - ustami siedmioletniego dziecka - ale nikt, Leonoro, nikt nie przyjął mego daru. wszystkie powracały do mnie: majątki i salda bankowe, renty i czynsze, Nie mogłem nigdy nic ofiarować, tylko moja żona mogła to robić i jej podarunki były przyjmowane - ale kiedy w nocy leżałem przy niej, często słyszałem, jak mruczy; łagodnie jak woda, godzinami sphywał z jej ust szept: *po-co-po-co-po-co...*

I znów płakał starzec, tym razem w mundurze, kapitan saperów w rezerwie, radca Henryk Fahmel na urlopie okolicznościowym z powodu pogrzebu siedmioletniego synka. Katakumby przyjęły białą trumnę; ciemny wilgotny mur i świeże jak promienie słońca złote cyfry, rok zgonu: 1917. Robert w czarnym aksamitnym ubranku czekał na ulicy w karcie...

Leonora upuściła znaczek pocztowy, tym razem fioletowy; nie śmiała nalepić go na list do Schrita. Konie zaprzężone do karety niecierpliwie parskaly przed bramą cmentarną, a dwuletniemu Robertowi Fahmelowi pozwolono

trzymać łcjcę: czarna skóra, popękana na brzegach, i świeże złoto liczby 1917, błyszczące jaśniej niż promień słońca...

- Czym on się zajmuje, co robi mój syn, jedyny, który mi pozostał, Leonoro? Co on robi w hotelu „Książę Henryk” co dzień przed południem, między wpół do dziesiątej a jedenastą? Mógł przypatrywać się, jak podwiązywano koniom worki z obrokiem - co on robi? Niech mi pani powie, Leonoro.

Z wahaniem podniosła fioletowy znaczek pocztowy i odpowiedziała cicho:

- Nie wiem, co on tam robi, naprawdę nie wiem.

Starzec z cygarem w ustach, uśmiechnięty, odchylił się w tył na fotelu, jak gdyby nigdy nic.

- Jak pani się zapatruje na to, żeby mój syn zaangażował się na stałe na popołudnia? Przychodziłby tu po panią, jedlibyśmy razem obiad i od drugiej do czwartej albo do piątej, jeśli pani zechce, pomagałaby mi pani w porządkowaniu papierów w pracowni na górze. Co pani na to, drogie dziecko?

Leonora skinęła głową, powiedziała: - Dobrze. - Jeszcze nie śmiała przeciągnąć fioletowego Heussa po gąbce, nalepić go na list do Schrita. Pracownik poczty wyjmie go ze skrzynki, maszyna wybije stempel: 6 września 1958, godz. 13. A tu siedzi starzec, który kończy właśnie swój ósmy krzyżyk, zaczyna dziewiąty.

- Dobrze, dobrze - powiedziała.

- Więc mogę uważać, że panią zaangażowałem?

- Tak.

Patrzyła na jego wąską twarz, w której od lat na próżno szukała podobieństwa do syna; tylko uprzejmość, jak się zdawało, była ich wspólną cechą rodzinną; ale uprzejmość starego Fahmela była bardziej sztuczna, ozdobna, staroświecka, była to niemal grandezza, nie zaś uprzejma matematyka, jak u syna, który hołdował oschłości i tylko błysk jego

szarych oczu pozwalał się domyślać, że jest zdolny także do mniej oschlego sposobu bycia. Stary rzeczywiście używał chustki do nosa, gryzł koniec cygara, mówił Leonorze czasem coś przyjemnego na temat jej uczesania, cery, jego ubrania były przynajmniej trochę znoszone, krawat zawsze krzywo zawiązany, palce poplamione tuszem, okruszki gumy do ołówka czepiały się klap marynarki, ołówki, twarde i miękkie, wystawały z kieszonki kamizelki, a czasem wyjmował z biurka syna arkusz papieru i szybkimi pociągnięciami rysował anioła, baranka bożego, drzewo albo portret jakiegoś przechodnia. Czasem znów wręczał Leonorze pieniądze na ciastka; kiedyś poprosił ją, żeby kupiła drugą filiżankę do kawy, i Leonora była uszczęśliwiona, że wreszcie może włączyć imbryk elektryczny dla kogoś, nie tylko dla siebie samej. To było życie biurowe, do jakiego przywykła: parzenie kawy, kupowanie ciastek, słuchanie opowieści, w których wszystko toczyło się naturalnym trybem: o życiach przeżytych w oficynie, o śmierciach, którymi tam umierano. Tam, w oficynie domu, od paruset lat Kilbowie szukali występu i światła, grzechu i zbawienia, byli szambelanami, notariuszami, burmistrzami i kanonikami; tam, w oficynie, unosilo się jeszcze w powietrzu coś z surowych modlitw późniejszych prałatów; mroczne przewiny Kilbówien, które pozostały dziewicami, i pokutne ćwiczenia pobożnych młodzików w tym ciemnym domu w głębi, w którym teraz, w ciche popołudnia, blada ciemnowłosa dziewczyna odrabiała szkolne zadania i czekała na powrót ojca. A może spędzał popołudnia w domu? Dwieście dziesięć butelek po winie, opróżnionych od początku maja do początku września. Czy pił samotnie, czy też z córką albo z upiorami? Może z owym Schrellą, który nigdy nawet o niego nie zapytał? Wszystko było jakieś nierzeczywiste, bardziej nierzeczywiste niż popielatoblond włosy biuralistki, która przed pięćdziesięciu laty siedziała tu, na miejscu Leonory, i

strzegła tajemnic kancelarii notarialnej.

- Tak, siedziała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie pani teraz siedzi, Leonoro. Miała na imię Józefina.

Czy i jej stary Fahmel mówił komplementy na temat włosów, cery?

Stary śmiejąc się wskazał na sentencję, wiszącą nad biurkiem syna, jedyną pozostałość z minionych czasów, wypisaną białymi literami na mahoniowej tablicy: *Pełna datków prawica ich*. Dewiza nieprzekupności Kilbów, a także i Fahmelów.

- Obaj moi szwagrowie, ostatni męscy potomkowie rodu, nie zdradzali ochoty do studiów prawniczych. Jednego ciągnęło do ułanów, drugiego do próżniactwa, ale obaj, i ułan, i próżniak, polegli tego samego dnia, w tym samym pułku, podczas tego samego natarcia. Pod Erby le Huette poszarzowali prosto w ogień karabinów maszynowych, wymazali nazwisko Kilbów, ponieśli swoje występki, kwitnące szkarłatem, do grobu, w nicość, pod Erby le Huette.

Stary Fahmel był szczęśliwy, kiedy odkrywał na nogawkach spodni ślady zaprawy murarskiej i mógł poprosić Leonorę, żeby je wyczyściła. Często przychodził z grubymi zwojami rysunków pod pachą. Leonora nigdy nie wiedziała, czy wziął je ze swego archiwum, czy też miał naprawdę jakieś nowe zamówienie.

Powoli siorbał kawę, pochwalil ją, podsunął Leonorze talerz z ciastkami, pociągnął cygaro. Na jego twarzy pojawił się znowu wyraz skupienia.

- Szkolny kolega Roberta? W takim razie musiałbym go znać. Czy nie Schrella? Pani jest tego pewna? Nie, nie, on nie paliłby takiego cygara, cóż za nonsens! I pani skierowała go do hotelu „Książę Henryk”? No, to będzie awantura, moja droga, będzie draka. Robert nie lubi, kiedy ktoś wdziera się do jego strefy. Od dziecka był taki: miły, uprzejmy, in-

teligentny, poprawny, ale nie znalazł pardonu, kiedy ktoś przekroczył wyznaczoną granicę. Wtedy nie cofnąłby się przed morderstwem. Zawsze się go trochę bałem. Pani także? Ależ dziecko, on pani nic złego nie zrobi, niechże pani będzie rozsądna. Chodźmy razem coś zjeść, uczymy w ten sposób pani nową posadę i moje urodziny. Niech pani nie robi głupstw. Zbesztal panią przez telefon i na tym koniec. Szkoda, że pani nie zapamiętała nazwiska. Nie wiedziałem, że Robert utrzymuje stosunki z dawnymi kolegami. No, chodźmy. Dziś sobota, on nie będzie miał tego za złe, jeśli pani trochę wcześniej zamknie biuro. Biorę to na siebie.

Zegar na wieży katedry św. Seweryna wybił dwunastą. Leonora prędko przeliczyła koperty: dwadzieścia trzy, zgarnęła je, wzięła stosik. Czy doprawdy stary pan Fahmel był tu zaledwie pół godziny? Właśnie zabrzmiało dziesiąte z dwunastu uderzeń.

- Nie, dziękuję - powiedziała - nie włożę płaszcza i proszę pana, nie chodźmy „Pod Lwa”.

Zaledwie pół godziny. Maszyny drukarskie przestały dudnić, ale z dzika w dalszym ciągu kapą krew.

Rozdział drugi

Dla portiera stało się to już ustalonym ceremoniałem, niemal liturgią, weszło mu w krew: co dzień punktualnie 0 wpół do dziesiątej zdejmował klucz z tablicy, przez chwilę czuł lekkie dotknięcie suchej, wypielegnowanej dłoni, ujmującej klucz; spoglądał na surową bladą twarz z czerwoną blizną u nasady nosa; potem w zamyśleniu, z leciutkim uśmiechem, który potrafiłaby dostrzec tylko jego żona, spoglądał w ślad za gościem; Fahmel, nie zwracając uwagi na zapraszający gest windziarza, wchodził po schodach i kluczem do sali bilardowej lekko uderzał o mosiężne pręty poręczy; pięć, sześć, siedem razy rozbrzmiewało uderzenie, jak dźwięk ksylofonu o jednym jedynym tonie. Pół minuty później zjawiał się Hugo, starszy z dwóch chłopców hotelowych, pytał: „Jak zawsze?”, a portier

kiwał głową i wiedział, że Hugo pójdzie teraz do restauracji po podwójny koniak

1 karafkę wody, a potem do jedenastej będzie siedział na górze, w sali bilardowej.

Portier wietrzył jakieś nieszczęście w tym nieodmiennym zwyczaju: co dzień od wpół do dziesiątej do jedenastej gra w bilard w towarzystwie zawsze tego samego chłopca hotelowego! Nieszczęście albo występki; przed występkiem chroniła dyskrecja; miała ona swoją cenę, swoją krzywą, dyskrecja i pieniądze były nawzajem zależne od siebie jak wielkości funkcji algebraicznej; kto tutaj wynajmował pokój, kupował zarazem dyskretne sumienia; oczy, które widziały, a jednak nie widziały; uszy, które słyszały, a jednak nie słyszały. Ale przed nieszczęściem nic nie chroniło; portier nie mógł przecież splawiać każdego potencjalnego samobójcy, bo potencjalnymi samobójcami byli wszyscy; zjawiał się na przykład jakiś facet, opalony, o twarzy gwiazdora filmowego, z siedmioma walizkami, uśmiechając się brał klucz, a kiedy wniesiono walizy i chłopiec hotelowy opuścił pokój, facet wyciągał z kieszeni płaszcz nabitą i odbezpieczony już rewolwer i pakował sobie kulę w łeb; albo zjawiała się stwora, jakby zbiegła z trumny, ze złotymi zębami, złotymi włosami, w złotych pantoflach, szczerząca zęby jak trupia czaszka; upiór na próżno uganiający się za rozkoszą; zamawiała na wpół do jedenastej śniadanie do pokoju, wieszala na zewnątrz u klamki szyldzik „Proszę nie budzić”, barykadowała od wewnątrz drzwi walizkami i lykła kapsułkę z trucizną; na długo zanim przerażona pokojówka zdążyła upuścić zastawioną śniadaniem tacę, po hotelu krążyła już wieść: „W pokoju nr 12 leży trup”; krążyła już w nocy, kiedy zapóźnieni goście barowi przemykali do swych pokoi, a głucha cisza za drzwiami nr 12 wydawała im się niesamowita. Byli i tacy, którzy umieli odróżnić milczenie snu od milczenia śmierci. Nieszczęście - portier wietrzył je, kiedy Hugo minutę po wpół do dziesiątej szedł na górę do sali bilardowej, niosąc duży kieliszek koniaku i karafkę

wody.

Właśnie o tej porze portier bardzo dotkliwie odczuwał nieobecność tego chłopca hotelowego; na ladzie portierni kłębiły się ręce, ręce oczekujące rachunków, ręce kolekcjonujące prospekty. O tej porze - parę minut po wpół do dziesiątej - portier sam przylapywał się na nieuprzejmości. O, teraz na przykład, wobec tej nauczycielki, już ósmej czy dziewiątej z kolei, która go pytała, jak się idzie do rzymskich grobów dziecięcych. Jej rumiana twarz świadczyła o wiejskim pochodzeniu, a rękawiczki i płaszcz nie o takich dochodach, jakich należało oczekiwać od gości hotelu „Książę Henryk”. Portier zapytywał się w duchu, jakim sposobem ta osoba przyplątała się do gromady podekscytowanych babek, z których ani jedna nie uważała za potrzebne spytać o cenę pokoju; a może właśnie ta jedna, w zakłopotaniu skubiąca rękawiczki, dokona nowego „cudu niemieckiego”, za który Jochen wyznaczył nagrodę w wysokości dziesięciu marek: „Dam dziesięć marek temu, kto mi wskaże Niemca pytającego o cenę czegokolwiek”. Nie, i ta również nie zdobędzie dla niego nagrody Jochena; portier zmusił się do zachowania spokoju i uprzejmie wskazywał jej drogę do rzymskich grobów dziecięcych.

Większość gości domagała się właśnie tego chłopca hotelowego, który teraz będzie tkwił półtorej godziny w sali bilardowej; wszyscy życzyli sobie, aby to on zaniósł ich walizki do hallu, do autobusu towarzystwa lotniczego, do taksówki, na dworzec; znudzeni globtroterzy, którzy czekając w hallu na rachunki rozmawiali o porze startów i lądowania samolotów, chcieli tylko od Hugona lodu do whisky, ognia do papierosów; umyślnie trzymali je w ustach nie zapalone, żeby wypróbować wyszkolenie Hugona. Tylko jemu pragnęli podziękować niedbałym ruchem dłoni, tylko w jego obecności ich twarze drgały od jakichś tajemniczych skurczów. Na tych twarzach malowała się niecierpliwość; nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie uniosą swój zły humor do dalekich części świata, byli gotowi do startu, aby w

perskich lub bawarskich lustrach hotelowych móc stwierdzić, w jakim stopniu ich cera nabrała jędrności. Kobiety wołały przenikliwymi głosami, aby im przyniesiono pozostawione gdzieś drobiazgi: Hugo, mój pierścionek, Hugo, moja torebka, Hugo, moja pomadka do ust; wszystkie liczyły na to, że Hugo pomknie do windy, bezszelestnie wjedzie na górę i w pokoju nr 19, w pokoju nr 32, w pokoju nr 46 poszuka pierścionka, torebki, pomadki. A to stare babsko właśnie teraz przyprowadziło swego kundla, który już wychleptał mleko, zżarł miód, pogardził sadzonymi jajkami, i teraz trzeba go było koniecznie wyprowadzić na spacer, aby mógł ulżyć swojej naturalnej psiej potrzebie, jak również odświeżyć obumierający zmysł powonienia pod ścianami ulicznych kiosków, przy zaparkowanych samochodach, zatrzymujących się tramwajach; jasne było, że tylko Hugo może sprostać tym wymaganiom psiej duszy. A tu znowu stara babcia Bleesick, która co roku przyjeżdża na miesiąc, aby odwiedzić dzieci i wciąż rosnącą gromadę wnuków, ledwo weszła do hotelu, już pytała o Hugona:

- Czy jest jeszcze u was ten chłopaczek o twarzy mini-stranta, ten szczupły, blady, złotowłosy, o takim poważnym spojrzeniu?

Hugo musiał jej czytać miejscową gazetę podczas śniadania, kiedy jadła miód, piła mleko i nie gardziła sadzonymi jajkami; staruszka z zachwytem podnosiła wzrok, kiedy padały nazwy ulic, które pamiętała z dzieciństwa: nieszczęśliwy wypadek w Alei Ehrenfeldzkiej. Napad rabunkowy przy Fryzjerskiej. „Miałam takie długie warkoczki, kiedy tam jeździłam na wrotkach, takie długie, mój drogi?”. - Staruszka była delikatna, uparta - a może tylko ze względu na Hugona odbywała lot ponad wielkim oceanem?

- Jak to? - powiedziała rozczarowana. - Hugo będzie wolny dopiero po jedenastej?

W drzwiach obrotowych stał już z ostrzegawczo podniesionymi rękami kierowca autobusu towarzystwa lotniczego, w

kasie zaś obliczano jeszcze rachunki za wymyślne śniadania; tamten gość na przykład zażądał pół jajka sadzonego i z oburzeniem kwestionował rachunek, w którym policzono mu za całe jajko; z jeszcze większym oburzeniem odrzucił propozycję zarządzającego, że od sumy rachunku zostanie odliczona należność za pół jajka. Żądał nowego rachunku, w którym miała być podana cena połowy jajka.

- Żądam tego stanowczo! - Ten gość odbywał podróż dookoła świata chyba tylko po to, aby móc potem pokazywać rachunki z wypisaną należnością za pół jajka sadzonego.

- Tak jest - powiedział portier - pierwsza przecznica na lewo, potem druga na prawo, potem znów trzecia na lewo i tam już zobaczy pani napis: „Do rzymskich grobów dziecięcych”.

Nareszcie kierowcy autobusu udało się zebrać swoich pasażerów, nareszcie wszystkie nauczycielki dowiedziały się, którędy iść, wszystkie zapasione kundle wyprowadzono na spacer. Ale gość w pokoju nr 11 spał ciągle jeszcze, spał już szesnaście godzin, powiesił na zewnątrz u kłamki szyldzik z napisem: „Proszę nie budzić”. Nieszczęście czyhało w pokoju nr 11 albo w sali bilardowej; zwykły ceremoniał pośród idiotycznego zamętu, wywołanego odjazdem gości: portier zdjął klucz z tablicy, dotknięcie dłoni, spojrzenie na bladą twarz, na czerwoną bliznę u nasady nosa, pytanie Hugona: -Jak zwykle? - kiwnięcie głową; bilard od wpół do dziesiątej do jedenastej. Ale hotelowa wewnętrzna służba informacyjna nie miała jeszcze powodu do szerzenia wieści o nieszczęściu lub występku: ten gość rzeczywiście od wpół do dziesiątej do jedenastej grał samotnie w bilard, popijał koniak, wodę, palił, kazał Hugonowi opowiadać o jego dzieciństwie, opowiadał mu o swoim dzieciństwie, pozwalał nawet, aby pokojówki czy sprzątaczkę, idąc z bielizną do windy, przystawały na chwilę w otwartych drzwiach, przypatrywały mu się; spoglądał wtedy z uśmiechem sponad kul bilardowych. Nie, nie, ten gość jest całkiem nieszkodliwy.

Jochen utykając wyszedł z windy; trzymał w ręku list, który

teraz podniósł w górę, potrząsając głową. Jochen mieszkał wysoko, pod gołębnikiem, obok swoich skrzydlatych przyjaciół, gołębi, które przynosiły mu wiadomości z Paryża i z Rzymu, z Warszawy i Kopenhagi. Trudno byłoby dokładnie określić funkcje Jochena. Chodził w fantastycznym mundurze, przypominającym zarówno strój następcy tronu jak i podoficera; był trochę totumfackim, trochę szarą eminencją, cieszył się zaufaniem wszystkich, znalazł się na wszystkim; ni to portier, ni to kelner, nie zarządzający i nie posługacz, ale znalazł się na wszystkim po trochu, umiał nawet gotować; to on był autorem sentencji, wygłaszanej zawsze, kiedy wysuwano jakieś zastrzeżenia natury moralnej wobec któregoś z gości: „Na cóż by nam się przydała nasza renomowana dyskrecja, jeśli moralność była zawsze nieposzlakowana - co po dyskrecji, kiedy nie ma powodów, dla których należy ją zachowywać?”; miał w sobie coś ze spowiednika, coś z osobistego sekretarza i coś z alfonsa. Jochen, złośliwie uśmiechnięty, zreumatyzowanymi palcami rozerwał kopertę.

- Mogłeś zaoszczędzić tych dziesięć marek, powiedziałbym ci bezpłatnie tysiąc razy więcej niż ten nędzny oszust. Biuro Informacji „Argus”. „Niniejszym podajemy żądane informacje, dotyczące architekta doktora Roberta Fahmela, zamieszkałego przy ulicy Modesta 7. Dr Fahmel, lat czterdzieści dwa, wdowiec, dwoje dzieci. Syn lat 22, architekt, zamieszkały w innej miejscowości. Córka lat 19, uczennica. Majątek dr. F.: pokaźny. Ze strony matki spokrewniony z Kilbami. Nic ujemnego na jego temat nie stwierdzono”. - Jochen chichotał: - Nic ujemnego nie stwierdzono! Jakby można było stwierdzić coś ujemnego o młodym Fahmelu. O nim nigdy nic ujemnego nie będzie można stwierdzić. To jeden z niewielu ludzi, za których włożyłbym rękę w ogień, słyszysz, tę moją przekupną, zreumatyzowaną łapę. Z nim możesz spokojnie zostawiać chłopca sam na sam, on nie jest taki - a nawet gdyby był, nie widziałbym powodu, dla którego nie miałoby się u niego nie

tolerować rzeczy, które toleruje się u ministrów

- ale on nie jest taki, on już jako dwudziestoletni chłopak miał dziecko z córką naszego kolegi, może go pamiętasz, Schrelli; pracował tu przez rok. Nie? Może ciebie tu jeszcze nie było. Więc mówię ci tylko tyle: daj młodemu Fahmelowi spokojnie grać w bilard. To dobra rodzina. Naprawdę. Ma rasę. Znałem jego babkę, dziadka, jego matkę i wujów; oni już pięćdziesiąt lat temu grywali tu w bilard. Pewno nie wiesz, że Kilbowie od trzystu lat mieszkają przy ulicy Modesta, mieszkali - bo już ich nie ma. Matka dostała bzika, straciła na wojnie dwóch braci, troje dzieci jej umarło. Nie przetrzymała tego. Szlachetna z niej była kobieta. Wiesz, jedna z tych cichych kobiet. Nie zjadła ani okruszyny więcej ponad to, co przydzielali na kartki żywnościowe, i dzieciom więcej nie dawała. Obląkana.

Rozdarowywała wszystko, co dostawała, a dostawała dużo. Oni mieli majątki ziemskie, a opat od św. Antoniego w dolinie Kissy przysyłał jej całe beczulki masła, słoje miodu, chleb. Ale ona nic z tego nie jadła i dzieciom nie dawała; musiały jeść chleb z trocin z farbowaną marmoladą, a matka wszystko rozdawała innym; nawet złote monety. Sam widziałem - musiało to być w roku szesnastym albo siedemnastym - jak wychodziła z domu niosąc bochenki chleba i słoje miodu. Miód w 1917 roku! Możesz to sobie wyobrazić? E, wy nic nie pamiętacie, nie możecie sobie nawet wyobrazić, co znaczył miód w roku 1917 i miód zimą z 1941 na 1942. Albo jak pobiegła na dworzec towarowy i chciała koniecznie, żeby ją wywieziono razem z Żydami. Obląkana! Zamknęli ją w zakładzie dla umysłowo chorych, ale ja nie wierzę, żeby ona była obląkana. To jest kobieta, jakie widuje się tylko na starych obrazach w muzeum. Za jej syna dałbym się pokrajać na kawalki i jeżeli nie będzie tu należycie obsługiwany, to zrobię taką awanturę, jakiej świat nie widział; i nawet żeby dziewięćdziesiąt pięć starych bab pytało o Hugona, a on chciał go mieć przy sobie, będzie go miał. Biuro Informacji „Argus”! Plaćć dziesięć marek tym idiotom! Może jeszcze powiesz, że nie

znasz jego ojca, starego Fahmela, co? Winszuję, więc znasz go i nigdy ci nie przyszło do głowy, że to ojciec tego, który na górze gra w bilard? No tak, starego Fahmela zna chyba każde dziecko. Przyjechał tu przed pięćdziesięciu laty w przenicowanym ubraniu wuja, miał w kieszeni parę złotych monet - i grywał tu, w „Księżu Henryku” w bilard, kiedy ty jeszcze nie wiedziałeś, co to jest hotel. To mi dopiero portierzy! Zostaw go w spokoju. On ani nie popełni żadnego głupstwa, ani nie wyrządzi szkody, co najwyżej po cichu dostanie także bzika. On był najlepszym graczem w palanta, najlepszym sprinterem w naszym mieście, był wytrwały, a jak co do czego przyszło, umiał być twardy jak stal; nie cierpiał niesprawiedliwości, a jak kto nie cierpi niesprawiedliwości, to ani się obejrzy, a już tkwi w polityce; on utkwil w niej, już kiedy miał dziewiętnaście lat. Byliby mu głowę ścięli albo zamknęli go na dwadzieścia lat, gdyby im nie umknął. Tak, tak, możesz wybaluszać gąły. Umknął i siedział trzy czy cztery lata za granicą - nie wiem dokładnie, jak to tam było, nie mogłem się niczego dowiedzieć, wiem tylko, że stary Schrella był w to wmieszany i jego córka, ta, z którą młody Fahmel miał później dziecko. Potem wrócił i nic mu nie zrobili. Poszedł do wojska, do saperów, widzę go jeszcze, jak przyjechał na urlop w mundurze z czarnymi wypustkami. Nie gap się na mnie tak głupio. Czy był komunistą? Nie wiem - ale nawet jeśli był, to co z tego? Każdy przyzwoity człowiek kiedyś tam był komunistą. No, jazda, idź na śniadanie, już ja tu sobie poradzę z tymi babkami.

Nieszczęście albo występki; coś wisiało w powietrzu, ale Jochen był zbyt dobroduszny, nigdy nie przeczuwał samobójstwa, nigdy nie wierzył, kiedy zaniepokojonym gościom wydawało się, że za zamkniętymi drzwiami pokoju potrafią odróżnić ciszę śmierci od ciszy snu; udawał, że jest przepukny i chytry, a jednak wierzył w ludzi.

- A niech tam - powiedział portier - idę na śniadanie. Tylko żebyś nikogo do niego nie wpuszczał, jemu na tym bardzo zależy. Masz.

Położył na ladzie przed Jochenem czerwoną kartkę: Jestem tylko dla mojej matki, dla ojca, syna, córki i pana Schrella - poza tym dla nikogo”.

Schrella? - myślał przerażony Jochen - czy on jeszcze żyje? Przecież go wtedy zamordowali - a może miał syna?

Ten aromat zabijał zapachy wszystkich gatunków tytoniu, jakie palono w hallu hotelowym w ciągu ostatnich dwóch tygodni, ten aromat niesło się przed sobą jak sztandar: oto nadchodzę, ja, człowiek wybitny, zwycięzca, któremu nikt się nie może oprzeć; wzrost metr osiemdziesiąt dziewięć, szpakowaty, po czterdziestce; garnitur z materiału, jaki noszą członkowie rządu. Kupcy, przemysłowcy, artyści nie miewali takich garniturów, to była urzędnicza elegancja, Jochen znalazł ten zapach; ten pan musiał być ministrem, ambasadorem, kimś, czyj podpis ma niemal moc ustawy; ten człowiek wchodził nie zatrzymywany przez obite skórą, stalowe, niklowane drzwi sekretariatów, ramionami, jak pługami śnieżnymi, odgarniał na bok wszelkie przeszkody, promieniował wytworną uprzejmością, która, to rzucało się w oczy, nie była wrodzona; ustąpił przejścia babci Bleesick, która właśnie odbierała swego obrzydliwego kundla z rąk drugiego chłopca, Eryka, i pomógł nawet zasuszonej starowinie dotrzeć do schodów i chwycić ręką poręcz. -

Drobnostka, proszę pani.

- Nettlinger.

- Czym panu mogę służyć, panie doktorze?

- Muszę się widzieć z panem doktorem Fahmelem. W pilnej sprawie. Natychmiast. Urzędowo.

Jochen potrząsnął głową na znak uprzejmej odmowy, obracając w rękę czerwoną kartkę. Matka, ojciec, syn, córka, Schrella. Nettlinger nie był wymieniony.

- Ale ja wiem, że on tu jest.

Nettlinger? Czy nie słyszałem już kiedyś tego nazwiska? Ma twarz, która powinna by mi przypomnieć coś, o czym chciałem pamiętać. Słyszałem to nazwisko przed wielu laty i powiedziałem

sobie wtedy: tego faceta musisz sobie zapamiętać, nie zapomnij o nim; ale teraz już wiem, o czym miałem pamiętać. Na wszelki wypadek jednak: uwaga! Zemdliloby cię, gdybyś wiedział, co ten ma na swoim koncie, do śmierci byś rzygał, gdybyś musiał obejrzeć film, który mu wyświetlą w dniu Sądu Ostatecznego - film jego życia; to jeden z tych, którzy kazali wrywać trupom złote zęby i obcinać dzieciom włosy. Nieszczęście czy występek? Nie, tu pachnie mordem.

Tacy ludzie nigdy nie wiedzą, kiedy trzeba dać napiwek; a tylko po tym można poznać klasę. Teraz, na przykład, byłby może odpowiedni moment na poczęstowanie cygarem, ale nie na napiwek, a już w żadnym razie nie na taki duży napiwek: zielony dwudziestomarkowy banknot, który ten gość z uśmiechem położył na ladzie. Cóż to za głupcy! Nie znają podstawowych zasad traktowania ludzi, najprostszych zasad traktowania portierów; jak gdyby w hotelu „Księżę Henryk” tajemnice były w ogóle na sprzedaż; jak gdyby gościa, płacącego czterdzieści czy sześćdziesiąt marek za pokój, można było sprzedać za zieloną dwudziestkę; dwudziestkę nieznanego człowieka, którego jedyną legitymację stanowi jego cygaro i materiał, z jakiego ma zrobiony garnitur. I taki zostaje ministrem, może dyplomata, a nie ma podstawowych wiadomości o najtrudniejszej ze sztuk, o sztuce przekupstwa! Jochen posępnie potrząsnął głową, nie tknął zielonego banknotu. *Pełna datków prawica ich.*

Nie do wiary: obok zielonego banknotu pojawił się niebieski, oferowaną sumę podwyższono do trzydziestu marek, a Jochenowi dmuchnęła prosto w twarz gęsta chmura wonnego dymu Partagas-Eminentes.

Pykaj sobie, do woli, dmuchaj mi prosto w nos dymem swojego czteromarkowego cygara i dolóż jeszcze jeden fioletowy banknot. Nie kupisz Jochena. Nawet za trzy tysiące. Niewielu ludzi w życiu lubilem, ale właśnie tego chłopca lubię. Miałeś pecha, facecie o dygnitarskiej twarzy, z brzemionną podpisami ręką, przyszedłeś o półtorej minuty za późno. Powinieneś był

wywąchać, że jeśli o mnie chodzi, banknoty są rzeczą najmniej skuteczną. Mam nawet w kieszeni notarialnie potwierdzoną umowę, mocą której przysługuje mi dożywotne prawo zajmowania izdebki pod dachem i hodowania gołębi; mogę zamawiać sobie na śniadanie i na obiad wszystko, na co mam ochotę, i jeszcze dostaję co miesiąc gotówką na rękę sto pięćdziesiąt marek, trzy razy więcej niż mi potrzeba na tytuń; mam przyjaciół w Kopenhadze, w Paryżu i w Warszawie, i w Rzymie - a gdybyś wiedział, co to znaczy przyjaźń hodowców gołębi pocztowych, ale ty tego nie wiesz, tobie wydaje się tylko, że za pieniądze można wszystko dostać; to są maksymy, które sami w siebie wpajacie. No i, naturalnie, że portier hotelowy za pieniądze gotów jest zrobić wszystko, za fioletowy banknot sprzeda ci rodzoną babkę. Tylko jednej rzeczy, przyjacielu, nie wolno mi robić, moja swoboda ograniczona jest jednym jedynym zastrzeżeniem; kiedy pełnię tu, na dole, funkcję portiera, nie wolno mi palić fajki. I tego zastrzeżenia dziś po raz pierwszy żałuję, bo gdyby nie ono, mógłbym odwdziaczyć ci się za twoje Partagas-Eminentes kłębem czarnego dymu. Możesz mnie - mówiąc jasno i wyraźnie - paręset razy i jeszcze kilka pocałować gdzieś. Nie sprzedam ci Fahmela. Niech sobie od wpół do dziesiątej do jedenastej spokojnie gra na górze w bilard, chociaż miałbym dla niego lepsze zajęcie: zajęcie twego miejsca w ministerstwie. Albo to, co robił za młodu: * rzucanie bomb, żeby takim lajdakom jak ty napędzić strachu. Ale jeśli on chce od wpół do dziesiątej do jedenastej grać w bilard, to proszę, mech gra, a ja tu jestem po to, żeby mu nikt nie przeszkodził. Teraz możesz zabrać swoje banknoty, i wyrzec po nich ładę, a jeśli dołożysz jeszcze jeden, nie odpowiadam za to, co się stanie. Nalykałem się tu już nietaktów do syta i cierpliwie znosiłem tysiączne dowody złego smaku; wciągałem do książki hotelowej niewiernych mężów i pederastów, splawiałem szalejące żony i rogaczy - a nie myśl, że do tego się urodziłem. Byłem zawsze dobrym

chłopcem, służyłem do mszy, tak jak i ty z pewnością służyłeś, i śpiewałem w kółku śpiewaczym pieśni ojca Kolpinga i świętego Alojzego; miałem wtedy dwadzieścia lat i już sześć lat pełniłem służbę w tej budzie. I jeśli nie straciłem wiary w ludzkość, to tylko dlatego, że jest na świecie paru takich ludzi jak młody Fahmel i jego matka. Schowaj no swoje pieniądze, wyjmij cygaro z ust, skłoń się uprzejmie staremu człowiekowi, który widział więcej występków, niż ty sobie możesz wyobrazić, pozwól tamtemu boyowi przytrzymać dla ciebie obrotowe drzwi wejściowe i zabieraj się stąd.

Czy dobrze słyszałem? Chcesz mówić z zarządzającym?

O, krew mu uderzyła do głowy, całkiem zsiniał ze złości - psiakrew, czyżbym znowu na głos myślał i może nawet na głos mówił do ciebie „ty”? To byłoby oczywiście bardzo przykre, niewybaczalny błąd, bo z takimi ludźmi jak pan nie jestem na ty.

Na co ja sobie pozwalam? Jestem stary, mam prawie siedemdziesiąt lat, ot, głośno sobie myślałem; mam trochę sklerozy, trochę źle w głowie i chroni mnie paragraf pięćdziesiąty pierwszy, jestem tu na łaskawym chlebie. Obronność, broń? Tylko tego mi jeszcze brakowało. - Do zarządzającego, bardzo proszę, w lewo, potem drugie drzwi na prawo, książka zażaleń oprawiona w safian. - A gdybyś miał tu kiedykolwiek zamówić jajka sadzone i gdybym się przypadkiem znalazł w kuchni w chwili, kiedy przekażą twoje zamówienie, będę sobie poczytywał za zaszczyt osobiście napluć do patelni. Wtedy dostaniesz moje oświadczyzny in natura, zmieszane z roztopionym masłem. Proszę uprzejmie, szanowny panie.

- Powiedziałem już panu. W lewo, potem drugie drzwi na prawo, zarząd hotelu. Książka zażaleń oprawiona w safian. Pan życzy sobie, żeby go zaanonsować? Bardzo chętnie. Centrala. Portiernia prosi pana dyrektora. Panie dyrektorze, pan... przepraszam, zapomniałem nazwiska. Nettlinger, przepraszam, pan dr Nettlinger chciałby się z panem zobaczyć w pilnej sprawie. Jakiej? Zażalenie na mnie. Tak, dziękuję. Dyrektor pana

oczekuje. Tak jest, proszę pani, dziś wieczorem sztuczne ognie i pochód, pierwsza ulica w lewo, potem druga w prawo, znowu trzecia w lewo i stamtąd już zobaczy pani napis: „Do rzymskich grobów dziecięcych”. Nie ma za co. Dziękuję bardzo. -

Jednomarkowa moneta to rzecz nie do pogardzenia, jeśli ją wręcza taka uczciwa ręka starej nauczycielki. Tak, tak, przyjrzyj się, jak z uśmiechem przyjmuję ten drobny napiwek, chociaż odrzuciłem tamten, duży. Rzymskie groby dziecięce to czysta sprawa. Wdowi grosz nie spotka się tu ze wzgardą. A napiwek to dusza naszego zawodu.

- Tak jest, proszę przejść tamtędy naokoło. Jeszcze zanim wysiądą z taksówki, wiem, czy mam do czynienia z wiarołomstwem. Umiem to zwietrzyć z daleka, znam się na najboczniejszych z bocznych ścieżek. Bywają parki nieśmiałe, widać to po nich tak wyraźnie, że chciałoby się powiedzieć: nie przejmujcie się tak, moje dzieci, wszystko to już było, pracuję jako portier pięćdziesiąt lat i postaram się oszczędzić wam przykrości. Dwuosobowy pokój: pięćdziesiąt dziewięć marek osiemdziesiąt łącznie z napiwkiem, za to możecie się spodziewać trochę życzliwości; jeżeli zaś dręczy was zbyt gorąca namiętność, to przynajmniej nie zaczynajcie już w windzie. W hotelu „Książę Henryk” ludzie kochają się za podwójnymi drzwiami... Nie bądźcie tacy nieśmiali, nie bójcie się: gdybyście wiedzieli, kto w tych pokojach, uświadomionych wysokimi cenami, znajdował zaspokojenie swoich potrzeb seksualnych - bywali tu ludzie bogobojni i bezbożni, żli i dobrzy. - Dwuosobowy pokój z łazienką, butelka szampana do numeru. Papierosy. Śniadanie o wpół do jedenastej. Bardzo proszę. Zechce pan w tym miejscu podpisać, nie, tutaj - mam nadzieję, że nie będziesz idiotą i nie napiszesz prawdziwego nazwiska. Ten papierek idzie naprawdę do policji, przykładają na nim pieczętkę, staje się dokumentem i nabiera wagi dowodu. Nie ufaj dyskrecji władz, chłopcze. Im jest ich więcej, tym więcej pokarmu im

trzeba. A może byłeś kiedyś komunistą, w takim razie musisz być dwa razy ostrożniejszy. Ja też kiedyś byłem komunistą i katolikiem byłem także. To w praniu nie puszcza. Ja i dziś jeszcze nie pozwolę na pewnych ludzi słowa powiedzieć, a kto przy mnie zrobi głupi dowcip na temat Matki Boskiej albo znieważy ojca Kolpinga, temu umiem pokazać, gdzie raki zimują. - Boy, numer 42. Tędy do windy, proszę pana.

Tylko czekałem na takich, ci uprawiają wiarołomstwo zuchwale, nic nie ukrywają, chcą całemu światu pokazać, jacy to oni są niezależni. Ale jeśli nie macie nic do ukrywania, to dlaczego robicie takie zuchwale miny i tak się popisujecie swoim nie-mamy-nic-do-ukrywania? Jeśli naprawdę nie macie nic do ukrywania, to przecież nie potrzebujecie tego ukrywać.

- Zechce pan podpisać w tym miejscu, nie, tutaj. - No, z tą głupią gęsią nie chciałbym mieć nic do ukrywania. O nie! Z miłością jest tak, jak z napiwkami. Kwestia instynktu.

Przecież po kobiecie od razu widać, czy warto mieć z nią coś do ukrywania. Z tą nie warto. Możesz mi wierzyć, chłopcze.

Tych sześćdziesiąt marek za noc, plus szampan do numeru i napiwek, i śniadanie, i co tam jej jeszcze musisz ofiarować

- nie warto. To już przyzwoita, uczciwa dziewczyna uliczna, która zna swój zawód, dałaby ci przynajmniej coś za to.

- Boy, dla państwa pokój 43. - O Boże, jacy ci ludzie są głupi.

- Słucham, panie dyrektorze, już idę, tak jest, panie dyrektorze.

Oczywiście, tacy ludzie jak ty są stworzeni na dyrektorów hoteli; to jest tak jak z kobietami, które każą sobie usuwać pewne organy wewnętrzne; wtedy nie ma już żadnych problemów, ale czym byłaby miłość bez problemów, i jeśli ktoś każe sobie usunąć sumienie, nie staje się nawet cynikiem. Człowiek niezdolny do smutku przestaje być człowiekiem. Wychowywałem ciebie na boya, cztery lata trzymałem cię w karbach, potem rozglądałeś się po świecie, chodziłeś do

szkół, uczyłeś się języków, asystowałeś w alianckich i niealianckich kasynach oficerskich przy barbarzyńskich wybrykach pijanych zwycięzców i zwyciężonych, potem szybko wróciłeś tutaj i twoim pierwszym pytaniem, kiedy się zjawiliś, ogladzony, spasiony, bez sumienia, było: „Czy stary Jochen jest tu jeszcze?”. Jestem tu jeszcze, wciąż jeszcze jestem, mój chłopcze.

- Pan obraził tego pana.

- Nie zrobiłem tego umyślnie, panie dyrektorze, i właściwie nie była to żadna obraza. Mógłbym panu wymienić setki ludzi, którzy poczytywali by sobie za zaszczyt, gdybym był z nimi na ty.

- Szczyt bezczelności. Nie do wiary.

- Po prostu wymknęło mi się, panie doktorze. Jestem stary i żyję jak gdyby pod ochroną paragrafu pięćdziesiątego pierwszego.

- Ten pan żąda zadośćuczynienia...

- I to natychmiast. Pan pozwoli, ale nie poczytuję sobie za zaszczyt, kiedy portier hotelowy mówi do mnie ty.

- Niech pan przeprosi pana doktora Nettlingera.

- Przepraszam pana doktora Nettlingera.

- Nie tym tonem.

- A jakim? Przepraszam pana doktora Nettlingera, przepraszam pana doktora Nettlingera, przepraszam pana doktora Nettlingera. Oto trzy tony, jakimi rozporządzam, proszę, niech pan sobie wybierze ten, który panu odpowiada. Widzi pan, mnie wcale nie chodzi o upokorzenie. Mogę klęknąć tu, na dywanie, i bić się w piersi, ja, stary człowiek, który, co prawda, także oczekuje przeproszenia. Próba przekupstwa, panie dyrektorze. W grę wchodził honor naszego renomowanego hotelu. Tajemnica zawodowa za nędzne trzydzieści marek? Czuję się urażony na honorze własnym i honorze hotelu, w którym pełnię służbę od przeszło pięćdziesięciu lat, dokładnie mówiąc: od

pięćdziesięciu sześciu.

- Niech pan zakończy tę przykrą i śmieszłą scenę.

- Proszę natychmiast zaprowadzić tego pana do sali bilardowej.

- Nie.

- Pan zaprowadzi tego pana do sali bilardowej.

- Nie.

- Byłoby mi bardzo przykro, gdyby tak długotrwały stosunek służbowy, jaki łączy pana z tym hotelem, zakończył się z powodu odmowy wykonania zwykłego rozkazu.

- W tym hotelu, panie dyrektorze, nigdy jeszcze nie zlekceważono życzenia gościa, aby go nikt nie nachodził. Oczywiście z wyjątkiem wypadków siły wyższej. Gestapo. Wtedy byliśmy bezsilni.

- Proszę więc traktować ten wypadek jako siłę wyższą.

- Pan jest z gestapo?

- Wypraszam sobie tego rodzaju pytania.

- Proszę teraz zaprowadzić tego pana do sali bilardowej.

- Czy pan, panie dyrektorze, chce pierwszy splamić nasz sztandar dyskrecji?

- W takim razie sam zaprowadzę pana doktora do sali bilardowej.

- Po moim trupie, panie dyrektorze.

Trzeba być tak przekupnym i starym jak ja, żeby wiedzieć, że istnieją rzeczy, których nie można kupić. Występek przestaje być występkiem, jeśli nie istnieje cnota, a nie możesz wiedzieć, co to jest cnota, jeśli nie wiesz, że bywają nawet dziewczyny uliczne, które pewnych klientów odprawiają. Ale ja powinienem był wiedzieć, że ty jesteś świnią. Tygodniami uczyłem cię na górze, w moim pokoju, jak się dyskretnie przyjmuje napiwki: banknoty, monety jednomarkowe i drobne. Trzeba umieć dyskretnie brać pieniądze, bo napiwek jest duszą naszego zawodu. Ćwiczyłem cię w tym i solidnie się naharowałem, zanim

przyswoileś sobie tę sztukę. A ty chciałeś mnie przy tym nabrać, wmawiałeś mi, że mieliśmy do ćwiczeń tylko trzy jednomarkówki, a było ich cztery, chciałeś jedną zwędzić. Zawsze byleś trochę świnią, nigdy nie wiedziałeś, że istnieje coś takiego, jak: „Tego się nie robi”. I teraz także robisz coś, czego się nie robi. Nauczyłeś się tymczasem przyjmować napiwki i z pewnością nieraz było to trzydzieści srebrników.

- Niech pan natychmiast wraca do recepcji, tą sprawą sam się zajmę. Proszę ustąpić z drogi, ostrzegam pana.

Tylko po moim trupie, a jest już za dziesięć jedenasta, za dziesięć minut i tak musi zejść tymi schodami. Gdybyście tylko troszkę pomyśleli, oszczędzilibyśmy sobie całej tej sceny, ale nawet dla tych dziesięciu minut: po moim trupie. Nigdyście nie wiedzieli, co to jest postawa honorowa, ponieważ nie wiedzieliście, co to jest postawa niehonorowa. Oto stoję przed wami, ja, Jochen, hotelowy totumfacki, przekupny, od stóp do głowy pełen przestępczej wiedzy, ale tylko po moim trupie dostaniecie się do sali bilardowej.

Rozdział trzeci

Fahmel od dawna już nie grał według prawideł, nie miał ochoty robić serii, zbierać punktów; uderzał w kule, czasem delikatnie, czasem krótko i mocno, pozornie bez celu i wyrachowania. Za każdym razem, kiedy kula uderzała o pozostałe dwie, wydobywała dla niego z zielonej nicości nową figurę geometryczną; usiane gwiazdami niebo, na którym ruchome były tylko nieliczne punkty; drogi komet; biel na tle zieleni, czerwień na tle zieleni, ślady rozbłyskały i natychmiast gasły; delikatny szmer wyznaczał rytm tworzących się figur - pięć, sześć razy, kiedy pchnięta kula dotykała bandy lub obu pozostałych kul. Nieliczne wyższe lub niższe tony wybijały się spośród monotonnych szmerów; linie wirujące wiązały się z kątami, podlegały prawom geometrii i fizyki; energia pchnięcia, której udzielał kuli za pośrednictwem kija, i odrobina energii tarcia. Wszystko było

wymierne; utrwalalo się w mózgu; impulsy dające się przetworzyć w figury; nie były to trwale kształty, tylko coś przelotnego, pierzchającego w toczeniu się kuli. Często pół godziny grał tylko jedną kulą: biel na tle zieleni, jedna jedyna gwiazda na niebie; lekko, cicho, muzyka bez melodii, dzieło malarskie bez obrazu; ledwie cień barwy, sama formuła.

Błądy chłopiec strzegł drzwi, stał oparty o białą lakierowaną drewnianą framugę, z rękami założonymi na plecach, ze skrzyżowanymi nogami, w fioletowej liberii hotelu „Książę Henryk”.

-Nic mi pan dziś nie opowie, panie doktorze? Fahmel podniósł głowę. Odstawił kij, wyjął papierosa, zapalił, wyjrzał na ulicę, leżącą w cieniu katedry św. Seweryna. Praktykanci, ciężarówka, zakonnice: ruch uliczny. Szare jesienne światło, odbite od fioletowych aksamitnych portier, stawało się niemal srebrzyste. W ramach welurowych portier zapóźnieni goście jedli śniadanie. Nawet jajka na miękko wyglądały w tym oświetleniu występnie, a pocziwe twarze przykładowych pań domu robiły wrażenie przewrotnych. Wyfraczeni kelnerzy o wyrozumiałych oczach wyglądali jak Belzebuby, wysłannicy samego Asmodeusza; a byli przecież zwykłymi członkami związku zawodowego, z przejściem czytającymi po zakończeniu służby artykuły wstępne swojego pisma związkowego; tutaj wydawało się, że ukrywają swe kopyta pod zręcznie skonstruowanymi aparatami ortopedycznymi; czy z ich białych, czerwonych i żółtych czół nie wyrastały eleganckie, małe różki? Zdawało się, że cukier w pozłacanych czarkach nie jest cukrem; dokonywała się tu jakaś przemiana, wino nie było winem, chleb nie był chlebem, wszystko stawało się pod wpływem światła ingrediencją tajemniczych występów. Tu się celebrowało; a imienia bóstwa nie wolno było wypowiedzieć, wolno je było tylko pomyśleć.

- Co ci mam opowiedzieć, chłopcze?

Jego wspomnienia nie łączyły się nigdy ze słowami lub obrazami, jedynie z ruchami. Ojciec - to był jego chód,

kokieteryjny luk, jaki przy każdym kroku zakreślała prawa nogawka spodni, szybko, tak że granatowa tasiemka, którą były podszyte, ukazywała się na chwilę, kiedy rano mijał sklep Gretza, idąc na śniadanie do kawiarni Kronera; matka

- to był ów skomplikowany, pokorny gest, jaki wykonywały jej ręce, kiedy je składała na piersiach, zawsze zanim powiedziała jakieś głupstwo: jaki zły jest świat, jak mało na nim czystych serc; wypisywała to dłońmi w powietrzu, zanim ujęła w słowa. Otto - to były jego maszerujące nogi, kiedy szedł w długich butach przez sień i dalej ulicą; wróg, rytmicznie wybijały na płytach chodnika jego stopy, te same stopy, które dawniej wybijały inny rytm: brat, brat. Babka

- ruch wykonywany przez nią przez siedemdziesiąt lat, który teraz widywał co dzień po wielokroć powtarzany przez córkę; paręset lat liczący ruch, który przechodził z pokolenia na pokolenie i który w nim za każdym razem budził strach. Jego córka, Rut, nie znalazła swojej prababki; skąd wziął się u niej ten ruch? Nieświadomie odgarniała włosy z czoła tym samym gestem co jej prababka.

Widział i siebie samego pochylającego się, aby wyszukać swój kij do palanta. Widział, jak ujmuje lewą ręką piłkę, jak ją obraca na wszystkie strony, aż ułoży się w jego dłoni tak, by ją mógł rzucić dokładnie tam, gdzie chciał; tak wysoko, aby czas jej spadania ściśle odpowiadał czasowi potrzebnemu na chwycenie kija równieź i lewą ręką, zamach i odbicie piłki z całą skupioną w obu rękach siłą, aby poleciała daleko, aż za metę.

Widział siebie stojącego na nadbrzeżnej łące, w parku, w ogrodzie, pochylonego, prostującego się, uderzającego. Wszystko było wymierne; tamci byli głupi, nie wiedzieli, że czas spadania piłki można obliczyć, że za pomocą tego samego stopera można także wypróbować, ile sekund potrzeba na odpowiednie uchwycenie kija; i że wszystko jest tylko kwestią koordynacji i wprawy; ćwiczył całe popołudnie na łące, w parku, w ogrodzie. Tamci nie wiedzieli, że istnieją formuły, które można zastosować, wagi, na których można zważyć piłki. Tylko trochę fizyki, trochę

matematyki i wprawa; ale oni przecież gardzili obiema naukami, które tu w grę wchodziły; gardzili treningiem, wymigiwali się, tygodniami uprawiali gimnastykę za pomocą jakichś rozlazłych sentencji, pływali lodzią po mętnej wodzie, pływali nawet po poezji

Hölderlina; nawet takie słowo jak sonda w ich ustach zamieniało się w papkowatą bzdurę; sonda, coś tak jednoznacznego: linka, kawałek ołowiu, rzucano się to do wody, czuło się, kiedy ołów dotknął dna, wyciągano się linkę i mierzyło na niej głębokość wody. Ale kiedy oni mówili „rzucić sondę”, brzmiało to jak zła gra na organach; nie umieli grać w palanta ani czytać Hölderlina.

Nieugięte jest wieczyste serce, nawet gdy współczuje.

Kręcili się przed samą linią, chcieli mu przeszkodzić w podbiciu piłki, wołali: „No, Fahmel, podbijaj, już!”; inna grupa niespokojnie czekała koło mety, dwaj chłopcy już daleko za boiskiem, tam gdzie zwykle padały jego piłki, jego groźne piłki; najczęściej znajdowali je już na ulicy, tam gdzie właśnie teraz, w tę letnią sobotę 1935 roku, parujące gniade konie wychodziły z bramy browaru; w głębi widać było nasyp kolejowy, a parowóz manewrujący wagonami wypuszczał dziecinne białe obłoczki w południowe niebo; na prawo przy moście syczały w stoczni palniki acetylenowe, robotnicy spawali coś po godzinach na statku dla organizacji „Siła przez radość”; syczały niebieskawe i srebrne iskry, a nitownice, nitownice wybijały takt; w ogródkach działkowych świeżo ustawione strachy daremnie walczyły z wróblami, bladzi emeryci z wygasłymi fajkami tęsknie wyglądali pierwszego. Dopiero wspomnienia ruchów, jakie wtedy wykonywał, dopiero one wydobywały obrazy, słowa i barwy: „No, Fahmel, podbijaj!” było ukryte za formułkami, i piłka już trafiała na właściwe miejsce, leciutko przytrzymana między palcami i dłonią, aby napotkać możliwie najmniejszy opór; już trzymał w ręku swój kij, najdłuższy ze wszystkich (nikt nie troszczył się o prawa rządzące dźwignią), z końcem owiniętym leuko- plastem. Szybkie spojrzenie na zegarek: trzy minuty i trzydzieści sekund do gwizdka nauczyciela.

gimnastyki - a on dotychczas jeszcze nie mógł znaleźć odpowiedzi na pytanie: jak to się stało, że chłopcy z gimnazjum Księcia Ottona zgodzili się bez zastrzeżeń, aby ich nauczyciel gimnastyki był sędzią podczas decydującej rozgrywki? Nauczyciel nazywał się Bernhard Vacano, ale oni przezywali go: Ben Wackes. Miał melancholijny wygląd, skłonności do tycia, mówiono o nim, że platonicznie kocha się w chłopcach, lubił ciastka z kremem i melodramatyczne filmy, w których silni jasnowłosi młodzieńcy przepływali rzekę, a potem leżeli na łące, gryźli żdźbło trawy i spoglądali ku błękitnemu niebu czekając na przygodę; Ben Wackes uwielbiał ponad wszystko reprodukcję głowy Antoniusza, która stała w jego pokoju między fikusami
1 półkami zapelnionymi literaturą o wychowaniu fizycznym i którą pieścił pod pozorem odkurzania; Ben Wackes, który swoich ulubieńców nazywał chloptasiami, pozostałych zaś uczniów łobuzami. „No, rzucaj, łobuzie!” - mówił spocony, z trzęsącym się brzuchem, z gwizdkiem w ustach.

Ale tak czy inaczej pozostawały jeszcze trzy minuty i trzy sekundy do gwizdka, o trzynaście sekund za dużo; jeśli już teraz podbije piłkę, następny gracz będzie miał jeszcze rzut, Schrella, który czeka przy mecie na wyzwolenie, będzie musiał jeszcze raz uciekać, a tamci jeszcze raz będą mieli okazję z całej siły wyrzucić go piłką w twarz, w nogi, w nerki; już trzy razy zaobserwował, jak oni to robią: któryś z przeciwnej drużyny trafiał Schrellę, potem przejmował piłkę Nettlinger, grający w tej partii co on i Schrella, trafiał przeciwnika, rzucając mu piłkę prosto w ręce, ten znów walił w Schrellę, który skręcał się z bólu, i znów zabierał piłkę Nettlinger, odrzucał ją przeciwnikowi, który trafiał Schrellę w twarz

- a Ben Wackes stał obok, gwizdał, kiedy trafiali Schrellę, gwizdał, kiedy Nettlinger spokojnie odrzucał piłkę przeciwnikowi, gwizdał, kiedy Schrella kulejąc próbował uciec; gra toczyła się szybko, piłka leciała tam i z powrotem - czy tylko on jeden to zauważył? Nikt inny z tej gromady widzów w kolorowych czapkach, z kolorowymi

chorągiewkami, którzy rozgorączkowani wyczekiwali końca rozgrywki? Na

dwie minuty i pięćdziesiąt sekund przed końcem stan gry był 34 : 29 na korzyść gimnazjum Księcia Ottona - czyżby to, co tylko on zauważył, było powodem, że tamci zgodzili się na sędziowanie Bena Wackesa, ich nauczyciela gimnastyki?

„No, podbijaj wreszcie, łobuzie, za dwie minuty gwizdek”.

„Przepraszam, za dwie minuty i pięćdziesiąt sekund”

- powiedział Fahmel, wysoko rzucił piłkę, błyskawicznie chwycił kij obiema rękami i uderzył; po sile uderzenia, po elastycznym oporze kija poznał, że będzie to znów jeden z jego legendarnych rzutów; zmrużył oczy, żeby dojrzeć lot piłki, nie mógł jej odnaleźć, usłyszał westchnienie gromady widzów, wielkie „aaa!”, które pęczniało, rosło jak chmura; dostrzegł Schrellę, który zbliżał się utykając, wolno, miał żółte plamy na twarzy i krwawy ślad koło nosa; a sędziowie punktowi liczyli: siedem, osiem, dziewięć; wyzywająco, bez pośpiechu pozostali członkowie drużyny mijali wściekłego Bena Wackesa; partia była wygrana, wygrana bezapelacyjnie, a on zapomniał wybiec i zdobyć jeszcze dziesiąty punkt; „Ottończycy” wciąż jeszcze szukali piłki, pelzali na czworakach daleko za ulicą w trawie rosnącej pod murem browaru; w gwizdka, którym Ben Wackes ogłosił koniec gry, wyraźnie było słyhać jego irytację. 37:34 na korzyść gimnazjum św. Ludwika, oznajmili sędziowie punktowi. Głośnie „aaa!” zamieniło się w „hura!”, kipiało ponad placem. A Fahmel wbił koniec swęgo kija w trawę, podniósł nieco uchwyt, potem opuścił go, aż nadal kijowi właściwy kąt nachylenia; oparł stopę w najsłabszym miejscu, zwążającym się poniżej uchwytu. Koledzy otoczyli go zdziwieni, umilkli z przejęcia. Widzieli w tym jakiś znak, że sławny kij Fahmela został ' w ten sposób złamany. W miejscu pęknięcia śmiertelną bielą lśniły drzazgi. I już chłopcy zaczęli jeden przez drugiego dobijać się o pamiętkę, walczyć zawzięcie o drzazgi, wyrwać sobie strzępy leukoplastu. Fahmel patrzył przerażony ma te zgorączkowane, niemądre twarze, na pełne podziwu oczy

blyszczące z podniecenia, i czuł tanią gorycz sławy, tutaj, tego letniego wieczoru, 14 lipca 1935 roku, w sobotę, na krańcu przedmieścia, na stratowanej łące, gdzie właśnie Ben Wackes popędzał uczniów seksty gimnazjum św. Ludwika, aby pozbiali chorągiewki zatknięte na rogach boiska. Daleko za ulicą, pod murem browaru, wciąż jeszcze widać było niebiesko-żółte koszulki: to „Ottończycy” szukali piłki; teraz ociągając się wrócili z ulicy, zebrali się na środku boiska, ustawili się w szereg, czekali na niego, kapitana drużyny, aby pod jego przewodem wrzasnąć swoje: „hip, liip, hura!”. Fahmel powoli zbliżył się do obu szeregów. Schrella i Nettlinger stali obok siebie, jakby się nic nie wydarzyło, nic a nic, za nimi młodszy uczniowie kotłowali się jeszcze o pamiętki. Fahmel poszedł dalej, podziw widzów przejmował go wstrętem fizycznym. Zawołał trzykrotnie: „Hip, hip, hura!” „Ottończycy” wymykali się jak zbite psy z powrotem na poszukiwanie. Nieznalezienie piłki pozostawiłoby na nich niezatarte piętno hańby.

- Wiedziałem przecież, Hugonie, jak bardzo zależało Nettlingerowi na zwycięstwie; powiedział: „Musimy zwyciężyć za wszelką cenę”, a właśnie on ryzykował wygraną tylko po to, aby jednemu z przeciwników dać okazję do rzucania raz po raz piłką w Schrellę. A Ben Wackes musiał należeć do ich spisku. Ja to dostrzegłem, tylko ja jeden.

Kiedy szedł do szatni, bał się Schrelli i tego, co mu powie. Nagle ochłodziło się, sponad łąk uniosły się plynne opary wieczoru, nadciągały od strony rzeki, spowijały dom, w którym była szatnia, jak w warstwy waty. Dlaczego, dlaczego oni byli tacy dla Schrelli? Podstawili nogę, kiedy na pauzie schodził ze schodów; wyrznął głową o żelazny kant stopnia, waś stalowej oprawki okularów wbil mu się w ucho, a Wackes o wiele za późno przyniósł z pokoju nauczycielskiego podręczną apteczkę. Nettlinger z drwiącym uśmiechem naciągnął leukoplast, aby nauczyciel mógł odciąć kawalek. Napadli na Schrellę w drodze do domu, wciągnęli go do sieni, tłukli go między kublami na

śmiecie i wózkami dziecinnymi, zrzucili z ciemnych schodów piwnicznych i długo leżał tam ze złamaną ręką, otoczony zapachem kapusty, zapachem kielkujących kartofli, obok zakurzonych słojów; dopiero jakiś chłopiec, posłany na dół po jabłka, znalazł go i zaalarmował lokatorów. Tylko paru kolegów nie brało w tym udziału: Enders, Drischka, Schweugel i Holten.

Przed paru laty Fahmel przyjaźnił się ze Schrellą, zawsze razem odwiedzali Trischlera, który mieszkał w pobliżu Dolnego Portu; ojciec Schrelli był kelnerem w gospodzie należącej do ojca Trischlera. Urządzali sobie zabawy na starych barkach, na wybrakowanych pontonach, z łodzi łowili ryby.

Zatrzymał się przed wejściem do szatni, dobiegł go zmieszany gwar głosów, chłopcy ochrypli z mitycznego zapachu, rozprawiali o legendarnym locie piłki; jak gdyby zniknęła w ponadludzkiej strefie.

„Przecież widziałem, leciała, leciała... jak kamień wyrzucony z procy olbrzyma”.

„Widziałem tę piłkę, którą Robert podbił”.

„Słyszałem tę piłkę, którą Robert podbił”.

„Nie znajdują tej piłki, którą Robert podbił”.

Kiedy wszedł, umilkli. W tym milczeniu, które nagle zapadło, czuł się strach. Czuli niemal śmiertelny szacunek dla kolegi, który dokonał tego, w co nikt by nie uwierzył, czego nikt nie mógłby opowiedzieć; któż podjąłby się jako naoczny świadek opisać tor lotu piłki?

Boso, każdy z ręcznikiem kąpielowym zarzuconym na szyję, pobiegli pod natrysk; został tylko Scirella. Ubrał się nie wzięwszy prysznicu i teraz dopiero Robert uświadomił sobie, że Schrella nigdy nie brał natiysku po skończonej grze; nigdy nie ściągał z siebie trykotowego podkoszulka. Siedział na stolku, miał siniec na twarzy i wilgotny ślad wokół ust, z których otarł krew; na ramionach znać było plamy w miejscach, gdzie trafiła piłka, której „Ottońcy” wciąż jeszcze szukali. Siedząc odwinął właśnie rękawy spranej koszuli, wciągnął kurtkę, wyjął z kieszeni książkę i

czytał: *Wieczorem, gdy dzwony na pokój dzwonię* }.

Nieprzyjemnie było zostać sam na sam ze Schrellą, przyjmować podziękę jego chłodnych oczu, zbyt chłodnych nawet do nienawiści; zaledwie nieznaczny ruch rzęs, przelotny uśmiech, wdzięczność dla wybawcy, który podbił piłkę. A Fâhmel uśmiechnął się równie przelotnie, odwrócił się do blaszanej szafki, wyszukał swoje ubranie, chciał się prędko wymknąć rezygnując z natiysku. Na ścianie nad jego szafką ktoś wyskrobał już w tynku napis: „Piłka Fâhmela, 14 lipca 1935 r.”.

Pachniało tu obitymi skórą przyrządami gimnastycznymi, zeschniętą ziemią, która odpadała z pilek do futbolu, siatkówki, szczypiorniaka i zapelniała grudkami szpary betonowej podłogi; w kątach stały brudne zielono-białe chorągiewki, schły rozwieszona siatki, poniewierało się pęknięte wiosło; pozólkły dyplom pod pękniętym szkłem: „Pionierom piłki nożnej, klasie niższej prima gimnazjum św. Ludwika 1903 r.

- Prezes Rządu Krajowego”; obramowana wydrukowanym wieńcem laurowym zbiorowa fotografia, z której spoglądały na niego osiemnastolatki rocznika 1885 o wyrobionych mięśniach, wąsaci młodzieńcy, ze zwierzęcym optymizmem patrzący w przyszłość, którą los im gotował: mieli butwieć pod Verdun, wykrawiać się w bagnach Sommy lub piętnaście lat później na cmentarzu bohaterów pod Château Thierry być tematem pojednawczych sentencji, które turyści w drodze do Paryża, ulegając nastrojowi tego miejsca, wpisywali do rozmięklej od deszczu księgi pamiątkowej. Pachniało żelazem, pachniało dojrzewającą męskością. Z zewnątrz przenikała wilgotna mgła, napływająca kłębamiz nadbrzeżnych łąk; z pobliskiej gospody dochodził przedświąteczny gwar niskich męskich głosów, chichotanie kelnerek, brzęk kufli do piwa, a na końcu korytarza kręglarze zabrali się już do roboty; toczyły się kule, koziołkowały kręgle, triumfalne „aaa!” i pełne zawodu „ooo!” rozbrzmiewało na korytarzu, dobiegało aż do szatni.

Schrella siedział skulony z zimna, mrużąc oczy w półmroku.

Robert nie mógł dłużej odwlekać tej chwili; raz jeszcze sprawdził, czy ma dobrze zawiązany krawat, wygładził ostatnie faldki kołnierzyka sportowej koszuli - och, poprawny, zawsze poprawny - wetknął głębiej końce sznurowadeł, sprawdził, czy ma w portmonetce drobne na jazdę powrotną; już wracali pierwsi koledzy spod natrysku, rozmawiali o „pilce Roberta”.

„Wracamy razem?”.

„Tak”.

Wyszli na górę wydeptanymi betonowymi schodami, na których leżały śmieci jeszcze z ubiegłej wiosny, papierki od cukierków, pudełka od papierosów; wspięli się na tamę, gdzie właśnie spoceni wiosłarze wciągali łódź na cementowy tor; w milczeniu szli obok siebie tamą, która wiodła wśród nisko ścielących się mgieł, jak na drugi brzeg rzeki; syreny statków, czerwone światła, zielone światła sygnałowe; przed stoczną ulatywały czerwone iskry, kreśliły figury na szarym tle. W milczeniu doszli do mostu, wspięli się w górę ciemnymi schodami, gdzie na ścianach uwieńczone były tęsknoty powracającej z kąpieli młodzieży, napisy wydrapane na czerwonym piaskowcu. Dudniący na moście pociąg towarowy uwolnił ich na dalszych kilka minut od konieczności rozpoczęcia rozmowy - przewożono żużel na zachodni brzeg; kolejarze wymachiwali latarkami, gwizdek dyrygował pociągiem, który zaczął się teraz cofać na prawy tor. W dole, wśród mgły, sunęły na północ barki, żalosne dźwięki rogu ostrzegały przed śmiertelnym niebezpieczeństwem, niosły się tęsknie ponad wodą. Zgiełk uniemożliwiał na szczęście rozmowę.

- Potem zatrzymałem się, Hugonie, oparłem o balustradę, zwrócony twarzą ku rzece, wyciągnąłem z kieszeni papierosy, poczęstowałem Schrellę, on dał mi ogień i paliliśmy w milczeniu, a za naszymi plecami pociąg z loskotem zjeżdżał z mostu; pod nami cicho sunął na północ łańcuch barek, spod lawicy mgły dochodził cichy szmer ich przepływania; widać było tylko od czasu do czasu parę iskier ulatujących z komina kuchennego; potem na kilka minut zapadała cisza, dopóki następna barka nie przepłynęła pod

mostem na północ, na północ, ku mgłom Morza Północnego - a mnie ogarnął strach, bo musiałem go teraz spytać i wiedziałem, że kiedy wypowiem to pytanie, wir mnie wciągnie i nigdy się już z niego nie wydostanę. Straszna musiała być tajemnica, dla której Nettlinger zaryzykował przegraną i „Ottończycy” zgodzili się na sędziowanie Bena Wackesa. Panowała teraz niemal absolutna cisza, nadająca wielką wagę pytaniu, które miało paść i obarczyć sobą całą wieczność, a ja zęgnalem się już, Hugonie, nie wiedząc jeszcze, dokąd i w imię czego się wybieram. Zęgnalem ciemną wieżę katedry św. Seweryna, sterczącą sponad płaskiej warstwy mgły, i dom rodzinny nieopodal wieży, gdzie moja matka kończyła właśnie nakrywać do kolacji, poprawiała srebrne sztucce, ostrożnymi rękami układała kwiaty w małych wazonikach, kosztowała wino: czy białe jest dość zimne, a czerwone nie za zimne? Sobota, obchodzona uroczyście jak sabat; matka otwierała już mszał w miejscu, według którego objaśni nam niedzielną liturgię swoim łagodnym głosem, brzmiącym jak wieczysty advent; głosem od słów: *Paś baranki moje*; zęgnalem mój pokój z oknami wychodzącymi na ogród, gdzie prastare drzewa stały w pełnym rozkwicie zieleni; gdzie namiętnie zgłębiałem formuły matematyczne, surowe krzywizny figur geometrycznych, zimowo przejrzyste rozgałęzienia linii stereometrycznych, wyczarowywanych moim cyrklem, grafionem; gdzie rysowałem kościoły, które miałem kiedyś budować. Schrella strzelił niedopalkiem w mgłę ścielącą się pod naszymi nogami, żarzący się punkcik zawirował lekko, wwiercając się w nią. Schrella odwrócił się ku mnie z uśmiechem, czekał na pytanie, z którym wciąż jeszcze zwlekałem, potrząsnął głową.

Łańcuch latarni rysował się ostro na tle nadbrzeżnej mgły.

„Chodź - powiedział Schrella - oni są już blisko, słyszysz ich?”.

Słyszałem, chodnik drżał już pod ich krokami, mówili

o miejscowościach, do których wyjadą wkrótce na wakacje:

Algäu, Westerwald, Bad Gastcin, Morze Północne, mówili

o pilce Roberta. Idąc, łatwiej mi było zadać to pytanie.

„Dlaczego - spytałem - dlaczego? Jesteś Żydem?”

„Nie”.

„Więc kim?”.

„Jesteśmy barankami - powiedział Schrella. - Przysięgliśmy, że nigdy nie zakosztujemy *sakramentu byka*”.

„Baranki. - Bałem się tego słowa. - Czy to jakaś sekta?”

- spytałem.

„Może”.

„Ale nie partia?”

„Nie”.

„Nie będę mógł - powiedziałem. - Nie mogę być barankiem”.

„Chcesz zakosztować *sakramentu byka*?”

„Nie” - rzekłem.

„Są tacy pasterze - mówił Schrella - którzy nie opuszczają swej trzody”.

„Prędko - szepnąłem - prędko, oni są już blisko”.

Zeszliśmy ciemnymi schodami od strony zachodniej i kiedy znaleźliśmy się na ulicy, zawahałem się przez chwilę. Powinienem był iść w prawo, zaś droga Schrelli prowadziła w lewo. Ale potem poszedłem za nim w lewo, gdzie ulica skręcała ku miastu, wiodąc obok składów drzewa, szop na węgiel i ogródków działkowych. Za pierwszym rogiem przystanęliśmy, już pochłonięci przez płaską warstwę mgły, i obserwowaliśmy cienie kolegów, poruszające się jak czarne sylwetki ponad balustradą mostu. Słyszeliśmy odgłos ich kroków, ich głosy, kiedy schodzili na dół, dudniące echo stapania podkutych butów, czyjeś wołanie: „Nettlinger, Nettlinger, poczekaj!”. A ostre echo silnego głosu Nettlingera przeleciało przez rzekę, rozprysnęło się o filary mostu i powróciło do nas, gubiąc się w ogródkach, które pozostawiliśmy za sobą, w szopach magazynów, echo głosu Nettlingera, wołającego: „A gdzież się podział nasz baranek i jego pasterz?”. Kilkakrotnie odbita salwa śmiechu spadła na nas jak czerepy rozbitego naczynia.

„Słyszalesz?” - spytał Schrella.

„Tak - odrzekłem. - Baranek i pasterz”.

Patrzyliśmy na cienie maruderów idących chodnikiem; ich głosy, stłumione na schodach, nabrały dźwięczności, kiedy wyszli na ulicę, załamywały się pod lukami mostu, „piłka, piłka Roberta”.

„Muszę wiedzieć wszystko dokładnie” - powiedziałem do Schrelli.

„Chodź, pokażę ci”.

Przedzieraliśmy się po omacku przez mgłę wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego, potem wzdłuż parkanu pachnącego jeszcze świeżym drewnem i lśniącego żółtawo. Żarówka, umieszczona nad zamkniętą bramą, oświetlała emaliowany szylt: „Michaelis - Węgiel, koks, brykiety”.

„Poznajesz tę drogę?” - spytał Schrella.

„Tak - odparłem. - Przed siedmiu laty często chodziliśmy tędy i bawiliśmy się na dole u Trischlerów. Co się stało z Alojzym?”

„Jest szyprem, tak jak jego ojciec”.

„A twój ojciec jest jeszcze kelnerem w gospodzie nad rzeką?”

„Nie, teraz pracuje w Górnym Porcie”.

„Chciałeś mi coś pokazać?”

Schrella wyjął z ust papierosa, ściągnął bluzę, zsunął z ramion szelki, podniósł koszulę i odwrócił się, tak że słabe światło żarówki padało na jego plecy. Były one pokryte sinymi bliznami wielkości fasoli - usiane, pomyślałem, to byłoby właściwe określenie.

„O Boże - wyjąkałem - co to?”

„To Nettlinger - powiedział Schrella. - Oni to robią na dole, w starych koszarach przy fosie Wilhelma. Ben Wackes i Nettlinger. Nazywają to swoją pomocniczą służbą policyjną. Złapali mnie podczas oblawy na żebraków w dzielnicy portowej. Aresztowali jednego dnia trzydziestu ośmiu żebraków - jednym z nich byłem ja. Przesłuchiwali nas za pomocą szpicruty z drutu kolczastego. Nastawali na mnie: Przyznaj się, że jesteś żebrakiem - a ja potwierdziłem: Tak, jestem żebrakiem”.

Spóźnieni goście wciąż jeszcze siedzieli przy śniadaniu, sączyli sok pomarańczowy jak występny trunek; błądy chłopiec, oparty o

framugę drzwi, stał nieruchomo jak posąg; przy fioletowym welwecie liberii jego twarz wydawała się niemal zielona.

- Hugo, Hugo, słyszysz mnie?
- Tak, panie doktorze, słyszę każde słowo.
- Przynieś mi kieliszek koniaku, duży.
- Słucham pana.

Kiedy Hugo schodził do restauracji, ostro blynął mu przed oczami Czas: duży kalendarz, który musiał przekładać co rano - odwrócił już duży karton z cyfrą oznaczającą dzień, wsunął go pod mniejsze kartoniki z nazwą miesiąca, rokiem: 6 września 1958. W głowie mu się kręciło na myśl, że wszystko, co usłyszał, działo się na długo przed jego urodzeniem; cofnęło go to o dziesiątki lat, o całe pół wieku: 1885, 1903 i 1935 - ukryte głęboko pod warstwą czasu, a jednak obecne, brzmiały w głosie Fahmela, wspartego o stół bilardowy, wpatzonego w plac przed katedrą św. Seweryna. Hugo mocniej chwycił poręcz schodów, odetchnął głęboko, jak ktoś, kto wynurza się z wody, otworzył szeroko oczy i jednym skokiem ukrył się za grubym filarem.

Bo właśnie schodziła z góry *ona*, boso, w odzieży pasterki, roztaczając odór owczego nawozu, którym przesiąknięta była nędzna opończa, spowijająca ją od piersi po uda. Zje teraz swoją papkę z prosa, razowy chleb, parę orzechów, wypije owcze mleko, które przechowywano dla niej w lodówce. Przywoziła ze sobą owcze mleko w termosach, przywoziła w małych pudełkach owczy nawóz, którego używała do perfumowania swojej grubej, robionej na drutach bielizny z surowej welny. Po śniadaniu przesiadywała godzinami w hallu - robiła na drutach, nieustannie robiła na drutach, od czasu do czasu przynosiła sobie z baru szklanekę wody, paliła swoją fajeczkę, siedziała z nagimi nogami, skrzyżowanymi na kanapce, tak że widać było brudną stwardniałą skórę na podszwach, przyjmowała swych uczniów i uczennice, którzy, podobnie jak ona odziani, podobnie cuchnący, otaczali ją siedząc ze skrzyżowanymi nogami na dywanie, robili na drutach, niekiedy otwierali małe pudełeczka wręczane im przez mistrzynię i

wdychali odór owczego nawozu jak najrozkoszniejszy aromat. W regularnych odstępach czasu odchrząkiwała i dziewczęcym głosem rzuciła ze swej kanapki pytanie: „W jaki sposób zbawimy świat?”.

A uczniowie

i uczennice odpowiadali: „Za pomocą owczej wełny, owczej skóry, owczego mleka i przez robienie na drutach”. Brzęk drutów, cisza, jeden z wyrostków skoczył do baru, przyniósł mistrzyni świeżej wody i znów łagodny dziewczęcy głos rzuca pytanie: „Gdzie kryje się błogosławieństwo przeznaczone światu?”, a wszyscy odpowiadają: „W owcy!”. Otwierają pudeleczka, z zachwytem wdychają odór nawo^zu, a w trakcie tego trzaskają flesze, ołówki dziennikarzy szybko mkną po papierze.

Hugo cofnął się głębiej, kiedy obchodziła filar, zmierzając do sali śniadaniowej. Bał się jej, zbyt często widział, jak jej łagodne oczy stawały się twarde, kiedy była z nim sama, kiedy przylapywała go na schodach, kazała przynieść sobie do pokoju mleko, a tam wychodziła naprzeciw niego z papierosem w ustach, wyrwała mu z ręki szklanę, śmiejąc się wylewała mleko do umywalni, napełniała szklanę koniakiem

i ze szklanką w ręku podchodziła do niego, a on powoli cofał się ku drzwiom. „Czy nikt ci jeszcze nie powiedział, że tw^oja twarz jest warta złota, czystego złota, ty głuptasie? Dlaczego nie chcesz zostać barankiem bożym mojej now^ej religii? Uczynię cię potężnym, bogatym, wszyscy będą przed tobą padali na kolana w dużo bardziej luksusowych hotelach niż ten. Czy nie dość długo tu pracujesz, aby wiedzieć, że ich nudę można zapełnić tylko nową religią, i to im głupszą, tym lepiej. Idź sobie, jesteś na to za głupi”.

Hugo patrzył, jak z nieruchomą twarzą wchodzi do sali śniadaniowej, a kelner otwiera przed nią drzwi; serce waliło mu jeszcze wtedy, kiedy wyszedł z za filaru i w^olno zaczął schodzić do restauracji.

- Kieliszek koniaku na górę, dla pana doktora, duży.
- Jest jakaś draka z pow^odu twojego doktora.
- Jak to draka?

- Nic więcej nie wiem. Zdaje mi się, że ktoś pilnie poszukuje twojego doktora. No, bierz swój koniak i prędko zmykaj. Co najmniej siedemnaście starych i młodych babek czyha tu na ciebie. Prędko, już znowu któraś idzie z góry.

Tamta znów wyglądała, jakby piła czystą żółć na śniadanie. Miała złocistą suknię, złociste pantofle, czapeczkę i mufkę z lwiej skóry. Jej widok budził wstręt, a niektórzy goście hotelowi byli tak przesądni, że zasłaniali twarz, kiedy wchodziła. Z jej powodu pokojówki wymawiały pracę, kelnerzy nie chcieli jej obsługiwać, ale Hugo, jeśli udało jej się go złapać, musiał grać z nią godzinami w kanastę. Miała palce jak kurze pazury, jedyną ludzką cechą był papieros w jej ustach.

„Nigdy nie zaznałam miłości, chłopcze. Nie było człowieka, który umiałby opanować wstręt do mnie; moja matka przeklinała mnie co dzień po siedem razy, wykrzykiwała mi swoje obrzydzenie prosto w twarz; miałam piękną i młodą matkę, młodego, pięknego ojca i rodzeństwo. Gdyby się tylko zdobyli na odwagę, otruliby mnie; mówili: *Coś-podobnego- nie-powinno-się-było-urodzić* Mieszkaliśmy wysoko, w żółtej willi ponad hutą stalową, wieczorem tysiące robotników wychodziło z zakładów, czekały na nich uśmiechnięte dziewczęta i kobiety, ze śmiechem schodzili na dół błotnistą ulicą. Widzę, słyszę, mam zmysł dotyku i węchu jak inni ludzie, umiem pisać, czytać, liczyć i odróżniać smak - jesteś pierwszym człowiekiem, który wytrzyma ze mną dłużej niż pół godziny, słyszysz, pierwszym człowiekiem!”.

Włókl się za nią strach, tchnienie nieszczęścia; rzuciła klucz od pokoju na ladę i wrzasnęła na chłopca, który zastępował Jochena:

-Gdzie jest Hugo?

Kiedy chłopiec wzruszył ramionami, zwróciła się ku drzwiom obrotowym; portier, który uruchomił dla niej kołowrót, spuścił wzrok, na ulicy przysłoniła twarz welonem.

„W hotelu nie noszę go - mówiła do Hugona - niech ci tutaj zobaczą coś za swoje pieniądze, niech mi patrzą w twarz za moje pieniądze, ale tamci, na ulicy, nie zasłużyli na to”.

-Przyniosłem koniak, panie doktorze.

-Dziękuję ci, Hugo.

Hugo lubił tego człowieka. Doktor Fahmel przychodził co dzień o wpół do dziesiątej i wybawiał go do jedenastej, dał mu już poczucie wieczności; czyż nie było tak zawsze, czy nie stał już przed setkami lat przy tych białolakierowanych drzwiach, z rękami założonymi w tył, przyglądając się cichej grze, słuchając słów, które prznosiły go o sześćdziesiąt lat wstecz, o dwadzieścia w przód, znów o dziesięć wstecz, po czym nagle przerzucały w rzeczywistość wiszącego na dole kalendarza? Biel na tle zieleni, czerwień na tle zieleni, czerwień i biel na tle zieleni, zawsze wewnątrz bandy, obejmującej tylko dwa metry kwadratowe zielonego sukna; to było czyste, suche, precyzyjne; między wpół do dziesiątej i jedenastą; dwa, trzy razy wędrówka na dół po dużym koniaku; czas nie reprezentował tu wielkości, z której można by coś odczytać; wysłała go ta prostokątna zielona bibuła; na próżno były zegary, na próżno przesuwwały się wskazówki, w bezsensownym pośpiechu uciekały jedna przed drugą; Hugo rzucał wszystko, kiedy zjawiał się Fahmel, właśnie w porze, kiedy było najwięcej roboty: starzy goście wyjeżdżali, przyjeżdżali nowi; on musiał tu stać, aż zegar na wieży św. Seweryna wybije jedenastą, ale kiedy, kiedy ją wybije? Obszary pozbawione powietrza, zegary pozbawione czasu, opuszczał się na dno oceanu, rzeczywistość nie docierała tu, rozplaszczala się na zewnątrz jak o szyby akwarium lub wystaw sklepowych, traciła swoje wymiary, zachowywała tylko jeden, była płaska jak wykrojona z arkusza dzieciennych wycinanek; wszyscy oni mieli ubrania nałożone prowizorycznie, jak te wycięte papierowe lalki, bezradnie kopali w ściany, grubsze od całych stuleci ze szkła; odległy był cień katedry św. Seweryna, jeszcze bardziej odległy dworzec i nierzeczywiste pociągi: D i F, i E, i FD, i TEE, i FT, unoszące walizy ku stacjom granicznym; rzeczywiste były tylko trzy kule bilardowe, toczące się po zielonej bibule, tworzące coraz to nowe figury: pchnięciem kija

bilardowego Fahmel wydobywał nieskończoność zawartą w tysięcznych formułach na powierzchni dwóch metrów kwadratowych, podczas gdy jego głos gubił się w czasie.

- Czy jest jeszcze dalszy ciąg tego opowiadania, panie doktorze?

- Chcesz je usłyszeć?

- Tak.

Fahmel uśmiechnął się, upił koniaku, zapalił nowego papierosa, ujął kij i pchnął czerwoną kulę: czerwień i biel potoczyły się na tle zieleni.

- W tydzień potem...

- Po czym?

Fahmel uśmiechnął się znowu.

- Po tej rozgrywce palanta, po owej dacie 14 lipca 1935 roku, którą koledzy wryli w tynku nad blaszaną szafką - a więc w tydzień później rad byłem, że Schrella przypomniał mi drogę wiodącą do domu Trischlera. Stałem przy balustradzie starej wagowni w Dolnym Porcie; widać stąd było jak na dłoni całą drogę; biegła obok drewnianych szop i składów węgla, opadała ku terenowi przedsiębiorstwa handlu materiałami budowlanymi, stąd zaś podążała prosto do portu, ogrodzonego zardzewiałą żelazną barierką i będącego już tylko cmentarzyskiem barek. Ostatni raz byłem tu przed siedmioma laty, ale równie dobrze mogło ich być i pięćdziesiąt; kiedy wraz ze Schrellą odwiedzałem Trischlerów, miałem trzynaście lat. Długie konwoje barek zarzucały wieczorem kotwice u stóp skarpy, żony szyprów z koszykami na zakupy schodziły po chwiejnych kładkach na ląd; kobiety miały świeże twarze i ufne oczy; za nimi schodzili z barek mężczyźni, stęsknieni piwa i gazet; matka Trischlera z podnieceniem przeglądała swoje zapasy: kapustę, pomidory, srebrzystą cebulę, wiszącą w pęczkach na ścianie, a na dworze owczarz krótkimi ostrymi rozkazami zmuszał psy, aby żywiej zapędzały owce do zagrody. Naprzeciw - na tutejszym brzegu - rozbłyskiwały gazowe latarnie, żółtawe światło wypełniało białe kule, których rząd ciągnął się na północ

w nieskończoność. Ojciec Trischlera zapalał lampy w gospodzie, a ojciec Schrelli, ze ścierką pod pachą, zaglądał do stojącej w głębi szopy, gdzie my, chłopcy: Trischler, Schrella i ja, rozbijaliśmy bryły lodu i pokrywali nimi skrzynki z piwem.

Teraz, Hugo, siedem lat później, 21 lipca 1935 roku, luszczyla się farba ze wszystkich parkanów i zauważyłem, że w składzie węgla Michaelisa odnowiono tylko bramę; za plotem niszczały zwalone na kupę brykiety. Badalem wzrokiem wszystkie zakręty drogi, aby upewnić się, że nikt mnie nie śledzi. Byłem zmęczony, czułem piekące rany na plecach, pulsowanie bólu. Przez dziesięć minut nikt się na drodze nie zjawił; patrzałem na wąski pas ruchliwej czystej wody, łączącej Dolny Port z Górnym: nie było widać ani jednej łodzi. Spojrzałem na niebo: nie było na nim samolotu. Pomyślałem: zdaje się, że traktujesz siebie zbyt poważnie, jeśli sądzisz, że mogliby wysłać samoloty na poszukiwanie ciebie.

Uczyniłem to, Hugo, poszedłem ze Schrellą do kawiarenki Zona przy ulicy Boissereego, gdzie schodziły się baranki. Przyciszonym głosem podałem gospodarzowi hasło: *Paś baranki moje* i złożyłem przysięgę, złożyłem ją patrząc prosto w twarz młodej dziewczyny imieniem Edyta, że nigdy nie skosztuję *sakramentu byka*. Potem w ciemnym pokoju na tyłach gospody wygłosiłem przemówienie pełne ciemnych słów, których brzmienie nie przywodziło na myśl Baranka; miały one smak krwi, buntu i zemsty, zemsty za Ferdiego Progulske, którego zgładzono tego ranka; ci, którzy siedzieli dookoła stołu i słuchali moich słów, wyglądali jak ścięci; byli przerażeni, zrozumieli, że powaga dziecka jest nie mniej poważna niż powaga dorosłych; przerażeni i pewni, że Ferdi naprawdę nie żyje: miał siedemnaście lat, biegł na dystansie stu metrów, był uczniem stolarskim. Widziałem go tylko cztery razy i do końca życia go nie zapomnę: dwa razy w kawiarni Zona i dwa razy u nas w domu. Ferdi zakradł się do mieszkania Bena Wackesa i gdy ten wychodził z sypialni, rzucił mu bombę pod nogi. Wackes miał tylko poparzone stopy, lustro w

przedpokoju rozprysnęło się na kawalki, w mieszkaniu pachniało spalonym prochem; głupota wywodząca się z dziecięcej szlachetności, słyszysz, Hugo, naprawdę słyszysz?...

- Słyszę.

- Ja czytywałem Hölderlina: *Nieugięte jest wieczyste serce, nawet gdy współczuje*, a Ferdi tylko Karola Maya, i wyglądało na to, że oni obaj głosili tę samą szlachetność; odpokutował swoją głupotę pod toporem, o świcie, kiedy dzwony kościelne wzywały na jutrznię, a chłopcy od piekarza odliczali gorące bułki do płóciennych woreczków; kiedy tutaj, w hotelu „Książę Henryk”, pierwszym gościom podawano śniadanie, kiedy ptaki świergotały, mleczarki w obuwiu na gumowych podszewkach wchodziły do cichych klatek schodowych, by postawić butelki z mlekiem na czystym kokosowym chodniku, gońcy na motocyklach pędzili przez miasto, od słupa do słupa, nalepiali obwieszczenia w czerwonej ramce: „Egzekucja! Terminator Ferdynand Progulske...” - czytali je ludzie wstający o świcie, tramwajarze, uczniowie i nauczyciele, wszyscy, którzy rankiem, ze śniadaniem w teczce, śpieszą do tramwajów, którzy nie zdążyli jeszcze rozłożyć miejscowej gazety, głoszącej wielkimi czcionkami: „Dla przykładu?”, czytałem to i ja, Hugo, kiedy właśnie tu, na rogu, czekałem na siódemkę.

Głos Ferdiego w telefonie - czy to było wczoraj, czy przedwczoraj? - „Przyjdiesz do kawiarni Zona, tak jakieśmy się umówili?”. Chwila ciszy. „Przyjdiesz, czy nie?”. „Przyjdę”.

Enders próbował mnie jeszcze wciągnąć za rękaw" do wagonu, ale wyrwałem mu się, poczekałem, aż tramwaj skręci za róg, pobiegłem na przeciwny przystanek, z którego dziś jeszcze odjeżdża szesnastka; przez spokojne przedmieścia jechałem ku Renowi, potem oddalałem się od niego, aż tramwaj skręcił na pętlę między barakami i dolami, z których wydobywano żwir. Powinno być teraz zima, myślałem, powinno być zimno, deszcz, pokryte chmurami niebo, wtedy łatwiej byłoby to znieść; ale tu, gdzie przez wiele godzin błąkałem się między ogródkami, patrzyłem na brzoskwinie

i groszek, pomidory i kapustę, gdzie słyszałem brzęk butelek od piwa, dzwonek lodziarza, stojącego na skrzyżowaniu i nakładającego lody śmietankowe między kruche wafelki... Oni nie mogą tego robić, myślałem, nie mogą przecież jeść lodów, pić piwa, obmacywać brzoskwiń, kiedy Ferdi...

Okolo południa pokruszyłem swój chleb i rzuciłem go zrzędlwym kurom, które żłobiły niezdarne figury geometryczne w pyłe i nieczystościach pokrywających podwórze handlarza starzyzną. Z okna dobiegł głos kobiety: „Tęgo chłopca, czytales? Oni go...”, a męski głos odpowiedział: „Psiakrew, cicho bądź, przecież wiem...”. Rzuciłem resztę chleba kurom, pobiegłem dalej, zablądziłem wśród grobli

i glinianek, znalazłem się znów na jakimś końcowym przystanku, przejechałem przez obce przedmieścia, wysiadłem, wyróciłem kieszenie spodni: wysypał się z nich na zakurzoną drogę czarny proch strzelniczy; biegłem dalej, mijalem znów groble, place przy magazynach, fabryki, ogródki, domy, jakieś kino; kasjerka właśnie podnosiła okienko w kasie. O trzeciej? Punkt trzecia. Pięćdziesiąt fenigów. Byłem jedynym widzem na tym seansie. Zar lał się z nieba na blaszany dach; miłość, krew, oszukany kochanek wyciąga nóż; zasnąłem i obudziłem się, dopiero kiedy hałaśliwi widzowie wtargnęli na salę na seans o szóstej; chwiejąc się wyszedłem na dwór. Gdzie się podziła moja teczka z książkami? Została w kinie? Koło dołu ze żwirem, gdzie tak djugo siedziałem przyglądając się ociekającym wodą ciężarówkom, czy może tam, gdzie kruszyłem chleb dla zrzędlwych kur? Głos Ferdiego w telefonie - czy to było wczoraj, czy przedwczoraj? „Przyjdiesz do kawiarni Zona, tak jakeśmy się umówili?”. Chwila ciszy. „Przyjdiesz, czy nie?”. „Przyjdę”.

Spotkanie ze ściętym. Szaleństwo, które już teraz stało się dla mnie drogim, ponieważ cena za nie była tak wysoka. Nettlinger czekał na mnie przed kawiarnią Zona. Zawlekli mnie do fosy Wilhelma, bili szpicrutą z drutu kolczastego. Małeńkie plugi orały moje ciało; przez zardzewiałe kraty w oknie widziałem pagórek, na

którym bawilem się w dzieciństwie; piłka ciągle staczała się na dół, co chwila zbiegałem z pagórka, podnosiłem piłkę, rzucałem trwożne spojrzenie na zardzewiałe kraty i zdawało mi się, że za brudnymi szybami czai się zło. Nettlinger wymierzył nowy cios.

W celi usiłowałem zdjąć koszulę, ale była w strzępach tak samo jak skóra; szczepiły się ze sobą, kiedy ciągnąłem koszulę za kołnierz, za rękaw, zdawało mi się, że ściągam skórę przez głowę.

Złe były takie chwile jak ta. Kiedy stałem zmęczony przy balustradzie starej wagozni, uczucie bólu było silniejsze niż duma ze stygmatów. Głowa mi opadła na poręcz, ustami dotykałem zardzewiałego prętu i czulem kojącą gorzyc utlenionego żelaza. Już tylko minuta drogi do domu Trisch-lera i dowiem się, czy oni tam na mnie czekają. Przestraszyłem się - robotnik z bańką pod pachą szedł w górę ulicy, zniknął w bramie składu materiałów budowlanych. Kiedy schodziłem po stopniach, trzymałem się poręczy tak mocno, że ręką zsuwałem z niej płatki rdzy.

Wesoły rytm nitownic, którego słuchałem tu przed siedmioma laty, rozbrzmiewał teraz już tylko jak znużone echo w stukaniu młotka na pontonie, gdzie stary mężczyzna rozbierał prom. Nakrętki toczyły się z brzękiem do tekturowego pudła, deski padały z głuchym łoskotem, świadczącym o stopniu zbutwienia, a stary człowiek opukiwał motor, słuchał jego warkotu, jak bicia serca najdroższej istoty, pochylał się nisko nad brzuchem łodzi, wydobywał na wierzch poszczególne części: śrubki, panewki, dysze, cylindry, oglądał je pod światło, obwąchiwał, zanim je rzucił do pudła z nakrętkami; za łodzią stał stary kołowrót, zwisały z niego resztki stalowej linki, rozłazącej się jak zbutwiała pończocha.

Wspomnienia o ludziach i wydarzeniach łączyły się we mnie zawsze ze wspomnieniami ruchu, którego odbicie pozostawało mi w pamięci. Kiedy wychylony przez poręcz podnosiłem i opuszczałem głowę, podnosiłem ją i znów opuszczałem obserwując ulicę - wspomnienie tego ruchu obudziło w mojej świadomości słowa i barwy, obrazy i nastroje. Nie to, jak wyglądał Ferdi, tylko w jaki sposób zapalał zapalną, jak lekko podnosił

głowę, mówiąc: tak, tak - nie, nie, zmarszczki na czole Schrelli, jego wzruszanie ramionami, chód ojca, gesty matki, ruch dłoni babki, kiedy odgarniała włosy z czoła - a ten stary człowiek, tam w dole, który właśnie oczyszczał dużą śrubę z resztek zgnilego drewna

- tak, to ojciec Trischlera! Jego ręka wykonywała ruchy, które tylko ona jedna mogła wykonywać! - przyglądałem się jej, kiedy otwierała skrzynie i z powrotem je zabijała; przemycony towar, który ukiyty w brzuchu barki przewędrował granicę: rum i rodzynki, papierosy i czekolada - w domu na przystani ta ręka wykonywała ruchy, które tylko ona jedna mogła wykonywać. Stary podniósł głowę, mrugnął na mnie i powiedział: „Tamta droga górą nie prowadzi donikąd, synku”.

„Prowadzi do waszego domu” - odparłem.

„Ten, kto mnie odwiedza, przybywa, od strony wody, nawet policja - i mój syn przypląwa tutaj łodzią, ale rzadko, bardzo rzadko”.

„Czy policja tam już jest?”

„Dlaczego o to pytasz, synku?”

„Bo mnie szukają”.

„Zwędziłeś coś?”

„Nie - powiedziałem - tylko nie chciałem przyjąć *sakramentu byka*”.

Barki, myślałem, barki o ciemnych wnętrzach, a ich szyprowie z wprawą wyprowadzają w pole celników; nie zajmę dużo miejsca, tylko tyle co zwinięty dywan; chcę przepłynąć granicę ukryty w zwiniętym żaglu.

„Zejdź no na dół - powiedział Trischler. - Tam na górze widać cię z drugiego brzegu”.

Odwróciłem się i zacząłem powoli zsuwać się ku Trischlerowi, chwytając się kępek trawy.

„Ach, to ty - powiedział stary. - Wiem, kim jesteś, ale twego nazwiska nie pamiętam”.

„Fahmel” - powiedziałem.

„No tak, szukają cię, mówili o tym w wiadomościach porannych.

Powinienem się był od razu domyślić, o kogo chodzi, kiedy podali twój

rysopis: czerwona blizna u nasady nosa. To się stało wtedy, kiedyśmy podczas przyboru przepływali na tamten brzeg i wpadliśmy na filar, bo nie doceniłem szybkości prądu; uderzyłeś głową o żelazne okucie łodzi”.

„Tak, i odtąd nie wolno mi było przychodzić tutaj”.

„Ale przychodziłeś”.

„Już niedługo, potem pokłóciłem się z Alojzym”.

„Chodź, ale schyl się, jak będziemy przechodzili pod mostem obrotowym, bo sobie nabijesz guza i nie pozwolą ci tu przychodzić. Jak się wydostałeś z ich łap?”.

„Nettlinger przyszedł o świcie do mojej celi i przeprowadził mnie do tylnego wyjścia, tam gdzie zaczynają się podziemne korytarze, biegnące ku nasypowi kolejowemu przy fosie Wilhelma. Powiedział: Zmykaj, ale już - mogę ci dać tylko godzinę przewagi, za godzinę muszę złożyć meldunek w policji. Okrążyłem całe miasto, zanim się tu dostałem”.

„Hm, hm - mrucał stary - więc musieliście rzucać bomby! Musieliście spiskować i... Wczoraj już jednego wyekspediowałem za granicę”..

„Wczoraj? - spytałem. - Kogo?”.

„Schrellę - powiedział. - Ukrył się tutaj i ledwo go zmusiłem, żeby odplynął na Annie-Katarzynie”.

„Alojzy zawsze marzył o' tym, żeby być sternikiem na Annie-Katarzynie!”.

„I został nim. A teraz chodź”.

Potyając się szedłem za Trischlerem ku jego domowi wzdłuż pochyłego obmurowania nabrzeża, u stóp wzniesienia. Wstawałem i znów padałem, i znów wstawałem, a przy tych gwałtownych ruchach koszula wciąż odrywała mi się od skóry, przylepiała do niej i znów odrywała. Bezustannie jątrzony ból wprawił mnie w stan półprzytomności, w którym ruchy, barwy, odgłosy z tysięcznych wspomnień spletały się, nakładały jedno na drugie, a ból miotał od wewnątrz różnorodnymi znakami tajemnymi o zmiennych barwach, nachyleniach i kierunkach.

Przybór, myślałem, przybór, zawsze ciągnęło mnie, aby rzucić się w wodę i aby mnie uniosła ku szaremu horyzontowi.

W sennych majaczeniach długo biedziłem się nad pytaniem, czy w

bańce można ukryć szpicrutę z drutu kolczastego; w moich wspomnieniach ruchy przekształcały się w linie, łączyły się tworząc rysunek; zielone, czarne, czerwone linie wyglądały jak kardiogram, w którym znajduje odbicie rytm życia danego człowieka: szybki ruch, którym Alojzy Trischler wyciągał wędkę z wody, kiedyśmy łowili ryby w Starym Porcie; ruch, którym rzucał żyłkę z przynętą, przesuwanie się jego ręki wyznaczające szybkość prądu: wyraźnie nakreślony zielony rysunek na szarym tle. Nettlinger, unoszący rękę, by cisnąć piłkę prosto w twarz Schrelli, drganie jego warg, rozdymanie się nozdrzy - zmieniał się w szarą płamę, przypominającą ślad pozostawiony przez pajaka. Jakby za pomocą dalekopisu, którego nie potrafiłem umiejscowić, ryły mi się w pamięci wizerunki: Edyta wieczorem po rozgrywce palanta, kiedy poszedłem do Schrelli; twarz Edyty pode mną, na trawie w Parku Blessenfeldzkim; kiedy leżeliśmy tam, twarz Edyty była zwilżona letnim deszczem, na jej jasnych włosach lśniły kropelki wody, ściekały wzdłuż brwi, wianuszek srebrzystych kropli, który unosił się i opuszczał w rytmie jej oddechu; ten wianuszek pozostał mi w pamięci jak szkielet stworzenia głębinowego, znaleziony na rdzawym piasku i powielony w niezliczone chmurki jednakowej wielkości; linie wokół jej ust, kiedy mówiła do mnie: „Oni cię zabijają”. Edyta.

W tym śnie dręczyła mnie utrata teczki - byłem zawsze taki poprawny - wyrwałem z dzioba chudej kury mój zielonoszary tom Owidiusza; targowałem się z bileterką w kinie o wiersz Hölderlina, który wydarła z mego podręcznika literatury, ponieważ tak bardzo jej się podobał:
Nieugięte jest wieczyste serce, nawet gdy współczuje.

Pani Trischler przyniosła kolację: mleko, jajko, chleb, jabłko; jej ręce stały się młode, kiedy przemywała mi winem poszarpane plecy, ból wybuchał płomieniem, gdy wyciskała gąbkę, a wino spływało ranami. Potem załała je oliwą, a ja ją spytałem: „Skąd pani wiedziała, że tak się opatruje rany?”.

„To można wyczytać z Biblii - powiedziała - i tak samo opatrywałam już raz twego przyjaciela Schrellę! Alojzy przyplynie pojutrze, a w niedzielę wyruszy z Ruhrort do Rotterdamu. Bądź spokojny, już oni sobie z tym dadzą radę. Na rzece ludzie znają się, jakby mieszkali na tej samej

ulicy. Chcesz jeszcze trochę mleka, chłopcze?”.

„Nie, dziękuję”.

„Bądź spokojny. W poniedziałek albo we wtorek znajdziesz się w Rotterdamie. Co się stało, co ci jest?”.

Nic. Nic. Wciąż jeszcze nadawano list gończy: czerwona blizna u nasady nosa. Ojciec, matka, Edyta - nie chciałem obliczać różniczek tkliwości, nie chciałem odmawiać litanii bólu; rzeka była pogodna, pogodne były białe statki spacerowe z barwnymi chorągiewkami, a także frachtowce, czerwone, zielone, niebieskie, przewożące węgiel stąd tam, stamtąd tu; na brzegu zielona aleja, śnieżnobiałe tarasy kawiarni „Bellevue”, za nimi wieża katedry św. Seweiny, ostra, czerwona smuga światła koło hotelu „Książę Henryk”, o sto kroków od domu moich rodziców; właśnie wszyscy siedzą przy kolacji, przy sutym posiłku, któremu ojciec prezyduje jak patriarcha: sobota, obchodzona uroczyście jak sabat; czy czerwone wino nie jest za zimne, a białe dość zimne?

„Nie chcesz mleka, chłopcze?”.

„Nie, dziękuję pani, naprawdę nie”.

Gońcy na motocyklach pędzili przez miasta z obwieszczeniami w czerwonych obwódkach, od słupa do słupa: „Egzekucja! Uczeń Robert Fähmel...”. Ojciec odmówił modlitwę przed kolacją: „...któryś za nas został ubiczowali”, matka nakreśliła pokornie znak krzyża na piersi, zanim wyrzekła: „Świat jest zły, tak mało na nim czystych serc”, a trzewiki Ottona wybijały jeszcze rytm: brat, brat, na posadzce, na kamiennych płytach, na chodniku ulicy w dół, aż do Bramy Modesta.

To „Stilte” buczała na rzece, wysokie tony rozdzierały wieczorne niebo, białymi błyskawicami ryły bruzdy w ciemnym granicie. Leżałem na płótnie żaglowym jak człowiek, który zmarł na pełnym morzu i ma być mu oddany; Alojzy podniósł już płótno, aby mnie zawinąć; widziałem wyraźny biały napis, utkany na szarym tle: „Morrien. Ijmuiden”. Pani Trischler pochylała się z płaczem nade mną, pocałowała mnie, a Alojzy zaczął powoli związać płótno, jak gdyby moje zwłoki były szczególnie cenne; przerzucił mnie sobie przez ramię.

„Synku - wołał stary - synku, nie zapomnij o nas!”.

Wieczorna bryza, jeszcze raz zahuczała „Stilte” z łagodnym

upomnieniem, w zagrodzie beczały owce, a lodziarz wykrzykiwał: „Lody, lody!”, potem umilkł - pewno nakładał śmietankowe lody między dwa kruche wafelki. Pomost, przez który niośł mnie Alojzy, ugiął się lekko, a czyjś cichy głos zapytał: „To on?”. I Alojzy odpowiedział równie cicho: „Tak, to on”. Na pożegnanie szepnął mi: „Myśl sobie o tym, że we wtorek wieczorem będziemy w Rotterdamie”. Inne ramiona poniosły mnie po schodach w dół, pachniało tu smarami, węglem, potem, drewnem, z dala dochodził przeciągły głos syreny, „Stilte” drgnęła, narastało głuche dudnienie, poczułem, że płyniemy, płyniemy w dół Renu i coraz bardziej oddalamy się od św. Seweryna.

Cień katedry św. Seweryna przesunął się bliżej, wypełnił lewe okno sali bilardowej, muskał już prawe; czas, który słońce pchało przed sobą, nadszedł jak groźba, wypełnił duży zegar, który wkrótce będzie go musiał zrzucić i wydać z siebie straszliwe dźwięki; białe na tle zieleni, czerwone na tle zieleni, toczą się kule; lata przecięte na pół, lata spiętrzone jedne na drugich i sekundy, sekundy podobne wieczności, podawane spokojnym głosem. Byle nie musiał teraz biec znów po koniak, byle nie musiał stanąć oko w oko z zegarem ani z kapłanką owiec, ani z owym *coś-podobnego-nie-powinno-się-było-urodzić*; byle mógł jeszcze raz usłyszeć nakaz *Paś baranki moje*, usłyszeć o kobiecie, która leżała na trawie skropionej letnim deszczem; zakotwiczone barki, kobiety idące po kładkach i piłka podbita przez Roberta, Roberta, który nigdy nie zakosztował *sakramentu byka*, który w milczeniu grał, wydobywając swoim kijem wciąż nowe figury na powierzchni dwóch metrów kwadratowych.

- A ty, Hugo - spytał przyciszonym głosem - nic mi dzisiaj nie opowiesz?

- Nie wiem, jak długo to trwało, ale wydaje mi się, że całą wieczność: zawsze po lekcjach bili mnie. Czasem czekałem, póki się nie upewniłem, że wszyscy już poszli na obiad, a kobieta, która przychodziła sprzątać szkołę, spotykała mnie na dole w korytarzu i pytała: „Co tu robisz, chłopcze? Matka z pewnością czeka na ciebie”.

Ale ja się bałem, czekałem, aż kobieta wyjdzie i zamknie mnie w szkole; nie zawsze mi się to udawało, przeważnie wyrzucała mnie przed

odejściem, ale jeśli mi się udało, jeśli mnie zamknęła w szkole, byłem szczęśliwy. Jedzenia miałem dosyć - znajdowałem je w pulpitych i kublach, które sprzątaczką ustawiała w sieni na dole do wywiezienia - chleb z mięsem, jabłka, resztki ciasta. Zostawałem więc sam w szkole i nie mogli mi już nic zrobić. Siedziałem skulony w szatni nauczycielskiej, za drzwiami do piwnicy, bałem się, że zajrzą przez okno i dostrzegą mnie. Ale dużo czasu upłynęło, zanim wykryli, że chowam się przed nimi w szkole. Często czekałem godzinami, dopiero gdy wieczór zapadł, mogłem otworzyć okno i wydostać się przez nie na zewnątrz. Wyglądałem na opustoszały dziedziniec szkolny; czy może być coś bardziej opustoszałego niż taki dziedziniec szkolny późnym popołudniem? To były wspaniałe czasy, zanim się domyślili, że dają się zamknąć w szkole. Siedziałem skulony w szatni nauczycielskiej lub pod parapetem okiennym i czekałem na coś, co znałem tylko z nazwy: na nienawiść. Tak bardzo chciałem ich nienawidzić, ale nie umiałem, panie doktorze. Czułem tylko strach. Niekiedy czekałem tylko do trzeciej lub czwartej, myślałem, że wszyscy już poszli, że będę mógł szybko przebiec przez ulicę koło stajni Meida i okrążywszy cmentarz dostać się do domu, zamknąć się w nim. Ale oni zmieniali się, szli kolejno na obiad - bo nie chcieli przecież rezygnować z jedzenia - i kiedy biegli ku mnie, z daleka już czułem, co jedli: ziemniaki z sosem, pieczeń czy boczek z kapustą. I kiedy mnie bili, myślałem: po co Chrystus umarł, co mi po Jego śmierci, co mi po tym, że oni modlą się co dzień, a co niedziela przystępują do Komunii i wieszają w swoich kuchniach wielkie krucyfiksy nad stołami, przy których jedzą swoje ziemniaki z sosem, pieczeń lub boczek z kapustą? Nic mi po tym. Cóż to ma za znaczenie, skoro co dzień czatują na mnie i biją? Od pięćuset czy sześciuset lat - byli nawet dumni, że mają taki stary Kościół - może nawet od tysiąca lat grzebali przodków na cmentarzu, od tysiąca lat modlili się pod krucyfiksem i zajadali ziemniaki z sosem i boczek z kapustą. I po co? A wie pan, co wykrzykiwali bijąc mnie? *Baranek boży*. Takie mi dali przezwisko.

Czerwień na tle zieleni, biel na tle zieleni, nowe figury wyłaniały się jak znaki; szybko pierzchały, nic z nich nie pozostawało; muzyka bez melodii, malowidła bez obrazu; tylko liczne czworoboki, prostokąty,

romby, kule dźwięczały, odbijając się od czarnej bandy.

- Potem spróbowałem innego sposobu: zamykałem drzwi domu, przesuwałem pod nie meble, piętrzyłem na nich wszystko, co mi wpadło pod rękę. Skrzynki, rupiecie i materace. Wtedy zaalarmowali policję i policjanci przyszli po wagarującego ucznia; obstawili dom, krzyczeli: „Wyłaż, ty nicponiu!”, ale ja nie wyszedłem. Wyłamali drzwi, odsunęli meble i wywlekli mnie, zaprowadzili do szkoły, żeby mnie dalej bito, wywracano do rynsztoka, przezywano *barankiem bożym*; On powiedział: *Paś baranki moje*, ale oni nie paśli swoich baranków, jeśli to w ogóle były *ich* baranki. Wszystko na próżno, panie doktorze, na próżno wiatr wieje, na próżno pada śnieg, na próżno kwitną drzewa i opadają liście - oni zajadają swoje ziemniaki z sosem albo boczek z kapustą.

Czasem nawet matka siedziała w domu, pijana i brudna, czuć od niej było śmiercią, wyziewami rozkładu, wykrzykiwała: *po-co-po-co-po-co*, wykrzykiwała to częściej niż wszystkie *zmiłuj się nad nami* we wszystkich istniejących litaniach; ten jej godzinami trwający krzyk *po-co-po-co* doprowadzał mnie do obłędu, uciekałem z domu, biegłem wśród deszczu, głodny, zmoknięty *baranek boży*, glina przywierała mi do butów, do ciała, cały byłem oblepiony mokrą gliną, kulilem się na polach buraczanych, ale wołałem leżeć w grząskich brudach, wołałem moknąć na deszczu, niż słuchać tego strasznego *po co*. Ktoś się kiedyś nade mną zlitował, odprowadził mnie z powrotem do domu, do szkoły, do tej dziury noszącej nazwę Denklingen. A oni znowu mnie bili, przezywali *barankiem bożym*, matka znowu odmawiała swoją nie kończącą się, straszliwą litanię: *po co*, i znowu uciekłem, i znów ktoś się nade mną zlitował, ale tym razem umieszczono mnie w przytułku. Tam mnie w ogóle nie znali, żadne dziecko i nikt z dorosłych, ale po niecałych dwóch dniach pobytu w przytułku i tam zaczęto mnie przezywać *barankiem bożym*, a ja bałem się, choć mnie nie bili; śmieli się tylko ze mnie, bo tak wielu słów nie znałem. Nie znałem słowa: śniadanie, wiedziałem tylko, co znaczy: jeść, kiedykolwiek, jeśli było coś do jedzenia lub jeśli coś znalazłem. Ale kiedy przeczytałem wypisane na tablicy: „Śniadanie: 30 gramów masła, 200 gramów chleba, 50 gramów marmolady, kawa z mlekiem”, zapytałem jednego z chłopców: „Co to znaczy śniadanie?”. A

wtedy wszyscy mnie otoczyli, przyszli także dorośli, śmieli się i pytali: „Nie wiesz, co znaczy śniadanie, nigdy nie jadłeś śniadania?”. „Nie” - odparłem. Wtedy jeden z dorosłych powiedział: „A w Biblii nigdy nie napotkałeś na słowo: śniadanie?”. A tamten dorosły spytał tego pierwszego: „Czy pan jest taki pewien, że w Biblii można napotkać słowo: śniadanie?”. „No, nie - odpowiedział - ale gdzieś, w jakiejś czytance albo w domu, musiał przecież usłyszeć to słowo, przecież on ma już prawie trzynaście lat, to gorzej niż u dzikich ludzi. Teraz dopiero można zdać sobie sprawę z rozmiarów upadku naszej mowy”. Nie wiedziałem także, że niedawno była wojna, i oni pytali mnie, czy nigdy nie byłem na cmentarzu, gdzie na nagrobkach wypisane było słowo: „Padł”. A ja powiedziałem, że owszem, widziałem takie napisy. A co sobie przy tym wyobrażałem? Powiedziałem: „Wyobrażałem sobie, że ci, którzy tam są pochowani, padli, ponieważ byli martwi”. Wtedy oni zaczęli się śmiać jeszcze bardziej niż przedtem, kiedy mnie pytali o śniadanie, i potem uczyli nas historii od najdawniejszych czasów, ale wkrótce skończyłem czternaście lat, panie doktorze, i dyrektor hotelu przyszedł do naszego przytułku, i my, ci, co mieli już trzynaście lat, musieliśmy się ustawić w szeregu na korytarzu, przed pokojem kierownika, i kierownik wyszedł do nas z dyrektorem hotelu. Obaj szli wzdłuż szeregu, zaglądali nam w oczy i mówili jedno i to samo: „Szukamy chłopców, nadających się do służby”, ale wybrali tylko mnie. Musiałem zaraz spakować rzeczy w tekturowe pudło i przyjechałem tu z dyrektorem, a on powiedział do mnie w samochodzie: „Mam nadzieję, że nigdy nie dowiesz się, ile warta jest twoja twarz. Przecież z ciebie prawdziwy *baranek boży*”. A ja się zacząłem bać, panie doktorze, i ciągle się jeszcze boję, i ciągle czekam, że mnie będą bili.

- Biją cię?

- Nie, nigdy. Tylko tak bardzo chciałem się dowiedzieć, co to była wojna, bo przecież przerwałem naukę, zanim mi to wyjaśnili. Czy pan wie, co to wojna?

- Tak.

- Był pan na wojnie?

- Tak.

- Co pan robił?
- Byłem specjalistą od wysadzania w powietrze, Hugo. Czy to ci coś mówi?
- Tak, widziałem, jak rozsadzali kamieniołomy w Denklingen.
- Ja robiłem właśnie to samo, Hugo, tylko że nie wysadzałem skał, lecz domy i kościoły. Nie opowiadałem o tym nikomu oprócz mojej żony, ale ona od dawna nie żyje, więc teraz nie wie o tym nikt poza tobą, ani moi rodzice, ani moje dzieci. Wiesz, że jestem architektem i właściwie powinienem budować domy, ale nigdy ich nie budowałem, tylko wysadzałem wiele domów, a także wiele kościołów, które będąc chłopcem rysowałem na delikatnym papierze rysunkowym, ponieważ marzyłem o tym, by je budować; ale nigdy ich nie budowałem. Kiedy stałem się do wojska, znaleźli w moich dokumentach adnotację, że napisałem pracę doktorską na temat pewnego zagadnienia statyki. Widzisz, statyka to taka nauka o równowadze sił, nauka o stosunku naprężeń i równowadze elementów nośnych znajdujących się pod działaniem pewnych sił; bez statyki nie można zbudować nawet chaty murzyńskiej, a przeciwieństwem statyki jest dynamika, której nazwa przypomina dynamit używany do wysadzania w powietrze i ma z nim coś wspólnego. Przez całą wojnę miałem do czynienia tylko z dynamitem. Znałem się coś niecoś na statyce, Hugo, i znałem się coś niecoś na dynamice, znałem się dobrze na dynamicy, połączyłem wszystkie książki na ten temat. Jeśli chce się coś wysadzić w powietrze, trzeba tylko wiedzieć, gdzie umieścić ładunek i jaką powinien mieć siłę wybuchu. Ja to wiedziałem, chłopcze, więc wysadzałem w powietrze, wysadzałem mosty i bloki mieszkalne, kościoły i wiadukty kolejowe, wille i skrzyżowania szos, dostawałem za to ordery i awanse: z podporucznika na porucznika, z porucznika na kapitana, dano mi także dodatkowy urlop i pochwałę, ponieważ tak dobrze wiedziałem, jak wysadzać w powietrze. A pod koniec wojny podlegałem pewnemu generałowi, któremu utkwiły w głowie tylko dwa słowa: pole ostrzału. Wiesz, co to znaczy pole ostrzału? Nie wiesz?

Fahmel podniósł kij bilardowy jak karabin na wysokość ramienia i wycelował w kierunku wieży katedry św. Seweryna.

-Widzisz - tłumaczył - jeśli bym teraz chciał trafić w most za św.

Sewerynem, to kościół znajdowałby się w polu ostrzału i trzeba by go wysadzić w powietrze, szybko, natychmiast, żebym mógł strzelać w most. I mówię ci, Hugo, byłbym wysadził w powietrze katedrę św. Seweryna, choć wiedziałem, że mój generał jest obłąkany, i choć wiedziałem, że pole ostrzału to czysta bzdura. Bo, rozumiesz, z góry nie potrzeba mieć żadnego pola ostrzału i ostatecznie nawet najbardziej naiwny generał musiał wiedzieć, że tymczasem wynaleziono samoloty. Ale mój generał był obłąkany i umiał powtarzać tylko jedno w kółko: pole ostrzału, a ja mu je przygotowywałem. Miałem pierwszorzędnych ludzi do dyspozycji - fizyków i architektów - i wysadzaliśmy w powietrze wszystko, co nam weszło w drogę. Ostatni obiekt był szczególnie wielki, potężny, cały zespół ogromnych solidnych budynków: kościół, stajnie, cele zakonne, budynek administracji, folwark, całe opactwo. Znalazł się akurat między dwiema armiami - niemiecką i amerykańską. Więc odsłoniłem armii niemieckiej pole ostrzału, którego wcale nie potrzebowała. Mury kłękały przede mną, na folwarku bydło ryczało w oborach, a zakonnicy mnie przeklinali. Ale nic mnie nie mogło powstrzymać, wysadziłem w powietrze całe opactwo św. Antoniego w dolinie Kissy, wysadziłem je na trzy dni przed zakończeniem wojny. Wzorowo, jak zawsze wzorowo, znasz mnie, chłopcze.

Opuścił kij, którym wciąż jeszcze mierzył w urojony cel, ułożył go znów na zgiętych palcach lewej ręki, pchnął kulę bilardową; biel potoczyła się po zieleni, ostrym zygzakiem odbiła się o czarną bandę raz i drugi.

Dzwony katedry św. Seweryna głucho wyrzuciły z siebie czas, ale kiedy, *kiedy* wybiją jedenastą?

- Zobacz no, chłopcze, co to za hałas za drzwiami? Jeszcze raz pchnął kulę: czerwień potoczyła się po zieleni. Począł, aż się kule zatrzymają, odłożył kij.

- Dyrektor prosi, żeby pan przyjął jakiegoś doktora Nettlingera.

- Czy przyjąłbyś kogoś, kto nosi nazwisko Nettlinger?

- Nie.

- Pokaż mi, którędy mógłbym się stąd wydostać inaczej.

- Może pan przejść przez jadalnię, panie doktorze, i wyjść na ulicę

Modesta.

- Do widzenia, Hugo, do jutra.
- Do widzenia, panie doktorze.

Balet kelnerów, balet chłopców hotelowych: nakrywali do obiadu, przesuwali stolik na kółkach od stołu do stołu, w ściśle ustalonej kolejności, układali srebro, zmieniali wazoniki z kwiatami; białe goździki w smukłych flakonach ustąpiły miejsca skromnym fiołkom w pękających wazonikach; zdejmowali szklane miseczki z marmoladą, ustawiali kieliszki do wina, niskie do czerwonego, wysokie do białego; z jednym jedynym wyjątkiem: karafka z mlekiem dla owczej kapłanki; mleko w kryształowej karafce miało szarawy odcień.

Fahmel przemknął lekkim krokiem między rzędami stolików, odsunął fioletową zasłonę, zszedł schodami na dół i stanął naprzeciw wieży katedry św. Seweryna.

Rozdział czwarty

Odgłos kroków Leonory uspokajał go; ostrożnie krzątała się po pracowni, otwierała szafy, unosiła wieka skrzyń, rozplątywała sznurki, którymi owiazane były paczki, rozwijała plany; rzadko wyrwała go z zadumy podchodząc do okna. Tylko wtedy, kiedy na jakimś dokumencie brak było daty lub kiedy rysunek nie był podpisany. Stary Fahmel zawsze lubił porządek i nigdy go nie utrzymywał. Leonora robi to za niego; na podłodze obszernej pracowni piętrzyła w stosy, według lat, rysunki, listy i obliczenia. I dziś, jak przed pięćdziesięciu laty, podłoga dygotała od dudnienia maszyn drukarskich. Tysiąc dziewięćset siódmy, ósmy, dziewiąty, dziesiąty. Już widać było po ułożonych przez Leonorę stosach, że z biegiem lat rosna; tysiąc dziewięćset dziewiąty był wyższy od tysiąc dziewięćset ósmego, dziesiąty od dziewiątego. Leonora wyprowadzi krzywą jego pracy; jest zaprawiona do skrupulatności.

- Słucham - powiedział - może mi pani przeszkadzać, ile razy pani zechce. To? To jest szpital w Weidenhammer; zbudowałem go w roku 1924, we wrześniu odbyło się poświęcenie.

I Leonora na marginesie planu napisała swoim czytelnym pismem: 1924-IX.

Lata wojenne, od tysiąc dziewięćset czternastego do osiemnastego,

utworzyły skąpe stosiki; trzy czy cztery projekty; willa podmiejska dla generała, pawilon myśliwski dla burmistrza, kaplica pod wezwaniem św. Sebastiana dla bractwa kurkowego. Urlopowe zlecenia, honorarium płacone drogocennymi dniami; aby móc odwiedzić dzieci, bezpłatnie budował zamki generałom.

- Nie, Leonoro, to było w roku 1935. Klasztor franciszkanek. Nowoczesny? Ależ tak, budowałem także nowoczesne gmachy.

Framuga dużego okna pracowni zawsze wydawała mu się ramą, którą wypełniały coraz to inne obrazy: zmieniał się koloryt nieba, drzewa na podwórkach szarzały, stały się czarne, potem zielone; kwiaty zdobiące tarasy na dachach domów kwitły i przekwitały. Dzieci bawiły się na pokrytych blachą dachach, dorastały, stały się rodzicami, ich rodzice, dziadkami; i znów inne dzieci bawiły się na tarasach; nie zmieniał się tylko profil linii dachów, pozostawał most i góry, widoczne na horyzoncie w pogodne dni - dopóki druga wojna nie zmieniła linii dachów, nie zrobiła w nich wyrw, przez które widać było w pogodne dni srebrzysty, w pochmurne szary Ren i obrotowy most w Starym Porcie; wyrwy dawno już zapełniono, dzieci bawiły się znów na pokrytych blachą dachach, po przeciwnej stronie ulicy, na tarasie Kilbów, jego wnuczka chodziła z podręcznikiem w ręku tam i z powrotem, tak jak przed pięćdziesięciu laty chodziła tam i z powrotem jego żona - czy może to nie Joanna czytywała tam w słoneczne popołudnia *Intrygę i miłość*?

Zadzwoił telefon. Jak to miło, że Leonora podniosła słuchawkę, że jej głos odpowiedział nieznanemu rozmówcy.

- Kawiarnia Kronera? Zapytam pana radcę.

- Ile osób oczekuję wieczorem? Na urodzinowej kolacji? Czy wystarczy palców u jednej ręki, aby policzyć zaproszonych? Dwoje wnuków, syn, ja - i pani. Zrobi mi pani tę przyjemność?

A więc pięć osób. Wystarczyło palców u jednej ręki.

- Nie, bez szampana. „Wszystko tak, jak omówiliśmy. Dziękuję pani, Leonoro.

Pewno uważa mnie za wariata, ale jeśli jestem wariatem, to byłem nim zawsze; wszystko przewidywałem z góry, wiedziałem dokładnie,

czego chcę, i wiedziałem, że to osiągnę; tylko jednego nie wiedziałem i nie wiem do dziś: po co to robiłem? Dla pieniędzy, dla sławy czy też tylko dlatego, że mi to sprawiało przyjemność? Czego pragnąłem wtedy, owego piątkowego ranka, 6 WTześnia 1907 roku, kiedy przed pięćdziesięciu jeden laty wychodziłem z dworca? Obmyśliłem sposób postępowania, ruchy, od chwili kiedy zrobiłem pierwszy krok w tym mieście, ułożyłem skomplikowaną figurę choreograficzną, w[?] której miałem być solistą i baletmistrem v jednej osobie; bezpłatni statyści i dekoracje czekały na mnie.

Miałem tylko dziesięć minut do zrobienia pierwszego kroku w tym tańcu; tyle tylko, by przejść przez plac przed dworcem, minąć hotel „Książę Henryk”, przeciąć ulicę Modesta i wejść do kawiarni Kronera. Przekroczyłem próg miasta w dniu, w którym ukończyłem dwadzieścia dziewięć lat. Był wrześniów}; ' poranek. Dorożkarskie szkapysy czuwały nad swymi drzemiącymi panami; chłopcy w[^] fioletowej liberii hotelu „Książę Henryk” dźwigali walizy gości na dworzec; właśnie podnoszono dostojne kraty banków, z łoskotem świadczącym o ich solidności związały się w służących do tego celu bębnoch; gołębie; sprzedawcy gazet; ułani; cały szwadron przejeżdżał właśnie przed hotelem „Książę Henryk”, rotmistrz pozdrowił ruchem ręki kobietę w czerwonym kapeluszu; stała na balkonie z twarzą osłoniętą welonem, ręką posłała od ust pocałunek rotmistrzowi; stuk podków" na wybrukowanej jezdni; proporzycy w porannym wietrze; dźwięki organów z otwartych drzwi katedry św. Seweryna.

Byłem podniecony, wyciągnąłem z kieszeni plan miasta, rozłożyłem go i przyjrzałem się półkolu, zakreślonym czerwonym ołówkiem wokół dworca; pięć czarnych krzyżyków wyznaczało katedrę i cztery kościoły; podniosłem wzrok, odnalazłem w porannej mgłę cztery wieże; piątej, wieży katedry św. Seweryna, nie potrzebowałem szukać - wznosiła się tuż przede mną; ogromny cień, jaki rzucała, przejął mnie lekkim dreszczem; spuściłem oczy na plan: wszystko się zgadzało; żółty krzyżyk oznaczał dom, w którym za półroczny czynsz z góry wynająłem pokój i pracownię; ulica Modesta 7, między katedrą św. Seweryna i Bramą Modesta. To musiało być tam, na prawo, w miejscu, gdzie

właśnie grupka kleryków przechodziła na drugą stronę ulicy. Promień półkola, które zakreśliłem wokół dworca, miał kilometr. W obrębie tego czerwonego półkola mieszkała kobieta, którą miałem poślubić. Nie znałem jej, nie wiedziałem, jak się nazywa, wiedziałem tylko, że wezmę ją z jednej z patrycjuszowskich rodzin,

0 których opowiadał mi ojciec. Ojciec odbywał tu trzyletnią służbę w pułku ułanów i powrócił z nienawiścią w sercu, nienawiścią do koni i do oficerów, którą szanowałem, choć jej nie dzieliłem. Rad byłem, że ojciec nie dożył chwili, kiedy

1 ja zostałem oficerem: podporucznikiem saperów w rezerwie. Śmiałem się, wciąż się śmiałem tego ranka, przed pięćdziesięciu laty. Wiedziałem, że wezmę sobie żonę z jednego z tych domów, że będzie ona nosiła nazwisko Brodem albo Cusenius, Kilb albo Ferve. Powinna była mieć dwadzieścia lat i teraz, właśnie teraz, w tej chwili, wracała po mszy do domu. Zostawiała modlitewnik w przedpokoju i zjawiała się we właściwym momencie, aby podać ojcu czoło do ucałowania, zanim jego huczący bas zacznie się oddalać w kierunku kantoru. Zjadała na śniadanie kawałek chleba z miodem, wypijała filizankę kawy. „Nie, nie, mam, mam, dziękuję za jajko”

- i odczytywała matce terminy balów. Czy będzie mogła pójść na bal akademicki? Owszem, będzie mogła.

Najpóźniej na balu akademickim, 6 stycznia, będę wiedział, którą z nich chcę wziąć za żonę, będę z nią tańczył; chciałem być dla niej dobry, kochać ją, a ona miała mi rodzić dzieci, pięcioro, sześcioro, siedmioro; dzieci będą się żenić, wychodzić za mąż, obdarzą mnie wnukami, pięć, sześć, siedem razy po siedmioro - i nasłuchując oddalającego się tętentu koni widziałem gromadę wnucząt, widziałem siebie jako osiemdziesięcioletniego patriarchę, panującego nad założonym przez siebie rodem: urodziny, pogrzeby, srebrne i złote wesela, chrzciny, niemowlęta składane na moich rękach, prawnuki; będę je kochał, tak jak moje młode ładne synowe, które będę zapraszał na śniadania, obdarowywał kwiatami i słodyczami, wodą kolońską i obrazami. Stojąc tam, wiedziałem o tym wszystkim, gotów byłem rozpocząć ten taniec.

Spoglądałem za posłańcem, wiozącym mój багаж do domu przy ulicy Modesta 7: zamykany kosz z bielizną i rysunkami, małą skórzaną walizkę z papierami, dokumentami i pieniędzmi. Czteryście złotych monet, czysty zarobek po dwunastu latach pracy, spędzonych w szopach wiejskich przedsiębiorców budowlanych, w biurach podrzędnych architektów; rysowałem, projektowałem, budowałem osiedla robotnicze, budynki przemysłowe, kościoły, szkoły, domy związkowe; przeorywałem kosztorysy, przedzierałem się przez dziwaczny język poszczególnych pozycji - „a boazerie w zakrystii winny być wykonane z najlepszego drewna orzechowego bez sęków, listwy zaś dobrane z najodpowiedniejszego materiału”.

Wiem, że stojąc tam śmiałem się, ale do dziś nie wiem, z czego lub dla czego; jedno wiem na pewno: że śmiech mój nie wypływał tylko z radości. Była w nim drwina, szyderstwo, może złośliwość, ale nigdy nie wiedziałem, ile każdego z tych składników zawierał mój śmiech. Myślałem o twardych ławkach, na których siadywałem wieczorami na kursach dokształcających: arytmetyka, matematyka i rysunki; nauka rzemiosła; tańce i pływanie; jako podporucznik rezerwy ósmego batalionu w Koblencji siadywałem wieczorami na cyplu Deutsches Eck, a wody Renu i Mozeli wydawały mi się równie cuchnące; mieszkałem kolejno w dwudziestu trzech pokojach sublokatorskich; uwodziłem córki gospodarzy i one mnie uwodziły; boso przekradałem się przez prześiąknięte mdłym zapachem korytarze, aby przyjmować i dawać pieśczoły, także te najdalej posunięte, które zawsze okazywały się fałszywą monetą; woda lawendowa i rozpuszczone włosy; w strasznych bawialniach, gdzie na zielonkawych szklanych paterach psuły się owoce, których nigdy nie wolno było tknąć, padały twarde słowa: lajdak, cześć, niewinność, i nie pachniało już lawendą; ze zgrozą odczytywałem przyszłość nie z twarzy zbezczeszczonych córek, lecz z twarzy matek, na których wypisane było to, co by mnie czekało. Nie byłem lajdakiem, żadnej z nich nie obiecywałem małżeństwa i nie chciałem spędzić życia w bawialniach, gdzie na zielonkawych szklanych paterach psuły się owoce, których nie wolno było tknąć.

Po powrocie z kursów wieczorowych w dalszym ciągu rysowałem,

liczyłem i rysowałem, od wpół do dziewiątej do dwunastej: anioły i drzewa, chmury, kościoły i kaplice; w stylu gotyckim, romańskim, barokowym, rokokowym i biedermeierowskim - i, ależ owszem, także nowoczesnym: długowłose niewiasty, których uduchowione twarze unosiły się ponad drzwiami domu, a rozpuszczone sploty opadały z obu stron wejścia jak zasłony; dokładnie nad środkiem drzwi wypadał równy przedziałek; owszem. W te pracowite wieczory spragnione miłości córki gospodarzy przynosiły mi słabą herbatę albo słabą lemoniadę, prowokowały mnie do pieszczot, które im się wydawały śmiałe; a ja rysowałem dalej, przede wszystkim szczegóły, bo wiedziałem, że oni - kim byli ci „oni”?

- najłatwiej dają się przekupić szczegółami; rysowałem więc klamki, ozdobne kraty, baranki boże, pelikany, kotwice i krzyże, po których na próżno wspinały się syczące węże.

Pozostał mi również w pamięci trik, stosowany o wiele za często przez mego ostatniego szefa, Domgreve'a: w decydującym momencie upuszczał różaniec. Kiedy podczas oględzin pobożni chłopi z dumą pokazywali plac przeznaczony pod budowę kościoła albo kiedy zacni nieśmiali członkowie zarządu gminy kościelnej w tylnej salce małomiasteczkowej gospody wyjawiali zamiar wzniesienia nowej świątyni, należało wraz z drobnymi, zegarkiem lub obcinaczem do cygar wyciągnąć z kieszeni różaniec, upuścić go na ziemię i podnieść z zakłopotaniem. Nigdy mnie to nie śmieszyło.

- Nie, Leonoro, duże O na teczkach, rulonach z planami i kosztorysach nie oznacza oferty, lecz opactwo. Opactwo św. Antoniego.

Delikatnymi rękami, cicho stąpając, wprowadzała ład, który stary Fahmel bardzo lubił, ale którego nigdy nie potrafił utrzymać. Za dużo było wszystkiego, za dużo zleceń, za dużo pieniędzy.

Jeśli jestem obłąkany, to byłem nim już wtedy, kiedy stojąc na placu przed dworcem upewniałem się, czy mam w kieszeniach drobne pieniądze, mały szkicownik, zieloną pochewkę z ołówkami, czy nie przekrzywił się mój aksamitny krawat; kiedy dotykałem brzegu czarnego kapelusza z dużym rondem i przesuwałem ręce niżej, po ubraniu, jedynym przyzwoitym ubraniu, jakie posiadałem, odziedziczonym po

wuju Marsilu, nauczycielu, który zmarł młodo na gruźlicę. Mchem już porósł nagrobek w Mees, gdzie dwudziestoletni nauczyciel wywijał ongi pałeczką dyrygencką na chórze kościółka, gdzie w szkole wbijał regułę trzech w głowy chłopskich dzieci; gdzie wieczorami, o zmierzchu, chodził na spacer dróżką koło bagniska, marząc o dziewczęcych ustach, o chlebie, winie i sławie, którą miały mu przynieść udane wiersze; marzenia śnione przez dwa lata, od chwili kiedy krwotok załał je i uniósł ku ciemnemu brzegowi; pozostał zeszyt z wierszami, czarne ubranie przeznaczone w spadku dla chrześniaka, dwie złote monety i na zielonej firance w klasie szkolnej plama krwi, której żona jego następcy nie mogła wywabić; piosenka, śpiewana dziecinnymi ustami nad grobem głodnego nauczyciela: „Wieże, powiedzcie, gdzie odleciała jaskółka?”⁵⁵.

Jeszcze raz obejrzałem się na dworzec, jeszcze raz rzuciłem wzrokiem na plakat umieszczony nad budką biletera, tak aby go musieli zauważyć nadjeżdżający rekruci: „Poborowym polecamy od dawna powszechnie używaną bieliznę systemu profesora Gustawa Jagera, oryginalne koszulki «Pallas», opatentowane we wszystkich cywilizowanych krajach, oraz oryginalne reformy systemu dra Lahmanna”. Nadeszła chwila rozpoczęcia tańca.

Przeziąłem szyny tramwajowe, mijając hotel „Książę Henryk”⁵⁵ wszedłem w ulicę Modesta i zawahałem się chwilę, zanim przestąpiłem próg kawiarni Kronera. Oszklone drzwi, od wewnątrz zasłonięte zielonym jedwabiem, odbijały mój obraz: byłem drobny, niemal mały, coś pośredniego między młodym rabinem i artystą z cyganerii, ciemnowłosy, ubrany na czarno, z owym nieokreślonym piętnem wiejskiego pochodzenia. Roześmiałem się raz jeszcze i wszedłem. Właśnie kelnerzy w zielonych fartuchach, czarnych kamizelkach, w białych koszulach z białymi krawatami zaczynali ustawiać na stolikach wazoniki z białymi goździkami. Dwie młode dziewczyny - jedna różowa, blondynka, druga blada, brunetka - układały w bufecie ciastka, piętrzyły stopy biszkoptów, odświeżały ozdoby z kremu, tarły do połysku srebrne łopatkami do ciastek. Gości nie było, a czystość panowała wszędzie jak w szpitalu przed inspekcją naczelnego lekarza; balet kelnerów, między którym przesunąłem się

lekkim krokiem jak solista, statyści i dekoracje, wszystko czekało na mnie; tresura była znakomita i podobało mi się, jak trzej kelnerzy szli od stolika do stolika, wykonując ściśle odmierzone ruchy: solniczka, wazonik, lekkie przesunięcie karty, która widocznie powinna była leżeć pod określonym kątem do solniczki; popielniczka, śnieżnobiała porcelana ze złożonym brzeżkiem; dobrze; to mi się podobało; byłem mile zaskoczony; nareszcie prawdziwe miasto, w żadnej z dziur, w których dotychczas tkwiłem, nie widziałem czegoś podobnego.

Skierowałem się ku lewemu rogowi w końcu sali, rzuciłem na krzesło kapelusz, obok niego szkicownik i pochewkę z ołówkami, usiadłem; kelnerzy wracali teraz z kuchni, bezszelestnie popychali przed sobą stoliki na kółkach, rozstawiali buteleczki z przyprawami, zawieszali gazety na kijkach. Otworzyłem szkicownik, przeczytałem - po raz który? - wycinek gazety, przyklejony do wewnętrznej strony okładki: „Konkurs otwarty na budowę opactwa benedyktynów w dolinie rzeki Kissy, między wioskami Stehlingers Grotte i Görlinger Stuhl, w odległości około dwóch kilometrów od wsi Kisslingen. W konkursie może wziąć udział każdy architekt, który czuje się do tego powołany. Warunki konkursu otrzymać można po wpłaceniu 50 (pięćdziesięciu) marek w kancelarii notarialnej dra Kilba, ulica Modesta 8. Ostateczny termin nadsyłania projektów: poniedziałek, 30 września 1907 roku, godz. 12 w południe”.

Krążyłem już między usypiskami zaprawy murarskiej, pryzmami nowiutkich cegieł, badałem ich stopień wypalenia, mijałem całe góry odłamów bazaltu, wybranych przeze mnie na framugi drzwi i okien; miałem obłocone nogawki spodni, plamy wapna na marynarce; w szopach przedsiębiorstwa budowlanego padały ostre słowa. Czy kamieni do mozaiki nad głównym wejściem, mającej przedstawiać baranka bożego, wciąż jeszcze nie dostarczono? Wybuch gniewu, skandal; kredyty zamknięte i znów upłynnione; majstrowie stoją w czwartek po południu w kolejce przed moim barakiem, biorą pieniądze na piątkową wypłatę; wieczorem zmęczony wsiadałem w Kisslingen do przegrzanego pociągu osobowego, zapadałem się w miękkie siedzenie przedziału drugiej klasy; pociąg włókł się po ciemku przez nędzne osiedla wśród

pól buraczanych, konduktor sennym głosem wywoływał nazwy stacji: Denklinge, Doderingen, Kohlbingen, Schaklingen; kopce buraków, w ciemności szare jak góry trupich czaszek, usypane wzdłuż ramp załadunkowych; i dalej przez buraczane pola, buraczane pola; z dworca rzuciłem się do dorożki, w domu w ramiona żony, która mnie całowała, czule głaskała moje zmęczone oczy, z dumą dotykała śladów zaprawy, zdobiących moje rękawy. Piłem kawę, kładłem głowę na jej kolanach, paliłem cygaro po sześćdziesiąt fenigów sztuka, do którego od dawna tęskniłem, opowiadałem jej o przeklinających murarzach; trzeba ich tylko bliżej poznać, nie są źli, może trochę szorstcy, trochę czerwoni, ale ja wiem, jak z nimi postępować; trzeba im od czasu do czasu zafundować skrzynkę piwa, opowiedzieć gwarą parę kawałów; byle nie gderać, bo wtedy wyrócą ci pod nogi całą skrzynię zaprawy, tak jak to zrobili, kiedy na budowę przyjechał pełnomocnik arcybiskupa, albo zrzucą belkę z najwyższej kondygnacji rusztowania, tak jak to zrobili podczas wizyty przedstawiciela państwowego urzędu budownictwa: ogromna belka roztrzaskała się tuż przed jego nogami. „Czy sądzisz, najdroższa, że nie wiem, jak bardzo jestem od nich zależny, bo przecież nie oni ode mnie, teraz, kiedy tyle się buduje. Oczywiście, są czerwoni, dlaczego nie mieliby być? Najważniejsze, że umieją murować, pomagają mi dotrzymywać terminów; kiedy wchodzi na rusztowanie z jakąś komisją, jedno moje mrugnięcie robi cuda”.

„Dzień dobry panu. Śniadanie?”

„Tak” - powiedziałem i potrząsnąłem głową, kiedy kelner podsunął mi kartę. Podniosłem ołówek i zacząłem skandować kolejne punkty zamówienia, tak jak gdybym całe życie jadał tylko to na śniadanie: „Dzbanuszek kawy, ale proszę, co najmniej trzy filiżanki, dwa kawałki razowego chleba, grzanki, masło, marmolada pomarańczowa, jajko na miękko i ser z papr^Tką”.

„Ser z papryką?”

„Tak, śmietankowy ser przyprawiony papryką”. „Bardzo proszę”.

Bezszelестnie przesunęło się ku okienku zielone widmo kelnera po zielonym dywanie, pośród stolików nakrytych zielonymi obrusami i już padła pierwsza replika; statyści byli dobrze wyćwiczeni, ja zaś okazałem

się dobrym reżyserem.

„Ser z papryką?” - spytał kucharz z okienka. „Tak - odparł kelner. - Śmietankowy ser z papryką”. „Zapytaj tego pana, ile papryki sobie życzy”. Właśnie zacząłem szkicować fasadę dworca, pewnymi pociągnięciami ołówka rysowałem na dziewiczo białym papierze kontury okien, gdy powrócił kelner. Począł, aż podniosłem głowę; zdziwiony oderwałem ołówek od papieru.

„Przepraszam pana, w jakiej proporcji mamy zmieszać paprykę z serem?”

„Pięćdziesiąt gramów sera, naparstek papryki, dobrze wymieszać. I niech pan posłucha: będę tu jadł śniadanie jutro, pojutrze, popojutrze, za trzy tygodnie, trzy miesiące i trzy lata, rozumie pan? Zawsze o tej samej porze, około dziewiątej”.

„Słucham pana”.

Nastąpiło właśnie to, czego pragnąłem - dokładnie co do joty. Później często lęk mnie przejmował, bo wszystkie moje zamierzenia spełniały się tak dokładnie, że nigdy nie zdarzało się nic nieprzewidzianego. Już dwa dni później byłem „tym panem, co jada ser z papryką”, po tygodniu „tym młodym artystą, który co dzień koło dziewiątej przychodzi do nas na śniadanie”, a po trzech tygodniach „panem Fahmelem, młodym architektem, który opracowuje wielki projekt”.

- Tak, moje dziecko, wszystko to dotyczy opactwa św. Antoniego; ciągnie się lata, Leonoro, dziesiątki lat aż do dziś. Naprawy, dobudówki, a po roku 1945 odbudowa według dawnych planów. Samo opactwo św. Antoniego zajmie jeden cały regał. Owszem, ma pani rację, przydałby się tutaj wentylator; gorąco dziś. Nie, dziękuję, nie chcę usiąść.

W ramach z wymiennym obrazem widać błękitne popołudniowe niebo dnia 6 września 1958 roku, limę dachów, teraz znowu bez wyrw; dzbanki z herbatą na kolorowych stolikach na tarasach; kobiety niedbale leżące na ustawionych w słońcu leżakach, dworzec kipi powrotem z urlopów - czy dlatego stary Fahmel na próżno oczekuje swojej wnuczki Rut? Czy wyjechała, odłożyła na bok *Intrygę i miłość*? Ostrożnie otarł

chusteczką pot z czoła, nigdy nie odczuwał dotkliwie upału ani zimna. W prawym rogu ramy Hohenzollernowie wciąż jeszcze kłusowali ku zachodowi na rumakach z brązu, nieodmiennie od czterdziestu ośmiu lat, i tamten także, jego naczelny wódz; i wciąż ten sposób trzymania głowy świadczył

o fatalnej w skutkach próżności. Wtedy, przy stoliku w kawiarni Kronera, kiedy kelner niósł ser z papryką, śmiejąc się rysowałem cokół, na którym nie było jeszcze pomnika. Zawsze byłem tak pewny przyszłości, że teraźniejszość wydawała mi się zakończoną przeszłością. Czy było to moje pierwsze, najpierwsze śniadanie w kawiarni Kronera, czy też trzytysięczne? Dzień w dzień do kawiarni Kronera na śniadanie o dziewiątej; tylko jedno mogło mnie od tego powstrzymać: siła wyższa, kiedy mój wódz naczelny powołał mnie pod swoje sztandary, ten błazen, który wciąż jeszcze kłusuje ku zachodowi na rumaku z brązu. Ser z papryką? Czy po raz pierwszy jadłem tę dziwną, czerwono-białą mazię, która mi nawet dosyć smakowała i którą obmyśliłem dopiero przed godziną, w pociągu pośpiesznym pędzącym z północy ku temu miastu, aby mojemu codziennemu śniadaniu nadać swoisty, odrębny charakter? Czy też po raz trzydziesty rozsmarowywałem ją na kawałku razowego chleba, podczas gdy kelner zabierał kieliszek do jajka, odsuwał słoiczek z marmoladą? Uwaga! Wyjąłem z kieszeni marynarki jedyny niezawodny instrument, który pozwalał mi nieomylnie korygować takie nagle precyzyjne wizje: kalendarzyk terminowy, którego obowiązkiem było w labiryncie fantazji przypominać mi o miejscu, dniu i godzinie; a więc był to piątek 6 września 1907 roku i to śniadanie było moim pierwszym tutejszym śniadaniem; do tego dnia nigdy nie piłem na śniadanie prawdziwej kawy, tylko zbożową; nigdy nie jadałem jajka, tylko owsiankę, chleb sitkowy z masłem i plasterek surowego ogórka; ale mit, który chciałem stworzyć, rodził się już w chwili, gdy kucharz zapytał: „Ser z papryką?”. I mit mój podążył tam, gdzie miał się znaleźć - do publiczności. Ja nie potrzebowałem już nic więcej robić, tylko czekać, być do dziesiątej lub wpół do jedenastej, podczas gdy kawiarnia zapełniała się powoli, wypić butelkę wody mineralnej, do tego kieliszek koniaku, siedzieć ze szkicownikiem na kolanach, z cygarem w ustach, z

ołówkiem w rękę; rysować, rysować; tymczasem bankierzy w towarzystwie poważnych klientów przechodzili obok, śpiesząc do sali konferencyjnej, a kelnerzy sunęli za nimi z butelkami wina na zielonych tackach; wchodzili klerycy z zagranicznymi konfratrami, których oprowadzali po katedrze św. Seweryna, sławiąc piękno miasta w łamanej łacinie, łamanych angielskim czy włoskim; urzędnicy z prezydium rządu dokumentowali swoją wysoką rangę, pokazując, że mogą sobie pozwolić na wypicie około wpół do jedenastej w południe filiżanki czarnej kawy i kieliszka wiśniaku; kobiety, wracając z targu z torbami splecionymi ze skórzanych paseczków, pełnymi kapusty, marchwi, groszku i śliwek, kiedy już dowiodły, że je wychowano na dobre gospodynie, skoro potrafiły wytargować od zmęczonych wieśniaczek swój łup, pochłaniały tutaj kawę i ciastka, wydając stokrotnie więcej, niż zaoszczędziły na targu; wymachując łyżeczkami od kawy jak szpadami, oburzały się na rotmistrza, który - „na służbie, moja pani, na służbie!”

- posłał ręką od ust pocałunek pewnej kokocie stojącej na balkonie, choć - „to stwierdzone, moja pani, z całą pewnością stwierdzone!” - rozstał się z nią o wpół do szóstej rano, opuszczając hotel drzwiami dla dostawców. Rotmistrz drzwiami dla dostawców! Hańba!

Przyglądałem się im wszystkim, moim statystom, przysłuchiwałem się ich słowom. Rysowałem rzędy krzeseł, rzędy stolików i balet kelnerski; dwadzieścia przed jedenastą zażądałem rachunku. Był niższy, niż przewidywałem; postanowiłem okazać się „hojnym, lecz nie rozrzutnym”; wyczytałem to gdzieś i uznałem za dobrą formułę. Byłem zmęczony, gdy opuszczałem kawiarnię, żegnany ukłonami kelnera, wynagrodziwszy jego usta, które zrodziły mój mit, dodatkowym pięćdziesięciofenigowym napiwkiem. A tamci wszyscy lustrowali mnie od stóp do głów, gdy wychodziłem z lokalu, nie podejrzewali, że jestem solistą. Wyprostowany elastycznym krokiem szedłem przez ten szpaler, ukazywałem się im takim, jakim powinni byli mnie widzieć: artystą w dużym czarnym kapeluszu, człowiekiem niskiego wzrostu, delikatnej budowy, z nieokreślonym piętrem wiejskiego pochodzenia, lecz pewnym siebie. Jeszcze dziesięć fenigów dla chłopca, który otworzył przede mną drzwi.

Tylko półtorej minuty drogi stamtąd tutaj, do domu przy ulicy Modesta 7. Praktykanci, ciężarówka, zakonnice, ruch uliczny. Czy w bramie domu numer 7 istotnie pachniało farbą drukarską? Maszyny jak mechanizmy okrętowe poruszały tłokami tam i z powrotem, tam i z powrotem; drukowano na papierze budujące teksty; portier zdjął przede mną czapkę. „Pan architekt? Rzeczy są już na górze”. Napiwek wciśnięty w czerwoną łapę. „Zawsze gotów do usług, panie poruczniku”. Grymas. „Tak, byli już tutaj dwaj panowie, którzy chcą pana wprowadzić do tutejszego klubu oficerów rezerwy”.

Znów ujrzałem przyszłość wyraźniej niż terażniejszość, zapadającą w mrok, z chwilą gdy się dokonała; ujrzałem niechlujnego portiera obleganego przez reporterów, ujrzałem duże tytuły w gazetach: „Młody architekt zwyciężył w konkursie koryfeuszy tego zawodu”. Portier chętnie udziela informacji reporterom: „On? Proszę panów, dla niego nie istnieje nic, tylko praca. O ósmej rano chodzi na cichą mszę do św. Seweryna, potem je śniadanie w kawiarni Kronera, tak do wpół do jedenastej. Od wpół do jedenastej do piątej nie wytyka nosa z pracowni. Nic przyjmuje nikogo. Żyje tam u siebie, na górze - tak, będziecie się panowie śmiać - tylko grochówką, którą sam sobie pitrasi; jego matka starszka przysłała mu groch i słoninę, od wpół do siódmej do wpół do ósmej partyjka bilardu w hotelu „Książę Henryk”, w klubie oficerów rezerwy. Dziewczęta? Nic o tym nie wiem. Co piątek wieczorem, proszę panów, od ósmej do dziesiątej, bierze udział w próbach chóru „Niemieckiego Związku Miłośników Śpiewu”. Kelnerzy od Kronera inkasują także napiwki za informacje. „Ser z papryką? Bardzo interesujące! Nawet podczas śniadania rysuje jak opętany?”.

Później często wracałem myślą do mego przyjazdu, słyszałem stuk kopyt na bruku, widziałem chłopców hotelowych dźwigających walizy, zawołowaną damę w czerwonym kapeluszu, czytałem plakat: „Poborowym polecamy...”; słuchałem własnego śmiechu, kogo ten śmiech dotyczył, co w nim było? Widziałem ich co dzień rano, kiedy po mszy wstępowałem, aby odebrać pocztę i gazety; widziałem ułanów jadących na teren ćwiczeń w północnej części miasta. Co dzień myślałem o nienawiści ojca do koni i oficerów, kiedy oddalali się z

tętentem, aby ćwiczyć szarże kawaleryjskie, w wypadkach zwiadowczych wznosić tumany kurzu. Sygnały trąbek wyciskały łzy z oczu weteranów, którzy przystawali na ulicy; ale ja myślałem o ojcu. Serca kawalerzystów, podobnie jak serce portiera, były szybciej; dziewczęta, trzymające ściereczki do kurzu, zamieniały się w żywe obrazy, chłodziły w porannym wietrze piersi gotowe udzielić pociechy, a tymczasem portier wręczał mi paczkę od matki: groch, słonina, cebula i błogosławieństwa; moje serce nie biło szybciej na widok przejeżdżającego szwadronu.

Pisałem listy do matki, zaklinałem ją, aby nie przyjeżdżała; nie chciałem jej włączać w szeregi statystów; później, później, kiedy gra nabierze rozpędu, matka będzie mogła przyjechać; była drobna, delikatna, ciemnowłosa jak ja, jej życie upływało między cmentarzem i kościołem, a twarz i cała jej postać zbyt dobrze pasowały do mego przedstawienia; nigdy nie chciała przyjmować ode mnie pieniędzy, jedna złota moneta wystarczała jej przez miesiąc na zupę i chleb, niedzielną dziesięć-fenigową ofiarę na kościół, feniga w dzień powszedni; przyjedziesz później, pisałem - ale później było za późno: jej mogiła wyrosła obok grobów ojca, Szarlotty, Maurycego

- nigdy już nie ujrzała tego, do którego co tydzień adresowała listy: Henryk Fahmel, ulica Modesta 7. Bałem się mądrości w jej spojrzeniu, tego, co jej usta mogłyby niespodziewanie wypowiedzieć: „Po co? Dla pieniędzy czy dla szacunku, aby służyć Bogu czy ludziom?”. Bałem się katechizmu jej pytań, które w odpowiedzi wymagały jedynie przekształcenia ich w zdania twierdzące, zakończone kropką zamiast pytańnika. Nie wiedziałem po co. To, że chodziłem do kościoła, me było obłudą, nie należało do mojej gry, choć mogłoby być do niej zaliczone; moja gra rozpoczynała się dopiero w kawiarni Kronera, trwała do wpół do jedenastej, a potem znów od piątej po południu do dziesiątej wieczór; o ojcu łatwiej mi było myśleć, kiedy ułani zniknęli już za Bramą Modesta, a kataryniarze pokuszykali na przedmieścia; chcieli znaleźć się tam dość wcześnie, aby osamotnionym gospodyniom i pokojówkom zagrać dla otuchy: „Jutrzenska, jutrzenska...”; późnym popołudniem wracali do śródmieścia, aby wieczorną melancholię zamieniać na

brzęczącą monetę: „Annemarie, Rosemarie”; a naprzeciwko Gretz zawieszał właśnie dzika przed drzwiami sklepu; świeża krew ciemnymi kroplami kapiała na asfalt; dokoła dzika wisiały bażanty, kuropatwy i zajęce; delikatne upierzenie, pokorna sierść zajęcza zdobiły potężnego odyńca; co rano zawieszał Gretz swoje martwe zwierzęta, zawsze tak, aby publiczność widziała ich rany; zajęcze brzuchy, gołębie piersi, rozdarty bok odyńca; krew musiała być widoczna; różowe dłonie pani Gretzowej rozkładały płaty wątroby między kopczykami grzybów; kawior, ułożony na kostkach lodu, lśnił na tle olbrzymich szynek; langusty, fioletowe jak dobrze wypalona cegła, poruszały się, ośleple, bezradnie objijając się o ściany płytkich akwariów, czekały na umiejętną ręce gospodyń, czekały siódmego, dziewiątego, dziesiątego, jedenastego września 1907 roku; tylko ósmego, piętnastego i dwudziestego drugiego września, w niedzielę, fasada sklepu Gretza nie była skrwawiona; widziałem martwe zwierzęta w latach 1908 i 1909 - nie było ich tylko w latach, w których panowała siła wyższa; widywałem je zawsze, przez całych pięćdziesiąt jeden lat - i widzę je teraz, gdy w sobotnie popołudnia umiejętnie ręce gospodyń wyszukują ostatnie smakołyki na niedzielny obiad.

- Tak, Leonoro, dobrze pani odczytała; pierwsze wypłacone honorarium: sto pięćdziesiąt tysięcy marek. Nie ma daty? To musiało być w sierpniu 1908 roku. Tak, wiem na pewno, sierpień 1908 roku. Pani nigdy jeszcze nie jadła pieczeni z dzika? Nic pani nie straciła, jeśli ufa pani mojemu gustowi. Nigdy jej nie lubiłem. Niech pani zaparzy trochę kawy, splucze ten kurz, i może pani kupi ciastek, jeśli je pani lubi. Bzdura, wcale się od nich nie tyje, niech pani nie wierzy tym bredniom. Tak, to miało miejsce w roku 1913, domek dla pana Kolgera; był kelnerem w kawiarni Kronera. Nie, nie wzięłem od niego honorarium.

Ile razy jadłem śniadanie w kawiarni Kronera? Dziesięć, dwadzieścia tysięcy? Nigdy ich nie liczyłem, chodziłem tam co dzień, oprócz dni, w których siła wyższa stawiała temu na przeszkodzie.

Widziałem ją, kiedy nadciągała. Stałem po tamtej stronie, na tarasie domu nr 8, ukryty za pergolą, i spoglądałem w dół; widziałem, jak zdąża

w kierunku dworca, słyszałem, jak niezliczone szeregi śpiewają: „Wacht am Rhein”, wykrzykują imię błazna, który dziś jeszcze kłusuje ku zachodowi na rumaku z brązu. Mieli kwiaty przypięte do czapek, do cylindrów, do kapeluszy, kwiaty w butonierkach, nieśli paczki ze standaryzowaną bielizną systemu profesora Gustawa Jagera; wrzawa dochodziła aż tu, na górę, nawet prostytutki z bazaru wysłały swoich gachów na punkt werbunkowy, z paczkami szczególnie solidnej ciepłej bielizny pod pachą - a ja na próżno czekałem na przyływ uczuć, które mógłbym podzielać z tymi, którzy tam szli; czułem się pusty, samotny, podły, niezdolny do entuzjazmu i nie wiedziałem, dlaczego jestem do niego niezdolny, nawet nigdy się nad tym nie zastanawiałem; myślałem o moim saperskim mundurze, pachnącym kulkami przeciwmolowymi, który wciąż jeszcze był na mnie dobry, chociaż szyto mi go, kiedy miałem lat dwadzieścia, a tymczasem dożyłem trzydziestu sześciu. Miałem tylko nadzieję, że nie będę musiał go już wkładać. Chciałem pozostać solistą, nie chciałem statystować. Tym, co tam na dole szli na dworzec śpiewając, wszystko to uderzyło do głowy; na tych, którzy nie mogli wyruszyć, patrzano z politowaniem; czuli się jak ofiary, bo nie mogli iść z innymi. Ja byłem gotów uważać się za ofiarę, nie żałowałbym tego.

W domu, na dole, płakała moja teściowa, bo jej obaj synowie pojechali w pierwszej partii na dworzec towarowy, gdzie załadowywano konie; dumni ułani, których teściowa opłakiwała dumnymi łzami. Stałem ukryty za pergolą, glicynie kwitły jeszcze, słyszałem, jak na dole mój czteroletni syn wyśpiewuje... *muszę dostać karabin, muszę dostać karabin...* powinienem był zejść na dół i w obecności mojej dumnej teściowej dać mu w skórę. Ale pozwoliłem mu śpiewać, pozwoliłem mu się bawić ułańskim czakiem, które dostał od wujów, pozwoliłem mu ciągnąć za sobą płaszcz i wykrzykiwać: *Francuz trup! Anglik trup! Rusek trup!* I spokojnie to zniosłem, gdy komendant garnizonu miękkim, niemal załamującym się głosem powiedział: „Tak mi przykro, Fahmel, że nie możemy się na razie obejść bez pana, że pan nie może wyruszyć na front, ale kraj także potrzebuje ludzi, potrzebuje właśnie takich jak pan”.

Budowałem koszary, fortece, lazarety; nocą, w mundurze porucznika, sprawdzałem posterunki na moście; podstarzali kupcy w randze gefrajtrów, bankierzy - prości żołnierze - salutowali służbiście, kiedy wchodziłem schodami na most i w świetle kieszonkowej latarki widziałem sprośne rysunki, wydrapane na czerwonym piaskowcu przez wracających z kąpeli wyrostków; w klatce schodowej pod mostem czuć było zapach rodzącej się męskości. W jednym miejscu wisiał szyld: „Michaelis - węgiel, koks, brykiety”, a wymalowana ręka wskazywała drogę do składu Michaelisa; rozkoszowałem się własną ironią, własną wyższością, kiedy podoficer Gretz składał mi meldunek: „Posterunek na moście: jeden podoficer i sześciu ludzi; nic godnego uwagi”, i odprawiałem go ruchem dłoni, który, jak mi się zdawało, podpatrzyłem w komediach oglądanych na scenie. Mówiłem: „Spocznij!”, podpisywałem się w książce inspekcji, wracałem do domu, zostawiałem na wieszaku hełm i szablę, wchodziłem do bawialni, gdzie siedziała Joanna, kładłem głowę na jej kolanach, paliłem cygaro i nie mówiłem nic, a ona także milczała. Odniosła jednak Gretzowi pasztet z gęsich wątróbek, a kiedy opat od św. Antoniego przysłał nam chleb, miód i masło, rozdała je innym. Nic jej nie mówiłem, wciąż jeszcze podawano mi śniadanie w kawiarni Kronera: ser z papryką po raz dwutysięczny czterechsetny. Jak dawniej wtykałem kelnerowi do ręki pięćdziesiąt fenigów napiwku, chociaż go nie chciał przyjmować i obstawał przy zapłaceniu mi honorarium za projekt domu.

Joanna wypowiedziała to, co ja tylko myślałem; na przyjęciu u komendanta garnizonu nie piła szampana, nie jadła pasztetu z zająca, odprawiała tancerzy. Wypowiedziała to głośno: „Najjaśniejszy błazen” - i nagle wydało się, że w kasynie przy fosie Wilhelma zapanowała epoka lodowcowa, a Joanna powtórzyła wśród ciszy: „Błazen”. Obecni byli generał, pułkownik, paru majorów, wszyscy z żonami, ja jako świeżo awansowany porucznik, pełnomocnik do budowy fortecy; epoka lodowcowa w kasynie przy fosie Wilhelma; pewien młodzieńcy chorąży wpadł na dobry pomysł, dał znak kapeli, rozbrzmiały dźwięki walca. Wziąłem Joannę pod rękę, sprowadziłem ją do powozu. Była piękna jesienna noc; szare kolumny maszerowały na podmiejski dworzec; nic

godnego uwagi.

Sąd honorowy. Nikt nie ośmielił się powtórzyć słów Joanny. Takich bluźnierstw nie uwieczniano nawet w protokołach: Jego cesarska mość - Najjaśniejszy błazen; nikt nie odważyłby się tego napisać; mówili tylko: „To, co powiedziała pańska małżonka”, a ja mówiłem: „To, co powiedziała moja żona” i nie wyznałem tego, co powinienem był wyznać: że się z nią zgadzam; mówiłem tylko: „Jest w poważnym stanie, proszę panów, dwa miesiące przed rozwiązaniem; straciła dwóch braci, rotmistrza Kilba i podchorążego Kilba, polegli obaj tego samego dnia; straciła córeczkę w 1909 roku”

- a przecież czułem, że powinienem był powiedzieć: zgadzam się z nią; czułem, że ironia nie wystarczy i nigdy nie będzie wystarczała.

- Nie, Leonoro, niech pani nie rozwija tej paczuszki; to, co ona zawiera, ma wartość tylko uczuciową: jest lekka, a jednak drogocenna: to korek od butelki. Dziękuję za kawę; proszę, niech pani odstawi filiżankę na okno. Na próżno czekam, czekam na wnuczkę, która zwykle o tej porze odrabia lekcje tam, na górze, na tarasie; zapomniałem, że wakacje jeszcze się nie skończyły; o, stąd można także zajrzeć przez okno do kancelarii: widuję czasem panią siedzącą przy biurku, pani piękne włosy.

Dlaczego filiżanka drgnęła nagle, zabrzęczała jak od dudnienia maszyn drukarskich? Czy to koniec przerwy obiadowej, czy pracują w godzinach nadliczbowych, nawet w sobotę po południu zadrukowują biały papier budującymi tekstami?

W niezliczone ranki czułem to drganie, kiedy wsparty na łokciach patrzyłem z tego miejsca na ulicę, na jasne włosy, których zapach znałem z porannych mszy; zbyt silnie pachnące mydło zabiłoby te piękne włosy; tutaj prawość zastępowała perfumy. Szedłem za nią krok w krok, kiedy po mszy, kwadrans przed dziewiątą, mijała sklep Gretza i wchodziła do domu nr 8. Do żółtego domu, opatrzonego czarnym drewnianym szyldzikiem z białym, trochę startym napisem: „Dr Kilb, notariusz”. Przyglądałem się jej, czekając w portierni na gazetę; światło padało na nią; na jej delikatną twarz, trochę zniszczoną w służbie prawości. Otwierała drzwi biura, okiennice, potem nastawiała zamek

kasy pancernej na kombinację otwierającą stalowe drzwi, które, jak mi się zdawało, mogłyby ją zmiażdżyć. Sprawdzała zawartość kasy, a ja, z przeciwnej strony wąskiej ulicy Modesta, mogłem dojrzeć na najwyższej półce starannie wymalowane na kartonie słowa: „Projekt opactwa św. Antoniego”. Leżały tam już trzy duże pakiety, na których pieczęcie wyglądały jak otwarte rany. Tylko trzy pakiety i każde dziecko znało nazwiska nadawców. Brehmoc- kel, budowniczy trzydziestu siedmiu neogotyckich kościołów, siedemnastu kaplic, dwudziestu jeden klasztorów i szpitali; Grumpeter, twórca tylko trzydziestu trzech neoromańskich kościołów, tylko dwunastu kaplic i osiemnastu szpitali; i trzeci pakiet, nadesłany przez Wollerseina, który wznosił tylko dziewiętnaście kościołów, tylko dwie kaplice, tylko cztery szpitale, ale mógł się wykazać również budową prawdziwej katedry. „Czytał pan już, panie poruczniku, co piszą w «Straży»?” - spytał portier i ponad jego zrogowaciałym wielkim palcem przeczytałem notatkę, którą mi pokazywał: „Dziś upływa termin składania projektów opactwa św. Antoniego. Czyżby naszym młodym architektom brakowało odwagi?”. Roześmiałem się, zwinąłem gazetę w rulonik i poszedłem na śniadanie do kawiarni Kronera. Zamówienie kelnera, podane przez okienko do kuchni, zabrzmiało jak prastara, od stuleci intonowana formuła liturgiczna: „Śniadanie dla pana architekta Fahmela, jak zwykle”. Panie domu, klerycy, bankierzy - zgiełk głosów około wpół do jedenastej. Szkicownik z rysunkami baranków, węży, pelikanów; pięćdziesiąt fenigów napiwku dla kelnera, dziesięć dla chłopca, radosny grymas portiera, kiedy odbierając pocztę wetknąłem mu w rękę codzienne poranne cygaro. Stałem potem tutaj, wyczuwałem łokciami drganie maszyn drukarskich, widziałem na dole, w biurze Kilba, gońca, który w pobliżu okna wywijał białym gładzikiem do składania listów. Otworzyłem list doręczony mi przez portiera: „...skłonni jesteśmy zaofiarować panu od zaraz stanowisko głównego projektanta; jeśli to będzie odpowiadało pańskiemu życzeniu, może pan być traktowany jak członek rodziny; gwarancja życzliwego przyjęcia przez tutejsze towarzystwo; zapewnione rozrywki...” Wabiono mnie towarzystwem miłych córek architekta, zaofiarowywano uroczne pikniki, na których młodzieńcy

w okrągłych kapeluszach toczą pod lasem piwo z beczek; panienki rozpakowują kanapki i częstują nimi dokoła; potem można nawet zaryzykować płasy na świeżo skoszonej łące, pod okiem matek z lękiem liczących lata córek, Maszczących w ręce z zachwytu nad ich wdziękiem. A kiedy wszyscy wyruszają na spacer po lesie, prowadząc panny pod rękę, gdyż damy lubią potykać się na korzeniach, nadarza się okazja - jako że w ciemności lasu pary niepostrzeżenie oddalają się od siebie - nadarza się okazja całusa w rączkę, w policzek, w ramię; w drodze powrotnej wśród mroczniejących cichych łąk, na które wychodzą z lasu sarny, jak gdyby umyślnie zamówione, kiedy zaczynają rozbrzmiewać piosenki i przenoszą się z powozu do powozu - wtedy można już wyznać szeptem, że cię ugodziła strzała Amora. Powozy unoszą ku domowi cierpiące serca, zranione dusze...

Odpowiedziałem uprzejmie: „...pozwolę sobie powrócić do łaskawej propozycji po zakończeniu prywatnych studiów, które zmuszają mnie do pozostania jeszcze przez pewien czas w mieście...”; zakleiłem kopertę, nalepiłem znaczek, powróciłem do mego okna i spojrzałem w dół na ulicę Modesta: gładzik połykiwał jak sztylet, kiedy goniec nabierał rozmachu, dwaj posługacze hotelowi ładowali odyńca na ręczny wózek, wieczorem skosztuję pieczeni z niego na wspólnej kolacji niemieckich miłośników śpiewu, będę musiał słuchać ich żartów, a oni nie poznają po mnie, że śmieję się nie z żartów, lecz z nich samych; ich żarty budziły we mnie nie mniejszy wstręt niż podawane do potraw sosy; śmiałem się tu, na górze, przy moim oknie, i wciąż jeszcze nie wiedziałem, czy śmieję się z nienawiści, czy z pogardy? Wiedziałem jedno: że nie tylko z radości.

Dziewczęta terminujące w sklepie Gretza poustawiały obok dzika białe kosze pełne grzybów; w hotelu „Książę Henryk” kucharz odważał już przyprawę, kuchciki ostrzyli noże; stremowani młodzi kelnerzy, stojąc przed lustrem w domu, poprawiali krawaty zawiązane na próbę i pytali pochylone nad deską do prasowania żony - para unosząca się z przenicowanych spodni wypełniała kuchnię - „Czy mam ucałować pierścień biskupa, jeżeli pech zechce, że będę go obsługiwał?”. Goniec w dalszym ciągu wymachiwał gładzikiem.

Jedenasta piętnaście; wyczyściłem czarny garnitur, sprawdziłem węzeł aksamitnego krawata, włożyłem na głowę kapelusz, wyciągnąłem kalendarzyk, był nie większy od płaskiego pudełka zapalek, otworzyłem go i przeczytałem: 30 września 1907 r. 11 min. 30: złożyć Kilbowi projekt. Zażądać pokwitowania”.

Uwaga! Zbyt często, układając plany na przyszłość, dokonywałem tego w wyobraźni: schodzę na dół, przecinam ulicę, wchodzę do kancelarii. „Chciałbym się widzieć osobiście z panem notariuszem”. „W jakiej sprawie?”. „Pragnę doręczyć panu notariuszowi mój konkursowy projekt. *Projekt opactwa iw. Antoniego*”.

Tylko goniec okaże zdziwienie, wstrzyma ruch gładzika, obejrzy się, potem zawstydzony odwróci znów twarz ku oknu, zajmie się składaniem formularzy, pomny nakazu: dyskrecja, przede wszystkim dyskrecja! W tym pokoju, gdzie ubóstwo było w dobrym stylu, gdzie na ścianach wisiały portrety biegłych w prawie przodków, kałamarze liczyły sobie po osiemdziesiąt, a gładziki po sto pięćdziesiąt lat, w milczeniu dokonywano poważnych transakcji; tutaj całe dzielnice miasta zmieniały właścicieli, tutaj spisywano ślubne intercyzy, w których sumy przewidziane na drobne wydatki w ciągu jednego roku przewyższały pięcioletnie zarobki kancelisty; ale tutaj także spisywano akt hipoteczny poczciwego szewca, opiewający na dwa tysiące marek, przechowywano testament trzęsącego się emeryta, po którym najukochańszy siostrzeniec miał odziedziczyć nocny stolik; tutaj pod pieczęcią milczenia prowadzono interesy wdów i sierot, robotników i milionerów, w obliczu wypisanej na ścianie sentencji: *Pełna datków prawica ich*. Doprawdy nie było powodu okazywać zainteresowania ubranym w odziedziczony po wuju, przeniecowany czarny garnitur młodemu artyście, który przyniósł pakiet zawinięty w kancelaryjny papier, przyniósł rulony planów i uważał, że wolno mu domagać się z tego tytułu osobistej rozmowy z panem notariuszem. Kierownik biura zapieczętował pakiet z rulonami planów, wycisnął w gorącym laku herb Kilbów: baranka, któremu tryska z piersi strumień krwi, podczas gdy jasnowłosa, pełna prostoty dziewczyna wypisywała pokwitowanie: „W poniedziałek 30 września 1907 roku o godzinie 11 min. 35 architekt p. Henryk Fahmel złożył...”.

Czy w chwili, gdy podawała mi pokwitowanie, jej bladej twarzy nie rozjaśnił błysk poznania? Byłem uszczęśliwiony, że zaszło coś, czego nie przewidziałem, dlatego że dowodziło to realności czasu; a więc naprawdę istniał ten dzień, ta chwila; nie dowiodłem tego ja, ponieważ istotnie zszedłem na dół, przeciąłem ulicę, wszedłem do sieni, do kancelarii; nie dowiodł tego goniec, który podniósł głowę, a potem zawstydzony odwrócił się, pomny obowiązku zachowywania dyskrecji; nie dowiodły tego krwawe rany pieczęci; dowiodł tego nieprzewidziany miły uśmiech kancelistki, która obrzuciła badawczym spojrzeniem moje nicowane ubranie, a potem, gdy brałem z jej ręki pokwitowanie, szepnęła: „Życzę panu szczęścia”. Były to od czterech i pół tygodnia pierwsze słowa, które zrobiły wyłom w czasie, przypomniały mi, że w wyreżyszerowanej przeze mnie grze tkwią ślady rzeczywistości; a więc czas był regulowany nie tylko w gabinetach sennych widziadeł, gdzie przyszłość wydawała mi się terażniejszością, a terażniejszość przeszłością sprzed wieków, jak dzieciństwo, do którego biegłem, jak kiedyś, będąc dzieckiem, biegłem do ojca. Był on cichym człowiekiem, lata narastały wokół niego jak ołowiane warstwy ciszy; wyciągał rejestry organowe, śpiewał na sumie, na pogrzebach pierwszej klasy dużo, drugiej klasy mało, trzeciej wcale; był tak cichy, że teraz, kiedy o nim myślę, serce mi się ściska; doił krowy, kosił trawę, młócił zboże, aż jego spocona twarz pokrywała się plewami, jakby ją owady obsiadły; wywijał pałeczką dyrygencką w Stowarzyszeniu Młodzieży, Stowarzyszeniu Czeladników, Stowarzyszeniu Strzeleckim i Chórze pod wezwaniem św. Cecylii; nigdy się nie odzywał, nigdy nie wymyślał, tylko śpiewał, krajał buraki, parował kartofle dla świń, grał na organach, wdziewał czarny ubiór zakrystiana, wciągał nań białą komżę; we wsi nikomu nie wydawało się dziwne, że ojciec nigdy się nie odzywa, gdyż wszyscy widywali go tylko podczas pracy. Z czworga dzieci dwoje umarło na gruźlicę, zostało tylko dwoje: Szarlota i ja. Matka była kobietą delikatną, z tych co to lubią kwiaty, ładne firanki, śpiewają podczas prasowania bielizny, a wieczorem przy kominie snują opowieści; ojciec harował, klecił łóżka, napychał słomą sienniki, zarzynał kury - aż do śmierci Szarloty: msza anielska za duszę dziecka, kościół w bieli; proboszcz

śpiewał, ale zakrystian mu nie odpowiadał, nie wyciągał rejestrów, nie rozbrzmiewały tony organów, z chóru nie nadchodziły responsy; proboszcz śpiewał sam. W milczeniu ustawił się kondukt żałobny i wyruszył na cmentarz; zmieszany proboszcz spytał: „Ależ drogi, kochany panie Fahmel, dlaczego pan nie śpiewał?”. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem ojca mówiącego i zdziwiłem się, jakie chrypliwe brzmienie ma jego głos, którym tak miękko śpiewał z chóru w kościele; ojciec powiedział cicho, trochę mrukliwie: „Pogrzeby trzeciej klasy odbywają się bez śpiewu”. Znad Renu unosiły się opary, zwiewne welony mgły pląsały ponad polami buraczanymi, wrony w wierzbach krakały jak kołatki zapustne, kiedy zdetonowany proboszcz odczytywał modlitwy za zmarłych; ojciec przestał wywijać dyrygencką pałeczką w Stowarzyszeniu Młodzieży, Stowarzyszeniu Czeladników, Stowarzyszeniu Strzeleckim i w Chórze pod wezwaniem św.

Cecylii; zdawało mi się, że dzięki temu pierwszemu zdaniu, które usłyszałem z ust ojca - miałem szesnaście lat, kiedy umarła dwunastoletnia Szarlota - że dzięki temu pierwszemu wypowiedzianemu przez siebie zdaniu odkrył własny głos. Mówił teraz więcej, mówił o koniach i oficerach, których nienawidził, mówił z groźbą w głosie: „Biada wam, jeśli mi urządzicie pogrzeb pierwszej klasy”.

„Tak - powtórzyła jasnowłosa dziewczyna - życzę panu wiele szczęścia”. Może powinienem był oddać jej pokwitowanie, zażądać zwrotu opieczetowanego pakietu, rulonów z planami, wrócić do domu; może powinienem był poślubić córkę burmistrza lub właściciela przedsiębiorstwa budowlanego, stawiać remizy strażackie, szkółki, kościoły, kaplice; po wsiach na „wiechowym” tańczyć z gospodynią, podczas gdy moja żona tańczyłaby z gospodarzem nowego domu; po cóż miałem rzucać wyzwanie Brehmockelowi, Grumpeterowi i Wollerseinowi, wielkim koryfeuszom budownictwa kościelnego, po co? Nie kierowałem się ambicją, pieniądze mnie nie nęciły; nigdy nie musiałbym głodować; grywałbym w skata z proboszczem, aptekarzem, właścicielem gospody i burmistrem, brałbym udział w polowaniach z nagonką, budował wzbogaconym chłopom „coś nowoczesnego” - ale już goniec siedzący pod oknem rzucił się do drzwi, otworzył je przede mną i

przytrzymał. Powiedziałem: „Dziękuję”, minąłem sień, przeciąłem ulicę, wszedłem na górę do pracowni, oparłem się o parapet okna, drgający od dudnienia maszyn drukarskich; było to 30 września 1907 roku około godziny 11 min. 45...

- Tak, Leonoro, te maszyny drukarskie strasznie się dają we znaki; ileż filizanek wytłukło się tu, kiedy nie dość uważałem. Niech pani się tak nie śpieszy, moje dziecko. Jeśli będzie pani nadal pracowała w tym tempie, to za tydzień zapanuje idealny porządek w tym, czego ja nie zdołałem uporządkować w ciągu pięćdziesięciu jeden lat. Nie, dziękuję za ciastko. Czy wolno mi nazywać panią dzieckiem? Niechże się pani nie czerwieni z powodu komplementów starego człowieka. Widzi pani, ja jestem pomnikiem, a pomniki nie mogą przecież nikogo dotknąć; ja, stary błazen, do dziś chodzę na śniadanie do kawiarni Kronera i pochłaniam ser z papryką, chociaż od dawna mi się już przejadł; ale winien to jestem moim współczesnym, nie wolno mi rozwiewać legendy; ufunduję dom dla sierot, może szkołę, wyznaczę stypendia i na pewno gdzieś, kiedyś odleją mnie w brązie i odsłonią; chciałbym, aby pani asystowała przy tym i śmiała się, Leonoro. Pani umie się tak ładnie śmiać, czy pani wie o tym? Ja już nie umiem, zapomniałem, a przecież zawsze myślałem, że śmiech to dobra broń; nie był bronią, był tylko małym złudzeniem. Jeśli pani ma ochotę, zabiorę panią na bal akademicki, przedstawię panią jako moją siostrzenicę. Będzie pani piła szampana, tańczyła i pozna pani chłopca, który będzie dla pani dobry i pokocha panią; kupię pani ładną wyprawę... Aha, niech pani się temu spokojnie przyjrzy: trzy metry na dwa, ogólny widok opactwa św. Antoniego; wisi pięćdziesiąt jeden lat w mojej pracowni, wisiał już wtedy, kiedy się tu sufit zawalił. O, stąd te widoczne jeszcze plamy pleśni. To była moja pierwsza duża budowa, ogromna budowa, i wtedy, mając niespełna trzydzieści lat, zrobiłem karierę.

Ale w roku 1917 nie zdobyłem się na to, co za mnie zrobiła Joanna; tam, na tarasie, koło pergoli, wyrwała Henrykowi z ręki wiersz, którego miał się nauczyć na pamięć; powtarzał go poważnym dziecięcym głosikiem:

Rzekł święty Piotr, klucznik niebieskich bram:

Wyższym instancjom tę sprawę zdam.

I, patrzcie, niebawem wraca i powiada:

Ekscelencja Blücher ma szczęście nie lada! Bezterminowy urlop został mu przyznany (Mówi, na oścież otwierając bramy).

Idź, stary wojaku, uderzaj na wroga,

Czuwa nad tobą łaska Pana Boga.

Robert nie skończył jeszcze dwóch lat, a Ottona nie było jeszcze na świecie; miałem właśnie urlop i od dawna stało się dla mnie jasne to, co przedtem niejasno tylko czułem: że ironia nie wystarcza i nigdy nie będzie wystarczała, że jest tylko narkotykiem dla uprzywilejowanych i że powinienem był postąpić tak, jak postąpiła Joanna; ja, w mundurze kapitana, powinienem był rozmówić się z synem, a tymczasem przysłuchiwałem się tylko, kiedy recytował dalej:

Zstąpił Blücher na ziemię nie szczędząc znoju,

By nas prowadzić od boju do boju.

Naprzód i hura, i Hindenburg!

Tyś Prus Wschodnich zbawcą a twierdzą Bóg.

Dopóki niemieckie szumią lasy stare,

Dopóki niemieckie łopocą sztandary,

Dopóki żyje niemiecka mowa,

Niemiec twe imię w swym sercu zachowa,

W spiżu wyrzute, wykute w kamieniu,

Nasz bohaterze, cześć twemu imieniu!

Hindenburg! Naprzód!

Joanna wyrwała chłopcu kartkę, podarła ją i rzuciła strzępy na ulicę; padały jak płatki śniegu przed sklepem Gretza, gdzie w owych czasach nie wywieszano dzika; panowała bowiem siła wyższa.

Śmiech przy odsłonięciu mego pomnika to za mało, Leonoro; niech pani go opluje, dziecko - w imieniu mego syna Henryka, w imieniu Ottona, który był takim kochanym, grzecznym chłopcem, i dlatego, że był taki kochany, greczny i taki posłuszny - stał mi się obcy jak nikt na świecie, i w imieniu Edyty, jedynej baranka, jakiego w życiu spotkałem.

Kochałem ją, matkę moich wnuków, i nie mogłem jej pomóc, tak jak nie mogłem pomóc terminatorowi od stolarza, którego widziałem tylko dwukrotnie, ani temu chłopcu, którego nigdy nie widziałem; chłopcu, który wrzucał do naszej skrzynki na listy wiadomości od Roberta na

skrawkach nie większych niż papierek od cukierka i za to przestępstwo zginął w obozie. Robert był zawsze mądry, chłodny i nie miał w sobie ani odrobiny ironii. Otto był zupełnie inny, miał serce na dłoni, a jednak nagle zasmakował w *sakramencie byka* i stał się nam obcy. Opluj mój pomnik, Leonoro, powiedz im, że cię o to prosiłem; mogą to stwierdzić na piśmie i poświadczyć mój podpis u notariusza; szkoda, że nie widziałas tego chłopca, dzięki któremu zrozumiałem werset: *Aniołowie zstąpili i służyli mu*; terminował u stolarza; ścięli mu głowę; szkoda, że nie widziałas Edyty i jej brata, którego ja widziałem jeden jedyny raz, kiedy przechodził przez podwórze, idąc na górę do Roberta; stałem przy oknie w sypialni, patrzyłem na niego tylko pół minuty i strach mnie ogarnął; ten chłopiec dźwigał na ramionach szczęście i zgubę; Schrella - nigdy nie dowiedziałem się, jak miał na imię, był sekwestratorem Boga, za nie zapłacone rachunki nakładał niewidoczne pieczęcie na domy; wiedziałem, że zażąda mego syna, i pozwoliłem mu pójść przez podwórze, temu chłopcu

o wąskich ramionach; na najstarszym z moich żyjących synów, zdolnym chłopcu, brat Edyty położył sekwestr. Edyta była inna; jej biblijna powaga była tak ważka, że Edyta mogła sobie pozwolić również na biblijny humor. Śmiała się ze swoimi dziećmi w czasie bombardowania; nadała im biblijne imiona: Józef i Rut. Dla niej śmierć nie kryła w sobie nic strasznego; Edyta nigdy nie mogła pojąć, dlaczego tak bardzo oplakują swoje zmarłe dzieci, Joannę i Henryka - nie dowiedziała się już, że zmarł także Otto, ten obcy człowiek, który był mi najbliższy. Otto lubił moją pracownię, moje rysunki, jeździł ze mną na budowę, pił piwo na „wiechowym”, był ulubieńcem robotników; nie weźmie udziału w mojej dzisiejszej uroczystości urodzinowej. Ilu gości zaprosiłem? Na palcach jednej ręki można wyliczyć członków rodu, który założyłem: Robert, Józef, Rut, Joanna i ja; na miejscu Joanny siedzieć będzie Leonora; cóż ja powiem Józefowi, kiedy z młodzieńczym zapałem będzie opowiadał o postępie robót przy odbudowie opactwa; „wiechowe” odbędzie się w końcu października; zakonnicy chcieliby odprawić nabożeństwa adwentowe już w nowym kościele. *Drżą spróchniałe kości*, Leonoro, oni nie paśli baranków

moich.

Powinienem był oddać pokwitowanie, złamać i zniszczyć czerwone pieczęcie, wtedy nie musiałbym tu stać i czekać na moją wnuczkę, ładną, ciemnowłosą, dziewiętnastoletnią dziewczynę, która jest teraz w tym samym wieku, w jakim była Joanna, kiedy przed pięćdziesięciu laty tu stałem i patrzyłem na nią, siedzącą na tarasie; mogłem nawet odcyfrować tytuł książki: *Intryga i miłość* - czy może to Joanna czyta tam *Intrygę i miłość*? Czy rzeczywiście nie je w tej chwili z Robertem obiady w gospodzie „Pod Lwem”? Czy nie położyłem w portierni obowiązkowego porannego cygara, nie umknąłem przed poufną rozmową - „między-nami-męż- czyznanami-panie-poruczniku”, aby siedzieć tu, na górze, od wpół do jedenastej do piątej, po prostu egzystować? Czy nie przeszedłem obok tych stosów świeżo wydrukowanych broszurek diecezjalnych? Co będą jeszcze w to sobotnie popołudnie drukowali na białym papierze: budujące teksty czy plakaty wyborcze dla tych, którzy zakosztowali *sakramentu byka*? Dygocą ściany, drżą stopnie schodów, robotnice wynoszą wciąż nowe stopy, układają je aż pod drzwiami pracowni. Leżałem tu, na górze, ćwiczyłem się w sztuce egzystowania. Czuję się tak, jakby mnie wciągnęła siła ssąca ciemnego tunelu aerodynamicznego, aby za chwilę rzucić mnie: dokąd? Unosił mnie wir prastarej goryczy, przesycała prastara daremność, widziałem dzieci, które będę miał, wina, które będę pił, szpitale i kościoły, które będę budował

- i wciąż słyszałem grudki ziemi padające na moją trumnę, prześladowało mnie ich głuche bębnienie. Słyszałem śpiew nakładaczek, falcerek i pakowaczek, głosy wysokie i głosy niskie, słodkie i szorstkie; opiewały proste radości sobotniego wieczora; śpiew ten docierał do mnie jak pienia żałobne nad moim grobem: miłość na drewnianej sali tańca, bolesne szczęście pod murem cmentarnym, na trawie pachnącej jesienią; łyzy starych matek, zwiastuny radości matek młodych, melancholia domu sierot, w którym dzielna młoda dziewczyna postanowiła zachować dziewiczą czystość; ale i ją to spotkało, spotkało ją na zabawie tanecznej; bolesne szczęście pod murem cmentarnym, na trawie pachnącej jesienią - głosy robotnic, jak koła czerpakowe sięgały wciąż

na nowo po wiecznie tę samą wodę, śpiewały nad moim grobem, a grudki ziemi grzechotały na mojej trumnie. Spod przymkniętych powiek spoglądałem na ściany pracowni, wytapetowane moimi rysunkami: pośrodku majestatyczna czerwona odbitka planu opactwa św. Antoniego w skali 1:200; na pierwszym planie wioska Stehlinger Grotte, pasące się krowy, kartoflisko, nad którym unosi się dym z ogniska; dalej opactwo, ogromne, w stylu bazyliki; bez skrupułów wzorowałem się na romańskich katedrach o surowych, niskich, ciemnych krążgankach; klauzura, refektarz, biblioteka; pośrodku krążganków figura św. Antoniego; duży czworobok budynków gospodarczych; stodoły, stajnie, wozownie, własny młyn z piekarnią, ładny domek dla rządcy, który miał się również opiekować pielgrzymami; pod wysokimi drzewami ustawione były proste stoły i krzesła: miano tam zjadać zabrane na drogę zapasy, popijać je cierpkim winem, moszczem lub piwem; na horyzoncie zaznaczona druga wioska, Górlingers Stuhl; kaplica, cmentarz, cztery gospodarstwa chłopskie, pasące się krowy; z prawej strony rząd topoli oddzielał wykarczowane odłogi, gdzie braciszkwowie służebni mieli hodować winorośl, uprawiać kapustę i kartofle, jarzyny i zboże, podbierać z uli wyborny miód.

Oddany przed dwunastoma minutami za pokwitowaniem projekt z rysunkami detali i całkowitą kalkulacją; twardym piórkim wpisałem wszystkie cyfry i pozycje; błyszczącymi oczami, jak gdybym widział stojące już budynki, patrzyłem na projekt, jakbym zaglądał przez okno; pochyleni zakonnicy, pielgrzymi pijący moszcz, podczas gdy tu robotnice śpiewały na dole głosami wysokimi i niskimi, spragnionymi wieczornego odpoczynku, słały ku mnie swe pienia żałobne; zamknąłem oczy, poczułem chłód, który miałem poczuć dopiero za lat pięćdziesiąt, jako człowiek na stanowisku, wokół którego pulsuje życie.

Te cztery i pół tygodnia ciągnęły się nieskończenie długo, wszystko, co robiłem, dokonało się już przedtem w gabinecie zjaw sennych; pozostała mi tylko poranna msza i godziny od wpół do jedenastej do piątej; tęskniłem do tego, czego nie przewidziałem, a co mnie obdarzyło nikłym uśmiechem i dwukrotnym: „Życzę panu szczęścia”. Kiedy zamykałem oczy, czas rozszczępiał się jak widmo słoneczne: przeszłość,

teraźniejszość, przyszłość; za pięćdziesiąt lat moi najstarsi wnukowie będą dwudziestopięcioletnimi młodzieńcami, moi synowie osiągną wiek tych dostojnych panów, na których łaskę i niełaskę zdałem się przed chwilą, składając mój projekt. Sięgnąłem do kieszeni, w której schowałem pokwitowanie; było na swoim miejscu; rzeczywiście; jutro rano zbierze się jury i stwierdzi zmianę sytuacji: pojawienie się czwartego projektu. W łonie jury utworzyły się już stronnictwa: dwóch za Grumpeterem, dwóch za Brehmokelem i jeden, najważniejszy, najmłodszy i najniższy z pięciu jurorów, opat, za Wollerseinem; opat lubił romantykę; wywiąże się gorąca dyskusja, gdyż dwaj przekupni członkowie jury będą wytaczali najmocniejsze argumenty z punktu widzenia sztuki; odroczenie decyzji; ten młodzik, który przyplątał się nie wiadomo skąd, pomieszał nam szyki; zaniepokojeni jurorzy stwierdzają, że mój projekt wyraźnie podoba się opatowi; wciąż zatrzymywał się przy rysunkach, popijał wino; całość organicznie powiązana z krajobrazem i tak wyraźnie wyodrębniona funkcjonalność czworoboku zabudowań gospodarczych od surowego czworoboku krużganków i klauzury; studnia, gospoda dla pielgrzymów, wszystko mu się podobało; uśmiechał się: tam będzie on primus inter pares; wkroczył już w ten projekt jak w swoją posiadłość, prezydował w refektarzu, zasiadał na chórze, odwiedzał chorych braci, zaglądał do rządcy, aby spróbować wina, poczuć przesypujące się między palcami żytnie ziarno; chleb dla zakonników i dla ubogich, żyto zebrane na jego polach; proszę, ten młody architekt przewidział małe, pokryte dachem pomieszczenie dla żebraków tuż obok furty; na zewnątrz ławki na letnią porę, wewnątrz krzesła, stół, piec na zimę. „Proszę panów, nie mam najmniejszych wątpliwości, głosuję bez zastrzeżeń za projektem - jakże on się nazywa? - za projektem tego Fahmela. I proszę zwrócić uwagę na koszty: o trzysta tysięcy marek niższe od najtaniej skalkulowanego projektu spośród trzech pozostałych”. Okruchy laku z otwartych ran pokryły stół, o który teraz uderzają zaciśnięte pięści fachowców, zaczyna się wielka debata; „proszę nam wierzyć, wielebny ojcze, jakże często zdarza się, że ktoś zaniża kosztorys; a co ojciec pocznie, kiedy tamten zjawi się na miesiąc przed «wiechowym» i oświadczy, że mu zabrakło tchu? Przy

tego rodzaju projektach przekroczenie kosztów o pół miliona nie należy do rzadkości. Niech ojciec uwierzy ludziom doświadczonym. Jaki bank poręczy za początkującego, nikomu nie znanego młodego architekta, kto wyłoży za niego sumę gwarancyjną? Czy on ma jakiś majątek?”. Młodego opata ogarnia fala ogólnego śmiechu: „Według jego własnych danych rozporządza sumą ośmiu tysięcy marek”. Debata. Panowie rozstają się wzburzeni. Żaden z nich nie poparł opata. Decyzja odroczone na miesiąc. Któż to nadał statutowo decydującą wagę głosowi tego ostrzyżonego przy samej skórce, ledwie trzydziestoletniego syna chłopskiego, tak że sprawa może być rozstrzygnięta tylko z jego wolą?

Rozdzwoniły się telefony, spoceni listonosze pędzili z ekspresami od prezesa krajowej rady ministrów do arcybiskupa, od arcybiskupa do seminarium duchownego, gdzie mąż zaufania stolca arcybiskupiego właśnie wysławiał zalety neo- gotyku; mąż zaufania z purpurową twarzą wsiadł do czekającej dorożki, stuk kopyt na kocich łbach zaczął się oddalać, koła piszczały na ostrych zakrętach; prędko, prędko; sprawozdanie! sprawozdanie! Fahmel! Nigdy o takim nie słyszałem. Jego projekt? Z technicznego punktu widzenia znakomity, jeśli chodzi o kalkulację - trzeba przyznać, ekscelencjo - o ile daje się to pobieżnie stwierdzić, przekonywająca, ale styl? Obrzydliwy; po moim trupie. Po trupie? Arcybiskup uśmiecha się; profesor, artystyczna natura, pełen ognia, nadmiar uczucia, zbyt wiele wijących się siwych włosów powiewa wokół jego głowy; po trupie no, no; kursują szyfrowane zapytania między Grumpeterem i Brehmokelem, między Brehmokelem i Wol- lerseinem, na kilka dni pogodzili się poróżnieni na śmierć koryfeusze, zapytują się wzajemnie szyfrowanymi listami i telefonogramami: „Czy kalafior ulega zepsuciu?”, co znaczy: „Czy opata można odwołać ze stanowiska?”. - Nadchodzi druzgocąca odpowiedź: „Kalafior nie ulega zepsuciu”.

Zniknąłem na przeciąg czterech i pół tygodni: jakże spokojny był mój grób; ziemia obsuwała się nań powoli, usypywała się łagodnie obok mnie i nade mną; ogłuszał mnie śpiew robotnic; lepiej było nic nie robić, ale teraz zacznę działać, będę musiał działać, kiedy otworzą mój grób,

uniosą wieko trumny; odrzucą mnie z powrotem w czas, w którym na każdy dzień przypada jakaś nazwa, na każdą godzinę jakiś obowiązek; gra stanie się poważna; nie przynosiłem już około drugiej talerza grochówki z mojej kuchenki; nie odgrzewałem jej, zjadałem na zimno; nic mnie nie obchodziło jedzenie, pieniądze ani sława; lubiłem grę, zależało mi na moim cygarze, tęskniłem do kobiety, do żony. Czy zostanie nią tamta czarnowłosa, szczupła, ładna dziewczyna z tarasu naprzeciwko? Joanna Kilb? Jutro pozna moje nazwisko. Czy tęsknię do jakiejś dziewczyny, czy do niej? Nie mogłem wytrzymać ciągłego przebywania wśród samych mężczyzn, wszyscy wydawali mi się śmieszni; pobożni i bezbożni, ci, którzy opowiadali kawały, i ci, którzy ich słuchali, bilardziści, porucznicy rezerwy, śpiewacy, portier i kelnerzy. Miałem ich dość, cieszyłem się na popołudnia między piątą i szóstą, na uśmiech robotnic, które mijalem w bramie; lubiłem zmysłowość w ich twarzach, które niezłomnie spłacały daninę przemijalności; najchętniej poszedłbym z którąś z nich na tańce, leżałbym z nią pod murem cmentarnym, na trawie pachnącej jesienią - podarłbym pokwitowanie, położył kres mojej wielkiej grze; te dziewczęta śmiały się, śpiewały, chętnie jadły i piły, płakały i niczym nie przypominały tych fałszywych gęsi, prowokujących mnie, sublokatora, do pieszczot, które wydawały im się śmiałe. Jeszcze wszystko to należało do mnie, postacie i rekwizyty, jeszcze posłuszni mi byli statyści, tego ostatniego dnia, kiedy nie miałem ochoty na zimną grochówkę, byłem zaś zbyt leniwy, aby ją sobie odgrzać; chciałem doprowadzić do końca tę grę, wymyśloną podczas nudnych małomiasteczkowych popołudni, kiedy po sprawdzeniu dostatecznej ilości zaprawy, jakości cegieł, pionu murów, przekładając nudę ponurej knajpy ponad nudę biura, zacząłem na małych karteczkach szkicować projekt opactwa.

Nie mogłem się już oderwać od tej gry; rysunki stawały się większe, obraz dokładniejszy i niemal nie zauważywszy tego, pogrążyłem się w kalkulacji. Uczyłem się obliczać, uczyłem się rysować; proszę bardzo; posłałem Kilbowi trzydzieści marek w złocie i otrzymałem warunki konkursu; pewnego niedzielnego popołudnia wybrałem się do Kisslingen; kwitnące łany zboża, ciemnozielone pola buraczane, las, w

którym kiedyś miało stanąć opactwo; prowadziłem dalej moją grę, zbierałem informacje o moich przeciwnikach, których nazwiska koledzy wymieniali z nabożeństwem i nienawiścią: Brehmockel, Grumpeter, Wollersein; oglądałem wzniesione przez nich budowle, kościoły, szpitale, kaplice, katedrę Wollerseina; czułem to, węszyłem w obliczu tych beznadziejnych budowli, że przyszłość leży przede mną czekając, aż po nią sięgnę, jak kraj czekający na podbój, nieznana ziemia, w której zakopano złote monety dla tego, kto zastosuje tylko trochę strategii; ująłem przyszłość w rękę, wystarczyło, bym po nią sięgnął; czas stał się nagle potęgą, zlekceważyłem go, upływał niewykorzystany, podczas gdy ja za kilka złotych monet oddałem partaczom i oszustom zręczność moich rąk i matematykę rozumu; kupowałem papier, tabele, ołówki i podręczniki; gra, za którą płaciłem tylko jednym: czasem. Ale miałem czas, darowano mi go; niedziele były moimi dniami zwiadu; badałem teren, przemierzałem ulice: ulica Modesta, pod siódmym była pracownia do wynajęcia; naprzeciw; pod numerem ósmym mieszkał notariusz, mający pieczę nad projektami; granice stały otworem, wystarczyło w nie wkroczyć; i dopiero teraz, zapuściwszy się w głąb kraju, który miałem podbić, czując się już na wpół jego właścicielem, doręczyłem wypowiedzenie wojny, podczas gdy nieprzyjaciel był jeszcze pogrążony we śnie. Znowu upewniłem się, czy mam pokwitowanie; było na swoim miejscu.

Pojutrze pierwszy gość miał przekroczyć próg mojej pracowni; opat, młody, ciemnooki, rzeczowy; choć jeszcze nie objął panowania, już do niego nawykł. „Skąd pan wiedział, że nasz Ojciec Święty Benedykt nie zaleca oddzielania braci od ojców w refektarzu? \ Chodził tam i z powrotem po pracowni, coraz to zaglądał do projektu, pytał: „Czy pan wytrwa, nie załamie się pan, nie będzie musiał przyznać racji tym puszczykom?”. A ja bałem się tej wielkiej gry, która miała wystąpić z papieru, miała mną zawładnąć; bawiłem się tą grą, ale nigdy nie uświadamiałem sobie, że mogę ją również wygrać; wystarczyłaby mi sława, że nie odniosłem samotnie zwycięstwa nad Brehmockelem, Grumpeterem i Wollerseinem, ale pokonać ich? Bałem się, a jednak powiedziałem: „Tak, wytrwam, wielbny ojcze”. A on skinął głową,

uśmiechnął się i poszedł.

O piątej, razem z gromadą robotnic, wyszedłem z bramy na mój codzienny wieczorny spacer; widziałem zawoalowane piękności, jadące dorożkami na schadzki, i poruczników pijących mocne trunki przy akompaniamencie sentymentalnej muzyki; odbywałem co dzień godzinny czterokilometrowy spacer, zawsze tą samą drogą, o tej samej porze. Wszyscy powinni mnie byli widywać, powinni mnie widywać o tej samej porze w tych samych miejscach; sklepikarki, bankierzy i jubilerzy; uliczne dziewczyny i konduktorzy, szykowni ekspedieni, kelnerzy i panie domu; powinni mnie byli widywać i widywali mnie; między piątą a szóstą, z cygarem w ustach; to było niestosowne, wiem, ale jestem przecież artystą, obowiązuje mnie nonkonformizm; wolno mi także zatrzymywać się przed katarzyniarzami, którzy melancholię wieczoru zamieniają na pieniądze; droga marzeń, prowadząca przez gabinet sennych zjaw: moi statyści mieli dobrze naoliwione stawy, poruszało się ich za pomocą niewidocznych nitek, otwierali usta, aby wypowiadać przewidziane dla każdego z nich hasła; zimna melodia kuł bilardowych w hotelu „Księżę Henryk”, biel na tle zieleni, czerwien na tle zieleni; manekiny zginały ręce, aby trafiać kijami w kule, podnosić do ust kufle z piwem, zbierały punkty, grały serie, klepały mnie poufałe po ramieniu; ach tak, o nie, och znakomicie, miał pan pecha; a ja słyszałem, jak grudki ziemi padają na moją trumnę, czekał już przedśmiertny okrzyk Edyty, ostatnie spojrzenie jasnowłosego terminatora stolarskiego, który miał je o świcie rzucić na mury więzienne, było już w pogotowiu.

Jechałem z żoną i dziećmi do doliny Kissy, z dumą pokazywałem im moje młodzieńcze dzieło, odwiedzałem postarzałego już opata i odczytywałem z jego rysów lata, których nie umiałem doszukać się w swojej twarzy; kawa w pokoju gościnnym, ciasto upieczone z własnej mąki, ze śliwkami z własnego sadu i śmietaną zebraną z mleka od własnych krów; moim synom pozwolono wejść do klauzury, żona z chichoczącymi córkami, siedmioro dzieci, które obdarzą mnie kiedyś każde siedmioma wnukami; a opat mówił uśmiechając się do mnie: „A więc jesteśmy teraz sąsiadami”. Istotnie. Kupiłem obie wioski, Stehlinger Grotte i Górlingers Stuhl.

- Ach, Leonoro, już znowu z kawiarni Kronera? Nie, przecież wyraźnie powiedziałem: bez szampana. Nie znoszę go. A teraz niech pani już kończy pracę, bardzo proszę. Czy mogłaby mi pani jeszcze zamówić taksówkę na drugą? Niech czeka przed bramą, może będę mógł panią kawałek podwieźć. Nie, nie jadę do Blessenfeld. Dobrze, jeśli pani chce, możemy to jeszcze uporządkować.

Odwrócił się od ramy, w której zmieniały się obrazy, rozejrzał się po pracowni, gdzie do dziś wisiał na ścianie duży projekt opactwa, a powietrze wypełnione było kurzem, który mimo całej ostrożności unosiły pracowite dziewczęce dłonie. Leonora ochoczo wyprzątnęła zawartość stalowej szafy i wyciągnęła teraz ku niemu paczkę banknotów, które już przed trzydziestu pięciu laty straciły wartość; potrząsając głową wydobyła na światło dzienne drugą paczkę pieniędzy, bezwartościowych od lat dziesięciu, skrupulatnie liczyła na rajzbracie obce banknoty: dziesięć, dwadzieścia, osiemdziesiąt

- tysiąc dwieście dwadzieścia marek.

- Niech pani wrzuci to w ogień, Leonoro, albo podaruje dzieciom na ulicy, te pokwitowania na zakrojone na wielką skalę oszustwo, które zaczęło się przed trzydziestu pięciu laty, a pogłębiło przed dziesięciu. Nigdy nie przywiązywałem wagi do pieniędzy, a mimo to wszyscy uważali mnie za chciwca; zawiedli się, nie pragnąłem pieniędzy, rozpoczynając moją wielką grę; dopiero kiedy ją wygrałem i stałem się popularny, uświadomiłem sobie, że mam wszelkie warunki niezbędne do zdobycia popularności: dzielny, miły, prosty w obejściu, artysta, oficer rezerwy; doszedłem do czegoś, byłem bogaty, a jednak, a jednak pochodziłem „z ludu”

i nigdy się tego nie zapierałem; nie dla pieniędzy, sławy, nie dla kobiet ujmowałem w formuły algebrę przyszłości, zmieniałem x, y, z na wielkości realne, na gospodarstwa rolne, konta bankowe, na potęgę, którą rozdarałbym i którą mi wciąż w dwójnasób zwracano; uśmiechnięty Dawid, drobny, nie przybierający i nie tracący ani funta na wadze; jeszcze dziś mógłbym włożyć na siebie mundur porucznika z roku 1897; ciężko dotknęły mnie fakty nieprzewidziane, których tak gorąco pragnąłem: miłość żony i śmierć naszej córki, Joanny; była

prawdziwą Kilbówną, miała dopiero półtora roku - ale w jej dziecięcych oczach, jak w oczach mego milczącego ojca, na ciemnym dnie tych oczu, które zdawały się znać już śmierć, widziałem prastarą mądrość; szkarlatyna rozplenila się na tym małym ciałku jak straszliwy chwast, pięła się w górę od bioder, opadała aż ku stopom, gorączka wrzała i rosła biała śmierć, rozrastała się jak pleśń pod kwitnącą czerwienią, przerażała ją, wydobywała się czernią z nozdrzy; nieprzewidziane wydarzenie, tak przeze mnie upragnione, spadło jak przekleństwo, czyhało w tym strasznym domu; wybuchł spór, gwałtowna wymiana słów z proboszczem od św. Seweryna, z teściami, szwagrami, ponieważ nie życzyłem sobie śpiewanej mszy żałobnej; obstawałem przy tym i postawiłem na swoim; przerażłem się, kiedy podczas nabożeństwa żałobnego dobiegł mnie szept Joanny: „Chryste”.

Nigdy nie wypowiadałem tego imienia, zaledwie śmiałem je pomyśleć, a jednak wiedziałem: byłem w jego władzy. Ani różaniec Domgreve'a, ani słodkokwaśne cnoty marzących o wydaniu się córek gospodarzy, ani interesy z konfesjonałami z szesnastego wieku, sprzedawanymi na potajemnych licytacjach za drogie pieniądze, które Domgreve wymieniał potem w Locarno na tanie grzeszki; ani ponure występki obłudnych księży, których świadkiem bywałem: nędzne uwodzenie upadłych dziewcząt; ani milcząca surowość ojca - nic nie mogło zabić we mnie tego słowa, które Joanna szeptem wymówiła obok mnie: „Chryste”; ani nie kończące się podróże w aerodynamicznych tunelach, odwiecznej gorączy i rezygnacji, kiedy na lodowatych oceanach przyszłości, otoczony samotnością jak ogromnym kołem ratunkowym, dodawałem sobie sił śmiechem; tego słowa nic we mnie nie zdołało zabić; byłem małym Dawidem z procą i małym Danielem w jaskini lwa, i gotów byłem przyjąć nieprzewidziane wydarzenie, którego tak pragnąłem: śmierć Joanny 3 września 1910 roku. Także i tego ranka przejeżdżali ulani, końskie kopyta stukały po kocich łbach; dziewczyny roznoszące mleko, chłopcy od piekarza, klerycy w powiewających sutannach; ranek; dzik przed sklepem Gretza, lepki smutek lekarza domowego, który od czterdziestu lat wystawiał świadectwa urodzin i zgonu Kilbów. W

zniszczonej skórzanej teczce nosił zestaw bezużytecznych instrumentów, które mu pomagały ukrywać daremność jego usiłowań; zakrył zniekształcone ciało, ale ja je z powrotem odkryłem; pragnąłem zobaczyć ciało Łazarza, oczy mego ojca, którymi to dziecko nie chciało patrzeć dłużej niż półtora roku, a obok w sypialni krzyczał Henryk; dzwony u św. Seweryna rozbijały czas na skorupy, dzwoniły na mszę o dziewiętej; Joanna miałaby teraz pięćdziesiąt lat.

- Bony pożyczki wojennej, Leonoro? Nie subskrybowałem jej, pochodzą ze spadku po moim teściu. Do ognia z nimi, tak jak z banknotami; dwa ordery? Oczywiście, przecież budowałem sapy, ciągnąłem linie wykopów, umacniałem stanowiska artyleryjskie, trwałem pod huraganowym ogniem, wyciągałem rannych spod ostrzału; druga klasa, pierwsza klasa, podaj mi je, Leonoro, no, daj: wrzucimy je do rynny; pochowamy je w błocie pokrywającym dno rynny. Kiedyś Otto znalazł je w szafie; stałem przy stole kreślarskim i za późno dostrzegłem fatalny błysk w oczach chłopca: zobaczył je i jego szacunek dla mnie wzrósł. Za późno. Wyrzuć je przynajmniej dziś, żeby Józef nie znalazł ich kiedyś w spuściźnie, jaka po mnie zostanie.

Ordery zabrzczały z cicha, kiedy je zepchnął z pochyłego dachu do rynny; wpadając w mą, odwróciły się matową stroną do góry.

- Dlaczego pani się tak przeraziła, moje dziecko? Przecież te ordery należą do mnie i mogę z nimi robić, co zechcę; za późno, ale może jeszcze w porę. Miejmy nadzieję, że wkrótce zacnie padać deszcz i spłucze do rynny cały kurz z dachu; późno składałem tę ofiarę pamięci mego ojca. Precz z honorem ojców, dziadów i pradziadów.

Czułem dość siły w sobie, a jednak jej nie miałem, odczytywałem algebrę przyszłości z moich formuł, które przekształcały się w figury; opaci i arcybiskupi, generałowie i kelnerzy, wszyscy byli moimi statystami; tylko ja występowałem jako solista, nawet kiedy w piątkowe wieczory w Niemieckim Związku Miłośników Śpiewu otwierałem usta i śpiewałem wraz z innymi. *Cóż tak błyszczą pod lasem w promieniach słońca?* Śpiewałem dobrze, nauczyłem się tego od ojca, z tłumionym uśmiechem uprawiałem swoje barytonowe malarstwo

dźwiękowe; wywijający pałeczką dyrygent nie domyślał się nawet, że jest posłuszny mojej pałeczce; zapraszano mnie do obowiązkowego udziału w życiu towarzyskim, proponowano zlecenia, śmiejąc się klepano po ramieniu: „Stosunki towarzyskie, młody przyjacielu, to sól życia”. Siwowłosi koledzy zagadywali mnie z kwaśną miną
O to i owo, ale ja tylko śpiewałem: Cóż tak błyszczysz pod lasem, od wpół do ósmej do dziesiątej, ani minuty dłużej. Mój mit musiał być gotów, zanim wybuchnie skandal. Kalafior nie ulega zepsuciu.

Wędrowałem z żoną i dziećmi w górę doliny Kissy; chłopcy próbowali łowić pstrągi; szliśmy wśród winnic i pól pszenicy, zagonów buraczanych i połaci lasu, na dworcu w Denklingen piliśmy piwo i lemoniadę - a ja wiedziałem przecież, że dopiero przed godziną oddałem rysunki, wziąłem pokwitowanie; jeszcze otaczała mnie samotność jak ogromne koło ratunkowe, jeszcze płynąłem unoszony przez czas, pogrążałem się w doliny fal, przemierzałem oceany przeszłości i teraźniejszości, chroniony przez samotność nie tonąłem, wdierałem się głęboko w lodowate zimno przyszłości, miałem przy sobie żelazną porcję mego śmiechu, którą oszczędnie gospodarowałem, wynurzałem się na powierzchnię, przecierałem oczy, piłem szklankę wody, zagryzałem kawałkiem chleba

I z cygarem w ustach stawałem przy oknie: tam, po przeciwnej stronie ulicy, ona spacerowała po tarasie, ukazywała się chwilami w odsłoniętym miejscu pergoli, wychylona za balustradę spoglądała w dół na ulicę i widziała to samo, co ja: praktykantów, ciężarówki, zakonnice, ruch uliczny; miała dwadzieścia lat, nazywała się Joanna, czytywała *Intrygę*

i miłość; znałem jej ojca, huczący bas kółka śpiewaczego; ten głos nie pasował moim zdaniem do nieskazitelności jego kancelarii; nie było w nim ani śladu dyskrecji, którą wpajano kancelaryjnym praktykantom; ten głos był stworzony do tego, by budzić grozę, brzmiał tajemnym grzechem. Czy ojciec Joanny wiedział, że jego jedyna córka zostanie moją żoną? Ze już w ciche popołudnia wymieniamy czasem uśmiechy? Ze już myślę o niej żarliwie jak oficjalny narzeczonny? Miała czarne włosy, bladą cerę i wiedziałem, że nie pozwolę jej nosić rezedowej

sukni; w jaskrawozielonym będzie jej do twarzy; podczas moich popołudniowych spacerów wybierałem już dla niej suknie i kapelusze na wystawie sklepu Herminy Horusch-ka, koło którego przechodziłem co dzień dwadzieścia przed piątą, w deszcz i wiatr, i w blasku słońca; wyzwolę Joannę z prawości, będącej w niezgodzie z głosem jej ojca, będę jej kupował wspaniałe kapelusze, wielkie jak kola u powozu, plecione ze sztywnej zielonej słomki; nie pragnąłem być jej władcą, pragnąłem ją kochać i nie chciałem dłużej czekać. W niedzielę rano, uzbrojony w kwiaty, zajadę powozem około wpół do dwunastej, kiedy skończy się śniadanie po powrocie z sumy i mężczyźni przejdą do gabinetu na kieliszek wódki: „Proszę o rękę pańskiej córki”. Co dzień po południu, kiedy wynurzałem się z moich oceanów, ukazywałem się jej tutaj, w oknie pracowni, składałem ukłon, wymienialiśmy uśmiechy i wycofywałem się z powrotem w ciemność; ukazywałem się w oknie, aby odebrać Joannie pewność, że nikt jej nie obserwuje; nie chciałem czaić się jak pajak w sieci; to byłoby dla mnie nie do zniesienia, gdybym patrzył na nią nie będąc przez nią widziany; są rzeczy, których się *nie robi*.

Jutro dowie się, kim jestem. Skandal. Będzie się śmiała, a już za rok będzie mi czyściła spodnie ze śladów wapna; i będzie to robiła, kiedy ja będę miał czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat; będzie czarującą starszą panią u mego boku; postanowiłem to nieodwołalnie 30 września 1907, około wpół do czwartej po południu.

- Tak, Leonoro, niech pani zapłaci; proszę wziąć pieniądze z kasetki i dać dziewczynce dwie marki napiwku, tak, dwie marki; to sweterek i spódnica od Herminy Horuschka dla mojej wnuczki Rut, która dziś miała wrócić z wakacji; do twarzy jej w zielonym; szkoda, że dziś młode dziewczyny nie noszą kapeluszy; zawsze lubiłem kupować kapelusze. Czy zamówiła pani taksówkę? Dziękuję, Leonoro. Czy nie dość pracy na dziś? Jak pani sobie życzy; oczywiście, trochę z ciekawości, prawda? Nie ma pani powodu się rumienić. Owszem, chętnie napiję się jeszcze kawy. Powiniennem był dowiedzieć się, kiedy jest koniec wakacji; ale Rut wróciła? Czy mój syn nic pani nie mówił?

Chyba nie zapomniał

o zaproszeniu na moją urodzinową kolację? Wydałem dyspozycję, żeby portier przyjmował na dole kwiaty i telegramy, prezenty i bilety wizytowe, dawał każdemu posłańcowi dwie marki napiwku i mówił, że wyjechałem; jeśli pani ma ochotę, proszę wybrać najładniejszą wiązanek albo dwie i wziąć je do domu, a jeśli to pani istotnie robi przyjemność, to niech pani spędzi tu resztę popołudnia.

Filizanka, świeżo napełniona kawą, przestała dygotać; widocznie przerwano druk budujących tekstów lub plakatów wyborczych na białym papierze; w mojej ramie nie zmienił się obraz: po przeciwnej stronie ulicy pusty taras domu Kilbów; koło pergoli znużone nasturcje; profil dachów, na dalszym planie góry pod promiennym niebem: w tej ramce widywałem moją żonę, później dzieci, widywałem teściów, kiedy wpadałem na górę do pracowni, aby od czasu do czasu zajrzeć przez ramię gorliwym młodym architektom, którzy mi pomagali, sprawdzić jakąś kalkulację, ustalić terminy; praca była mi równie obojętna jak słowo „sztuka”; inni mogli ją wykonywać tak samo jak ja, płaciłem im za to dobrze. Nigdy nie rozumiałem fanatyków, poświęcających się dla słowa „sztuka”; pomagałem im, śmiałem się z nich, dawałem im pracę, ale rozumieć? Nie, nie pojmowałem tego, rozumiałem tylko, co to jest rzemiosło, choć uchodziłem za artystę i jako artysta byłem podziwiany; czyż willa, którą zbudowałem dla Grałduka, nie była naprawdę śmiałą, nowoczesną? Owszem, była i nawet moi artystycznie usposobieni koledzy podziwiali ją i wychwalali, a ja zrobiłem projekt, wybudowałem willę, nie wiedząc w ogóle, co to jest sztuka; oni brali to zbyt poważnie, może właśnie dlatego, że tak dobrze się na tym znali, a jednak budowali obrzydliwe pudła, które, jak już wtedy wiedziałem, za dziesięć lat miały budzić tylko wstręt; a przecież potrafiłem także zakasać rękawy, stanąć tu, przy stole kreślarskim, i zaprojektować: biurowiec towarzystwa użyteczności publicznej „Societas”; wtedy ci głupcy, którzy uważali mnie za żądnego bogactwa i sławy chłopskiego syna, rozdziawiali gęby ze zdziwienia i do dziś nie wstydzą się tego pudła, które zbudowałem przed czterdziestu sześciu laty. Czy to jest sztuka? Niech sobie będzie, ale ja nigdy tego nie

wiedziałem, może ją uprawiałem nieświadomie. Nigdy nie brałem poważnie tego słowa, podobnie jak nie rozumiałem wściekłości, jaką budziłem w tamtych trzech koryfeuszach architektury; mój Boże, czy nie wolno mi było pozwolić sobie na taką gierkę, czy Goliaci muszą być całkowicie pozbawieni poczucia humoru? Oni wierzyli w sztukę, a ja nie, byli urażeni na honorze przez jakiegoś przybłądę. Ale przecież każdy musiał się skądś przybłąkać. Śmiałem się otwarcie, wpakowałem ich w sytuację, w której nawet moja klęska byłaby zwycięstwem, zwycięstwo zaś - triumfem.

Współczułem im niemal, kiedy szliśmy po schodach muzeum, trudno mi było nadać moim krokom pełen godności uroczysty rytm, do którego tamci, urażeni, od dawna przywykli; ów rytm kroku, jakim wstępuje się po schodach katedr za królami i biskupami; kroku z uroczystości odsłonięcia pomnika, kroku świadczącego o właściwym stopniu podniecenia, kroku nie za powolnego ani za szybkiego; oni wiedzieli, co to znaczy godność; ja tego nie wiedziałem, najchętniej wbiegłbym po schodach jak szczeniak, po tych kamiennych stopniach, obok posągów rzymskich legionistów, których ułamane miecze, dzidy czy różgi można było wziąć za pochodnie; obok popiersi Cezarów, naśladownictw nagrobków dziecięcych, na pierwsze piętro, gdzie między Niderlandczykami i Nazareńczykami mieściła się sala konferencyjna; obywatelska powaga; gdzieś w głębi powinny były w tej chwili zahuczeć bębny; tak właśnie wstępuje się na stopnie ołtarza i stopnie szafotu, tak się wstępuje na trybunę, aby przyjąć order lub wyrok śmierci; tak również odgrywa się uroczystości na amatorskich przedstawieniach, ale ci, co kroczyli obok mnie, nie byli amatorami: Brehmockel, Grumpeter i Wollersein.

Zmieszani woźni w galowych mundurach stali przed Rembrandtami, van Dyckami i Overbeckami; przy marmurowej balustradzie, w mroku galerii przed salą konferencyjną, czekał Meeser, dzierżąc srebrną tackę z kieliszkami, aby przed ogłoszeniem wyroku podać nam koniak; Meeser wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu; nie umówiliśmy się przedtem, ale czy mimo to nie mógł mi dać jakiegoś znaku? Skinąć lub potrząsnąć głową: tak albo nie? Nic. Brehmockel

szeptał z Wollerseinem, Grumpeter zagadnął Meesera, wcisnął srebrną monetę w jego obojętną dłoń, której nienawidziłem już w dzieciństwie. Cały rok służywaaliśmy razem do mszy; stare chłopaki mruczały za naszymi plecami, z uporem odmawiały na własną rękę różaniec, lekceważąc przepisową liturgię. Czuć było zapach siana, zapach mleka, ciepło stajni, podczas kiedy obaj z Meeserem pochylaliśmy się ku przodowi, aby przy *mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa* odbębnić na własnych piersiach winę za nie wypowiedziane grzechy; a kiedy proboszcz wchodził po stopniach ołtarza, ręce Meesera, te ręce, które w tej chwili mocno ujęły srebrną monetę Wollerseina, wykonywały sprośne gesty; ręce, którym dziś powierzano klucze od muzeum miejskiego, klucze od Holbeina i Halsa, Lochnera i Leibla.

Ze mną nikt nie rozmawiał; mnie pozostała tylko zimna marmurowa balustrada, o którą się oparłem; spojrzałem w dół, na wewnętrzny dziedziniec, gdzie burmistrz z brązu z nieubłaganą powagą wypinał kałdun ku stuleciom, a marmurowy mecenas sztuki opuścił powieki na swoje żabie oczy, daremnie usiłując wywołać w ten sposób wrażenie zadumy; puste były oczy posągu, *tak jak oczy rzymskich matron z marmuru, świadczące o cierpieniach, jakie niosą ze sobą okresy kultury. Meeser poczłapał do kolegów, Brehmockel, Grumpeter i Wollersein stali zbici w gromadkę; grudniowe niebo nad wewnętrznym dziedzińcem było zimne i czyste; z ulicy dochodziły wrzaski pierwszych tego wieczora pijaków, dorożki toczyły się w kierunku teatru, delikatne kobiece twarze, przesłonięte rezedowym welonem, cieszyły się na *Traviatę*. Stałem między Meeserem i trzema urażonymi jak trędowaty, którego dotknięcie przynosi śmierć; tęskniłem do surowej liturgii mojego rozkładu dnia, kiedy jeszcze trzymałem w ręku nici gry, kiedy mogłem jeszcze regulować istnienie i nieistnienie, dozować swój mit. Przestałem być panem tej gry; skandal; pogłoski; kroki opata w mojej pracowni; przedsiębiorcy budowlani przysyłali mi kosze z wiktuałami, złote zegarki w czerwonych aksamitnych pudełeczkach, a jeden napisał do mnie: „...i z całą pewnością nie odmówiłbym panu ręki mojej córki...”; *pełna datków prawica ich*.

Nie przyjąłbym od nich nic, ani jednej cegły; kochałem opata.

Czyżbym rzeczywiście choć przez króciutką chwilę myślał zastosować wobec niego trik Domgreve'a? Czerwieniłem się ze wstydu na myśl, że przez króciutką chwilę mógłbym istotnie mieć ten zamiar; to, czego nie przewidziałem, wydarzyło się: pokochałem Joannę, córkę Kilbów, i pokochałem opata; mogłem już zajechać o wół do dwunastej przed dom Kilbów, wręczyć kwiaty, powiedzieć: „Proszę o rękę pańskiej córki” - a Joanna nadeszłaby później, mrugnęła do mnie i nie szepnęłaby cichutko: „tak”, lecz powiedziałyby to głośno i wyraźnie. Wciąż jeszcze odbywałem spacer między piątą a szóstą, wciąż jeszcze grywałem w bilard w klubie oficerów rezerwy, a mój śmiech, z którego czerpałem teraz hojniej, nabrał mocy dzięki mrugnięciom Joanny; i wciąż jeszcze co piątek śpiewałem w moim kółku: *Cóż tak blyszczy pod lasem*.

Powoli przysunąłem się wzdłuż zimnej marmurowej balustrady do trzech urażonych, odstawiłem na tackę pusty kieliszek; czy cofną się przed trędowatym? Nie cofnęli się; czyżby oczekiwali ode mnie pokory? „Panowie pozwolą, że się przedstawię: Fähmel”. Mój Boże, czyż każdy z nich skądś się nie przybłąkał, czyż Grumpeter w młodości nie doił krów hrabiego von Telm, nie rozrzucił krowiego nawozu na pachnącej ziemi, zanim odkrył swoje powołanie do architektury? Trąd jest uleczalny, uleczalny na wybrzeżu Lago Maggiore, w ogrodach Minusio; czy także trąd zacnych przedsiębiorców budowlanych, którzy kupowali na rozbiórkę romańskie kościoły łącznie z ich inwentarzem, starymi posągami Madonny i ławkami? Którzy inwentarzem tym ozdabiali salony Nowego i Starego Świata? Sprzedawali do salonów kokot konfesjonały, przy których przez trzysta lat pokorni chłopcy szepsem wyznawali swe grzechy? Trąd jest uleczalny w pałacach myśliwskich i w Bad Ems.

Śmiertelnie poważne twarze urażonych skamieniały, kiedy otworzono drzwi do sali konferencyjnej; ukazała się ciemna sylwetka, nabrała konturów, barwy; pierwszy członek jury wszedł do galerii: Hubrich, profesor historii sztuki na wydziale teologii; „tylko po moim trupie”; jego czarna sutanna wyglądała w tym oświetleniu jak szata rembrandtowskiego członka Rady; Hubrich podszedł do tacki, wziął

kieliszek z likierem, usłyszałem głębokie westchnienie, które wyrwało mu się z piersi; mijając trzech urażonych, którzy próbowali podbiec ku niemu, odszedł w najdalszy kąt galerii; surowość jego kapłańskiego stroju łagodził biały szalik, a jasne loki, po dziecięcemu opadające na kołnierzyk, potęgowały wrażenie, które Hubrich chciał wywoływać: wyglądał jak artysta. Można go było sobie wyobrazić z dłutem snycerskim nad kawałem drewna, z cieniutkim pędzelkiem zanurzonym w ciekłym złocie, pokornie oddanego swemu dziełu, malującego włosy Madonny, brody proroków lub przygotowującego pieskowi Tobiasza filuterny zawijas na końcu ogona. Cicho sunęły po linoleum stopy Hubricha, znużonym skinieniem odpowiedział na ukłony urażonych, podążył w mrok galerii, ku Rembrandt-owi i van Dyckowi. A więc na tych wąskich barkach spoczywała odpowiedzialność za kościoły, szpitale, przytułki, w których jeszcze za sto lat zakonnice i wdowy, sieroty i pacjenci przychodni lekarskich, trudne dzieci i upadłe dziewczęta będą musiały znosić zapachy kuchenne wymarłych pokoleń; ciemne korytarze, beznadziejne tylne fasady, dzięki martwym mozaikom jeszcze beznadziejniejsze, niż to przewidywały plany architektoniczne; oto kroczył praeceptor et arbiter architecturae ecclesiasticae, który od czterdziestu lat z patetycznym zapałem i ślepą afektacją głębokiego przekonania propagował styl neogotycki; z pewnością już będąc chłopcem, kiedy w rodzinnym mieście przemysłowym dreptał pustymi ulicami na peryferiach, z triumfem niosąc do domu otrzymane piątki, postanowił w obliczu dymiących kominów i ciemnych fasad domów uszczęśliwić ludzkość i zostawić po sobie jakiś ślad na tej ziemi; i pozostawiał go; czerwonawe, z biegiem lat coraz bardziej posępne ceglane fasady, z których nisz ponurzy święci spoglądali w przyszłość wzrokiem pełnym niezniszczalnej melancholii.

Meeser usłużnie podsunął tackę drugiemu członkowi jury: likier dla Krohla; jowialny palacz cygar, mięsożerny smakosz, z cerą świadczącą o słabości do czerwonego wina, szczupły mimo upływu lat, niezastąpiony konserwator katedry św. Seweryna: gołębi pomiot,

para z lokomotyw, chemicznie zatrute chmury ze wschodnich przedmieść, ostre wilgotne wiatry z zachodnich, słońce z południa i chłody z północy, wszystkie przemysłowe i naturalne wpływy klimatyczne zapewniały jemu i jego następcom dożywotnie zatrudnienie; miał czterdzieści pięć lat, a więc pozostawało mu jeszcze dwadzieścia lat na rzeczy, które naprawdę lubił: jadło, trunki, cygara, konie i dziewczęta pewnego szczególnego gatunku, jakie spotyka się w pobliżu stajen lub podczas polowań na lisy: amazonki o wyrobionych mięśniach i męskim zapachu. Dokładnie przestudiowałem moich przeciwników. Krohl maskował swoją absolutną obojętność wobec problemów architektonicznych wyszukaną, niemal chińską uprzejmością, gestami podpatrzonymi u pobożnych biskupów; ruchy Krohla były ruchami idealnie odpowiednimi na uroczystość odsłonięcia pomnika; znał także kilka doskonałych kawałów, które stale aplikował w pewnej ustalonej kolejności, a że mając dwadzieścia dwa lata wykuł na pamięć *Podręcznik architektury* Handkego i już wtedy postanowił do końca życia ciągnąć korzyści z tego wysiłku, zawsze w momentach, w których musiał sięgnąć do słownictwa architektonicznego, cytował „nieśmiertelnego Handkego”; na posiedzeniach jury bezwstydnie bronił projektu, którego autor przyrzekł mu największą łapówkę, a kiedy zauważył, że ów projekt nie ma najmniejszych szans, błyskawicznie zmieniał front wypowiadając się za faworytem; wołał bowiem powiedzieć „za” niż „przeciw”, z tej prostej przyczyny, że „za” składa się tylko z dwóch liter, podczas gdy „przeciw” z siedmiu, ponadto zaś słowo „przeciw” ma tę złą stronę, że nie daje się wymówić przy użyciu wyłącznie języka i zębów, lecz wymaga zaangażowania w tym celu energii całych ust, niemal aż do nozdry; przy tym potrzebny jest jeszcze wyraz twarzy świadczący o głębokim przekonaniu, czego wypowiedzenie słowa „za” nie wymaga. Krohl także westchnął, także i on potrząsnął głową, i omijając trzech urażonych, poszedł w drugi koniec galerii, do Nazareń- czyków.

Na przeciąg sekundy w świetlistym czworoboku drzwi widoczny

był tylko stół pokryty zielonym suknem, karafka z wodą, popielniczka i kłęb niebieskiego dymu z cygara Krohla; wewnątrz panowała cisza, nie słycać było nawet szeptu; w powietrzu wisiały wyroki śmierci; rodziła się wrogość po wieczne czasy; dla Hubricha szła gra o honor lub hańbę, poprzysiął zaś, już jako uczeń piątej klasy, że nie dopuści, aby kiedykolwiek spadła na niego hańba; chodziło

o straszliwe upokorzenie, jakim byłaby konieczność wyznania arcybiskupowi, że został pokonany. „No, a gdzież twój trup?” zapyta go książę Kościoła z właściwym sobie poczuciem humoru. Dla Krohla gra szła o willę nad jeziorem Como, którą mu obiecał Brehmockerl.

W szeregach woźnych rozległy się szepty; Meeser syknięciem nakazał zachowanie ciszy: w drzwiach sali stanął Schwebringer; był niski, delikatnej budowy jak i ja; nie tylko uchodził za nieprzekupnego, ale był nim istotnie. Chodził w podniszczonych bryczesach i cerowanych pończochach; włosy miał ostrzyżone do skóry, co nadawało czarny odcień jego czaszce; w jego oczach, przypominających rodzynki, czaił się uśmiech. Schwebringer reprezentował pieniądze, administrował fundacją stworzoną przez naród; reprezentował przemysłowca i króla, ale także i młodszego ekspedienta, który wpłacił dziesięć marek, i staruszkę, która wygrzebała na składkę trzydzieści fenigów; Schwebringer miał upłynniać konta, wystawiać czeki, kontrolować rachunki, z kwaśną miną akceptować zaliczki; był on konwertytą i żywił ukrytą namiętność do baroku; uwielbiał unoszące się w powietrzu anioły, pozłacane krzesła w stallach, pękate ambony, białe lakierowane kazalnice, uwielbiał woń kadzidła i śpiew chłopięcych chórów. Schwebringer to była potęga: konsorcja bankowe były mu posłuszne jak szlabany dróżnikowi; wywierał wpływ na kształtowanie się kursów, rozkazywał hutom stalowym; ze swymi twardymi ciemnymi oczami jak rodzynki robił wrażenie, jakby wypróbował bez rezultatu wszelkie dostępne mu środki przeczyszczające i czekał na wynalezienie leku naprawdę skutecznego; wziął kieliszek nie kładąc

na tacy napiwku; stał o dwa kroki ode mnie: w bryczesach i pocerowanych pończochach wyglądał jak wyranżerowany zawodowy kolarz; nagle spojrzął na mnie, uśmiechnął się, odstawił pusty kieliszek i skierował się ku kątowi Niderlandczyków, w którym zniknął poprzednio Hubrich. Również i Schwebringer nie zaszczycił trzech urażonych ani jednym słowem.

2 sali posiedzeń dochodził teraz szept, widocznie opat rozmawiał z Gralduke'em; widać było jedynie zielony stół, popielniczkę, karafkę z wodą; egzekucja została odroczone; spór wisiał w powietrzu; zdawało się, że w kolegium sędziowskim wciąż jeszcze nie osiągnięto jednomyślności.

Teraz ukazał się Gralduke, wziął dwa kieliszki z tacy Meesera, chwilę stał i widać było, że się waha, spojrzął ku Krohlowi; był wysoki, potężnych rozmiarów i przyzwoitszy, niżby to można sądzić po workach pod oczami. Gralduke reprezentował prawo, czuwał nad nienagannym z prawnego punktu widzenia przebiegiem głosowania, protokołował uchwały. Gralduke o mało sam nie wstąpił do zakonu; dwa lata śpiewał w chórze gregoriańskim, który nadał lubił; potem wrócił do życia świeckiego, aby ożenić się z prześliczną dziewczyną, z którą spłodził pięć prześlicznych córek; obecnie rządził krajem jako nadprezydent; dzięki niemu oddawano fundacjom grunty, to on przeprowadził żmudną i drobiazgową pracę wydzielania łąk i lasów z zagmatwanych katastrów, urabiał upartych burmistrzów, anulował prawa rybackie do nędznych sadzawek, zamieniał hipoteki na brzęczące srebro, uspokajał banki i towarzystwa ubezpieczeń.

Powoli wracano do sali posiedzeń; wąska dłoń opata wezwała Meesera, który zniknął na pół minuty, znów się zjawił i donośnie oznajmił na całą galerię: „Polecono mi zakomunikować członkom jury, że przerwa skończona”. Pierwszy wrócił z kąta Nazareńczyków Krohl; z jego twarzy można było wyczytać: „za”. Schwebringer wynurzył się sam z kąta Niderlandczyków i szybkim krokiem wszedł na salę; Hubrich, ostatni, o bladej twarzy, śmiertelnie ugodzony, potrząsając głową przeszedł obok trzech urażonych; Meeser zamknął za nim drzwi, spojrzął na swoją tacę, na dziewięć pustych

kieliszków, pogardliwie brzęknął niepokąznym łupem napiwków; podszedłem do niego i rzuciłem na tacę talara; upadł z głośnym, ostrym stukiem, trzej urażeni z lękiem spojrzeli w tę stronę; Meeser wykrzywił twarz w uśmiechu, dziękując dotknął ręką czapki i szepnął: „I pomyśleć, że jesteś tylko synem trochę stukniętego zakrystiana!”.

Od dawna ucichły głosy jadących dorożek; *Traviata* już się rozpoczęła; nieruchomym szpalerem stali woźni wśród rzymskich legionistów, matron i ułamanych kolumn świątynnych. Zgiełk wtargnął jak fala gorąca w chłodny wieczór; panowie z prasy pokonali opór pierwszego woźnego, już drugi bezradnie podniósł ręce w górę, trzeci spojrzął ku Meeserowi, który syknięciem nakazywał zachowanie ciszy; młody dziennikarz, który przemknął się koło Meesera, podbiegł ku mnie, potarł nos rękawem i powiedział cicho: „Odniósł pan zdecydowane zwycięstwo”. W głębi czekali już dwaj czcigodni redaktorzy działów kulturalnych, brodaci, w czarnych kapeluszach, z wnętrzem spustoszoną przez patos uduchowionych wierszy; trzymali w należyтым dystansie mniej czcigodny tłum: dziewczynę w okularach, chudego socjalistę; było tak aż do chwili, kiedy opat otworzył drzwi, podbiegł szybko, bez tchu, jak mały chłopiec, objął mnie ramieniem i usłyszałem głos wołający: „Fahmel, Fahmel!”.

Wrzawa dochodziła aż na górę; w dziesięć minut potem, gdy ustało drżenie parapetu, roześmiane robotnice wysypały się z bramy, wnosząc swoją dumną zmysłowość w wolny od pracy wieczór; był to jeden z owych ciepłych jesiennych dni, kiedy pachnie trawa pod cmentarnym murem; Gretz nie sprzedał dziś swego dzika, na którego ryju zakrzepła ciemna krew. W ramie, w której zmieniał się obraz, widać było taras na przeciwległym dachu: biały stół, zielona drewniana ławka, pergola obrośnięta znużonymi nasturcjami; czy dzieci Józefa i dzieci Rut będą kiedyś chodziły tam i z powrotem po tarasie, czytając *Intrygę i miłość*? Czy widział tam kiedy Roberta? Nie, nigdy, Robert przesiadywał w swoim pokoju, trenował w ogrodzie, tarasy na dachach były za małe do uprawianych przez

niego sportów: palanta, biegu na sto metrów.

Zawsze trochę się go lękałem, oczekiwałem po nim czegoś niezwykłego, nie zdziwiłem się nawet, kiedy tamten chłopiec z pochylonymi ramionami położył na nim sekwestr. Gdybym tylko wiedział, jak się nazywał ten drugi, który wrzucał do naszej skrzynki na listy maleńkie karteczki z wiadomościami od Roberta; nigdy się nie dowiedziałem, Joanna nie mogła tego także wydobyć od Dröschera. Temu chłopcu należy się pomnik, który mnie wystawia; nie zdobyłem się na to, aby pokazać drzwi Nettlingerowi i zabronić temu Vacano wstępu do pokoju Ottona. To oni przynieśli do mego domu *sakrament byka*, zamienili w kogoś obcego chłopca, którego kochałem, mego małego, którego zabierałem na budowę, który ze mną chodził po rusztowaniach.

Taksówka? Taksówka? Czy to taksówka z 1936 roku, którą jechałem z Joanną do „Kotwicy” w Górnym Porcie? A może taksówka z roku 1942, którą odwoziłem Joannę do zakładu wDenklingen? Albo ta z roku 1956? Pojechałem nią z Józefem do Kisslingen, aby mu pokazać budowę, na której on, mój wnuk, syn Roberta i Edyty, miał zająć miejsce dziadka. Zburzone opactwo, stos kamieni, pyłu i pokruszonego tynku; Brehmockel, Grumpeter i Wollersein z pewnością triumfowałyby na ten widok. Ja nie triumfowałem, ujrząwszy po raz pierwszy w 1945 roku tę kupę gruzów; w zamyśleniu obszedłem ją dokoła, spokojniejszy, niż tego zapewne oczekiwano; czy oczekiwali moich łez, oburzenia? „Znajdziemy winnego”. „Po co? - spytałem.

- Zostawcie go w spokoju”. Oddałbym dwieście opactw, gdyby mi za to zwrócono Edytę, Ottona lub tego obcego chłopca, który wrzucał karteczki do naszej skrzynki na listy i tak drogo za to musiał zapłacić; choć ta zamiana nie została przyjęta, rad byłem, że zapłaciłem przynajmniej tym: kupą gruzów, moim „młodzieńczym dziełem”. Ofiarowałem je Ottonowi i Edycie, tamtemu chłopcu i terminatorowi od stolarza, chociaż wiedziałem, że im się to na nic nie zda; nie żyli; czy ta kupa gruzu należała do owych *nieprzewidzianych* wydarzeń, których tak gorąco pragnąłem? Zakonników dziwił mój

uśmiech, a mnie dziwiło ich oburzenie.

- Taksówka? Już idę, Leonoro. Niech pani pamięta o moim zaproszeniu: o dziewiątej w kawiarni Kronera, urodzinowa kolacja. Szampana nie będzie. Nienawidzę szampana. Niech pani zabierze z portierni kwiaty, skrzyneczki cygar, depesze z życzeniami i niech pani nie zapomni - opluć mój pomnik.

A więc to plakaty wyborcze drukowano w godzinach nadliczbowych na białym papierze; stopy ich tarasowały korytarze, klatkę schodową, sięgały aż pod drzwi jego pracowni, na każdej paczce naklejony był wzór; wszystkie te dobrze ubrane wzory uśmiechały się do niego, nawet na plakatach można było rozróżnić kamgarnową nić w ich garniturach; obywatelska powaga i obywatelski uśmiech domagały się zaufania i optymizmu; byli wśród nich młodzi i starzy, ale młodzi wydawali mu się jeszcze straszniejsi niż starzy; odprawił ruchem ręki portiera, który chciał go zwabić do swej dyżurki, aby obejrzał przepych kwiatów, otworzył telegramy, ocenił podarunki; wsiadł do taksówki, której drzwiczki otworzył przed nim kierowca.

- Proszę do Denklingen, do zakładu dla nerwowo chorych

- powiedział cicho.

Rozdział piąty

Błękitne niebo, otynkowany mur, wzdłuż którego topole jak szczeble drabiny wiodły w górę i w dół, na dziedziniec, gdzie jeden z dozorców zgarniał łopatą liście do dołu z kompostem; mur był za wysoki, odstęp między szczeblami \surd zbyt duże; musiał stawiać trzy lub cztery kroki, aby dostać się z jednego szczebla na drugi.

Ostrożnie! Dlaczego żółty autobus musi wjeżdżać tak wysoko, pełzną pod murem jak żuk? Przywiózł dziś tylko jednego człowieka: jego. Czy to on? Kto? Zebyż wspiął się aż tu, czepiając się szczebla po szczeblu! Ale nie: zawsze wyprostowany i nieugięty, nie chce się poniżyć; tylko kiedy przyklękał w ławce kościelnej albo w dołku startowym, rezygnował z wyprostowanej postawy. Czy to on? Kto?

Na drzwiach w ogrodzie i w Parku Blessenfeldzkim przybite

starannie wymalowane tabliczki: 25, 50, 75, 100; przyklękał w dołku startowym, mruzczał sam do siebie: „Na miejsca, gotów, start!”, biegł, zwalniał tempo, wracał; odczytywał czas na stoperze, zapisywał w zeszytcie z marmurkową okładką, leżącym na ogrodowym stoliku; i znów przyklękał w dołku, mruzczał komendę, biegł, zwiększał nieco tempo na wy- próbowywanym dystansie; nieraz długo trwało, zanim zaczął wybiegać poza 25, jeszcze dłużej, zanim osiągał 50, na zakończenie przebiegał cały dystans do znaku 100 i zapisywał osiągnięty czas w zeszytcie: 11,2. Było to jak fuga, precyzyjne, podniecające, a jednak miało w sobie okresy wielkiej nudy, ziewającą nieskończoność w letnie popołudnia w ogrodzie lub w Parku Blessenfeldzkim; start, powrót, start, nieznaczne przyśpieszenie tempa, powrót; także jego objaśnienia, kiedy siadał obok niej, analizował i komentował cyfry zapisane w zeszytcie, chwalił zalety swego systemu, były jednocześnie podniecające i nudne; jego ćwiczenia pachniały fanatyzmem; od tego silnego, szczupłego chłopięcego ciała bił zapach poważnego wysiłku młodych, którzy nie znają jeszcze miłości; taki sam zapach otaczał jej braci, Brunona i Fryderyka, kiedy zsiadali z bicykli, z głowami pełnymi obliczeń kilometrów i minut, i w ogrodzie rozluźniali swoje fanatyczne mięśnie nóg fanatycznymi ćwiczeniami; tak pachniał ojciec, kiedy podczas prób chóru poważnie wypinał pierś, kiedy oddychanie stawało się sportem, a śpiew nie był już przyjemnością, lecz kwintesencją powagi obywatelskiej, obramowaną wąsami; z powagą śpiewali, z powagą jeździli na bicyklach, mieli silne mięśnie nóg, mięśnie klatki piersiowej, mięśnie ust; skurcze rysowały wstrętne fioletowe blizny na skórze nóg, na skórze policzków; godzinami wystawali w chłodne jesienne noce, aby strzelać do zajęcy, które kryły się wśród głów kapusty, a wreszcie o świcie litowały się nad zeszytowanymi mięśniami, decydowały się na ich wyzwolenie i biegle zygzakiem wśród deszczu śrutu; po-co-po-co-po-co? Gdzie jest ten, który nosił w sobie tajemniczy śmiech, ukrytą sprężynę w ukrytym mechanizmie zegara, łagodzącą nieznośny ucisk, przynoszącą odprężenie; on, ten jedyny, który nie zakosztował *sakramentu byka*? Uśmiech pod osłoną pergoli, *Intryga i miłość*; wychylała się przez balustradę, widziała go wychodzącego z bramy

drukarni; lekkim krokiem podążał do kawiarni Kronera; miał w sobie tajemny śmiech jak sprężynę; czy on stał się jej łupem, czy też ona jego?

Ostrożnie, ostrożnie! Dlaczego zawsze taki wyprostowany, taki nieugięty? Jeden fałszywy krok i spadniesz w niebieską nieskończoność, roztrzaskasz się na dole o betonowe obmurowanie dołu kompostowego; zwiędłe liście nie złagodzą upadku, granitowe obrzeżenie schodów nie jest najlepszą podściółką; czy to on? Kto? Dozorca Huperts stanął skromnie w drzwiach: co ma podać gościowi, herbatę, kawę, piwo, wino czy koniak? Chwileczkę. Fryderyk przyjechałby tu konno, nigdy nie skorzystałby z żółtego autobusu, pełznącego pod murem jak żuk; Bruno nie ruszał się bez laski; zabijał, rąbał nią czas; siekał go laską lub ciął kartami do gry, które rzucał jak klingi, całymi dniami, całymi nocami; Fryderyk przyjechałby tu konno, a Bruno nigdy nie zjawiłby się bez laski; nie trzeba koniaku dla Fryderyka ani wina dla Brunona; nie żyją, szaleni ułani pocwałowali pod Erby le Huette prosto w ogień karabinów maszynowych; myśleli, że wyzwolą się z cnót obywatelskich obywatelskimi przywarami, pieprznymi kawałami wymażą zaprawianie się w pobożności; małe balet- niczki, tańczące nago na stołach klubowych, nie obrażały czcigodnych przodków, ponieważ nie byli oni tak czcigodni, jakimi ukazywały ich portrety w galerii; koniak i wino zostały na zawsze skreślone z karty trunków, drogi Hupertsie. Może piwo? Chód Ottona nie był tak elastyczny, to był krok marszowy, który wybębniał wrogość, wrogość na płytach korytarza, na bruku, na całej ulicy Modesta; Otto wcześniej zakosztował *sakramentu byka*; a może umierający brat przekazał mu tamto nazwisko: Hindenburg? Dwa tygodnie po śmierci Henryka urodził się Otto; poległ pod Kijowem; nie chcę nic w siebie wmawiać, Hupertsie: Bruno i Fryderyk, Otto i Edyta, Joanna i Henryk: wszyscy nie żyją.

Kawa też nie będzie potrzebna; to nie ten, którego tajemny uśmiech słyszałam w każdym kroku; tamten jest starszy; dla tego podaj herbatę, świeżą, mocną, z mlekiem, ale bez cukru, herbatę dla mego syna Roberta, nieugiętego, wyprostowanego, który zawsze karmił się tajemnicą; i teraz nosi ją w piersi; bili go, rozorali mu

plecy, ale on się nie ugiął, nie wydał im tajemnicy, nie zdradził mego kuzyna Georga, który przyrządził dla niego czarny proch w „Aptece pod Hunnami?”; on zawisnie na rękach między dwiema drabinami, rozpostrze ramiona i frunie jak Ikar ku głównemu wejściu, nie spadnie w dół z kompostem, nie roztrzaska się o granit. A więc herbata, drogi Hupertsie, świeża i mocna, z mlekiem, ale bez cukru; i proszę cię, postaraj się o papierosy dla mego archanioła: przynosi mi posępne wieści o smaku krwi, buntu i zemsty: oni zabili tamtego jasnowłosego chłopca; przebiegał sto metrów w 10,9 sekundy; ilekroć go widziałam, śmiał się, a widziałam go tylko trzy razy; swoimi zręcznymi rękami naprawił mi maleńki zameczek w kasetce na biżuterię, który stolarze i ślusarze od czterdziestu lat na próżno usiłowali naprawić; ledwo go dotknął, już zameczek zaczął funkcjonować; on nie był archaniołem, był tylko aniołem, nazywał się Ferdi, miał jasne włosy; głupiec, który porwał się ze strzelającymi cukierkami na tych, co zakosztowali *sakramentu byka*; on nie pijał herbaty ani wina, ani piwa, kawy czy koniaku, on po prostu przytykał usta do kurka od wody i śmiał się; gdyby żył, zdobyłby dla mnie karabin; albo ten drugi ciemnowłosy anioł, któremu śmiech był uzbrojony, brat Edyty; nazywali go Schrella; on był jednym z tych, o których nigdy nie mówi się po imieniu; Ferdi by to zrobił, on złożyłby za mnie okup, wyzwoliłby mnie za pomocą karabinu z tego zamku, w którym żyję zaklęta, a tak muszę tu nadal żyć zaklęta; tylko po tych ogromnych drabinach można wyjść na świat; mój syn schodzi tu do mnie.

- Dzień dobry, Robercie, chcesz się napić herbaty? Nie cofaj się, kiedy cię całuję w policzek; wyglądasz jak czterdziestoletni mężczyzna, skronie ci posiwały, masz na sobie wąskie spodnie i błękitną marynarkę; czy nie zwracasz tym na siebie zbytnej uwagi? Może to i dobrze ukrywać się pod maską mężczyzny w średnim wieku; wyglądasz jak szef, którego chciałoby się kiedyś usłyszeć kaszłącego, który jednak jest zbyt elegancki, aby pozwalać sobie na kasznięcie; wybacz, że się śmieję; jacy zręczni są dziś fryzjerzy; te szpakowate włosy wyglądają jak prawdziwe, ciemne ślady na brodzie wyglądają jak zarost człowieka, który powinien się golić dwa razy dziennie, ale goli się tylko raz; to bardzo zręcznie zrobione; tylko ta

czerwona blizna nie zmieniła się wcale; po niej cię oczywiście poznają; czy nie ma na nią sposobu?

Nie, nie obawiaj się; nawet mnie nie dotknęli, nie zdjęli szpicruty ze ściany, pytali tylko: „Kiedy go pani widziała po raz ostatni?”, a ja powiedziałam prawdę: „Rano, kiedy szedł do tramwaju, którym jeździł do szkoły”. „Ale do szkoły nie przyszedł”. Milczałam. „Czy kontaktował się z panią?”. Znowu powiedziałam prawdę: „Nie”. Zostawiłeś zbyt widoczne ślady, Robercie. Jakaś kobieta z baraków koło glinianki przyniosła mi książkę, podpisaną twoim nazwiskiem i adresem. Owidiusz, oprawiony w szarozielony karton; na książce były ślady kurzych nieczystości; o pięć kilometrów[^] stamtąd znaleziono twoje wypisy, w których brakowało jednej kartki; przyniosła mi ją kasjerka z kina; przyszła do biura udając klientkę i Józef przyprowadził ją do mnie.

W tydzień później pytali mnie znowu: „Nawiązała pani z nim kontakt?”. A ja odpowiedziałam, że nie. Wreszcie zjawił się jeszcze jeden, Nettlinger, który tak często korzystał z mojej gościnności. Powiedział: „Niech pani powie całą prawdę, we własnym interesie”. Ale ja przecież powiedziałam całą prawdę; wtedy jednak zrozumiałam, że się im wymknąłeś.

Przez kilka miesięcy nic się nie wydarzyło. Potem przyszła Edyta i powiedziała: „Oczekuję dziecka”. Przeraziłam się, kiedy powiedziała: „Pan mnie pobłogosławił”. Jej głos nappełniał mnie lękiem; wybac, ale nigdy nie lubiłam sekciarzy. Dziewczyna była w ciąży i samotna; ojciec aresztowany, brat zniknął, ciebie nie było. Dwa tygodnie trzymali ją w więzieniu i przesłuchiwali; nie, nie tknęli jej. Jakże prędko rozpierzchło się tych parę baranków, pozostał tylko jeden: Edyta; zabrałam ją do siebie. Dzieci, wasza głupota z pewnością jest miła Bogu, ale powinniście go byli przynajmniej zabić; teraz został dyrektorem policji; niech nas Bóg broni przed męczennikami, którzy pozostali przy życiu; nauczyciel gimnastyki - dyrektor policji, jeździ po mieście na białym rumaku, osobiście kieruje obławami na żebraków. Dlaczego nie zamordowaliście go przynajmniej? Proch w tekturowym pudełku? Strzelające cukierki nie zabijają, chłopcze; powinniście byli *mnie* o to spytać: śmierć jest z metalu; miedziany kartacz, ołów, żelazo, odłamki pocisków niosą

śmierć, świszczą i warczą, w nocy spadają deszczem na dach, grzechoczą o pergolę, trzepocą jak drobne ptaki: *dzikie gęsi szumią poprzez noc*, spadają na baranki. Edyta nie żyje; postarałam się, aby ją uznano za umysłowo chorą; trzy autorytety lekarskie stwierdziły to pismem elegancko nieczytelnym, na białych arkusikach z nadrukiem budzącym szacunek; to uratowało Edytę. Wybacz, że się śmieję: taki baranek; mając siedemnaście lat urodziła pierwsze dziecko, mając dziewiętnaście drugie i wciąż mówiła takimi zwrotami: „Pan to uczynił, Pan tamto uczynił, Pan dał, Pan wziął”; Pan, Pan! Nie wiedziałam, że Pan jest naszym bratem; z braćmi możesz się śmiać, ile chcesz, z Panem nie zawsze. Nie wiedziałam, że dzikie gęsi porywają baranki, uważałam je zawsze za spokojne roślinożerne ptaki; Edyta leżała, jak gdyby ożył herb naszego rodu: baranek, któremu strumień krwi tryska z piersi - ale wokół niej nie stali męczennicy i kardynałowie, pustelnicy, rycerze i święci, aby się do niej modlić; tylko ja byłam przy niej; martwa. Chłopcze, spróbuj się uśmiechnąć; ja próbowałam, ale mi się to nie udawało, szczególnie gdy chodziło o Henryka; bawił się z tobą, przypasywał ci szablę, nasadzał hełm na głowę, robił z ciebie „Francuza, Ruska i Anglika”, ten spokojny chłopiec, i śpiewał sobie: muszę mieć karabin, muszę mieć karabin, a kiedy umierał, szepnął mi to straszliwe hasło, imię świętego byka: „Hindenburg”. Chciał nauczyć się wiersza na pamięć, był taki wzorowy i sumienny, ale ja podarłam kartkę, rzuciłam jej strzępy jak płatki śniegu na ulicę Modesta.

Pij, Robercie, herbata ci ostygnie, tu są papierosy, i przysuń się do mnie bliżej, muszę z tobą cicho rozmawiać. Nikt nie powinien nas słyszeć, a przede wszystkim nie powinien nas słyszeć twój ojciec; on jest jak dziecko, nie wie, jaki zły jest świat, jak mało na nim czystych serc. On ma takie serce; cicho, nie wolno splamić tego czystego serca; słuchaj, ty mnie możesz wybawić: muszę mieć karabin, muszę mieć karabin i ty musisz mi go dostarczyć; z tarasu na dachu mogłabym go zastrzelić; pergola ma trzysta pięćdziesiąt otworów; kiedy będzie się zbliżał na swoim białym rumaku i wyjedzie zza rogu, koło hotelu „Książę Henryk”, będę miała czas długo i spokojnie celować; trzeba przy tym głęboko oddychać. Czytałam: trzeba wycelować i ustalić moment naciśnięcia kurka spustowego; wypróbowałam to za pomocą

laski Brunona: zanim wyjedzie zza rogu, mam dwie i pół minuty czasu, ale nie wiem, czy będę mogła zastrzelić i tego drugiego; jak tamten spadnie z konia, zrobi się zamieszanie i nie będę już mogła drugi raz zacząć spokojnie oddychać, wycelować, ustalić moment naciśnięcia kurka spustowego; muszę się zdecydować: nauczyciel gimnastyki czy ten drugi, Nettlinger; on jadł mój chleb, pił moją herbatę i ojciec nazywał go zawsze „chłopcem, który ma w sobie coś świeżego”. No i popatrz, * ile świeżości miał w sobie ten chłopiec; porywał baranki, chłostał ciebie i Schrellę szpicrutą z drutu kolczastego; Ferdi zapłacił zbyt drogo za ten skromny rezultat: oparzona noga nauczyciela gimnastyki, pęknięte lustro w przedpokojku; nie proch i tekturowe pudełko, chłopcze; proch i metal...

No, Robercie, wypij wreszcie swoją herbatę; nie smakuje ci? Może papierosy są zbyt suche? Wybacz, ale nigdy się na tych rzeczach nie znałam; dobrze ci z tą powierzchownością czterdziestoletniego mężczyzny o szpakowatych skroniach, wyglądasz jak stworzony na notariusza; śmiać mi się chce, kiedy sobie wyobrażam, że naprawdę mógłbyś tak kiedyś wyglądać; jacy zręczni są dziś fryzjerzy...

Nie rób takiej poważnej miny; wszystko to minie, będziemy znowu jeździli na wycieczki do Kisslingen; dziadkowie, dzieci, wnuki, cały ród; twój syn będzie próbował łapać rękami pstrągi; będziemy jedli wyborny chleb zakonników, pili ich wino, modlili się na nieszpórach: *Rorate coeli desuper et nubes prurant justum*; adwent; śnieg w górach, strumienie pokryte lodem - wybierz sobie porę roku, chłopcze - adwent będzie się Edycie najbardziej podobał; ona pachnie adwentem, jeszcze nie zrozumiała, że tymczasem Pan przyszedł jako brat; pienia mnichów i ciemne wnętrza kościoła zbudowanego przez tw^Tego ojca będą radowały jej serce adwentystki; opactwo św. Antoniego w dolinie Kissy, między wioskami Stehlingers Grotte i Górlingers Stuhl.

Nie miałam jeszcze dwudziestu dwóch lat, kiedy opactwo zostało poświęcone, nie zdążyłam przeczytać do końca *Intrygi i miłości*, a w mojej krtani tkwiły jeszcze resztki pensjonarskiego śmiechu; w zielonej aksamitnej sukni, kupionej u Herminy Horuschka, wyglądałam, jakbym dopiero co wyszła z lekcji tańca; już nie

dziewczyna, jeszcze nie całkiem kobieta, wyglądała nie jak poślubiona, ale jak uwiedziona; biały kołnierzyk, czarny kapelusz, byłam już w ciąży i każdej chwili gotowa do płaczu. Kardynał powiedział do mnie szeptem: „Pani powinna była zostać w domu. Mam nadzieję, że pani wytrzyma”. Wytrzymałam, chciałam być na uroczystości. Kiedy otworzono drzwi kościoła, kiedy rozpoczęła się ceremonia poświęcenia, czułam lęk; mój mały Dawid zbladł i pomyślałam sobie: teraz już przepadł jego śmiech; oni go zabili swoimi uroczystościami; on jest na to za mały i za młody, ma zbyt mało męskiej powagi w mięśniach. Wiedziałam, że wyglądam uroczo w mojej zielonej sukni, z ciemnymi oczami i w śnieżnobiałym kołnierzyku; postanowiłam nigdy nie zapominać, że to tylko gra. Chciało mi się śmiać, kiedy myślałam o tym, jak nauczyciel niemieckiego powiedział do mnie: „Będę panią pytał na piątkę”, ale ja nie odpowiadałam na piątkę, cały czas myślałam tylko o nim, był dla mnie Dawidem, chłopcem z procą, ze smutnymi oczami i głęboko ukrytym śmiechem; kochałam go, co dzień czekałam chwili, kiedy zjawi się w dużym oknie pracowni, patrzyłam za nim, kiedy wychodził z bramy drukarni; zakradałam się na próbę chóru kółka śpiewaczego, przyglądałam się uważnie, czy i jego pierś podnosi się i opada w tym poważnym męskim sporcie, i po jego twarzy poznałam, że do nich nie należy; poprosiłam Brunona, żeby mnie przeszmuglował, kiedy klub oficerów rezerwy zbierał się w hotelu „Książę Henryk” na partię bilardu. Przyglądałam mu się, jak zginał ręce, jak je prostował, jak toczyła się biel po zieleni, czerwień po zieleni, i odkryłam jego śmiech, ukryty głęboko we wnętrzu. Nie, on nigdy nie zakosztował *sakramentu byka* i lękałam się, czy przetrwa ostatnią, najostatniejszą i najtrudniejszą próbę: próbę munduru w dniu urodzin błazna, w styczniu, pochód pod pomnikiem przy moście, defiladę przed hotelem, którą odbierać będzie stojący na balkonie generał; jak będzie wyglądał maszerując ulicą, napompowany historią i brzemieniem losu, w takt warczenia bębnow i pobudki trąb. Bałam się, czy nie będzie wyglądał śmiesznie; nie chciałam, żeby był śmieszny; nie chciałam, żeby oni kiedykolwiek śmiali się z niego, chciałam, żeby zawsze on śmiał się z nich. I zobaczyłam go, jak maszerował krokiem paradnym; mój Boże, szkoda, że nie mogłeś go

widzieć: szedł tak, jakby każdy krok stawiał ponad głową cesarza. Później widywałam go często w mundurze; mogłam z jego awansów odczytywać upływ czasu: dwa lata - porucznik; dwa lata - kapitan; brałam jego szablę i aby ją zhańbić, wygrzebywałam nią brud zza lamperii, zdrapywałam rdzę z żelaznych ławek ogrodowych, kopałam nią dołki pod sadzonki; do obierania ziemniaków była zbyt nieporęczna.

Szable powinno się odrzucić i podeptać, chłopcze, jak wszystkie przywileje; tylko do tego się nadają, są próbą przekupstwa: *pełna datków prawica ich*. Jedz, co wszyscy jedzą; czytaj, co wszyscy czytają; noś odzież, jaką wszyscy noszą; wtedy będziesz najbliższy prawdzie. Szlachectwo zobowiązuje, zobowiązuje cię do jedzenia trocin, jeśli inni je muszą jeść, do czytania patriotycznych bredni drukowanych w lokalnych gazetach, nie utworów dla ludzi wykształconych: Dehmela czy czegoś w tym rodzaju; nie, Robercie, nie przyjmuj pasztetów od Gretza, masła od opata, miodu, złotych monet ani zajęcy: po-co-po-co-po-co, skoro inni tego nie mają; nie uprzywilejowani mogą spokojnie jeść miód i masło, nie zepsuje im to żołądka ani mózgu, ale ty nie możesz, Robercie, ty musisz jeść ten wstrętny chleb: oczy ci wyjdą na wierzch od prawdy i musisz nosić ubrania z najgorszego materiału, wtedy będziesz wolny.

Raz tylko skorzystałam z przywileju, jeden jedyny raz, musisz mi to wybaczyć. Nie mogłam dłużej tego znosić, musiałam pójść do Dróschera i uzyskać dla ciebie amnestię; nie mogliśmy dłużej wytrzymać: ojciec, ja i Edyta; twój syn przyszedł już na świat; znajdowaliśmy w skrzynce na listy wiadomości od ciebie, maleńkie świstki, jak papierki od cukierków na kaszel. Pierwsza wiadomość nadeszła w cztery miesiące po twoim zniknięciu: „Nie martwcie się o mnie, uczę się pilnie w Amsterdamie. Ucałowania dla mamy, Robert”. W tydzień później nadeszła druga: „Potrzebuję pieniędzy, zawińcie je w gazetę i oddajcie człowiekowi nazwiskiem Groll, kelnerowi w »Kotwicy« w Górnym Porcie. Ucałowania dla mamy, Robert”.

Zanieśliśmy pieniądze do „Kotwicy”; kelner nazwiskiem Groll w milczeniu podał nam piwo i lemoniadę, w milczeniu wziął paczkę, w milczeniu odmówił przyjęcia napiwku, zdawało się, że nas w ogóle

nie widzi, że nie słyszy naszych pytań.

Wkleiliśmy karteczki od ciebie do notesu: długo nie nadchodziły, potem znowu częściej. „Pieniądze otrzymałem 2-ego, 4-ego i 6-ego. Ucałowania dla mamy, Robert”. A Otto nagle przestał być sobą; stał się z nim jakiś straszliwy cud: był Ottonem i nie był już sobą, przyprowadzał do domu Nettlingera i nauczyciela gimnastyki; Otto - zrozumiałam, co to znaczy, kiedy się mówi, że z człowieka zostaje tylko jego zewnętrzna powłoka; Otto był już tylko swoją zewnętrzną powłoką, której zawartość szybko ulegała zmianie; nie tylko zakosztował *sakramentu byka*, ale został nim zaszczepiony. Wyssali z niego dawną krew i napełnili go nową: w jego spojrzeniu czał się mord i z lękiem ukrywałam przed nim twoje karteczki.

Wiele miesięcy nie nadchodziły wiadomości. Pełzałam po płytach sieni, przeszukiwałam każdą szparkę, każdy cal zimnej podłogi, zerwałam lamperię, wygrzebałam zza niej kurz, bałam się, że papierowe kuleczki mogły wpaść za nią, mógł je tam przeciąg zdmuchać; odśrubowałam skrzynkę na listy, rozebrałam ją na kawałki w nocy, a Otto przyszedł do domu, przycisnął mnie drzwiami do ściany, nadepnął mi na palce, śmiał się. Długie miesiące nie mogłam nic znaleźć. Całymi nocami stałam w sypialni ukryta za firanką, czekałam na świt, obserwowałam ulicę i wejście, zbiegałam na dół, kiedy zjawiał się posłaniec z gazetami. Nic. Przeszukiwałam papierowe torebki z pieczywem, ostrożnie przelewałam mleko do rondelka, odlepiałam etykietę z butelki. Nic. Wieczorami chodziliśmy do „Kotwicy”, przeciskaliśmy się między mundurami w najdalszy kąt, obsługiwany przez Grolla, ale on milczał, jakby nas nie znał. Dopiero po paru tygodniach, kiedy, jak co wieczór, siedzieliśmy tam czekając, napisał na brzegu tekturowej podstawki pod kufel: „Bądźcie ostrożni!

Nic nie wiem!”; rozlał piwo, rozmazał ślady kłopotliwego ołówka w jedną wielką plamę, przyniósł nowe piwo i nie chciał za nie przyjąć pieniędzy; Groll, kelner z „Kotwicy”; był młody, miał szczupłą twarz.

A my nie wiedzieliśmy, oczywiście, że chłopca, który wrzucał karteczki do naszej skrzynki na listy, dawno aresztowano; że byliśmy pod obserwacją, a Groll pozostawał jeszcze na wolności, gdyż spodziewano się, że jednak zacznie z nami rozmawiać. Któż by znał

tę wyższą matematykę morderców. Groll, chłopiec, który przynosił karteczki, obaj zginęli, Robercie - a ty nie dajesz mi karabinu, nie wyzwalasz mnie z tego zaklętego zamku.

Przestaliśmy chodzić do „Kotwicy”, pięć miesięcy nie mieliśmy wiadomości. Nie mogłam tego dłużej wytrzymać, pierwszy raz skorzystałam z przywileju, poszłam do Drós- chera, do doktora Emila Dróschera, prezesa rządu krajowego; chodziłam z jego siostrą do szkoły, z nim na lekcje tańca; urządzaliśmy razem wycieczki, zabieraliśmy do powozów beczułki z piwem, na skraju lasu rozpakowywaliśmy kanapki z szynką, tańczyliśmy lendlera na świeżo skoszonej łące, a mój ojciec postarał się, aby jego ojciec, mimo że nie miał wyższego wykształcenia, został przyjęty do zrzeszenia akademików; to bzdura, Robercie, nie wierz w takie rzeczy, kiedy chodzi o poważne sprawy. Nazywałam Dróschera „Emem”; to był skrót od imienia Emil, uważany wtedy za bardzo szykowny; teraz, w trzydzieści lat później, kazałam się do niego zameldować, miałam na sobie szary kostium, czarne sznurowane trzewiki, fioletową woalkę na szarym kapeluszu. Drósch sam mnie wprowadził z sekretariatu do swego pokoju, pocałował w rękę, poprosił: „Ach, Joanno, mów do mnie jak dawniej Em”, a ja powiedziałam: „Em, muszę się dowiedzieć, gdzie jest mój chłopiec. Wy to przecież wiecie!”. Wydało mi się, że nagle zapanowała epoka lodowcowa. Od razu poznałam po nim, że wie wszystko, poczułam także, jak zeszytniał, zrobił się oficjalny. Jego grube wargi, charakterystyczne dla ludzi pijących zbyt wiele czerwonego wina, zrobiły się wąziutkie ze strachu. Obejrzał się, potrząsnął głową, powiedział do mnie szeptem: „To, co twój chłopiec zrobił, było nie tylko karygodne, ale z politycznego punktu widzenia bardzo nierozsądne”. A ja odpowiedziałam: „Na twoim przykładzie widzę, dokąd prowadzi rozsądek polityczny”. Chciałam odejść, ale zatrzymał mnie i spytał: „Mój Boże, więc co, czy mamy się wszyscy powiesić?”. A ja na to: „Tak, wy tak”. „Bądźże rozsądna - powiedział. - Tego rodzaju sprawy należą do kompetencji dyrektora policji, a wiesz przecież, co on mu zrobił”. „Owszem - powiedziałam - wiem, co on mu zrobił: nic. Niestety, nic. Tylko przez pięć lat wygrywał dla niego wszystkie rozgrywki w palanta”. Wtedy ten tchórz przygryzł wargę i powiedział: „Sport... Tym zawsze można coś

wskórać”.

Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, Robercie, że jeden ruch ręki można przypłacić życiem. Vacano skazał na śmierć pewnego jeńca wojennego, Polaka, ponieważ podniósł na niego rękę; tylko podniósł rękę, nawet nie zdążył go uderzyć.

A później, pewnego ranka, znalazłam na stole przy moim nakryciu kartkę Ottona: „Ja także potrzebuję pieniędzy - 12 - możecie mi je dać w gotówce”. Poszłam naprzeciwko do pracowni, wyjęłam z kasy pancernej tysiąc dwieście marek, przygotowanych na wypadek, gdyby nadeszły dalsze kartki od ciebie - rzuciłam paczkę Ottonowi na stół. Chciałam już jechać do Amsterdamu i powiedzieć ci, żebyś nie przysyłał kartek; że każdą z nich ktoś może przypłacić życiem. Ale teraz jesteś tutaj. Oszałałabym, gdyby ci nie udzielili amnestii; zostań tutaj, czy to nie wszystko jedno, gdzie przebywasz na tym świecie, na którym jeden ruch ręki można przypłacić życiem? Znasz warunki, jakie Dróschler dla ciebie uzyskał: musisz zaprzestać wszelkiej działalności politycznej i bezpośrednio po ukończeniu studiów wstąpić do wojska; załatwiłam już to, że będziesz zdawał maturę jako ekstern, a później Klahm, profesor statyki, przepytą cię i zaliczy ci tyle semestrów, ile się tylko da; czy koniecznie musisz studiować? Dobrze, jak chcesz - i właśnie statykę? Dlaczego? Dobrze, jak chcesz; Edyta cieszy się. Pójdiesz do niej na górę? No, idź. Prędeż, nie chcesz zobaczyć swego syna? Oddałam jej twój pokój; czeka na górze; no, idź już do niej.

Wchodził na górę, mijał brązowe szafy, przemierzał milczące korytarze, wspiął się aż pod dach, gdzie ostatnia kondygnacja schodów stanowiła sień strychu; unosił się tu zapach papierosów ukradkiem palonych przez dozorców, zapach wilgotnej bielizny pościelowej, rozwieszonej na strychu; przytłaczająca cisza wypełniała klatkę schodową, wstępowała coraz wyżej jak dym w kominie. Przez okienko w dachu Robert spoglądał na topolową aleję, prowadzącą do przystanku autobusowego; starannie utrzymane grządki, cieplarnia, marmurowa fontanna, na prawo przy murze kaplica; wszystko to robiło wrażenie idylli, było idyllą i miało jej zapach; za naelektryzowanymi drutami ogrodzenia pasły się krowy, świnię grzebały w odpadkach, w które same miały się kiedyś zamienić,

dozorca wylewał do koryt wiadra bulgocącej tłustej cieczy; wydawało się, że droga na zewnątrz zakładowego muru prowadzi w nieskończoność ciszy...

Jakże często stał już tutaj, na tej kolejnej stacji, na którą matka wysyłała go za każdym razem, aby móc precyzyjnie odtworzyć swoje wspomnienia? Stał tu jako dwudziestoletni Robert, który powrócił do domu zdecydowany milczeć; musiał przywitać się z Edytą i ze swoim synem Józefem; Edyta i Józef - to był sygnał tej stacji; oboje byli dla niego obcy, matka i syn, i oboje stali zakłopotani, kiedy wszedł do pokoju, Edyta jeszcze bardziej niż on; czy w ogóle mówili sobie po imieniu?

Edyta postawiła na stole jedzenie, kiedy po partii palanta przyszedł do Schrelli: ziemniaki z jakimś nieokreślonym sosem i zieloną sałatę. Potem naląła słabej herbaty, a Robert nie cierpiał wtedy słabej herbaty i wyobrażał sobie, że kobieta, z którą się ożeni, musi umieć zaparzać dobrą herbatę. Edyta widocznie tego nie umiała, a jednak, kiedy stawiała na stole ziemniaki, wiedział już, że ją pociągnie w zarośla Parku Blessenfeldzkiego, kiedy będą wracali do domu z kawiarni Zona. Edyta miała jasne włosy, wyglądała na szesnaste lat, ale nie chichotała jak pensjonarka. Nie było też fałszywego oczekiwania na szczęście w spojrzeniu, jakim go obrzuciła. Odmawiała modlitwę przed jedzeniem: „Panie, Panie!”, a on myślał: powinniśmy jeść palcami; widelec, który trzymał w ręku, wydał mu się bezsensowny, łyżka obca, i po raz pierwszy pojął, co oznacza jedzenie: błogosławieństwo, zaspokojenie głodu, nic poza tym; tylko królowie i nędzarze jedzą palcami. Nie rozmawiali ze sobą, także gdy szli przez Park Blessenfeldzki do kawiarni Zona, i Robert bał się, składając na jej ręce przysięgę, że nigdy nie zakosztuje *sakramentu byka*; głupi; bał się jak podczas przyjmowania święceń, a kiedy wracali przez park, wziął Edytę za rękę, zatrzymał ją, pozwolił się wyprzedzić Schrelli, patrzył, jak jego ciemnoszara sylwetka wtapia się w wieczorne niebo, i pociągnął Edytę w zarośla. Nie broniła się i nie śmiała, a odwieczna wiedza, jak to trzeba robić, przeniknęła jego dłonie, wypełniała usta i ramiona. Zachował we wspomnieniu tylko jej jasne włosy, lśniące od letniego deszczu, wianuszek srebrnych kropli na jej brwiach, przypominający szkielec

delikatnego stworzonka morskiego, znalezionego na rdzawym piasku wybrzeża, kontury jej warg, mnożące się w niezliczone chmurki jednakowej wielkości, kiedy przytulona do jego piersi szeptała: „Oni cię zabiją!”. Więc jednak mówili sobie po imieniu wtedy, w zaroślach parku, i następnego popołudnia, w tanim pokoju wynajmowanym na godziny. Ciągnął Edytę za rękę, szedł przez miasto jak ślepiec, jak prowadzony przez czarodziejską różdżkę, instynktownie odnalazł właściwy dom; niósł pod pachą kartonik z prochem dla Ferdiego, z którym miał się spotkać wieczorem. Zrobił odkrycie: Edyta umiała się nawet uśmiechać, uśmiechała się przed lustrem, najtańszym, jakie kuplerka zdołała kupić na bazarze, uśmiechała się, kiedy i ona odkryła w sobie odwieczną wiedzę. I wiedział już, że mała paczuszka z prochem, leżąca na parapecie okiennym, zawiera szaleństwo, które trzeba było popełnić. Rozsądek nie prowadził do niczego na tym świecie, na którym jeden ruch ręki można było przypłacić życiem. Uśmiech Edyty na jej twarzy nie nawykłej do uśmiechu sprawiał wrażenie cudu, a kiedy zeszli na dół do pokoju gospodyni, Robert zdziwił się, jak mało im policzyła. Zapłacił markę pięćdziesiąt, a gospodyni odmówiła przyjęcia pięćdziesięciu fenigów, które jej chciał dołożyć. „Nie, proszę pana, nie przyjmuję napiwków, jestem kobietą niezależną”.

A więc jednak mówił po imieniu tej kobiecie, która siedziała tu, w jego pokoju, trzymając dziecko na kolanach. Józef; wziął go z jej kolan, niezdarnie potrzymał chwilę, potem położył na łóżku, odwieczna wiedza wypełniła go znowu, jego dłonie, usta, ramiona. Edyta nigdy nie nauczyła się zaparzać herbaty, także i później, kiedy mieszkali już we własnym mieszkaniu, wśród mebli jak dla lalek, kiedy wracał z uniwersytetu czy z urlopu: podoficer saperów. Został wyszkolony na specjalistę od wysadzania obiektów w powietrze, później sam szkolił specjalistów, siał formuły, które zawierały ściśle to, czego chciał: gruz i ruiny, zemstę za Ferdiego Progulske, za kelnera Grolla, za chłopca, który wrzucał jego karteczki do skrzynki na listy. Edyta z siatką na zakupy, z reklamowym zeszytciem bonów na rabat w rękę; Edyta studiująca książkę kucharską; Edyta dająca chłopcu butelkę, karmiąca Rut piersią; młody ojciec, młoda matka; przychodziła po niego z wózkiem dzieciennym pod bramę koszar, szli

na spacer brzegiem rzeki, przez boiska do palanta, do piłki nożnej, przy wysokim i przy niskim stanie wody, siadali na krypie, Józef bawił się w piasku nadrzecznym, Rut stawiała pierwsze kroki; dwa lata bawili się w tę grę: w małżeństwo. Nigdy nie wydawał się sobie samemu żonatym mężczyzną, choć ponad siedemset razy wieszal w przedpokoju czapkę i płaszcz, zdejmował bluzę, siadał przy stole; trzymał Józefa na kolanach, kiedy Edyta odmawiała modlitwę przed jedzeniem: „O Panie, Panie!”. Tylko żadnych przywilejów, żadnych ekstrawagancji; feldfelbel saperów, dr Robert Fahmel, o wybitnych zdolnościach matematycznych; jadali grochówkę, podczas gdy sąsiedzi przyjmowali z głośników radiowych *sakrament byka*; urlop do chwili obudzenia się; pierwszym tramwajem wracał do koszar, w drzwiach całował Edytę i miał dziwaczne uczucie, że znowu ją zhańbił, tę drobną blondyneczkę w czerwonym szlafroku; Józef prowadzony za rękę, Rut w wózku; żadnej działalności politycznej; czy kiedykolwiek uprawiał jakąś działalność polityczną? Wybaczone mu młodzieńcze szaleństwo, udzielono amnestii; jeden z najzdolniejszych kandydatów na oficerów; fascynowała go tępota, ponieważ zawierała w sobie formuły; siał gruz i ruiny, wbijał w mózgi formułki wysadzania obiektów w powietrze. „Nie ma listu od Alfreda?”. Nie wiedział, o kim Edyta mówi, zapomniał, że i ona nosiła przedtem nazwisko Schrella. Bieg czasu wyrażał się w awansach: po pół roku - starszy szeregowiec; po pół roku - kapral; po pół roku - sierżant i jeszcze raz po pół roku - podporucznik; potem otepiała, szara, wyzbyta wszelkiej radości masa pociągnęła na dworzec: nie było kwiatów ani uśmiechów na krawężnikach ulic, ani uśmiechu cesarza ponad nimi, ani buty zbyt długo trwającego pokoju; masa podrażniona, a jednak tępo uległa; opuścił pokój dla lalek, w którym bawili się w małżeństwo, a na dworcu odnowił swą przysięgę, że nigdy nie zakosztuje *sakramentu byka*.

Co przejmowało go tu chłodem, wilgotna bielizna pościelowa czy wilgoć przenikająca mury? Mógł już opuścić stację, na której mu matka wyznaczyła postój. Sygnał: Edyta, Józef. Zadeptał papierosa na podłodze, zszedł na dół, z wahaniem nacisnął klamkę, zobaczył matkę przy telefonie; uśmiechając się, ruchem ręki nakazała mu milczenie, jednocześnie mówiła w słuchawkę:

- Tak się cieszę, księżu proboszczu, że ksiądz może im dać ślub w niedzielę; mają wszystkie potrzebne dokumenty, ślub cywilny odbędzie się jutro.

Czy naprawdę usłyszał odpowiedź księdza, czy też mu się śniło:

- Droga pani, rad będę, kiedy wreszcie skończy się to zgorzsenie.

Edyta nie miała na sobie białej sukni, nie chciała zostawić Józefa w domu, trzymała go na ręku, kiedy ksiądz zażądał od nich obojga, aby wypowiedzieli słowo „tak”, a organy grały; Robert także nie był w czarnym garniturze; nie warto się przebierać; byle prędzej; nie podano szampana; stary Fahmel go nie znosił, ojciec panny młodej, którego Robert tylko raz widział, zaginął bez śladu, szwagier nie dał jeszcze znaku życia; poszukiwano go za usiłowanie zabójstwa, choć wzgardził paczką z prochem, choć nie chciał dopuścić do zamachu.

Matka odłożyła słuchawkę, podeszła do Roberta, położyła mu ręce na ramionach, spytała:

- No i co, czyż twój synek nie jest uroczy? Musisz go zaraz po ślubie adoptować, w testamencie wszystko zapisałam jemu. Napij się jeszcze herbaty. W Holandii piją przecież dobrą herbatę; nie bój się, Edyta będzie dobrą żoną, prędko skończysz studia; urządzę wam mieszkanie, a ty nie zapomnij uśmiechać się potajemnie, kiedy będziesz musiał iść do wojska; zachowuj milczenie i myśl tylko, że na świecie, na którym jeden ruch ręki można przypłacić życiem, takie uczucia nie mają już znaczenia; urządzę wam mieszkanie; ojciec się ucieszy; pojechał do opactwa - jak gdyby mógł tam znaleźć pociechę. *Drżą spróchniałe kości*; ach, chłopcze, oni zabili tajemny śmiech ojca, pękła w nim sprężyna - nie mogła wytrzymać takiego ciśnienia; nic tu już nie pomoże ładne słówko „tyrani”; ojciec nie potrafi wysiedzieć w swojej pracowni, a zewnętrzna powłoka Ottona budzi w nim strach; spróbuj pogodzić się z Ottonem, proszę cię, spróbuj; no, idź.

Próby pogodzenia się z Ottonem. Wiele razy je podejmował, wchodził na górę, stukał do drzwi; ten krępy chłopiec nie wydawał mu się nawet obcy i Robert nie spoglądał na niego jak jna obcego; pod tym szerokim bladym czołem kryła się władza działająca według najprostszej formuły; władza nad lękliwymi kolegami, nad

przechodniami, którzy nie oddawali honorów sztandarom; władza, która mogłaby nawet wzruszać, gdyby ujawniała się tylko w hali sportowej na przedmieściu albo na rogach ulic, gdyby chodziło o trzy marki za wygraną walkę bokserską albo o dziewczęta w barwnych szmatkach, które zwycięzca mógł zapraszać do kina, obcałowywać w bramach domów; ale w Ottonie nie było nic wzruszającego, jak czasem w Nettlingerze, celem jego władzy nie była wygrana walka bokserska ani dziewczyna w barwnych szmatkach; nawet w jego mózgu władza stała się już suchą formułą, odartą z korzyści, wyzwoloną z instynktu, niemal pozbawioną nienawiści, manifestowała się automatycznie: cios po ciosie.

Brat, wielkie słowo, słowo Hölderlinowskie, potężne, któremu jednak nawet śmierć nie mogła uzyczyc treści, jeśli to była śmierć Ottona; nawet zawiadomienie o jego śmierci nie przyniosło pojednania: poległ pod Kijowem! Przecież w słowach tych mogły brzmieć: tragizm, wielkość, braterstwo, mogłyby one w połączeniu z wiekiem Ottona wzruszać jak napis na nagrobku: poległ pod Kijowem w wieku lat dwudziestu pięciu; ale słowa te nie wzruszały i Robert na próżno podejmował jeszcze teraz próby pojednania; przecież jesteście braćmi; owszem, byli braćmi według akt stanu cywilnego, według zeznań akuszerki; może Robert odczuwałby wzruszenie i uznał wielkość jego śmierci, gdyby naprawdę byli sobie obcy, ale oni nie byli sobie obcy; widywał Ottona jedzącego, pijącego herbatę, kawę, piwo; ale Otto nie jadł tego samego chleba co on, nie pił tego samego mleka ani kawy; a jeszcze gorzej było ze słowami, które zamieniali: jeśli Otto mówił „chleb”, brzmiało to w uszach Roberta bardziej obco niż słowo „pain”, kiedy usłyszał je po raz pierwszy i nawet nie wiedział jeszcze, że oznacza chleb; byli synami tej samej matki i tego samego ojca, pod tym samym dachem przyszli na świat, rośli, jedli, pili, płakali, tym samym powietrzem oddychali, tą samą drogą chodzili do szkoły; i razem śmiali się, bawili, a Robert mówił do Ottona „braciszku”, czuł jego rękę obejmującą go za szyję, wykrzył jego strach przed matematyką, pomagał mu, długi czas wkuwał z nim, aby go uwolnić od strachu, i udało mu się to, uwolnił od strachu Ottona, braciszka - aż nagle, po dwóch latach nieobecności, zastał tylko zewnętrzną powłokę Ottona;

nie był mu nawet obcy; niepotrzebny był tu nawet patos tego słowa; nie nasuwało mu się, nie było odpowiednie, nie dźwięczało, kiedy myślał

O Ottonie. I wtedy zrozumiał po raz pierwszy prawdziwe znaczenie słów Edyty o zakosztowaniu *sakramentu byka*: Otto wydałby katu rodzoną matkę, gdyby jej kaci zażądali.

A kiedy Robert szedł na górę, aby podjąć raz jeszcze próbę pojednania, otwierał drzwi, wchodził, Otto odwracał się

I pytał: „O co chodzi?”. Miał rację: o co Robertowi mogło chodzić? Nie byli sobie nawet obcy, znali się dobrze, wiedzieli, że jeden z nich nie lubi pomarańczy, a drugi woli piwo od mleka, chętniej pali cygaretki niż papierosy, i jak wsuwa zakładkę do mszału.

Robert nie dziwił się, gdy widział Bena Wackesa i Nettlin-gera idących na górę, do pokoju Ottona, gdy spotykał ich w przedpokoju, i przerażała go świadomość, że ci dwaj są dla niego mniej niezrozumiali niż rodzony brat; nawet mordercy nie są mordercami nieustannie, o każdej porze dnia i nocy, nawet mordercy mają wolne wieczory, tak jak na przykład kolejarze. Ci dwaj byli nawet jowialni, klepali go po ramieniu, a Nettlinger powiedział: „No, kto ci pozwolił zemknąć, jeśli nie ja?”. Wydali na śmierć Ferdiego, Grolla i ojca Schrelli, a chłopca, który przynosił wiadomości, wysłali tam, gdzie człowiek ginie bez śladu, ale teraz mówili: co było, to było. Nie chcą przecież psuć zabawy. Nie trzeba im tamtego brać za złe. Sierżant saperów; specjalista od wysadzania obiektów w powietrze; żona, własne mieszkanie, reklamowa książeczka z bonami na rabat i dwoje dzieci. „Nie martw się o żonę; póki ja tu będę, włos jej z głowy nie spadnie”.

- No i co? Rozmawiałeś z Ottonem? Bez skutku? Wiedziałam, że tak będzie, ale trzeba próbować, próbować wciąż na nowo; chodź tu bliżej, cicho bądź, muszę ci coś powiedzieć! Zdaje mi się, że on jest przeklęty, zaczarowany, jeśli wolisz, i że tylko w jeden sposób można go wyzwolić: *muszę mieć karabin, muszę mieć karabiny* rzekł Pan: „Moją jest zemsta”, a dlaczego ja nie miałabym być narzędziem w rękę Pana?

Podeszła do okna, wzięła z kąta za zasłoną laskę brata, zmarłego przed czterdziestu trzema laty, podniosła ją do ramienia jak karabin i

wycelowała, wzięła na muszkę Bena Wackesa i Nettlingera; jechali jeden na siwym, drugi na gniadym koniu; przesuwająca się laska dokładnie oddawała szybkość jazdy, jakby ją ktoś mierzył stoperem; wyjeżdżali z za rogu, mijali hotel, skręcali w ulicę Modesta, stępa aż do Bramy Modesta, zasłaniającej widok; opuściła laskę.

- Mam dwie i pół minuty. - Głęboko odetchnąć, wycelować, ustalić moment naciśnięcia kurka spustowego. Szwy jej snów mocno trzymały, delikatnie przedzone kłamstwo nigdzie nie dałoby się rozerwać. Odstawiła laskę do kąta. - Zrobię to, Robercie, stanę się narzędziem w ręku Pana; jestem cierpliwa, czas do mnie nie dociera; tu trzeba nie prochu i tektury, lecz prochu i ołowiu; zemsta za ostatnie słowo, wypowiedziane niewinnymi ustami mego syna: „Hindenburg”; to słowo zostało po nim na tej ziemi; muszę je wymazać; czy po to rodzimy dzieci, aby umierały mając siedem lat i ostatnim tchnieniem szeptały: „Hindenburg”? Rzuciłam na ulicę strzępy podartego wiersza, a on, wzorowy mały smyk, błagał mnie, żebym się postarała o odpis; ale ja mu odmówiłam, nie chciałam, żeby te brednie wychodziły z jego ust. W gorączce usiłował przypomnieć sobie wiersz, a ja zatkałam uszy rękami, ale słyszałam mimo to: „Czuwa nad tobą laska Pana Boga”; próbowałam wyrwać go z maligny, trzęsłam nim, aby oprzytomniał, spojrzał mi w oczy, poczuł dotknięcia moich dłoni, usłyszał mój głos. Ale on mówił dalej: „Dopóki niemieckie szumią lasy stare, dopóki niemieckie łopocą sztandary, dopóki żyje niemiecka mowa, Niemiec *twe* imię w swym sercu zachowa”; ten akcent, który nawet w gorączce położył na słowie *twe*, omal mnie nie zabił, zgarnęłam wszystkie zabawki, odebrałam je i tobie, nie zważając na twój krzyk, ułożyłam cały stos na kołdrze - ale on już nie wrócił, nie spojrzał już na mnie, Henryk, Henryk. Krzyczałam, modliłam się i przemawiałam do niego szeptem, ale on wpatrywał się w krainę majaków, która miała dla niego już tylko parę linijek wiersza: „Naprzód i hura, i Hindenburg!” Tylko ta jedna linijka żyła w nim jeszcze i ostatnim słowem, jakie z jego ust usłyszałam, było: *Hindenburg*.

Muszę pomścić usta mego siedmioletniego syna, czy tego nie rozumiesz, Robercie? Pomścić je na tych, którzy przejeżdżają przed naszym domem, którzy jadą pod pomnik Hin- denburga; za nimi

niosą gładkie wieńce ze złotymi, czarnymi i fioletowymi szarfami; zawsze myślałam: czy on nigdy nie umrze? Czy całą wieczność będziemy musieli oglądać na znaczkach pocztowych tego zgrzybiałego byka, którego imię stało się dewizą mego syna. Czy dasz mi karabin?

Trzymam cię za słowo; to może nie nastąpić dziś ani jutro, ale musi nastąpić wkrótce; zbierałam w sobie cierpliwość; czy pamiętasz swego brata, Henryka? Miałeś już prawie dwa lata, kiedy umarł. Pamiętasz naszego psa, nazywał się Brom? Był taki stary i mądry, że cierpienia, które mu zadawaliście, nie przyprawiały go o gniew, lecz o smutek. Chwytałeś Broma za ogon, a on ciągnął w^as po pokoju, pamiętasz? Kwiaty, które miałeś położyć na grobie Henryka, wyrzuciłeś przez okno karety; zostawiliśmy cię przed cmentarzem, pozwoliliśmy ci usiąść na koźle i trzymać lejce; były z czarnej popękanej j-, skóry. Widzisz, Robercie, już sobie przypominasz: pies, lejce, brat - i żołnierze, żołnierze, nieskończenie wielu żołnierzy, pamiętasz, szli ulicą Modesta, przed hotelem skręcali na dworzec, ciągnęli za sobą działa; ojciec trzymał cię na rękę i powiedział: „Wojna się skończyła”.

Bilion za cząsteczkę czekolady, potem dwa biliony za cukierka, działo za pół bochenka chleba, konia za jedno jabłko, coraz więcej; a potem brakowało pięciu fenigów na kawałek najtańszego mydła; nie mogło być dobrze, Robercie, i oni wcale tego nie chcieli; i szli ciągle nowi przez Bramę Modesta, zmęczeni skręcali na dworzec: w ordynku, w ordynku; nieśli przed sobą imię Wielkiego Byka: Hindenburga; to on dbał o porządek do ostatniego tchu. Czy on naprawdę umarł, Robercie? Nie mogę w to uwierzyć: „W spizu wyryte, wykute w kamieniu. Hindenburg, naprzód!”. Na znaczkach pocztowych ta gęba byka bardzo mi wygląda na symbol zjednoczenia. Zobacysz, będziemy z nim jeszcze mieli kłopot, on nam pokaże, do czego doprowadza rozsądek polityczny i rozsądek pieniądza: koń za jedno jabłko i bilion za cukierka, a potem nie mieć nawet pięciu fenigów na kawałek mydła i zawsze dbać o ład; widziałam i słyszałam, jak nieśli to imię przed sobą: głupi jak but, głuchy jak pień, ale dbał o ład; porządnie, porządnie, honor i wierność, żelazo i stal, pieniądze i

cierpiąca nędzę wieś; uważaj, chłopcze: gdzie parują pola i szumią lasy, uważaj: tam odbywa się poświęcenie *sakramentu byka*.

Nie myśl, że zwariowałam. Wiem dokładnie, gdzie jesteśmy: w Denklingen, patrz, widzisz tę drogę? Prowadzi między drzewami, pod niebieskim murem, w górę, aż do miejsca, koło którego żółte autobusy pełzną jak żuki; przywieźli mnie tu, dlatego że pozwoliłam, aby twoje dzieci głodowały, potem kiedy trzepoczące ptaki zabiły ostatniego baranka. Wojna; upływ czasu można odczytywać z awansów; kiedy poszedłeś, byłeś podporucznikiem, po dwóch latach: porucznikiem. Czy nie zostałeś jeszcze kapitanem? Tym razem nie awansują cię prędzej niż za cztery lata, a może potrwać i sześć, zanim zostaniesz majorem; wybacz, że się śmieję; nie idź za daleko ze swoimi formułami w mózgu, nie trać cierpliwości i nie korzystaj z przywilejów; my nie jadamy ani okruszyny poza tym, co wydają na kartki żywnościowe; Edyta zgadza się z tym; jedz to, co wszyscy jedzą, ubieraj się tak, jak wszyscy się ubierają, czytaj to, co wszyscy czytają; nie przyjmuj dodatkowej porcji masła, dodatkowej porcji odzieży, dodatkowej porcji wierszy, które ci w elegancki sposób zaofiarowują byka. *Pełna datków prawica ich*, pełna łapówek w różnorodnej monecie. Nie chciałam, aby twoje dzieci korzystały z przywilejów, powinny były czuć smak prawdy na swoich wargach, ale oni mnie rozłączyli z dziećmi; to się nazywa sanatorium, tu możesz być obłąkanym i nie biją cię za to, tu nie oblewają ciebie zimną wodą i bez zgody rodziny nie zakładają ci kaftana bezpieczeństwa; mam nadzieję, że nie zgodzicie się, aby mi go założyli; mogą nawet wychodzić, jeśli chcę, bo nie jestem niebezpieczna dla otoczenia, wcale nie jestem niebezpieczna, mój chłopcze; ale ja nie chcę wychodzić, nie chcę widzieć czasu ani czuć co dzień, że zabito tajemny śmiech, że pękła ukryta sprężyna w ukrytym mechanizmie zegara; on zaczął nagle traktować siebie poważnie; uroczyście, mówię ci; wmurowywali całe góry cegieł, ścinali całe lasy drewna budowlanego, zużywali masy betonu, którym można by zasypać Jezioro Bodeńskie; oni w budowie szukają zapomnienia, to jest jak opium; nie uwierzyłbyś, ile taki architekt potrafi nabudować w ciągu czterdziestu lat - usuwałam z jego spodni ślady zaprawy murarskiej, z kapelusza plamy gipsu, a on palił cygaro, kładł głowę na

moich kolanach i razem odmawialiśmy litanie *czy pamiętasz: czy pamiętasz rok 1907, 1914, 1921, 1928, 1935*

- a odpowiedzią była zawsze jakaś budowa albo czyjś zgon; czy pamiętasz, jak matka umarła, czy pamiętasz, jak umarł ojciec, Joanna i Henryk. Czy pamiętasz, jak budowałem }_ opactwo św. Antoniego, św. Serwacego, św. Bonifacego i św. Modesta, tamę między Heiligenfeld i Blessenfeld, klasztor dla białych i brunatnych mnichów, dom wypoczynkowy dla sióstr miłosierdzia, a każda odpowiedź dźwięczała mi w uszach jak: „Zmiłuj się nad nami!”. Piętrzyły się budowle i zgony, jedne na drugich; zaczął chodzić śladami własnej legendy, stał się niewolnikiem swojej liturgii; co rano śniadanie w kawiarni Kronera, choć wolałby je przecież jeść razem z nami, napić się kawy z mlekiem, zjeść kawałek chleba, nie zależało mu przecież na jajku na miękko, grzankach i tym obrzydliwym serze z papryką; ale uwierzył, że mu na tym zależy; bałam się; zaczął się irytować, kiedy *nie* dostawał jakiegoś poważnego zamówienia, a dotychczas cieszył się zawsze, jeśli je dostawał, rozumiesz mnie? To skomplikowane zagadnienie matematyczne, kiedy człowiek zbliża się do pięćdziesiątki, do sześćdziesiątki i staje przed wyborem: ulżyć pęcherzowi pod własnym pomnikiem czy ze czcią podnosić wzrok ku niemu; już nie przymruzał oka; ty miałeś wtedy osiemnaście lat, a Otto szesnaście - bałam się; jak czujny ptak o bystrych oczach stałam tam, na górze, w pergoli, trzymałam was na ręku jako niemowlęta, za ręce jako małe dzieci, staliście obok mnie, kiedyście mnie przerastali, i patrzyłam na maszerujący pode mną czas; wrzenie, walka, płacono bilion za jednego cukierka, a potem nie było trzech fenigów na bułkę; nie chciałam słyszeć nazwiska wybawcy, ale oni wynieśli byka na własnych ramionach, nalepiali go w postaci znaczka na listach i odmawiali litanie: porządek, ład, honor i wierność, pokonany, a jednak niepokonany; ład; głupi jak but, głuchy jak pień; na dole w biurze ojca, Józefina przeciągała nim po wilgotnej gąbeczce i w rozmaitych kolorach nalepiała go na listy; a on, mój mały Dawid, spał; obudził się dopiero wtedy, kiedy ty zniknąłeś; kiedy zobaczył, że można przyplacić życiem oddanie z ręki do ręki paczki pieniędzy, własnych pieniędzy owiniętych w gazetę; kiedy jego rodzony syn

nagle stał się tylko zewnętrzną powłoką syna: wierność, honor, ład - wtedy dopiero przejrzał; ostrzegałam go przed Gretzem, ale on powiedział: „Gretz jest nieszkodliwy”. „Oczywiście - odparłam - zobaczysz jeszcze, do czego są zdolni ludzie nieszkodliwi; Gretz potrafi zadenuncjować rodzoną matkę”; i przeraziłam się własnego jasnowidztwa, kiedy Gretz rzeczywiście zadenuncjował rodzoną matkę na policji; tylko dlatego, że staruszka powtarzała w kółko: „To grzech i hańba”. Nie mówiła nic więcej, zawsze tylko to jedno zdanie, aż syn jej pewnego dnia oświadczył: „Nie mogę tego dłużej tolerować, to sprzeciwia się mojemu honorowi”. Wywieźli staruszkę, umieścili ją w przytułku, uznali za obłąkaną, żeby uratować jej życie, ale właśnie to jej przyniosło śmierć; dali jej zastrzyk. Znałeś przecież tę staruszkę? Zawsze przerzucała wam za ogrodzenie puste koszyki po grzybach, rozplataliście i budowaliście sobie szałas z wikliny; po długotrwałych deszczach robiły się ciemne i brudne, wtedy suszyliście je i pozwalałam wam je palić. Pamiętasz staruszkę, którą Gretz zadenuncjował, jego rodzoną matkę? Oczywiście Gretz do dziś stoi za ladą, pieszczotliwie głaszcze płaty wątróbki. Przyszli także po Edytę, ale nie dałam im jej, wyszczerzyłam kły, zaczęłam na nich krzyczeć i wycofali się; zachowałam Edytę, do chwili kiedy zabił ją trzepoczący ptak; usiłowałam i jego powstrzymać, słyszałam jak nadlatywał z szumem, jak spadał w dół, i wiedziałam, że niesie śmierć; z triumfem wdarł się przez okno w sieni, podniosłam ręce, aby go pochwycić, ale on zatrzepotał między moimi rękami; przebac mi, nie mogłam ocalić baranka, i pamiętaj, Robercie: przyrzekłeś mi dostarczyć karabin. Nie zapomnij o tym. Uważaj, chłopcze, kiedy będziesz się wspinał po drabinie; chodź, niech cię ucałuję, i wybac, że się uśmiecham: jacy zręczni są dziś fryzjerzy.

Wyprostowany zaczął wchodzić po drabinie, pochłonęła go szara nieskończoność między szczeblami, a jednocześnie Dawid schodził z góry ku niemu; niskiego wzrostu; całe życie mógł nosić ubrania, które kupił w młodości. Ostrożnie! Dlaczego zatrzymujecie się między szczeblami, dlaczego nie siądziecie przynajmniej, jeśli musicie się rozmówić, obaj tacy wyprostowani? Czy rzeczywiście objęli się nawzajem, ojciec położył synowi, a syn ojcu rękę na ramieniu?

Przynieś kawę, Hupertsie, mocną, gorącą, i dużo cukru, on lubi

mocną i słodką kawę po obiedzie, a słabą rano, on, mój pan; przybywa z szarej nieskończoności, w którą odchodzi wielkimi krokami tamten, prosty, nieugięty; obaj są odważni, mój mąż i mój syn, schodzą do mnie tu, na dół, do tego zakłętego zamku; mój syn przychodzi dwa razy na tydzień, mój pan raz tylko; przynosi ze sobą sobotę, ma w oczach kalendarz i nie pozostawia mi nadziei, że będę mogła przypisać jego wygląd zręczności fryzjera; ma osiemdziesiąt lat, dziś w kawiarni Kronera będzie obchodził urodziny; bez szampana; zawsze go nienawidził, nigdy się nie dowiedziałam dlaczego.

Kiedyś marzyłeś, by tego dnia urządzić ogromne przyjęcie: siedem razy po siedmioro wnuków, dalej prawnuki, synowe, mężowie wnuczek i wnuczki; zawsze czułeś się trochę jak Abraham, założyciel potężnego rodu, widziałeś sam siebie w gabinecie zjaw sennych, z dwudziestym dziewiątym prawnukiem na rękę. Rozmnażać się, rozmnażać; ale to będą smutne urodziny: tylko jeden syn, jasnowłosa wnuk, ciemnowłosa wnuczka, którymi cię Edyta obdarzyła, a matka rodu w zakłętym zamku, można się do niej dostać tylko po nieskończeniu długiej drabiny o olbrzymich szczeblach.

Wejdz, wnieś tu szczęście, stary Dawidzie, wciąż jeszcze równie szczupły jak w młodości; oszczędź mi kalendarza w swoich oczach; płynę na małej kartce z kalendarza, noszącej napis: 31 maja 1942 roku; nie zniszcz mojej łódeczki, zmiłuj się nade mną, ukochany, nie zniszcz papierowego stateczku zrobionego z kartki kalendarza, nie spychaj mnie w ocean tych szesnastu lat. Czy zapamiętasz: *Zwycięstwo nie spada z nieba, trzeba je wywalczyć*; biada tym, którzy nie zakosztowali *sakramentu byka*; ty wiesz także, że sakramenty mają straszliwą właściwość: nie podlegają skończoności; a oni byli głodni i nie nastąpiło cudowne rozmnożenie chleba ani ryb, *sakrament baranka* nie zaspokoił ich głodu, zaś *sakrament byka* zapewniał obfitość jadła; nie nauczyli się rachować: bilion za jednego cukierka, konia za jabłko, a potem nie mieli trzech fenigów na bułkę; i zawsze porządek, ład, honor, wierność; *zaszczepieni sakramentem byka*, stali się nieśmiertelni; zaniechaj tego, Dawidzie, po co ciągnąć za sobą czas; zlituj się, zgaś kalendarz w swoich oczach; historię tworzą inni; ty masz swoją kawiarnię Kronera, kiedyś dostaniesz

własny pomnik, taki nieduży, z brązu, będziesz uwieczniony z rulonem planów w ręku: mały, wątły, uśmiechnięty, coś pośredniego między młodym rabinem i artystą, z nieokreślonym piętnem wiejskiego pochodzenia; widziałeś przecież, do czego prowadzi rozsądek polityczny - czy chcesz odebrać mi mój polityczny nierozsądek?

Z okna swojej pracowni wołałeś do mnie: „Nie martw się, będę cię kochał i oszczędzę ci tych okropności, o których ci opowiadają koleżanki: okropności, które rzekomo zdarzają się w noc poślubną; nie wierz szeptom tych idiotek; będziemy się śmiali, kiedy ta chwila nadejdzie, na pewno, przyrzekam ci to, ale musisz jeszcze poczekać, tylko parę tygodni, *najwyżej* miesiąc, aż będę mógł kupić bukiet, wynająć dorożkę, zajechać przed wasz dom. Będziemy podróżowali, obejrzymy kawał świata, obdarzysz mnie dziećmi, pięciorgiem, sześciorgiem, siedmiorgiem; dzieci obdarzą mnie wnukami, pięć, sześć, siedem razy po siedmioro, nigdy nie poznasz po mnie, że pracuję; oszczędzę ci męskiego potu, powagi mięśni i powagi munduru; wszystko mi idzie jak z płatka, nauczyłem się tego, trochę studiowałem, z góry zapłaciłem swoim potem; nie jestem artystą; nie miej złudzeń; nie będę ci mógł zaofiarować ani fałszywej, ani prawdziwej clemoniczności; to, o czym twoje przyjaciółki opowiadają, przejmujące grozą bajdy, nastąpi nie w sypialni, lecz pod gołym niebem; będziesz widziała nad sobą niebo, liście i trawa będą ci spadały na twarz, będziesz czuła zapach jesiennego wieczora i nie będzie ci się wydawało, że bierzesz udział w jakichś obrzydliwych ćwiczeniach gimnastycznych, które są twoim obowiązkiem; będziesz wachała jesienną trawę, będziemy leżeli na piasku nadrzecznym, w wierzbynie, tuż ponad śladem pozostawionym przez przybór wody; łądugi sitowia, korki, pudełka od pasty do butów, paciorek z różańca, który wypadł żonie szypra za burtę łodzi, i list w butelce po lemoniadzie; w powietrzu gorzki dym z komina statku; grzechoczące łańcuchy kotwiczne; nie zrobimy z tego sprawy krwawej i poważnej, choć to jest, oczywiście, poważne i krwawe”.

A korek, który podniosłam palcami nagich stóp i ofiarowałam ci na pamiątkę? Podniosłam go i podarowałam ci, ponieważ oszczędziłeś mi sypialni, ciemnej izby tortur znanej z romansów, z

szeptów przyjaciólek, z przestróg zakonnice; gałązki wierzby zwiślały mi nad czołem; srebrno-zielone listki zwiślały mi nad ciemnymi błyszczącymi oczami; statki buczały na moją cześć, wołały do mnie, że przestałam być dziewicą; mrok, jesienny wieczór, dawno już spuszczone wszystkie łańcuchy kotwiczne, majtkowie i żony szyprów schodzili po chyboczących się pomostach na ląd, i już pożałowałam tego, czego bałam się przed paru godzinami, a jednak łyżki mi w oczach stanęły, bo czułam się niegodna swoich przodków, którzy wstydziliby się robić przyjemność z obowiązku; przylepiłam listki wierzby na czole i na śladach łez, tam, na brzegu rzeki, gdzie dotykałam stopami sitowia i butelek z pozdrowieniami urlopowiczów do mieszkańców tego miasta; skąd się wzięło tyle pudełek od pasty do obuwia? Czy zużyto ją do glansowania trzewików marynarzy schodzących na ląd, do czarnych toreb na zakupy, po które szły żony szyprów, czy też do błyszczących daszków u kaszkietów, które lśniły w mroku, kiedyśmy później siedzieli na czerwonych krzeselkach w kawiarni Trischlera? Zachwycałam się pięknymi rękami młodej kobiety, która podała nam smażoną rybę, sałatę, tak zieloną, że aż oczy bolały; wino; ręce młodej kobiety, która w dwadzieścia osiem lat później przemywała winem poszarpane plecy mego syna; nie powinieneś być krzyżeć na Trischlera, kiedy zatelefonował do nas i powiedział o wypadku Roberta; przybór, przybór wody, zawsze ciągnęło mnie, żeby się w nią rzucić i pozwolić się jej unosić ku szaremu horyzontowi. Wejdz, wnieś tu szczęście, ale nie całuj mnie; nie niszczyć mego stateczku; oto kawa dla ciebie, słodka i gorąca, popołudniowa kawa, mocna i bez mleka, oto cygara; po sześćdziesiąt sztuka; Huperts je dla mnie kupił. Zmień obiektywy swoich oczu, mój stary, nie jestem przecież ślepa, tylko obłąkana, i mogę przeczytać datę na kalendarzu w hallu: 6 września 1958 roku; nie jestem ślepa i wiem, że twego wyglądu nie mogę przypisać sztuce fryzjerów; weź udział w mojej grze, przekreśl obiektywy swoich oczu i nie opowiadaj mi znów o swoim promiennym jasnowłosym wnuku, który odziedziczył serce matki, rozum ojca i pełni funkcje twego pełnomocnika przy odbudowie opactwa; czy zdał maturę? Czy zamierza studiować statykę? Jest teraz na praktyce? Wybacz, że się śmieję; nigdy nie mogłam brać poważnie budowy; pył, zapieczony,

skoncentrowany, przeobrażony w elementy struktury pył, złudzenie optyczne, fatamorgana, z góry przeznaczona, by stać się ruiną; zwycięstwo nie spada z nieba, trzeba je wywalczyć; przeczytałam to dziś w gazecie, zanim mnie zabrali. „Wybuchy entuzjazmu - przepełnieni nabożną ufnością słuchali tych słów - wciąż na nowo wybuchała radość i entuzjazm”. Czy mam ci przeczytać, co 0 tym piszą w miejscowym dzienniku?

Gromada twoich wnuków, nie siedem razy po siedmioro, tylko dwa razy po jednym, tylko dwoje, nie będą korzystali z przywilejów, obiecałam to Edycie, barankowi; nie zakosztują *sakramentu byka*, a chłopiec nie będzie się uczył wiersza zadanego w szkole.
Chwał wszelki ból, jaki ci los zgotuje,
On bratnie dusze podobnie piętnuje...

Czytasz za dużo ogólnokrajowych gazet, pozwalasz, aby ci podawano *byka* na słodko albo na kwaśno, panierowanego
1 Bóg wie w jakim sosie; czytasz za dużo elitarnych pism
- patrz, z działu kulturalnego naszej lokalnej gazety możesz co dzień łykać prawdziwe łajno, czyste, bez domieszki, niczym nie zafałszowane, podawane z najlepszą wolą, jaką tylko możesz sobie wymarzyć; tamci nie robią tego z najlepszą wolą, to tchórze, ci redaktorzy ogólnokrajowych gazet, ale tutaj, tutaj robią go z najlepszą wolą; bez przywilejów, bardzo proszę, bez oszczędzania kogokolwiek; patrz, to jest skierowane do mnie: „Matki poległych... Chociaż jesteście narodowymi świętymi, wasze dusze jęczą jak wasi synowie...”; jestem narodową świętą i moja dusza jęczy; mój syn poległ: Otto Fahmel; ład, porządek, honor, wierność; zadenuncjował nas przed policją, stał się nagle tylko zewnętrzną powłoką naszego syna; bez oszczędzania; bez przywilejów; opata naturalnie oszczędzili, on przecież zakosztował tamtego sakramentu, porządek, ład, honor; mnisi z pochodniami w rękach uczcili to na szczycie wzgórza, z którego rozciąga się widok na uroczą dolinę Kissy; rozpoczęła się nowa epoka ofiar i cierpień, i znów mieli dość fenigów na bułeczki, pięć fenigów na kawałek mydła; opat zdziwił się, że Robert nie chce wziąć udziału w uroczystości; wjechali na szczyt wzgórza na koniach, z których szła para, rozpalili ognisko: święto przesilenia wiosennego. Pozwolili, żeby Otto zapalił stos, wsunął

palącą się pochodnię w chrust, te same usta, które tak cudownie umiały śpiewać *Rorate coeli*, śpiewały słowa, których nie chcę dopuścić do ust mego wnuka: *Drżą spróchniałe kości*

- czy twoje kości nie drżą, stary?

Chodź, połóż mi głowę na kolanach, zapal cygaro, filiżankę z kawą masz w zasięgu ręki; zamknij oczy; spuść zasłonę, precz, zgaś twój kalendarz, będziemy odmawiali litanie *czy-pamiętasz*, będziemy wspominali te lata, kiedy mieszkaliśmy w Blessenfeld, gdzie każdy wieczór pachniał odpoczynkiem, prostymi ludźmi zaspokajającymi głód w budkach z rybą smażoną, z ciastem, przy wózkach z lodami; błogosławieni, którzy mogą jeść palcami; ja nie mogłam tego robić, dopóki mieszkałam w domu; ty mi na to pozwalałeś; dudniły katarynki, skrzypiały karuzele, a ja wdychałam tę woń, słyszałam, czułam, że tylko to, co przemija, jest trwałe. Wyzwoliłeś mnie z tego straszliwego domu, w którym oni od czterystu lat byli zamknięci, na próżno usiłując się uwolnić; w letnie wieczory siadywałam na tarasie na dachu, kiedy oni w ogrodzie popijali wino: męskie wieczory, herbatki dla pań, w przenikliwym śmiechu kobiet słyszałam to samo co w rechoczącym śmiechu mężczyzn: rozpacz. Kiedy wino rozwiązywało języki, wyzwalalo wszelkie tabu, kiedy woń letniego wieczoru uwalniała ich z niewoli własnej obłudy, stawało się jasne, że nie są ani dość bogaci, ani dość biedni, aby móc odkryć to, co jedynie jest trwałe: przemijalność; tęskniłam do niej, wychowywano mnie zaś do nieprzemijalności: do małżeństwa, wierności, honoru, sypialni, gdzie było miejsce tylko na obowiązek, a nie na swobodę. Powaga, budowle, pył zamieniany w elementy strukturalne, a w uszach brzmiało mi jak wabienie rzeki, pomrukującej w czas przybo- ru: *po-co-po-co-po-co*; nie chciałam uczestniczyć w ich rozpacz, nie chciałam zakosztować ciemnego dziedzictwa, które przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie; tęskniłam do białego zwiewnego sakramentu baranka i usiłowałam przy *mea culpa, mea, culpa, mea maxima, culpa* wybić sobie z piersi pradawne dziedzictwo ciemności i przemocy. Zostawiłam w sieni książeczkę do nabożeństwa, wróciwszy z mszy w samą porę, aby odebrać poranny pocałunek ojca; potem jego grzmiący bas oddalał się przez dziedziniec ku kancelarii; miałam piętnaście, szesnaście, siedemnaście, osiemnaście lat i

widziałam w oczach matki napiętą czujność: została rzucona wilkom na pożarcie; czy mnie miało to być oszczędzone? Podrastały już wilki - piwosze, korporanci, bardziej i mniej przystojni. Patrzyłam na jej ręce, na jej oczy i wskutek ciężącego na mnie straszliwego przekleństwa widziałam ją, kiedy miała czterdzieści, sześćdziesiąt lat; widziałam fioletowe żyły na tych rękach, które nigdy nie będą pachniały wolnym wieczorem po pracy; powaga, mężczyźni, odpowiedzialność; przestrzeganie prawa, uczenie dzieci historii; liczenie pieniędzy, opowiadanie się za rozsądkiem politycznym - oni wszyscy byli przeklęci jak moi bracia, mieli zakosztować *sakramentu byka*; młodzi byli tylko wiekiem i tylko jedno mogło im przynieść chwałę, obdarzyć ich wielkością, spowić w mityczne opary: śmierć; czas był tylko środkiem zbliżającym ich do śmierci; węszyli ją wciąż i pociągało ich wszystko, co miało jej woń; sami byli przesiąknięci zapachem rozkładu; czaił się w domu, w oczach tych, którymi miałam być rzucona na pożarcie: korporantom, obrońcom praw; tylko jedno było surowo zakazane: chcieć żyć i bawić się. Rozumiesz mnie, staj? Zabawa uważana była za grzech śmiertelny; nie sport, ten byłby jeszcze tolerowany; sport ożywia, dodaje wdzięku, piękności, zaostza apetyt wilków; pokoje dla lalek: dobrze; to sprzyja gospodarności i rozwojowi instynktu macierzyńskiego; taniec - również dobrze: zwiększa wartość tynkową - ale jeśli tańczyłam tylko dla siebie samej, w nocnej koszuli, w moim pokoju na górze - to grzech, bo taki taniec nie jest obowiązkiem; raczej wolno mi było pozwalać, aby na balach korporanci obmacywali mnie w ciemnym korytarzu, wolno mi było nawet na piknikach, w mrokach lasu, pozwalać na niezbyt daleko posunięte pieszczoty; nie hołdujemy przecież pruderii. Modliłam się o tego, który mnie ocali, wybawi od śmierci w wilczych ostępach, modliłam się, przyjmowałam na tę intencję biały sakrament i widziałam ciebie w oknie pracowni, po drugiej stronie ulicy; gdybyś wiedział, jak cię kochałam, gdybyś mógł się tego domyślić, nie podnosiłbyś teraz powiek, aby ukazać mi kalendarz, i nie próbowałbyś mi opowiadać, jak wyrosli moi wnukowie, że pytają o mnie, że mnie nie zapomnieli. Nie, nie chcę ich widzieć; wiem, że mnie kochają, i wiem, że istniała tylko jedna możliwość ujęcia mordercom: uznanie mnie za obłąkaną. Ale jeśli

się ze mną stało to, co się stało z matką Gretza, no? Miałam szczęście, prawdziwe szczęście na tym świecie, na którym jeden ruch ręki można przyplącić życiem, na którym uznanie za obłąkaną może cię ocalić lub zgubić. Nie chcę jeszcze oddać tych lat, które poślknęłam, nie chcę widzieć dwudziestodwuletniego Józefa ze śladami zaprawy murarskiej na nogawkach spodni, z plamami gipsu na maiynarce, promiennego młodego człowieka, wywijającego miarką techniczną, z rulonami planów pod pachą; nie chcę widzieć dziewiętnastoletniej Rut, czytającej *Intrygę i miłość*. Zamknij powieki, stary Dawidzie, zasłoń kalendarz, proszę, masz swoją kawę.

Wierz mi, ja się naprawdę boję; nie kłamię; pozwól płynąć mojej łódce, nie niszczyj jej jak niegrzeczny chłopiec. Świat jest zły, tak na nim mało czystych serc; Robert także bierze udział w mojej zabawie, posłusznie chodzi na stacje, na które go wysyłam: od roku 1917 do 1942 - ani kroku dalej; robi to wyprostowany, nieugięty, po niemiecku; wiem, że tęsknił, że gra w bilard i wkuwanie formuł na obczyźnie nie dawały mu szczęścia; że wrócił nie tylko ze względu na Edytę; on jest Niemcem, czyta Hölderlina, nigdy nie zakosztował *sakramentu byka*, on należy do wyższej sfery, nie jest barankiem, lecz pasterzem. Chciałabym tylko wiedzieć, co robił na wojnie, ale on nigdy o tym nie mówi; architekt, który jeszcze nigdy nie zbudował domu, nigdy nie miał śladów zaprawy murarskiej na nogawkach spodni, nie, zawsze nieskazitelny, poprawny, architekt zza biurka, jego nie nęca „wiechowe”. Ale gdzie jest nasz drugi syn, Otto? Poległ pod Kijowem; nasz z krwi i kości skąd przyszedł, dokąd odszedł? Czy istotnie podobny był do twego ojca? Widziałeś kiedy Ottona z dziewczyną? Tak bardzo chciałabym coś o nim wiedzieć; a wiem tylko, że chętnie pijał piwo, że nie lubił ogórków, i pamiętam ruch jego rąk, kiedy się czesał, kiedy nakładał płaszcz; zadencjonował nas w policji, poszedł do wojska

- jeszcze zanim skończył szkołę - pisał do nas pocztówki pełne śmiertelnej ironii: „U mnie wszystko w porządku, mam nadzieję, że i u Was także, potrzebuję 3”. Otto ani razu nie przyjechał na urlop do domu; gdzie spędzał urlopy? Jaki detektyw mógłby nam coś o tym powiedzieć? Znam numer jego pułku, numer poczty polowej, jego rangi: porucznik, major, podpułkownik Fahmel, i ostatni awans,

znowu cyfry, data, poległ 12 I 1942. Widziałam na własne oczy, jak na ulicy bił tych, którzy nie oddawali honorów sztandarom; podnosił ręce i bił, uderzyłby i mnie także, gdybym prędko nie skręciła między kramy przekupniów; w jaki sposób dostał się do naszego domu? Nie mogę mieć nawet tej obłędnej nadziei, że zamieniono go, gdy był niemowlęciem; urodził się przecież w domu, w dwa tygodnie po śmierci Henryka, na górze w sypialni, w ponury październikowy dzień 1917 roku; i podobny był do twego ojca.

Cicho, staruszk, nic nie mów, nie otwieraj oczu, nie zdradzaj się przede mną ze swoimi osiemdziesięcioma latami. *Memento quia pulvis es et in pulverem reverteris*. Oni nam to mówią wyraźnie; proch, który pozostawia po sobie zaprawa murarska, hipoteki, domy, gospodarstwa rolne, pomnik w spokojnej podmiejskiej okolicy, gdzie bawiące się dzieci będą pytały: kto to był?

Jako młoda matka, kwitnąca i radosna, chodziłam po parku w Blessenfeld, a przecież wiedziałam, że gderliwi emeryci, zrzedzący na hałaśliwe dzieci, zrzedzili na tych, którzy kiedyś, jako gderliwi emeryci, będą tam siedzieli i zrzedzili na hałaśliwe dzieci, mające zostać kiedyś również gderliwymi emerytami; prowadziłam dwoje dzieci za ręce, z każdej strony jedno; miały jedno cztery, drugie sześć lat, potem jedno sześć, drugie osiem, jedno osiem, drugie dziesięć; w ogrodzie wisiały starannie namalowane tabliczki: 25, 50, 75, 100, czarne cyfry na białym lakierowanym tle zawsze przypominały mi numery na przystankach tramwajowych; wieczorem kładłeś mi głowę na kolanach, filiżanka kawy stała tak, abyś mógł po nią sięgnąć; na próżno czekaliśmy na szczęście, nie znajdowaliśmy go w przedziałach wagonów kolejowych ani w hotelach; obcy człowiek chodził po naszym domu, nosił nasze nazwisko, pił nasze mleko, jadł nasz chleb, za nasze pieniądze kupował w przedszkolu kakao, potem zeszyty szkolne.

Zanieś mnie z powrotem nad rzekę, gdzie nagimi stopami dotykałam śladów przyboru wody, gdzie statki buczyły i pachniało dymem, zaprowadź mnie do kawiarni, gdzie nam podawała kobieta o pięknych dłoniach; cicho, staruszk, nie płacz; ja jestem na wewnętrznej emigracji, a ty masz syna, dwoje wnuków, może wkrótce obdarzą cię prawnukami. Nie w moim ręku leży decyzja, aby

powrócić do ciebie, co dzień robić sobie łódeczkę z kartki kalendarza i radośnie zeglować na niej do północy: 6 września 1958; to przyszłość, przyszłość Niemiec, sama czytałam w lokalnym pisemku: „Obrazek z przyszłości Niemiec; rok 1958; dwudziestojednoletni podoficer Morgner przedzierzgnął się w trzydziesto- sześćoletniego rolnika Morgnera; oto stoi na brzegu Wołgi; jest wieczór, koniec pracy, Morgner pali fajeczkę, na którą sobie dobrze zasłużył, trzymając w ręku jedno ze swych jasnowłosych dzieci, zamyślony patrzy na żonę, która właśnie doi ostatnią krowę; niemieckie mleko nad Wołgą...”.

Nie chcesz słuchać dalej? Dobrze, ale daj mi spokój z przeszłością; nie chcę wiedzieć, jak wygląda będąc terażniejszością; czy oni stoją na brzegu Wołgi? Nie płacz, staruszkule; zapłać okup, wtedy powrócę z zakłętym zamkiem: *muszę dostać karabin, muszę dostać karabin*.

Uważaj, kiedy będziesz się wspinał po drabinie; wyjmij cygaro z ust; nie masz już trzydziestu lat i mogłoby ci się zakręcić w głowie; dziś wieczorem rodzinna uroczystość w kawiarni Kronera? Może przyjadę; życzę ci szczęścia w dniu urodzin; wybacz mi, że się śmieję; Joanna miałaby dziś czterdzieści osiem lat, Henryk czterdzieści siedem; oni zabrali ze sobą swoją przyszłość; nie płacz, staruszkule, sam chciałeś zacząć tę grę. Uważaj, kiedy będziesz się wspinał po drabinie.

Rozdział szósty

Żółto-czarny autobus zatrzymał się przed wsią i skręcił z szosy w kierunku Doderingen. Robert zobaczył ojca, wynurzającego się z tumanu kurzu, pozostawionego przez autobus; starzec wyszedł na zalaną słońcem przestrzeń jak z gęstej mgły; poruszał się żwawo, prawie nie widać było po nim zmęczenia spowodowanego upałem. Skręcił w główną ulicę, minął gospodę „Pod Łabędziem”; zrudzeni wiejscy chłopcy przyglądali mu się ze schodów gospody; piętnasto-, szesnastoletnie wyrostki - pewno ci sami, którzy czatowali na Hugona, kiedy wracał ze szkoły. W pustych bocznych uliczkach, w ciemnych stajniach bili go i przezywali *barankiem bożym*.

Starzec minął urząd gminny i pomnik poległych, gdzie

przywiędły bukszpan, rosnący na podmokłym gruncie, ofiarował swoje liście na pamiątkę zabitym w trzech wojnach. Pod murem cementarnym starzec przystanął, wyciągnął z kieszeni chustkę, otarł czoło, złożył i schował chustkę z powrotem, obciągnął marynarkę, poszedł dalej; Robert widział, jak przy każdym kroku ojca prawa nogawka spodni zakreślała kokieterjny luk. Tylko na chwilę ukazywała się granatowa tasiemka, którą podszyto spód nogawki, zanim stopa znowu dotknęła ziemi i znowu podniosła się, aby zakreślić kokieterjny luk. Robert spojrział na zegar dworcowy; za dwadzieścia czwarta; pociąg przyjedzie dopiero dziesięć po czwartej. Pół godziny - nigdy jeszcze, odkąd sięgał pamięcią, nie przebywał tak długo sam na sam z ojcem. Miał nadzieję, że tamta wizyta potrwa dłużej i zwolni go z konieczności odbycia tej rozmowy, rozmowy ojca z synem. Bufet na dworcu w Denklin- gen był najmniej odpowiednim miejscem na to spotkanie, na które ojciec czekał od dwudziestu, a może i trzydziestu lat: na rozmowę z synem, dojrzałym mężczyzną, już nie dzieckiem, które można prowadzić za rękę, zabrać w podróż nad morze, zaprosić na ciastka i na lody; pocałunek na dobranoc, pocałunek na dzień dobry, jak tam z lekcjami, kilka sentencji życiowych: uczciwość popłaca; Bóg cię nie zawiedzie; co tydzień wypłata kieszonkowego; pełen dumy uśmiech z powodu dyplomów sportowych i dobiych świadectw szkolnych; nieśmiałe dyskusje o architekturze; wycieczki do opactwa św. Antoniego; ani słowa, kiedy zniknął, ani słowa, kiedy powrócił; przytłaczająca atmosfera posiłków w obecności Ottona, uniemożliwiająca rozmowę nawet o pogodzie; mięso krajane srebrnymi nożami, sos nabierany srebrną łyżką; matka, sztywna jak królik obezwładniony wzrokiem węża; ojciec patrzył w okno, krusząc chleb, bezmyślnie podnosił łyżkę do ust, ręce Edyty drżały, podczas gdy Otto z pogardą nakładał sobie na talerz największy kawałek mięsa; on jeden przy stole doceniał smak potraw; ulubieniec ojca, zawsze gotów do wycieczek, podróży, ekstrawagancji, radosny chłopak z radosną przyszłością, chłopak stworzony do tego, by na kiermaszach budzić w ojcu uczucie spełnionego celu życia; od czasu do czasu oświadczał beztrząsco: „Możecie mnie przecież wyrzucić z domu!”; nikt mu nie odpowiadał. Robert szedł po obiedzie do pracowni ojca, tylko tam przesiadywał,

rysował, żonglował formułkami w pustym dużym pokoju, w którym stały jeszcze stoły kreślarskie pięciu architektów; puste. Ojciec zmęczonymi ruchami wciągał na siebie roboczy kitel, grzebał wśród zwiniętych w rulony rysunków, coraz to przystawał przed planem opactwa św. Antoniego, potem wychodził - na spacer, na kawę, odwiedzić dawnych kolegów, dawnych wrogów; w domach, w których ód czterdziestu lat był mile widzianym gościem, nastąpiła epoka lodowcowa - w jednych z powodu Roberta, w innych z powodu Ottona. A przecież ojciec miał pogodne usposobienie, stworzony był do życia pełnego radości, do tego, by pić wino i kawę, podróżować i wszystkie ładne dziewczęta, spotykane na ulicy lub w wagonie kolejowym, uważać za ewentualne przyszłe synowe; często wychodził na parogodzinny spacer z Edytą, popychającą dziecienny wózek; miał niewiele pracy, był szczęśliwy, kiedy mógł zaprojektować lub nadzorować drobną przeróbkę w którymś z dawniej zbudowanych szpitali, kiedy mógł pojechać do opactwa św. Antoniego i zarządzić naprawę muru. Zdawało mu się, że Robert ma do niego żal, Robert zaś sądził, że to ojciec ma żal do niego.

Teraz jednak Robert był dojrzałym mężczyzną, sam miał dorosłe dzieci, los dotknął go stratą żony; wyemigrował, potem wrócił; poszedł na wojnę; był zdradzony i torturowany; teraz, samodzielny, z wyraźnie określonym miejscem w życiu: „Dr Robert Fahmel, Biuro obliczeń statycznych, po południu nieczynne”, stał się wreszcie odpowiednim partnerem do rozmowy z ojcem.

- Podać szanownemu panu jeszcze jedno piwo? - spytał gospodarz zza bufetu; startł pianę od piwa z niklowanej płyty, wyjął z chłodzonej gabloty dwa talerzyki z mięsnymi krokietami i musztardą, zaniósł je siedzącej w rogu salki młodej parce, rozgrzanej spacerem, zmęczonej i rozmarzonej.

- Tak, proszę jeszcze jedno piwo - powiedział Robert i odsunął firankę z okna: ojciec skręcił w prawo, minął bramę cementarną, przeszedł na drugą stronę ulicy, zatrzymał się przy ogródku zawiadowcy stacji, patrzył na świeżo rozkwitłe fioletowe astry. Widać było, że się ociąga.

- Nie - powiedział Robert w kierunku bufetu - proszę o dwa piwa i dziesięć papierosów „Virginia”.

Przy stoliku zajęтым teraz przez młodą parę siedział wtedy oficer amerykański, młody człowiek, który dzięki jasnym, krótko ostrzyżonym włosom wyglądał jeszcze młodziej; błękitne oczy promieniowały wiarą, wiarą w przyszłość, w której wszystko będzie zrozumiałe. Ta przyszłość leżała już przed nim, podzielona na kwadratowe segmenty planu; pozostawało tylko wyjaśnić kwestię skali -1:1 czy 1 : 3 000 000? Na stoliku, na którym palce oficera bawiły się cienkim ołówkiem, leżała mapa okręgu Kisslingen.

W ciągu tych trzynastu lat stół się nie zmienił; na prawej nodze, tam gdzie teraz szukały oparcia zakurzone sandały młodego chłopca, wciąż jeszcze można było odczytać inicjały, wycięte przez jakiegoś znudzonego ucznia, dojeżdżającego do szkoły: J.D.; pewno nazywał się Józef Dodringer. Nie zmienił się także obrus w czerwono-białą kratę; krzesła przetrwały dwie wojny światowe - buczyna bez sęków, przetworzona na solidne meble; od siedemdziesięciu lat służyły tylkom czekających na pociąg chłopców. Nowa była tylko elektrycznie chłodzona gabłota na bufecie, w której obsmażone krostki z mięsa, zimne kotlety i jajka w majonezie czekały na zgłodniałych lub znudzonych konsumentów.

- Służę szanownemu panu, dwa piwa i dziesięć papierosów.
- Dziękuję.

Nawet obrazów na ścianach nie zmieniono; widok opactwa św. Antoniego z góry, zdaje się z Kozackiego Wzgórza, sfotografowany jeszcze na poczciwej kliszy, aparatem osłoniętym czarną płachtą; krużganki i refektarz, potężny kościół, zabudowania gospodarskie. Obok wyblakły oleodruk: zakochana para na polnej miedzy; kłosa i chabiy, gliniasta, żółta, spalona przez słońce droga; wiejska piękność łąskocze kłosem ucho kochanka, który położył głowę na jej kolanach.

„Pan mnie nie zrozumiał, panie kapitanie; my chcemy wiedzieć, *dlaczego* pan to zrobił, słyszy pan? Oczywiście znamy «rozkaz o wypalanej ziemi» - pozostawcie nieprzyjacielowi same ruiny i trupy - prawda? Ale nie wydaje mi się, żeby pan zrobił to tylko dlatego, aby wykonać ten rozkaz; jest pan - proszę wybaczyć - zbyt inteligentny, aby tak postąpić. Ale *dlaczego*, *dlaczego* w takim razie wysadził pan w powietrze opactwo? Było ono przecież swego rodzaju cennym zabytkiem kulturalnym; teraz, kiedy działania wojenne na tym terenie

zostały zakończone, a pan jest naszym jeńcem i zapewne nie będzie pan miał okazji opowiedzieć po tamtej stronie o względach, jakimi kierowaliśmy się - teraz mogę panu wyjawić, że nasz dowódca zdecydowałby się raczej opóźnić pochód o dwa czy trzy dni niż tknąć opactwo. Dlaczego pan je wysadził w powietrze, choć z taktycznego i strategicznego punktu widzenia nie miało to żadnego sensu? Pan nie powstrzymał, lecz przyśpieszył nasz marsz. Pan pali?”.

„Tak, dziękuję”.

Papieros był dobry: „Virginia”, mocny i cierpki.

„Mam nadzieję, że pan rozumie, co mam na myśli. Proszę, niechże pan coś powie; widzę, że jesteśmy niemal rówieśnikami: pan ma dwadzieścia dziewięć lat, ja dwadzieścia siedem. Czy pan nie może uwierzyć, że chciałbym pana zrozumieć? A może obawia się pan następstw swego zeznania

- z naszej strony albo ze strony pańskich rodaków?”.

Ale gdyby to wtedy wypowiedział, stałoby się nieprawdą; zeznanie do protokołu nie zawierałoby ani ziarnka prawdy: że pięć i pół roku wojny czekał na tę chwilę, na chwilę, kiedy opactwo stanie się jego łupem, kiedy będzie przed nim leżało jak dar Boga; chciał wznieść z pyłu i gruzu pomnik ku czci tych, którzy nie byli zabytkami kultury, których nie trzeba było oszczędzać: Edyty, zabitej odłamkiem bomby; Ferdiego, zamachowca, w imię prawa skazanego na śmierć; chłopca, który wrzucał do skrzynki na listy karteczki z wiadomościami od niego; ojca Schrelli, zaginionego bez wieści; samego Schrelli, który musiał przebywać tak daleko od ojczyzny Hölderlina; i Grolla, kelnera z „Kotwicy”, i tylu, tylu innych, którzy wyruszali na front śpiewając: *Drżą spróchniałe kości...* Nikt za nich nie będzie odpowiadał, nikt im nie otworzył oczu. Dynamit, parę formułek - oto możliwości wzniesienia pomnika, jakimi rozporządzał; i jego ludzie, słynni z precyzyjnej roboty: Schrit, Hochbret, Kanders...

„Wiemy z całą pewnością, że pan nie mógł traktować poważnie swego zwierzchnika, generała Ottona Kóstersa; nasi psychiatrzy wojskowi uznali go jednomyślnie - a pan nawet nie wie, jak trudno jest uzyskać jednomyślność amerykańskich psychiatrów wojskowych - otóż uznali go jednomyślnie za człowieka obłąkanego, nieodpowiedzialnego za swoje czyny. Wobec tego cała

odpowiedzialność spada na pana, panie kapitanie, ponieważ pan bez wątpienia nie jest obłąkany i - zdradzę to panu - zeznania pańskich kolegów poważnie pana obciążają. Nie chcę zapytywać o pańskie przekonania polityczne: zbyt często już słyszałem zapewnienia o niewinności i, szczerze mówiąc, bardzo mi się już znudziły.

Powiedziałem kiedyś moim kolegom, że w tym pięknym kraju znajdziemy pięciu lub sześciu, no, jak dobrze pójdzie, dziewięciu winnych i będziemy musieli zadawać sobie pytanie, przeciw komu prowadziliśmy tę wojnę

- przeciw samym rozumnym, sympatycznym, inteligentnym, a nawet wysoce kulturalnym ludziom? Proszę, niechże pan odpowie na moje pytanie. Dlaczego, dlaczego pan to zrobił?''.

Na miejscu, które wtedy zajmował oficer amerykański, siedziała teraz młoda dziewczyna, jadła krostki z mięsa, małymi łykami popijała piwo, chichotała; na horyzoncie rysowała się ciemnoszara wysmukła wieża katedry św. Seweryna - nietknięta.

Czy miał powiedzieć, że szacunek dla zabytków kulturalnych wydaje mu się równie wzruszający jak błędne wyobrażenie, że nie spotkają tu sympatycznych, rozumnych ludzi, tylko same bestie? Pomnik ku czci Edyty i Ferdiego, Schrelli i jego ojca, Grolla i chłopca, który wrzucał karteczki do skrzynki na listy, ku czci Polaka Antoniego, który podniósł rękę na Vacana i został za to zamordowany, i tych, którzy wyruszali na front śpiewając: *Drżą spróchniałe kości...*, bo nikt ich niczego innego nie nauczył; pomnik dla baranków, których nikt nie pasł.

Jeżeli jego córka Rut chce zdążyć na pociąg, musi w tej chwili mijać biegiem wejście do katedry św. Seweryna; w zielonej czapeczce na ciemnych włosach, w różowym sweterku, zgrzana i szczęśliwa, że zobaczy ojca, brata, dziadka; podwieczorek w opactwie przed uroczystością urodzinową, jaka ich czeka wieczorem.

Ojciec stał w cieniu przed dworcem i studiował tablicę z rozkładem jazdy; zarumieniona szczupła twarz, miły starszy pan, wielkoduszny i uprzejmy; nigdy nie zakosztował *sakramentu byka*, nie zgorzkniał na starość. Czy on wiedział? Czy dopiero się dowie? A Józef? Jak Robert będzie mógł mu to kiedyś wytłumaczyć? Lepiej było milczeć niż zeznać do protokołu myśli i uczucia, i wydać je na

pastwę psychologów.

Nie mógł wytłumaczyć tego wtedy miłemu młodemu oficerowi, który patrzył na niego potrząsając głową i podsunął mu napoczętą paczkę papierosów. Robert wziął papierosy, podziękował, schował do kieszeni, zdjął z piersi swój żelazny krzyż i podsunął go młodemu człowiekowi; obrus w czer-wono-białą kratę zmarszczył się; Robert wygładził go, zauważył, że oficer się zaczerwienił.

„Nie, nie - powiedział Robert - proszę wybaczyć moją niezręczność; nie chciałem pana dotknąć, ale czułem potrzebę ofiarowania panu tego na pamiątkę od człowieka, który wysadził w powietrze opactwo św. Antoniego i dostał za to order; który wysadził opactwo, choć wiedział, że generał jest obłąkany, choć wiedział, że to nie ma sensu z taktycznego i strategicznego punktu widzenia. Chętnie zatrzymam pańskie papierosy - proszę, niech mi pan uwierzy, że jest to tylko wymiana upominków między rówieśnikami”.

Może dlatego to zrobił, że wtedy, w dniu wiosennego przesilenia, zakonnicy wyruszyli na Kozackie Wzgórze i kiedy rozpalono ognisko, zaintonowali: *Drżą spróchniałe kości...* Otto rozpałił ognisko, a Robert stał tam również z synkiem na ręku, z małym Józefem o wijących się jasnych włoskach, który z radości klaskał w rączki; obok niego stała Edyta i ścisłała jego prawą rękę. A może zrobił to dlatego, że Otto nie wydawał mu się nawet obcy na tym świecie, na którym jeden ruch ręki można było przypłacić życiem; dookoła ogniska stali wiejscy chłopcy z Doderingen, Schlackringen, Kisslingen i Denklingen; rozgrzane twarze wyrostków i dziewcząt lśniły w blasku ognia, który pozwolono rozniecić Ottonowi, i wszyscy śpiewali pieśń zaintonowaną przez pocziwego zakonnika, kłującego ostrogami boki pocziwej szkapy roboczej: *Drżą spróchniałe kości*. Rycząc pieśń, z pochodniami w rękach, schodzili ze wzgórza; czy miał powiedzieć temu młodemu człowiekowi, że zrobił to, ponieważ nie usłuchali nakazu: *Paś baranki moje?* I że nie czuje ani odrobiny skruchy? Powiedział na głos: „Może to był żart, zabawa”.

„Dziwne tu macie żarty, dziwne zabawy. Pan przecież jest architektem?”.

„Nie, jestem statykiem”.

„No, to chyba niewielka różnica”.

„Wysadzenie w powietrze to jak gdyby przeciwieństwo statyki, że tak powiem: jej odwrotność”.

„Proszę mi wybaczyć - powiedział oficer - zawsze byłem słaby w matematyce”.

„A mnie matematyka zawsze sprawiała wielką przyjemność”.

„Pański przypadek zaczyna mnie prywatnie interesować. Czy wzmianka o pańskim zamiłowaniu do matematyki ma znaczyć, że przy wysadzeniu opactwa odgrywało rolę pewnego rodzaju zainteresowanie zawodowe?⁵”.

„Być może. Dla statyka jest oczywiście niezwykle interesującą rzeczą przekonać się, jakiej siły potrzeba do obalenia praw statyki. Musi pan przyznać, że było to doskonale przeprowadzone wysadzenie obiektu”.

„Ale czy pan poważnie twierdzi, że to, powiedzmy, abstrakcyjne zainteresowanie mogło odegrać jakąś rolę?” „Tak”.

„Obawiam się, że jednak nie będę mógł zrezygnować z przesłuchania politycznego. Zwracam uwagę pana, że podawanie jakichkolwiek fałszywych danych byłoby bezcelowe; dysponujemy wszelkimi dokumentami, niezbędnymi do sprawdzenia pańskich zeznań”.

Dopiero w tej chwili przyszło Robertowi na myśl, że to przecież jego ojciec zbudował opactwo przed trzydziestu pięciu laty; tak często o tym słyszeli, że zatraciło to dla nich cechy prawdy. Robert zląkł się: młody oficer gotów był dogrzebać się tego i pomyśleć, że znalazł wyjaśnienie: *kompleks ojca*; może byłoby jednak lepiej powiedzieć temu młodemu człowiekowi: zrobiłem to dlatego, że oni nie paśli baranków, i dać mu w ten sposób do ręki niezbity argument do uznania go za obłąkanego. Patrzył jednak tylko przez okno na smukłą wieżę katedry św. Seweryna jak na łup, który mu uszedł, podczas gdy młody człowiek zadawał pytania, a on mógł na nie bez namysłu odpowiadać: Nie.

Dziewczyna odsunęła pusty talerz, wzięła talerz chłopca, chwilę trzymała oba widelce w prawej ręce, lewą kładąc jego talerz na swoim, a na wierzchu widelce, po czym wolno prawą rękę położyła na rękę chłopca i z uśmiechem popatrzyła mu w oczy.

„A więc pan nie należał do żadnej organizacji? I czyta pan Hölderlina? Dobrze. Być może jutro będę musiał pana jeszcze raz poprosić”.

Nieugięte jest wieczyste serce, nawet gdy współczuje.

Robert zaczerwienił się, kiedy ojciec wszedł do bufetu; zbliżył się, odebrał jego ciężki kapelusz i powiedział: - Zapomniałem złożyć ci życzenia urodzinowe. Przepraszam. Zamówiłem już dla ciebie piwo, mam nadzieję, że będzie jeszcze dobre, ale jeśli...

- W porządku - odparł ojciec. - Dziękuję ci za życzenia i me zamawiaj świeżego piwa, nie lubię, kiedy jest zbyt zimne.

Ojciec położył mu rękę na ramieniu, a Robert znów się f zaczerwienił i pomyślał o tym poufałym ruchu, który wymienili w alei wiodącej do zakładu dla nerwowo chorych; tam właśnie odczuł potrzebę dotknięcia ramienia ojca, a ten odpowiedział tym samym ruchem, podczas kiedy umawiali się, że się spotkają na dworcu w Denklingen. Siądźmy - powiedział Robert - mamy jeszcze dwadzieścia pięć minut. Podnieśli szklanki, skinęli do siebie głowami i upili piwa.

- Może cygaro, ojcze?

- Nie, dziękuję. Wiesz, że godziny odjazdu pociągów niewiele się zmieniły w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat? Nawet emaliowane szyldziki z zegarami wskazującymi porę odjazdu są te same; tylko z niektórych emalia odpłynęła.

- Krzesła, stoły, obrazki na ścianach, wszystko jak dawniej

- powiedział Robert - jak wtedy, kiedyśmy w pogodne letnie wieczory przychodzili na piechotę z Kisslingen i czekali tu na pociąg.

- Tak - potwierdził ojciec - nic się nie zmieniło. Czy telefonowałaś do Rut? Przyjedzie? Tak dawno jej nie widziałem.

- Przyjedzie; przypuszczam, że jest już w drodze.

- Będziemy po wpół do piątej w Kisslingen, wypijemy tam kawę i przed siódmą zdążymy do domu. Przyjdziecie na urodzinową kolację?

- Oczywiście, ojcze, chyba o tym nie wątpię?

- Nie, ale myślałem, żeby dać temu spokój, odwołać wszystko - może ze względu na dzieci lepiej byłoby tego nie urządzać, tak dużo przygotowałem na ten dzień.

Starzec opuścił wzrok na obrus w biało-czerwoną kratę, zakreślał na

niej kręgi szklanką od piwa; Robert podziwiał gładką skórę na jego rękach: ręce dziecka, które zachowały niewinność; ojciec podniósł wzrok, spojrzął Robertowi prosto w twarz.

- Myślałem o Rut i Józefie; wiesz chyba, że Józef ma dziewczynę?

- Nie wiedziałem.

Starzec znów spuścił wzrok, znów zaczął kreślić koła szklanką.

- Zawsze miałem nadzieję, że moje oba majątki staną się dla was czymś w rodzaju drugiego domu, ale wy wszyscy woleliście mieszkać w mieście, nawet Edyta - dopiero Józef, wydaje mi się, spełni moje marzenia; to dziwne, wy wszyscy uważacie, że on jest podobny do Edyty i nie ma w sobie nic z naszej rodziny - a tymczasem właśnie on przypomina mi Henryka, tak bardzo, że czasem na widok twego syna ogarnia mnie przerażenie; Henryka, takiego, na jakiego by wyrósł...

Czy ty go jeszcze pamiętasz?

Wasz pies nazywał się Brom; trzymałem lejce siedząc na koźle karety; były z czarnej popękanej skóry; muszę mieć karabin, muszę mieć karabin; Hindenburg.

- Tak, pamiętam go.

- Oddał mi z powrotem majątek, który mu darowałem; komu mam go teraz ofiarować? Józefowi czy Rut? A może tobie? Chciałbyś go dostać? Mieć krowy i łąki, wirówki i krajarki do buraków?

Traktory i maszyny do przewracania siana? Czy też mam je przepisać na klasztor? Oba gospodarstwa kupiłem za pieniądze z mego pierwszego honorarium! Kiedy budowałem opactwo, miałem dwadzieścia dziewięć lat i nikt z was nie może sobie wyobrazić, co to znaczy dla młodego architekta dostać takie zamówienie. Skandal.

Sensacja. Jeśli jeżdżę tam tak często, to nie tylko po to, by przypominać sobie przeszłość, która od dawna jest już przeszłością. Zawsze myślałem o tym, żeby na starość stać się czymś w rodzaju wieśniaka. Nie zostałem wieśniakiem, tylko stajm błaznem, któiy z własną żoną bawi się w ciuciubabkę; na przemian zasłaniamy sobie oczy, zmieniamy czas jak przezrocza w epidiaskopie. Na przykład: rok 1928 - matka trzyma za ręce dwóch ładnych synków; jeden ma trzynaście lat, drugi jedenaście; obok ojciec, uśmiechnięty z cygarem w ustach; na tle wieży Eiffla - czy może to Engelsburg albo Brama

Brandenburska? - wybierz sobie dowolne dekoracje; mogą być również morskie bałwany w Ostendzie albo wieża katedry św. Seweryna, albo kiosk z lemoniadą w Parku Blessenfeldzkim? Nie, to oczywiście opactwo św. Antoniego. Znajdziesz je w albumie z fotografiami ze wszystkich pór roku. Tylko moda się zmieniała: twoja matka jest to w dużym, to w małym kapeluszu, z krótkimi lub długimi włosami, w szerokiej lub wąskiej sukni, a dzieci mają trzy i pięć, pięć i siedem lat. Później pojawia się obca kobieta; jest młoda, ma jasne włosy, niesie jedno dziecko, drugie trzyma za rękę: jedno roczne, drugie trzyletnie. Wiesz, kochałem Edytę tak, jak nie potrafiłbym kochać rodzonej córki; nigdy nie mogłem uwierzyć, że naprawdę miała własnego ojca, matkę, brata. Była wysłanką Króla; wtedy, kiedy przebywała u nas, mogłem wymawiać w myśli Jego imię nie czerwieniąc się przy tym, mogłem w modlitwie powtarzać Jego imię. Jakie posłannictwo tobie przyniosła, co ci przekazała? Zemstę za baranki? Mam nadzieję, że wiernie wykonałeś polecenie, że nie kierowałeś się fałszywymi względami, tak, jak ja to zawsze robiłem, nie przechowywałeś, tak jak ja, uczucia wyższości w lodówce ironii. Czy Edyta naprawdę miała brata? Czy on żyje? Istnieje?

Stary Fahmel wciąż zakreślał koła szklanką od piwa, wpatrywał się w obrus w czerwono-białą kratę, trochę tylko podniósł głowę.

- Powiedz, czy on naprawdę istnieje? Był przecież twoim przyjacielem; raz go widziałem; stałem w sypialni przy oknie i widziałem, jak przechodził przez podwórze idąc do twego pokoju. Nigdy go nie zapomniałem, często myślałem o nim, choć widziałem go zaledwie dziesięć czy dwadzieścia sekund. Bałem się go jak anioła ciemności. Czy on rzeczywiście istnieje?

- Tak.

- Żyje?

- Tak. Boisz się go?

- Tak. I ciebie również. Nie wiedziałeś o tym? Nie chcę wiedzieć, jakie posłannictwo przyniosła ci Edyta; powiedz mi tylko: czy je wykonałeś?

- Tak.

- Dobrze. Dziwisz się, że się ciebie bałem - i że się jeszcze trochę boję. Śmiałem się z waszej dziecinnej konspiracji, ale śmiech

uwiązł mi w gardle, kiedy przeczytałem, że zabili tamtego chłopca; mógł być bratem Edyty. Później dowiedziałem się, że postąpiono niemal humanitarnie, zabijając chłopca, który bądź co bądź rzucił bombę i poparzył stopy nauczycielowi gimnastyki; chłopiec, który wkładał karteczki od ciebie do naszej skrzynki na listy, i Polak, który podniósł rękę na tegoż nauczyciela - wystarczyło drgnięcie rzęs w nieodpowiedniej chwili, linia zarostu włosów, kształt nosa, później nawet tego nie potrzebowali - tylko metryki ojca czy babki; długie lata żywiłem się moim śmiechem, ale to pożywienie wyczerpało się, nie miałem świeżych zapasów,

Robercie, otworzyłem lodówkę, pozwoliłem, by moja ironia skwaśniała, i wyrzuciłem ją jak resztki czegoś, co kiedyś mogło mieć wartość; myślałem, że Kocham i rozumiem twoją matkę - ale dopiero wtedy zacząłem rozumieć ją i kochać, rozumieć i kochać was; dopiero później pojąłem to całkowicie. Kiedy wojna się skończyła, byłem górą, mianowano mnie pełnomocnikiem do spraw budowlanych w całym okręgu; pokój, myślałem, wszystko minęło, nowe życie - ale pewnego dnia angielski komendant zaczął się wobec mnie jak gdyby usprawiedliwiać z tego, że oni zbombardowali kościół św. Honoriusza i rzeźbę z XII wieku, przedstawiającą ukrzyżowanie Chrystusa; nie usprawiedliwiał się z powodu śmierci Edyty, tylko z powodu zniszczonej rzeźby XII wieku; sorry; roześmiałem się po raz pierwszy od dziesięciu lat, ale to był niedobry śmiech, Robercie. Złożyłem rezygnację ze swego stanowiska. Pełnomocnik? Do czego? Przecież oddałbym wszystkie rzeźby ze wszystkich stuleci za to, żebym mógł jeszcze raz zobaczyć uśmiech Edyty, poczuć dotknięcie jej ręki na ramieniu; cóż dla mnie znaczący wizerunki Króla wobec prawdziwego uśmiechu Jego wysłanki? A za chłopca, który przynosił karteczki od ciebie - nigdy go nie widziałem i nigdy nie dowiedziałem się, jak miał na imię - oddałbym katedrę św. Seweryna i wiedziałbym, że byłaby to śmiesznie niska cena, jak medal dla kogoś, kto uratował życie człowieka; czy widziałeś jeszcze kiedyś uśmiech Edyty lub uśmiech terminatora stolarskiego? Choćby odblask ich uśmiechu? Robercie! Robercie!

Stary Fahmel odstaawił szklanę, położył ramiona na stoliku.

- Widziałeś jeszcze ten uśmiech? - spytał niewyraźnie poprzez

ręce osłaniające jego twarz.

- Owszem - odparł Robert - widziałem go na twarzy chłopca hotelowego. Ma na imię Hugo - pokażę ci go.

- Daruję mu majątek, którego Henryk nie chciał. Napisz mi jego nazwisko i adres na podstawce od piwa. Podstawki od piwa służą do przekazywania najważniejszych wiadomości. I powiedz mi, jeśli dowiesz się czegoś o bracie Edyty. Czy on żyje?

- Tak. Czy wciąż jeszcze boisz się go?

- Tak. Najstraszniejsze było to, że on nie miał w sobie nic wrzuszającego. Kiedy patrzyłem na niego, jak szedł przez podwórze, wiedziałem, że jest silny i że wszystko, co czyni, czyni nie z takich powodów, jakimi kierowaliby się inni: dlatego że jest biedny albo bogaty, że jest brzydki albo ładny, że matka go bije, albo że go nie bije; to są powody, dla których inni coś robią: budują kościoły albo mordują kobiety, zostają dobrymi nauczycielami albo złymi organistami. Wiedziałem, że jeśli o niego chodzi, żaden z tych powodów nic nie wyjaśnia. Wtedy umiałem się jeszcze śmiać, ale w nim nie mogłem znaleźć żadnej szczeliny, o którą mógłby się zaczepić mój śmiech. Dlatego bałem się, jak gdyby anioł ciemności szedł przez nasze podwórze, egzekutor Boga, który miał położyć na tobie sekwestr. I zrobił to, położył sekwestr na tobie. Nie było w nim nic wrzuszającego. Nawet wtedy, kiedy dowiedziałem się, że go bili i że chcieli go zamordować, nie wrzuszyło to mnie...

- Dopiero teraz poznałem pana, panie radco. Cieszę się, że widzę pana w dobrym zdrowiu. Ileż to lat minęło, odkąd był pan tu po raz ostatni!

- Ach, Muli, to pan? Czy pańska matka jeszcze żyje?

- Nie, panie radco, pochowaliśmy ją. Mnóstwo ludzi było na jej pogrzebie. Miała bogate życie: zostawiła siedmioro dzieci, trzydziestu sześciu wnuków, jedenastu prawnuków; bogate życie. Czy panowie zechcą zrobić mi ten zaszczyt i wypiją za pamięć mojej zmarłej matki?

- Bardzo chętnie, mój drogi, to była wspaniała kobieta. Stary Fahmel wstał, Robert podniósł się również, gospodarz zaś poszedł za bufet, aby napełnić kufle. Zegar na dworcu wskazywał dopiero dziesięć po czwartej; dwaj chłopcy czekali przy ladzie, znudzeni

wkładali do ust posmarowane musztardą krokiety mięsne, z westchnieniem błogości popijali piwo. Gospodarz wrócił do stolika, zarumieniony, z wilgotnymi oczami, zestawiał kufle, wziął swój do ręki.

- Za pamięć pańskiej matki - rzekł stary Fahmel.

Podnieśli kufle, przepili do siebie, odstawili je na stolik.

- Czy pan wie - powiedział stary Fahmel - że pańska matka przed pięćdziesięciu laty udzielała mi kredytu, kiedy spragniony i głodny przychodziłem tu z Kisslingen? Naprawiano wtedy tory kolejowe, a dla mnie cztery kilometry na piechotę nic nie znaczyły. Pana zdrowie, Muli, i za pamięć pańskiej matki. To mój syn, pan go nie zna?

- Fahmel, bardzo mi miło.

- Muli, bardzo mi miło. *Pana* zna tu każde dziecko, panie radco, każdy wie, że to pan zbudował nasze opactwo, a w wielu rodzinach babcie pamiętają jeszcze różne historie o panu. Jak to pan zamawiał wagonami piwo dla murarzy, a na „wiecho- wym” tańczył solo. Ten łyk za pańskie zdrowie, panie radco.

Stojąc wypili do dna; Robert z pustym kuflem w rękę patrzył na gospodarza, który wrócił do bufetu, wsunął w okienko do kuchni opróżnione talerze młodej pary, brał należność od chłopca. Stary Fahmel pociągnął syna za połą.

- Siadaj - powiedział. - Mamy jeszcze dziesięć minut czasu. To zaci ludzie, mają złote serca.

- I nie boisz się ich, prawda, ojczu?

Starzec spojrział prosto w twarz syna; na jego wąskiej, jeszcze gładkiej twarzy nie było uśmiechu.

- Właśnie ci ludzie - mówił Robert - znęcali się nad Hugonem, a może któryś z nich był katem Ferdiego!

- Kiedy ciebie nie było i czekaliśmy na wiadomość o tobie, bałem się każdego człowieka - ale bać się Mulla? Teraz? Czy *ty* się go boisz?

- Na widok każdego człowieka zapytuję się w duchu, czy chciałbym być zdany na jego łaskę i niełaskę, i niewielu jest takich, o których mógłbym powiedzieć: tak.

- Czy byłeś zdany na łaskę brata Edyty?

- Nie. W Holandii mieszkaliśmy w jednym pokoju, dzieli-

liśmy się wszystkim, pół dnia grywaliśmy w bilard, drugie pół
uczyliśmy się: on niemieckiego, ja matematyki; nie byłem zdany na
jego łaskę i niełaskę, ale gotów byłbym na to każdej chwili - i na
twoją również, ojczu. - Robert wyjął z ust papieros. - Chciałbym ci
coś ofiarować, ojczu. W dniu, w którym kończysz osiemdziesiąt lat,
dowiedź ci... no, może wiesz, czego bym ci chciał dowiedzieć?

- Wiem - odparł starzec i położył synowi rękę na ramieniu
- możesz tego nie mówić.

Chętnie bym ci ofiarował kilka łąz skruchy, ale nie mogę się do
nich zmusić, wciąż jeszcze spoglądam na wieżę katedry św.
Seweryna jak na łup, który mi się wymknął. Szkoda, że to było
właśnie twoje młodzieńcze dzieło, twój wielki los, pierwsza wielka
gra; i dobrze je zbudowałeś, solidne mury, znakomita statyka;
musiałem zażądać przysłania dwóch ciężarówek materiału
wybuchowego, obchodziłem budynki; pisałem kredą moje formułki
i znaki na ścianach, kolumnach
i filarach podtrzymujących sklepienia, nakreśliłem je także na
wielkim malowidle przedstawiającym Ostatnią Wieczerzę, między
stopami świętego Jana i świętego Piotra. Przecież dobrze znałem
opactwo; objaśniałeś mi wszystko tak często, kiedy byłem
dzieckiem, chłopcem, młodym człowiekiem. Kreśliłem znaki na
ścianach, a opat, jedyny człowiek, który pozostał na miejscu, biegł
za mną, apelował do mego rozsądku, do moich uczuć religijnych; na
szczęście był to nowy opat, nie znał mnie. Apelował do mego
sumienia, na próżno; nie znał mnie jedzącego pstrągi podczas
niedzielnych wycieczek, pochłaniającego świeży pszczeli miód,
smarującego wiejski chleb masłem, mnie, syna budowniczego. I
kiedy tak patrzył na mnie jak na szaleńca, szepnąłem mu: *Drżą
spróchniałe kości*; miałem wtedy dwadzieścia dziewięć lat, tyle
samo co ty, kiedy budowałeś opactwo, i już czyhałem na łup, szarą
smukłą sylwetkę na horyzoncie - katedrę św. Seweryna; ale wzięto
mnie do niewoli i młody oficer przesłuchiwał mnie tutaj, na dworcu
w Denklingen, przy tamtym stoliku, przy którym nikt teraz nie
siedzi.

- O czym myślisz? - spytał stary Fähmel.
- O opactwie św. Antoniego, tak dawno tam nie byłem.

- Cieszysz się, że je zobaczysz?
- Cieszę się, że zobaczę Józefa, tak dawno go nie widziałem.
- Jestem trochę dumny z niego - mówił starzec. - Ma w sobie tyle rozmachu i świeżości, będzie kiedyś dobrym architektem; jest jeszcze trochę za surowy dla robotników, trochę niecierpliwy, ale trudno spodziewać się cierpliwości po dwudziestodwuletnim chłopcu - zresztą teraz ma termin na karku; zakonnicy tak bardzo pragną odprawiać nabożeństwa adwentowe w nowym kościele. Oczywiście wszyscy zostaniemy zaproszeni na konsekrację.
- Czy opat tam jeszcze jest?
- Który?
- Grzegorz.
- Nie, umarł w czterdziestym siódmym roku; nie mógł przeboleć zburzenia opactwa.
- A ty, ojczu, przebolełeś to?
- Wiadomość o wysadzeniu w powietrze opactwa głęboko mnie dotknęła, ale kiedy tam pojechałem, zobaczyłem ruiny, a wzburzeni zakonnicy chcieli powołać komisję, która by wykryła winowajcę, odradziłem im to; nie pragnąłem zemsty za martwą budowlę i bałem się, że znajdą winnego, a on będzie się przede mną usprawiedliwiał; „sorry” angielskiego komendanta zbyt straszliwie brzmiało mi jeszcze w uszach; no i, ostatecznie, każdy gmach można odbudować. Tak, Robertcie, przebolełem to. Może mi nie uwierzysz, ale ja nigdy nie byłem przywiązany do budynków, które projektowałem, nad których budową sprawowałem nadzór; na papierze podobały mi się, pracowałem nad nimi z pewnego rodzaju namiętnością, ale nigdy nie byłem artystą, rozumiesz, i wiedziałem, że nim nie jestem; kiedy mi powierzono odbudowę opactwa, miałem jeszcze moje dawne plany. Dla twego chłopca to wielka okazja, że może nabyć praktyki, nauczyć się koordynacji prac, opanować trochę swoją niecierpliwość. Czy nie powinniśmy już wsiąść do pociągu?
- Mamy jeszcze cztery minuty, ojczu. Ale możemy wyjść na peron.

Robert wstał, skinął w kierunku bufetu i sięgnął po portfel, ale gospodarz wyszedł zza lady, minął go, z uśmiechem położył rękę na

ramieniu starego Fahmela i rzekł: - Nie, nie, panie radco, nie pozwolę na to, panowie byli naszymi gośćmi przez pamięć na moją matkę.

Na dworze było jeszcze ciepło; nad Doderingen widać już było białą pióropusz dymu z parowozu.

- Masz bilety? - spytał ojciec.

- Tak - odparł Robert patrząc na pociąg, który ukazał się zza wzniesienia, jak gdyby wynurzył się prosto z bladobłękitnego nieba; był czarny, stary i wzruszający; zawiadowca z sobotnio-niedzielnym uśmiechem na twarzy wyszedł z pokoju służbowego.

- Tutaj, ojczu, tutaj! - wołała Rut. Zielona czapeczka, wymachujące ramiona, różowy puszek jej sweterka. Wyciągnęła ręce do dziadka, pomogła mu wejść na platformę, objęła go i ostrożnie skierowała ku otwartym drzwiom przedziału, potem wciągnęła ojca, ucałowała go w policzek.

- Strasznie się cieszę - powiedziała - naprawdę, strasznie się cieszę na opactwo i na dzisiejszy wieczór.

Zawiadowca zagwizdał i ręką dał znak do odjazdu.

Rozdział siódmy

Kiedy podeszli do okienka, Nettlinger wyjął cygaro z ust i skinął głową, dodając otuchy Schrelli; od wewnątrz podniesiono okienko, strażnik z listą w rękę wychylił się i spytał:

- Pan jest aresztantem Schrellą?

- Tak - rzekł Schrella.

Strażnik wymienił przedmioty, które kolejno wyjmował z pudła i układał na parapecie okienka.

- Zegarek kieszonkowy, niklowy, bez dewizki. Czarna skórzana portmonetka, zawartość: pięć szylingów angielskich, trzydzieści franków belgijskich, dziesięć marek i osiemdziesiąt fenigów.

Krawat koloru zielonego. Długopis bez marki, koloru szarego. Dwie chustki do nosa, białe. Płaszcz, tencz. Kapelusz koloru czarnego.

Maszynka do golenia marki Gillette. Sześć papierosów marki Belga.

Koszulę, bieliznę, mydło i szczoteczkę do zębów miał pan przy sobie, prawda? Proszę w tym miejscu pokwitować i stwierdzić swoim podpisem, że nie brakuje niczego, co stanowiło pańską prywatną własność.

Schrella włożył na siebie płaszcz, schował drobiazgi do kieszeni, podpisał listę: szóstego września 1958 roku, godzina 16 minut 10.

- W porządku - powiedział strażnik i opuścił okienko.

Nettlinger wziął znów cygaro w usta, dotknął ramienia Schrelli.

- Chodź - powiedział. - Tędy, chyba że chcesz wrócić do mamra. Może lepiej, żebyś tutaj zawiązał sobie krawat.

Schrella wziął papierosa do ust, poprawił okulary, podniósł kołnierzyk koszuli i założył krawat; wzdrygnął się, kiedy Nettlinger nagle podsunął mu zapalniczkę pod nos.

- Tak - stwierdził Nettlinger - tak właśnie jest ze wszystkimi więźniami: wysoki czy niski, winny czy niewinny, biedny czy bogaty, polityczny czy kryminalista - pierwsza rzecz to zawsze papieros.

Schrella głęboko wciągnął dym; zawiązując krawat i opuszczając potem kołnierzyk, spoglądał ponad okularami na Nettlingera.

- Masz w tych sprawach doświadczenie, co?

- A ty nie? - spytał Nettlinger. - Chodź, niestety, nie mogę ci oszczędzić pożegnania z dyrektorem.

Schrella włożył kapelusz, wyjął z ust papierosa i poszedł za Nettlingerem, który otworzył drzwi na dziedziniec. Dyrektor stał koło ludzi czekających w kolejce przed okienkiem, w którym wydawano przepustki na niedzielne widzenia; był wysoki, ubrany bez przesadnej elegancji, ale solidnie; zbliżając się do Nettlingera i Schrelli wyraźnie starał się, aby ruchy jego rąk i nóg sprawiały wrażenie ruchów cywila.

- Mam nadzieję - zwrócił się do Nettlingera - że wszystko zostało załatwione ku twemu całkowitemu zadowoleniu, szybko i jak należy.

- Dziękuję - odparł Nettlinger. - Istotnie poszło wszystko szybko.

- To dobrze - ciągnął dyrektor i zwrócił się do Schrelli:

- Proszę mi wybaczyć, jeśli na pożegnanie skieruję do pana parę słów, chociaż był pan tylko jeden jedyny dzień moim...

- roześmiał się - pensjonariuszem i chociaż pan przez omyłkę trafił do oddziału karnego zamiast do śledczego. Widzi pan

- mówił wskazując na wewnętrzną bramę więzienia - za tymi wrotami oczekują pana drugie, a za nimi rzecz wspaniała, rzecz, która jest naszym najcenniejszym dobrem: wolność. Bez względu na to, czy ciężące na panu podejrzenie było uzasadnione, czy nieuzasadnione, poznał pan - znów się roześmiał - w moich gościnnych murach przeciwieństwo wolności. Niech pan korzysta ze swej wolności. Wprawdzie wszyscy jesteśmy tylko więźniami, więźniami naszego ciała, aż do chwili, kiedy dusza wyzwoli się z jego więzów i uniesie ku swemu Stwórcy, jednak więzienie w moich gościnnych murach nie jest symboliczne. A więc otwieram przed panem drogę do wolności, panie Schrella...

Schrella z zakłopotaniem wyciągnął rękę, ale cofnął ją szybko, ponieważ wyraz twarzy dyrektora pouczył go, że uścisk dłoni nie należy do przyjętych tutaj formalności; milczał więc, zakłopotany przełożył papierosa z prawej ręki do lewej, spojrział ukradkiem na Nettlingera.

Mury otaczające dziedziniec, niebo ponad nimi, były ostatnimi rzeczami tej ziemi, jakie widział Ferdi, może głos dyrektora był ostatnim ludzkim głosem, jaki słyszał na tym dziedzińcu, tak ciasnym, że dym z cygara Nettlingera wypełnił je całkowicie; rozdmijające się nozdrza dyrektora mówiły: „Mój Boże, na cygarach zawsze się znałeś, to ci trzeba przyznać”.

Nettlinger nie wyjął cygara z ust.

- Mogłeś sobie oszczędzić tej mowy pożegnalnej. A więc dziękuję i do widzenia.

Objął ramieniem Schrellę, popchnął go lekko ku wewnętrznej bramie, która się przed nimi otworzyła; powoli skierował go ku bramie zewnętrznej; Schrella zatrzymał się, oddał strażnikowi swoje papiery; ten sprawdził je dokładnie, skinął głową i otworzył bramę.

- A więc oto ona - rzekł śmiejąc się Nettlinger. - Wolność. Po tamtej stronie stoi mój samochód, powiedz tylko, dokąd mam cię odwieźć.

Schrella przeszedł z nim przez jezdnię i zawahał się, kiedy szofer otworzył drzwiczki wozu.

- No - zachęcił go Nettlinger - wsiadaj.

Schrella zdjął kapelusz, wsiadł do samochodu, oparł się

0 poduszki i spojrzął na Nettlingera, który wsiadł również

1 przysunął się do niego.

- Dokąd chcesz jechać?

- Na dworzec - powiedział Schrella.

- Masz na dworcu rzeczy?

- Nie.

- Czyżbyś chciał już opuścić to gościnne miasto? - spytał Nettlinger. Pochylił się w przód, wydał szoferowi dyspozycję:

- Na dworzec główny.

- Nie - odpowiedział Schrella. - Nie chcę jeszcze opuszczać tego gościnnego miasta. Czy skomunikowałeś się z Robertem?

- Nie - odparł Nettlinger - trudno go złapać. Cały dzień próbowałem się z nim porozumieć, ale on mi się wymykał, a kiedy już prawie go nakryłem w hotelu „Książę Henryk”, ulotnił się bocznym wyjściem. Miałem przez niego "wyjątkowo przykre zajście.

- Nigdy go przedtem nie spotykałeś?

- Nie, ani razu. Żyje w całkowitym odosobnieniu. Samochód zatrzymał się przed czerwonym światłem.

Schrella zdjął okulary, przetarł je chusteczką, przytknął twarz do szyby.

- Z pewnością wydaje ci się dziwne - ciągnął Nettlinger

- po tak długim czasie i w takich okolicznościach znaleźć się znowu w Niemczech; nie poznasz ich.

- Owszem, nawet je poznaję - odpowiedział Schrella.

- Mniej więcej tak, jak człowiek poznaje kobietę, którą kochał, kiedy była młodą dziewczyną, i którą spotyka po dwudziestu latach: cóż, roztyła się trochę; nadechność gruczołów łojowych; widać, że wyszła za człowieka nie tylko bogatego, ale również pracowitego: ma willę pod miastem, samochód, pierścionki na palcach; dawna miłość musi w takich warunkach nieuchronnie stać się ironią.

- Tego rodzaju obrazy są oczywiście mocno zniekształcone

- zauważył Nettlinger.

- Tak, istotnie są to obrazy i jeśli byś ich zebrał trzy tysiące, może dopatrzyłbyś się skrawka prawdy.

- Wątpliwa wydaje mi się również miarodajność twoich wrażeń

wizualnych: jesteś dopiero od dwudziestu czterech godzin w kraju, z tego dwadzieścia trzy spędziłeś w więzieniu.

- Anibyś uwierzył, ile można siedząc w więzieniu dowiedzieć się o danym kraju; w waszych więzieniach najczęściej spotykam przestępstwem jest oszustwo; niestety, samo- oszukiwanie nie zalicza się do czynów karalnych. Pewno nie wiesz jeszcze, że z ostatnich dwudziestu dwóch lat cztery spędziłem w więzieniu? Samochód powoli ruszył w długiej kolumnie, jaka utworzyła się przed światłem na skrzyżowaniu.

- Nie - odparł Nettlinger. - Tego nie wiedziałem. Gdzie siedziałeś, w Holandii?

- Tak - rzekł Schrella - i w Anglii.

- Za co?

- Za działanie w afekcie pod wpływem zawodu miłosnego, ale bynajmniej nie z pobudek idealistycznych, lecz dlatego, że zwalczałem rzeczy zupełnie realne.

- Czy możesz mi powiedzieć o tym coś bliższego? - spytał Nettlinger.

- Nie - odparł Schrella. - Nie zrozumiałbyś i mógłbyś to wziąć za komplement.

Odgrażałem się pewnemu politykowi holenderskiemu, który oświadczył, że należałoby wymordować wszystkich Niemców. Był to bardzo popularny polityk. Kiedy Niemcy zajęli Holandię, uwolnili mnie myśląc, że jestem czymś w rodzaju męczennika za sprawę Niemiec, ale potem znaleźli moje nazwisko na liście osób poszukiwanych i przed ich miłością musiałem uciec do Anglii; tam odgrażałem się pewnemu politykowi angielskiemu, który oświadczył, że należałoby wymordować wszystkich Niemców i ocalić jedynie ich dzieła sztuki; był to bardzo popularny polityk. Wkrótce jednak zostałem ułaskawiony, ponieważ uznano, że należy szanować moje uczucia, uczucia, których wcale nie doznawałem odgrażając się owemu politykowi - w ten sposób człowiek bywa przez nieporozumienie wsadzany do więzienia i przez nieporozumienie z niego zwalniany.

- Jeśli już kolekcjonujesz obrazy - zaśmiał się Nettlinger

- to pozwól, że dodam coś do twego zbioru. Jak ci się podoba na

przykład taki obraz: bezwzględna nienawiść na tle politycznym między kolegami szkolnymi; prześladowania, przesłuchania, ucieczka, śmiertelna nienawiść - ale w dwadzieścia dwa lata później właśnie ów prześladowca, ów niktzemnik, uwalnia powracającego uchodźcę z więzienia. Czyż nie jest to także obraz godny włączenia do twojej kolekcji?

- To nie jest obraz - powiedział Schrella - tylko historia, która ma jeszcze tę wadę, że jest prawdziwa. Ale jeśli historię tę przetłumaczę na język obrazowo-abstrakcyjny i właściwie ją zinterpretuję, to okaże się mniej pochlebna dla ciebie.

- Z pewnością wyda ci się dziwne, jeśli będę cię prosił o wyrozumiałość - powiedział cicho Nettlinger i wyjął cygareto z ust.

- Ale wierz mi: kiedy znalazłem twoje nazwisko na liście osób poszukiwanych, przeczytałem raport i dowiedziałem się, że cię rzeczywiście aresztowano na granicy, nie zwlekałem ani chwili z podjęciem wszelkich kroków, aby cię uwolnić.

- Byłoby mi przykro - odparł Schrella - gdybyś sądził, że wątpię o szczerości twoich motywów i uczuć. Nie podaję w wątpliwość nawet twojej skruchy, ale obrazy - a prosiłeś mnie, abym tę historię włączył jako obraz do mojej kolekcji

- otóż obrazy oznaczają abstrakcję, a jest nią rola, jaką odgrywałeś wówczas i jaką odgrywasz również dzisiaj. Role są - wybac mi - te same, gdyż wtedy unieszkodliwieniem było zamknięcie mnie w więzieniu, a dziś jest nim wypuszczenie z więzienia. Obawiam się, że Robertowi, który rozumuje w sposób o wiele bardziej abstrakcyjny niż ja, właśnie z tego powodu nie zależy na spotkaniu się z tobą. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz: także i wtedy nie wątpiłem w szczerość twoich osobistych motywów i uczuć; nie, nie możesz mnie zrozumieć, nawet nie próbuj, bo obu tych ról nie odgrywałeś świadomie - inaczej musiałbyś być cynikiem albo przestępcą, a nie jesteś ani jednym, ani drugim.

- Teraz naprawdę już nie wiem, czy mówisz mi komplementy, czy coś wręcz przeciwnego.

- Jedno i drugie po trochu - roześmiał się Schrella.

- Może nie wiesz, co zrobiłem dla twojej siostry.

- Broniłś Edyty?

- Tak. Vacano chciał ją aresztować; wciąż ją umieszczał na liście, a ja wciąż skreślałem jej nazwisko.
- Wasze dobrodziejstwa są niemal jeszcze straszliwsze od waszych zbrodni - powiedział cicho Schrella.
- A wy jesteście bardziej niemiłosierni niż Bóg, który wybacza skruszonym grzesznikom.

- Nie jesteśmy Bogiem i nie przypisujemy sobie ani Jego wszechwiedzy, ani Jego miłosierdzia.

Nettlinger potrząsnął głową i oparł się o poduszki samochodu. Schrella wyjął z kieszeni papierosa, wsadził go do ust i znów się wzdrygnął, kiedy nagle szczęknęła mu przed nosem zapalniczka Nettlingera, a jasnyniebieski czysty płomyczek omal mu nie opalił rzęs. A twoja uprzejmość - myślał

- jest gorsza niż dawna nieuprzejmość. Jesteś równie gorliwy teraz, kiedy podajesz mi natrętnie ogień, jak wtedy, kiedy rzucałeś mi prosto w twarz piłkę od palanta.

- Kiedy będę mógł skomunikować się z Robertem? - spytał.

- Chyba dopiero w poniedziałek. Nie mogłem wywieźć się, dokąd pojechał na niedzielę; nie ma także jego ojca ani córki, wszyscy wyjechali. Możesz spróbować dziś wieczorem, czy nie zastaniesz go w domu, albo jutro

o wpół do dziesiątej w hotelu „Księżę Henryk”; grywa tam w bilard co dzień od wpół do dziesiątej do jedenastej. Mam nadzieję, że w więzieniu nie traktowali cię zbyt brutalnie?

- Nie - odparł Schrella. - Zachowywali się poprawnie.

- Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebował pieniędzy. Z tym, co masz, niedaleko zajedziesz.

- Myślę, że mi do poniedziałku wystarczy; od poniedziałku będę miał pieniądze.

W miarę jak się zbliżali do dworca, kolumna samochodów stawała się coraz dłuższa i szersza. Schrella usiłował otworzyć okno, ale nie mógł sobie poradzić z mechanizmem; Nettlinger pochylił się i sięgnąwszy przez niego opuścił szybę.

- Obawiam się - rzekł - że powietrze, które dopływa z zewnątrz, nie jest wcale lepsze od tego, które mamy tutaj.

- Dziękuję - powiedział Schrella; patrząc na Nettlingera

przełożył papierosa z lewej ręki do prawej i z powrotem.

- Słuchaj - odezwał się - czy ta piłka, którą Robert wtedy podbił, znalazła się w końcu? Pamiętasz?

- Tak - odparł Nettlinger - oczywiście, doskonale to pamiętam, bo później tyle się o niej mówiło. Nie, chłopcy nigdy nie znaleźli tej piłki; szukali wtedy do późnej nocy, a nawet i następnego dnia, choć to była niedziela. Nie dawało im to spokoju; ktoś twierdził później, że to była sztuczka Roberta, że on w ogóle nie podbił piłki, tylko naśladował odgłos uderzenia, a piłkę schował.

- A przecież oni wszyscy ją widzieli, prawda? Widzieli, jak leciała?

- Naturalnie, i nikt nie uwierzył w tamtą pogłoskę; inni znów mówili, że pewno spadła na podwórze browaru i trafiła do stojącego tam wozu. Może sobie przypominasz, że wkrótce potem wóz wyjechał z browaru?

- To było na długo przedtem, zanim Robert podbił piłkę

- rzekł Schrella.

- Zdaje mi się, że nie masz racji.

- Nie, nie - obstawał przy swoim Schrella. - Stałem tam przecież czekając i wszystko uważnie obserwowałem. Wóz wyjechał, zanim Robert podbił piłkę.

- Niech i tak będzie - powiedział Nettlinger. - W każdym razie nigdy jej nie odnaleziono. Jesteśmy przed dworcem; czy naprawdę nie chcesz, żebym ci w czymś pomógł?

- Nie, dziękuję, niczego nie potrzebuję.

- Może mógłbym cię chociaż zaprosić na obiad-*

- Dobrze - zgodził się Schrella. - Chodźmy coś zjeść.

Szofer otworzył drzwiczki, Schrella wysiadł pierwszy i z rękami w kieszeniach czekał na Nettlingera, który wziął z siedzenia teczkę, zapiął płaszcz i zwrócił się do szofera:

- Niech pan przyjedzie po mnie około wpół do szóstej przed hotel „Książę Henryk”.

Szofer przyłożył rękę do czapki i siadł za kierownicą. Okulary Schrella, jego opuszczone ramiona, dziwny uśmiech na ustach, jasne włosy, nie przeredzone, tylko z lekkim srebrnym połyskiem, jak dawniej szczesane do tyłu; charakterystyczny ruch, którym otarł pot z

twarży i schował chustkę z powrotem do kieszeni; Schrella się nie zmienił, przybyło mu tylko parę lat.

- Dlaczego wróciłeś? - spytał cicho Nettlinger. Schrella spojrział na niego mrugając powiekami, jak dawniej, przygryzł dolną wargę; trzymał w prawej ręce papierosa, w lewej kapelusz; długo wpatrywał się w Nettlingera i czekał, wciąż jeszcze na próżno czekał na to, do czego tęsknił od przeszło dwudziestu lat: na nienawiść, na namacalną nienawiść, której zawsze pragnął; żeby mógł uderzyć kogoś w twarz albo kopnąć w tyłek i krzyknąć na niego: ty Świnio, ty podła

Świnio! Zawsze zazdrości! ludziom, którzy zdolni byli do takich prostych uczuć. Ale on nie mógł wyróżnić Nettlingera w okrągłą, sztucznie uśmiechniętą twarz ani go kopnąć w tyłek. Ten człowiek podstawił mu nogę na schodach w szkole, tak że Schrella przewrócił się, a stalowy wąs okularów wbił mu się w ucho; napadał na niego w drodze do domu, wciągał do bramy i bił, chłostał jego i Roberta szpicrutą z drutu kolczastego; przesłuchiwał; był winien śmierci Ferdiego - i bronił Edyty, uwolnił Roberta.

Schrella przeniósł wzrok z Nettlingera na rojny plac przed dworcem; słońce, koniec tygodnia, czekające taksówki i sprzedawcy lodów, chłopcy hotelowi w fioletowych liberiiach dźwigają walizki za gośćmi; szara wyniosła fasada katedry św. Seweryna, hotel „Książę Henryk”, kawiarnia Kronera. Schrella przestraszył się, kiedy Nettlinger nagle zostawił go, wymachując rękami dał nurka w tłum i zaczął wołać: - Halo, panno Rut! - Po chwili wrócił potrząsając głową. - Widziałeś tę dziewczynę - spytał - tę w zielonej czapeczce i różowym sweterku? Jest bardzo ładna. To córka Roberta. Nie mogłem jej dogonić; powiedziałyby nam, gdzie go można znaleźć. Szkoda. Widziałeś ją?

- Nie - odpowiedział cicho Schrella. - Córka Edyty.

- Oczywiście - potwierdził Nettlinger. - Twoja siostrzenica.

A niech to... no, chodźmy coś zjeść.

Przeszedł w poprzek plac przed dworcem, przeciął ulicę. Schrella wszedł za nim do hotelu „Książę Henryk”. Chłopiec w fioletowej liberii przytrzymał wahadłowe drzwi, które zakolysały się za nimi w wybitej filcem futrynie.

- Stolik przy oknie? - spytał Jochen. - Bardzo proszę. Nie za dużo słońca? W takim razie od strony wschodniej. Hugo, przypilnuj, żeby panowie dostali stolik przy oknie od wschodu. Nie ma za co...

Napiwki przyjmuje się tu chętnie. Marka to uczciwa okrągła moneta, a napiwek to dusza zawodu i przecież to *ja zwyciężyłem*, łaskawco, nie zobaczyłeś się z nim. Co proszę, czy pan doktor Fahmel także w niedzielę grywa tu w bilard? Schrella? Na miłość boską! Nie potrzebuję nawet zaglądać do czerwonej karteczki.

- Mój Boże, niech pan pozwoli staremu człowiekowi na niesłużbową uwagę o tej spokojnej porze. Przecież znałem pańskiego ojca, dobrze go znałem; pracował u nas przez rok - właśnie tego roku, kiedy obchodzono święto niemieckiego sportu i gimnastyki; pan to nawet pamięta? Oczywiście, musiał pan mieć już wówczas dziesięć lub jedenaście lat; oto moja ręka, byłbym szczęśliwy, gdyby ją pan zechciał uścisnąć; mój Boże, niech mi pan nie bierze za złe uczuć, które, że tak powiem, wykraczają poza moją służbę; dożyłem wieku, w którym mogę sobie na nie pozwolić; pański ojciec był człowiekiem poważnym i pełnym godności! Mój Boże, on nie znosił zuchwalstwa, ale wobec tych, którzy nie byli zuchwali, był łagodny jak baranek. Często myślałem o pańskim ojcu - proszę mi wybaczyć, jeśli dotykam dawnych ran; o Boże - na śmierć zapomniałem; całe szczęście, że te łotry nie mają już nic do gadania, ale ostrożność nie zawadzi, panie Schrella. Czasem myślę sobie: *a jednak oni zwyciężyli*. Ostrożnie. Niech pan nie ufa pokojowi - i proszę wybaczyć staremu te niesłużbowe uczucia i spostrzeżenia. Hugo, najlepszy stolik przy oknie od wschodu dla panów, najlepszy, jaki jest. Nie, proszę pana, w niedzielę pan doktor Fahmel nie przychodzi na bilard, w niedzielę nie. Jak on się ucieszy! Panowie przyjaźnili się przecież w młodości i byli tych samych przekonań, prawda? Niech pan nie myśli, że wszyscy ludzie mają krótką pamięć. Jeżeli pan doktor Fahmel przypadkiem tu zajrzy, to pana natychmiast zawiadomię; proszę zostawić mi swój adres; przyślę posłańca, telegram, zatelefonuję, jeśli pan woli. Jesteśmy zawsze do usług naszych klientów.

Twarz Hugona nie drgnęła. Goście poznawani są tu tylko, jeśli sobie tego życzą. Ze wrzeszczał w sali bilardowej?

Dyskrecja. Szpicruta z drutu kolczastego? Nie; nauczono nas unikać niewłaściwych poufałości i wszelkiego rodzaju skojarzeń; dyskrecja jest dewizą naszego zawodu. - Podać kartę? Bardzo proszę. Czy ten stolik odpowiada panom? Przy oknie od wschodu; może za dużo słońca? Widok na wschodnią nawę katedry św. Seweryna: styl wczesnoromański, jedenasty lub dwunasty wiek; wznosił ją święty Henryk, Szalony Książę. Tak, proszę pana, kuchnia czynna jest cały dzień; wszystkie potrawy wymienione w karcie podajemy od dwunastej w południe do północy. Co możemy polecić? Aby uczcić spotkanie?

- Troszkę poufały uśmiech, odpowiedni do tak poufałego wyznania; tylko nie myśleć; Schrella, Nettlinger, Fahmel; żadnych skojarzeń; blizny na plecach? - Tak jest, kelner natychmiast przyjmie zamówienie panów.

- Napijesz się kieliszek koniaku? - spytał Nettlinger.

- Owszem, proszę.

Oddał chłopcu płaszcz i kapelusz, przyglądził ręką włosy, usiadł. W sali było niewiele gości, w odległym kącie rozmawiali przyciszonymi głosami; dyskretny śmiech na tle delikatnego brzęku szkła; szampan.

Schrella wziął kieliszek z tacy podanej przez kelnera, poczekał, aż Nettlinger weźmie swój, podniósł kieliszek, skinął głową Nettlingerowi, wypił. Nettlinger wydał mu się zbyt gwałtownie postarzały; Schrella miał jeszcze w oczach obraz promiennego jasnowłosego chłopca, którego brutalne usta zachowały jakiś rys dobroduszości; który bez trudu skakał na wysokość metra sześćdziesiąt siedem, przebiegał sto metrów w jedenaście i pół sekundy; zwycięzca, brutalny, dobroduszny; ale widać oni nie umieli cieszyć się nawet swoimi zwycięstwami - myślał Schrella. Złe wychowanie, złe odżywianie się i brak stylu; pewno za dużo żre; jest już trochę łysy, ma w wilgotnych oczach wyraz starczego sentymentalizmu. Nettlinger pochylał się nad kartą, fachowo ściągając wargi; biały mankiet podsunął mu się w górę, widać było teraz złoty zegarek na rękę, obrączkę na palcu. Mój Boże - myślał Schrella - nawet gdyby nie zrobił tego wszystkiego, Robert nie miałby ochoty pić z nim piwa albo zaprowadzić swoich dzieci do

jego willi na partię badmintona, aby zacieśnić stosunki między obu rodzinami.

- Pozwolisz, że ci zaproponuję menu? - spytał Nettlinger.
- Proszę cię, proponuj.
- A więc - mówił Nettlinger - na przekąskę możemy dostać wyborczego wędzonego łosiosa, potem kurczęta z frytkami i sałatą, i myślę, że dopiero potem postanowimy coś w sprawie deseru. Wiesz, ja nabieram apetytu na deser dopiero podczas jedzenia, ufam mojemu instynktowi, który mi podpowiada, co wybrać: sery, ciasta, lody czy omlęt; tylko jednej rzeczy jestem z góry pewny: że zamówię kawę. - Mówił to tonem absolwenta kursu poświęconego tematowi: „Jak zostać smakoszem”, jeszcze nie chciał przerywać swojej wyuczonej litanii, z której, jak się zdawało, był bardzo dumny, mruzczał więc dalej: - Entrecôte à deux - pstrąg na niebiesko - medalion cielęcy.

Schrella obserwował palec Nettlingera, który z nabożeństwem sunął wzdłuż jadłospisu i zatrzymywał się przy pewnych potrawach - młasnicy, kiwnicy głową, chwila namysłu.

- Kiedy czytam słowo „pularda”, zawsze ulegam. - Schrella zapalił papierosa, szczęśliwy, że tym razem uniknął zapalniczki Nettlingera; małymi łykami popijał koniak, śledząc wzrokiem palec Nettlingera, który dojechał już do deserów. Ta ich przekłeta dokładność - myślał - może człowiekowi odebrać apetyt nawet na coś tak rozsądnego i dobrego jak pieczona kura; oni po prostu muszą wszystko robić lepiej niż inni i widać, że są na najlepszej drodze do pokonania Włochów i Francuzów nawet w celebrowaniu żarcia.

- Ja pozostanę przy kurczęciu, jeśli pozwolisz - powiedział.
- A wędzony łosoś?
- Nie, dziękuję.
- Rezygnujesz z czegoś wręcz znakomitego. Przecież musisz być nieludzko głodny.
- Owszem - przyznał Schrella - ale zjem jeszcze deser.
- Jak chcesz.

Kelner przyniósł następne dwa kieliszki koniaku na tacce, która z pewnością kosztowała więcej niż kompletne urządzenie sypialni. Nettlinger wziął z tacki kieliszek, podał go Schrelli, wziął drugi dla

siebie, pochylił się w przód i powiedział:

- Piję za twoją pomyślność, specjalnie za twoją pomyślność.
- Dziękuję - rzekł Schrella, skinął głową i wypił. - Jednego jeszcze dobrze nie rozumiem - powiedział. - Jak to się stało, że aresztowano mnie już na granicy?
- Przekłęty traf, że twoje nazwisko figurowało jeszcze na liście osób poszukiwanych. Usiłowanie zabójstwa ulega przedawnieniu po dwudziestu latach. Powinieneś być zostać skreślony z listy już dwa lata temu.
- Usiłowanie zabójstwa? - spytał Schrella.
- No tak, to, coście wtedy zrobili z Vacanem, zostało uznane za usiłowanie zabójstwa.
- Widocznie nie wiesz, że ja w ogóle nie brałem w tym udziału; nawet tego nie pochwaląłem.
- Tym lepiej - stwierdził Nettlinger. - W takim razie bez trudu będzie można skreślić cię raz na zawsze z listy. Na razie udało mi się jedynie poręczyć za ciebie i uzyskać tymczasowe zwolnienie, nie mogłem natomiast skreślić twego nazwiska. Teraz będzie to już tylko formalnością. Pozwolisz, że zacznę już jeść zupę?
- Ależ proszę - powiedział Schrella.

Odwrocił się ku oknu wychodzącemu na dworzec, podczas gdy Nettlinger zaczął jeść zupę ze srebrnej filiżanki; pływające w niej jasnożółte kluseczki zrobione były na pewno z tuku najszlachetniejszej rasy wołów, jakie pasły się kiedykolwiek na niemieckich łąkach; na półmisku złościście połyskiwał wędzony losoś na tle świeżej zieleni sałaty; grzanki były przysmażone na lekki brąz, srebrne kropie wody lśniły na kulkach masła. Na widok jedzącego Nettlingera Schrella nie mógł się oprzeć przykreemu wzruszeniu. Zawsze odczuwał czynność jedzenia jako wzniosły akt braterstwa; traktował ją jako ucztę miłosną w nędznych i w dobrych hotelach. Jedzenie w samotności wydawało mu się przekleństwem, mężczyźni pożywiający się samotnie w poczekalniach i barach, w niezliczonych pensjonatach, w których mieszkał, zawsze wydawali mu się potępieńcami. Zawsze też szukał przy posiłku towarzystwa, najchętniej przysiadł się do jakiejś kobiety. Dopiero kiedy krusząc chleb zamienił parę słów, uśmiechnął się sponad talerza zupy,

przysunął coś, ten czysto biologiczny proces stawał się znośny, a nawet przyjemny; tacy mężczyźni jak Nettlinger, których widywał bez liku, robili na nim wrażenie skazańców, a ich posiłki wydawały mu się ostatnią ucztą przed straceniem; ci ludzie, znając reguły zachowania się przy stole i przestrzegając ich, jedli bezceremonialnie, ze śmiertelną powagą, która unicestwiała zupę z zielonego groszku lub pularde; poza tym czuli się zobowiązani każdym przełkniętym kęsem składać hołd cenie potrawy. Schrella odwrócił się znów od Nettlingera ku dworcowi, przeczytał wielki transparent, zawieszony nad głównym wejściem: *Serdecznie witamy powracających do ojczyzny.*

- Słuchaj - powiedział - czy określiłbyś mnie jako człowieka powracającego do ojczyzny?

Nettlinger uniósł powieki, jakby się wynurzył z otchłani smutku, spojrział sponad grzanki, którą właśnie smarował masłem.

- To zależy - odparł. - Czy ty właściwie masz jeszcze niemieckie obywatelstwo?

- Nie - powiedział Schrella. - Nie mam żadnego obywatelstwa.

- Szkoda - rzekł Nettlinger, pochylił się znów nad grzanką, nadział na widelec plasterk wędzonego łososia, położył go na swoim talerzu. - Gdyby ci się udało dowieść, że musiałeś uciec nie z powodu przestępstwa kryminalnego, lecz wyłącznie ze względów politycznych, mógłbyś dostać ładne odszkodowanie. Czy zależy ci na tym, żebym wyjaśnił stan prawny twojej sprawy?

- Nie - powiedział Schrella; pochylił się naprzód, w chwili gdy Nettlinger odsuwał półmisek z łososiem. - Chcesz zostawić resztę tego wspaniałego łososia?

- Naturalnie - przytaknął Nettlinger. - Ale nie możesz przecież... - Rozejrzał się z przerażeniem, gdyż Schrella sięgnął po grzankę z talerza, palcami wziął ze srebrnego półmiska plasterk łososia i położył go na grzance. - Nie możesz przecież...

- Nie uwierzysz, na co można sobie pozwolić w takim eleganckim hotelu; mój ojciec był kelnerem, był nim nawet w sanktuarium. Żaden kelner nie robi zdziwionej miny, nawet gdybyś chciał jeść palcami zupę z zielonego groszku, chociaż byłoby to

czymś nienaturalnym i niepraktycznym; ale właśnie nienaturalne i niepraktyczne postępowanie zwraca tu najmniej uwagi, dlatego ceny są tak wysokie; stanowią zapłatę za to, że obsługujący cię kelner nie zrobi zdziwionej miny. Ale jedzenie chleba palcami i położenie na nim palcami kawałka ryby - nie jest ani nienaturalne, ani niepraktyczne.

Z uśmiechem wziął z półmiska ostatni plasterek łososia i włożył go znowu między dwie grzanki. Nettlinger patrzył na niego ze złością.

- Pewno miałbyś teraz ochotę mnie zabić - powiedział Schrella. - Przyznaję, że z innych powodów niż wtedy, ale cel byłby ten sam. Posłuchaj, co ci powie syn kelnera: prawdziwie wytworny człowiek nie poddaje się tyranii kelnerów, chociaż pośród nich są naturalnie i tacy, którzy myślą zupełnie tak samo jak ludzie wytworni.

Schrella zjadał swoją kanapkę, a tymczasem kelner w asyście chłopca nakrywał do głównego dania; na małych pomocniczych stolikach umieszczali skomplikowane urządzenia do podgrzewania potraw, rozstawiali talerze, układali sztuce, uprzątnęli zabrudzone talerzyki, dla Nettlingera przynieśli wino, dla Schrelli piwo. Nettlinger upił wina.

- Odrobinkę za ciepłe - oświadczył.

Schrella pozwolił, aby mu kelner nałożył kurę, ziemniaki i sałatę, podniósł szklankę, przepijając piwem do Nettlingera, i przyglądał się, jak kelner polewa kawałek polędwicy na talerzu tamtego gęstym ciemnobrązowym sosem.

- Czy Vacano jeszcze żyje?

- Naturalnie - odparł Nettlinger. - Ma dopiero pięćdziesiąt osiem lat i - zapewne to słowo w moich ustach wyda ci się śmieszne - jest jednym z niepoprawnych.

- Jak mam to rozumieć? - spytał Schrella. - Czy to jest naprawdę możliwe: niepoprawni Niemcy?

- No cóż, hołduje tym samym tradycjom, którym hołdował w roku 1935.

- Hindenburg i tak dalej? Porządek, ład, wierność, honor, co?

- Właśnie. Hindenburg to jego hasło wywoławcze

- A jakie jest twoje?

Nettlinger podniósł głowę znad talerza, zatrzymał widelec utkwiony w kawałku mięsa, który zamierzał odkroić.

- Chciałbym, żebyś mnie zrozumiał - powiedział. - Jestem demokratą, demokratą z przekonania.

Pochylił się znów nad połędwicą, podniósł widelec z nadzianym nań kawałkiem mięsa, wsunął go do ust, otarł je serwetką i potrząsając głową sięgnął po szklankę z winem.

- A co się stało z Trischlerem? - spytał Schrella.

- Trischler? Nie przypominam sobie.

- Stary Trischler mieszkał w Dolnym Porcie, tam gdzie jest cmentarzysko łodzi! Czy nie pamiętasz także Alojzego? Był w naszej klasie.

- Aha - powiedział Nettlinger, nabierając na talerz sałatkę z selerów - teraz sobie przypominam. Alojzego szukaliśmy długo, ale go nie znaleźliśmy, a starego Trischlera Vacano osobiście przesłuchiwał, nie wy dobył z niego jednak nic a nic, tak samo jak z jego żony.

- Nie wiesz, czy jeszcze żyją?

- Nie wiem. Ale tamta dzielnica była mocno zbombardowana. Jeśli chcesz, to każę zasięgnąć o nich informacji.

O Boże - szepnęła - co się stało, co ty chcesz zrobić?

- Chciałbym już iść - powiedział Schrella. - Wybacz, ale muszę stąd wyjść.

Podniósł się, na stojąco wypił resztę piwa i skinął na kelnera. Kiedy ten cicho podszedł, Schrella wskazał ustawiony na podgrzewaczu srebrny półmisek, na którym pozostałe trzy kawałki kury skwierczały w cicho wrzącym tłuszczu.

- Czy mógłby pan kazać zapakować mi to tak, żeby tłuszcz nie przeciekał? - spytał Schrella.

- Bardzo proszę - odparł kelner, zdjął półmisek z podgrzewacza i odchodząc pochylił się jeszcze raz ku Schrelli.

- Czy mam zapakować także ziemniaki, proszę pana, i może trochę sałatki?

- Nie, dziękuję - uśmiechnął się Schrella. - Frytki rozmiękną, a sałatka zrobi się niesmaczna.

Na próżno szukał śladu ironii w wypielęgowanej twarzy szpakowatego kelnera.

Nettlinger spoglądał gniewnie sponad swego talerza.

- No dobrze - powiedział - chcesz się na mnie zemścić, rozumiem, ale że też musisz to robić w ten sposób.

- Wolałbyś, żebym cię zamordował?

Nettlinger milczał.

- Zresztą to nie jest żadna zemsta - ciągnął Schrella. - Po prostu muszę stąd wyjść, nie mogę tego dłużej wytrzymać, a do końca życia robiłbym sobie wyrzuty, gdybym pozwolił im zabrać z powrotem tę kurę. Może jednak zdecydujesz się przypisać ten krok mojej gospodarności. Gdybym był pewny, że pozwolą kelnerom i pikolakom zjeść te resztki, nie zabierałbym ich - ale wiem, że tutaj na to nie pozwalają.

Podziękował chłopcu, który mu przyniósł płaszcz i pomógł go włożyć, wziął kapelusz, usiadł jeszcze raz i spytał:

- Znasz pana Fahmela?

- Tak - odparł Hugo.

- Czy znasz także numer jego telefonu?

- Tak.

- Czy zechciałbyś wyświadczyć mi tę uprzejmość i co pół godziny dzwonić do niego? Jeśli go zastaniesz, powiedz, że niejaki pan Schrella chciałby się z nim zobaczyć.

- Słucham pana.

- Nie jestem pewny czy tam, dokąd idę, są kabiny telefoniczne, inaczej próbowałbym sam się połączyć. Zapamiętałeś moje nazwisko?

- Pan Schrella - powiedział Hugo.

- Dobrze. Około pół do siódmej zajdę tu i zapytam o ciebie. Jak ci na imię?

- Hugo.

- Dziękuję, Hugo.

Schrella wstał i spojrzał w dół na Nettlingera, sięgającego właśnie po następny kawałek polędwicy.

- Przykro mi - powiedział Schrella - że tak niewinny postępek odczuwasz jako akt zemsty. Ani chwili o niej nie myślałem, ale

zrozum, że chciałbym już iść; widzisz, nie mam ochoty pozostać zbyt długo w tym gościnnym mieście, a mam tu jeszcze coś niecoś do załatwienia. Pozwolisz, żebym ci przypomniał raz jeszcze o liście osób poszukiwanych?

- Oczywiście, każdej chwili przyjmę cię prywatnie lub w biurze, jak będziesz wolał.

Schrella wziął z rąk kelnera starannie zapakowane białe tekturowe pudełko, dał napiwek.

- Tłuszcz nie przecieknie, proszę pana - powiedział kelner.

- Wszystko zapakowaliśmy w celofan i włożyliśmy do naszego specjalnego piknikowego pudełka.

- Do widzenia - rzekł Schrella.

Nettlinger uniósł nieco głowę i odpowiedział:

- Do widzenia.

- Tak jest - mówił właśnie Jochen. - Bardzo proszę, a tam już zobaczy pani napis: „Do rzymskich grobów dziecięcych”; otwarte do ósmej, a po zapadnięciu zmroku oświetlone, proszę pani. Nie ma za co, bardzo dziękuję.

Kusztując wyszedł zza lady i zbliżył się do Schrelli, przed którym chłopiec już otwierał drzwi.

- Proszę pana - powiedział ściszym głosem - zrobię wszystko, co będę mógł, aby dowiedzieć się, gdzie jest pan doktor Fahmel. Udało mi się już poinformować w kawiarni Kronera, że o siódmej ma się tam odbyć rodzinna uroczystość na cześć starego pana Fahmela. Tam będzie pan mógł go na pewno spotkać.

- Dziękuję - powiedział Schrella - serdecznie panu dziękuję.

On wiedział, że napiwek byłby tu nie na miejscu. Uśmiechnął się do starego portiera i wyszedł przez drzwi, które się za nim cicho zakolysały w wybitej filcem futrynie.

Rozdział ósmy

Autostradę zamykały na całej szerokości ciężkie tablice; most łączący dawniej w tym miejscu oba brzegi rzeki został wysadzony w powietrze, odcięty równo u obu przyczółków; z filarów zwisały pojedyncze żyły zardzewiałych stalowych lin. Trzymetrowej wysokości tablice obwieszczwały, że za nimi *grozi śmierć*; skrzyżowane piszczele, dziesięciokrotnie powiększona trupia

czaszka, jaskrawobiała na czarnym tle, ostrzegały obrazowo tych, którym nie wystarczały napisy.

Na tej ślepej odnodze gorliwi słuchacze kursów samochodowych uczyli się włączać gaz, oswajali się z szybkością, piłowali zmianę biegów, skręty w lewo wstecz i w prawo wstecz; po nasypie, biegnącym wzdłuż terenów golfowych między ogródkami działkowymi, przechadzali się także schludnie ubrani mężczyźni i kobiety o twarzach „na-po-pracy”; szli w kierunku groźnych tablic, za którymi ukryte pocziwe baraki przedsiębiorstwa budowlanego zdawały się urągać śmierci. Spoza *śmierci* unosił się błękitny dym z żelaznych piecyków, na których nocni dozorczy odgrzewali kawę przyniesioną w bańkach, przypiekali chleb, skręconym kawałkiem papieru zapalali od żaru fajki. Pompatyczne schody ocalały od zburzenia, teraz, w letnie wieczory, siadali na nich zmęczeni spacerowicze. Z wysokości dwudziestu metrów mogli obserwować postęp prac: nurkowie w żółtych skafandrach pogrążali się w wodę, zakładali pętle dźwigów na żelazne segmenty lub betonowe bryły, po czym dźwigi wyciągały swój ociekający wodą łup i ładowały go na krypy. Na wysokich rusztowaniach i chwiejnych pomostach, w bocianich gniazdach zawieszonych wysoko na pylonach, robotnicy odcinali niebieskawo błyskającymi palnikami acetylenowymi nadpęknięte stalowe belki, wygięte nity, postrzępione żelazne liny; filary i łączące je konstrukcje poprzeczne stały w rzece jak olbrzymie puste wrota, tworzyły ramy dla hektara niebieskiej próżni. Syreny dawały sygnał: koryto wolne, koryto zajęte; czerwone światła, zielone światła; konwoje barek wiozły węgiel i drewno stąd tam, stamtąd tu.

Zielona rzeka, wesołość, łagodne brzegi porośnięte wierzbiną, kolorowe barki, niebieski błysk palników acetylenowych; wysportowani mężczyźni, wysportowane kobiety o poważnych twarzach, z kijami golfowymi na ramieniu, chodzili po nieskazitelnych trawnikach za piłkami; z ogródków unosił się dym, suche liście fasoli, grochu, stare słupki z parkanów zamieniały się w dym, tworzyły na niebie wesołe obłoczki, podobne do elfów w przesadnym stylu z początku stulecia, kłębiły się barokowo, potem, jasnoszare, rozciągały się na przedwieczornym niebie w

zniekształcone figury geometryczne, zanim wiejący górą wiatr rozerwie je na strzępy i pogna ku linii horyzontu. Dzieci na hulajnogach przewracały się na wysypanych grubym żwirem ścieżkach parku, rozkrwawiały sobie łokcie i kolana, pokazywały wystraszone mamom startą skórę, wymuszały na nich obietnicę lemoniady, obietnicę lodów; parki zakochanych trzymając się za ręce zmierzały ku nadbrzeżnym zaroślom, gdzie dawno już znikły ślady przyboru: kawałki trzciny, korki, puste butelki, pudełka od pasty do butów; po chwiejnych kładkach schodzili na ląd szyprowie i ich żony z torbami na zakupy, z ufnością w oczach; na czysto wyszorowanych pokładach bielizna łopotiała w wieczornych podmuchach wiatru: zielone spodnie, czerwone bluzy, śnieżnobiałe prześcieradła na tle głębokiej czerni świeżej smoły, lśniącej jak japońska laka; segmenty mostu wynurzały się pokryte mułem, obrosnięte morską roślinnością; w dali rysowała się szara smukła sylweta katedry św. Seweryna, a w kawiarni „Bellevue” zmęczona kelnerka powtarzała: - Ciastek z kremem już nie ma - ocierała pot z twarzy o pospolitych rysach, w skórzanym woreczku szukała drobnych. - Jest jeszcze tylko babka piaskowa. Nie, lody także się już skończyły.

Józef wziął resztę, schował bilon do kieszeni spodni, banknot do kieszonki w koszuli, odwrócił się do Marianny i rozcapierzonymi palcami wyczesywał z jej ciemnych włosów żdźbła trawy, strzepywał piasek z zielonego sweterka.

- Przecież tak się cieszyłeś na dzisiejszą uroczystość
- powiedziała. - Co się właściwie stało?
- Nic się nie stało - odparł.
- Kiedy ja to czuję; czy coś się zmieniło?
- Tak.
- I nie chcesz mi powiedzieć co?
- Kiedy indziej - rzekł Józef. - Może dopiero za parę lat, a może niedługo. Nie wiem.
- Czy to ma coś wspólnego z nami?
- Nie.
- Na pewno?
- Tak.

- Więc z tobą?
- Tak.
- No to jednak z nami.

Józef uśmiechnął się.

- Oczywiście, skoro ja mam coś wspólnego z tobą.
- Czy to coś złego?
- Tak.
- I dotyczy twojej pracy?

- Tak. Daj mi swój grzebyk, ale nie odwracaj się. Nie mogę palcami wycesać ci piasku z włosów.

Marianna wyjęła grzebień z torebki i podała go Józefowi przez ramię; przytrzymała na chwilę jej rękę.

- Zawsze patrzyłam, jak wieczorem, po odejściu robotników, chodziłeś wzdłuż pryzm nowiutkich cegieł i dotykałeś ich, tylko ich dotykałeś... I widziałam, że wczoraj i przedwczoraj nie robiłeś tego. Przecież znam twoje ręce. A dziś tak wcześnie gdzieś pojechałeś.

- Kupowałem prezent dla dziadka.

- Nie jeździłeś po prezent. Gdzie byłeś?

- Byłem w mieście - powiedział. - Nie oprawili na czas fotografii i musiałem czekać. Znasz to zdjęcie, na którym matka trzyma mnie za rękę, na drugim ręku niesie Rut, a dziadek stoi za nami? Kazałem je powiększyć i wiem, że dziadek się ucieszy. A potem poszedłem na ulicę Modesta i czekałem, aż ojciec wyjdzie z biura, wysoki, wyprostowany; idąc za nim krok w krok, odprowadziłem go aż pod hotel; tam czekałem znów pół godziny, ale nie chciałem wejść i spytać o niego. Pragnąłem go tylko zobaczyć i zobaczyłem; eleganckiego pana w średnim wieku.

Puścił Mariannę, schował grzebyk do swojej kieszeni, położył ręce na ramionach dziewczyny.

- Proszę cię, nie odwracaj się - powiedział. - Tak jest mi łatwiej rozmawiać.

- Łatwiej kłamać - poprawiła Marianna.

- Może i kłamać, albo raczej: przemilczać.

Ponad jej uchem i ponad balustradą kawiarnianego tarasu widział rzekę i zazdrościł robotnikowi, który, zawieszony w koszu na

wysokości prawie sześćdziesięciu metrów, kreślił palnikiem niebieskie błyskawice; syreny buczały, sprzedawca lodów, idąc nadbrzeżną skarpą pod tarasem kawiarni, wołał:

- Lody, lody, lody! - milkł i nakładał porcję między *dwa* kruche wafelki; w dali rysowała się szara sylweta katedry św. Seweryna.

- To musi być coś bardzo złego - odezwała się Marianna.

- Tak - odpowiedział Józef - dosyć, a może i nie; jeszcze nie wiem.

- Coś z zewnątrz czy od wewnątrz?

- Od wewnątrz - odparł. - W każdym razie dziś w południe złożyłem Klubringerowi wymówienie; nie odwracaj się, bo nie powiem ani słowa więcej.

Zdjął ręce z ramion dziewczyny i przytrzymał jej głowę, skierowując ją w stronę mostu.

- Co dziadek powie na to, że wymówiłeś pracę? Taki był z ciebie dumny; kiedy Klubringer cię chwalił, to jakby go miodem smarował. I taki jest przywiązany do opactwa. Nie możesz mu tego dzisiaj powiedzieć.

- Pewno mu o tym powiedzą, zanim się z nami spotka. Wiesz, że przyjedzie z ojcem do opactwa na podwieczorek przed wielkim przyjęciem urodzinowym?

- Wiem - powiedziała Marianna.

- Przykro mi ze względu na dziadka - mówił Józef.

- Wiesz, jak bardzo go kocham. Na pewno będzie w opactwie po południu, jeżeli odwiedzi dziś babcię. Ale trudno, na razie nie mogę patrzeć na cegły ani wachać wapna.

- Tylko na razie?

- Tak.

- A co powie twój ojciec?

- Ach - odparł szybko Józef - jemu będzie przykro tylko ze względu na dziadka. Nigdy nie interesowała go twórcza strona architektury, tylko i wyłącznie formuły. Stój, nie odwracaj się.

- Więc to ma coś wspólnego z twoim ojcem, czuję, że tak.

Strasznie jestem ciekawa, jaki on jest. Przez telefon rozmawiałam z nim już kilka razy. Myślę, że będzie mi się podobał.

- Na pewno będzie ci się podobał. Zobacysz go najpóźniej dziś

wieczorem.

- Czy muszę być na przyjęciu urodzinowym?
- Koniecznie. Nie wyobrażasz sobie, jak się dziadek ucieszy
- przecież cię specjalnie zaprosił.

Marianna spróbowała uwolnić głowę, ale Józef roześmiał się, przytrzymał ją mocniej i powiedział:

- Daj spokój, tak łatwiej rozmawiać.
- I kłamać.
- Przemilczać - poprawił Józef.
- Kochasz ojca?
- Tak. Szczególnie, odkąd wiem, jaki jest młody.
- Nie wiedziałeś, ile ma lat?
- Nie. Myślałem, że ma pięćdziesiąt, może pięćdziesiąt pięć - to zabawne, prawda, że nigdy nie interesowałem się jego wiekiem; byłem po prostu przerażony, kiedy przedwczoraj odebrałem swoją metrykę i dowiedziałem się z niej, że ojciec ma dopiero czterdzieści trzy lata. Młody, prawda?
- Tak - powiedziała Marianna. - A ty masz dwadzieścia dwa.
- Tak. I do drugiego roku życia nie nazywałem się Fahmel, lecz Schrella, dziwne nazwisko, prawda?
- Czy dlatego jesteś na niego zły?
- Nie jestem na niego zły.
- Więc co on takiego zrobił, że nagle straciłeś ochotę do pracy przy budowie?
- Nie rozumiem, co masz na myśli.
- No dobrze, a dlaczego ojciec nigdy nie odwiedzał cię w opactwie?
- Widocznie nie interesują go place budowy, a poza tym może w dzieciństwie za często bywał w opactwie, rozumiesz, na niedzielnych wycieczkach z rodzicami. Do takich rzeczy człowiek dorosły powraca tylko wtedy, jeśli chce przejść powtórnie kurs podstawowej szkoły melancholii.
- A ty jeździłeś kiedyś z rodzicami na wycieczki?
- Czasem, i to przeważnie z matką i dziadkami, ale kiedy ojciec miał urlop, jeździł także z nami.
- Do opactwa?

- Także i do opactwa.
- No więc nie rozumiem, dlaczego cię tu ani razu nie odwiedził.
- Po prostu nie lubił placów budowy. Może trochę zdziwaczał. Czasem, kiedy niespodzianie wracam do domu, zastaję go przy biurku, piszącego jakieś formułki na marginesach fotokopii planów - ma ich cały zbiór. Ale myślę, że go polubisz.
- Nie pokazałeś mi nigdy jego fotografii.
- Nie ma żadnej nowej. Jest w jego sposobie ubierania się i zachowania coś wzruszająco staroświeckiego. Taki jest poprawny, uprzejmy - o wiele bardziej staroświecki niż dziadek!
- Strasznie go jestem ciekawa. Czy mogę się już odwrócić?
- Tak.

Józef puścił jej głowę, spróbował się uśmiechnąć, kiedy Marianna nagle się odwróciła, ale spojrzenie jej okrągłych jasnoszarych oczu zgasiło jego wymuszony uśmiech.

- Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, o co chodzi?
- Bo sam tego jeszcze nie rozumiem. Jak zrozumiem, powiem ci. Ale to może długo potrwać. Jedziemy?
- Tak - powiedziała. - Jedźmy. Twój dziadek wkrótce będzie na miejscu, nie możesz się spóźnić. Jeżeli mu powiedzą, zanim się z tobą zobaczy, będzie mu przykro. I proszę cię, obiecaj mi, że nigdy już nie pognasz prosto na te okropne tablice, żeby zahamować w ostatniej chwili.
- Właśnie wyobraziłem sobie - odparł Józef - że mijam barierę, zmiatam po drodze barak i z nasypu jak z szańca skaczę razem z samochodem do wody...
- W takim razie nie kochasz mnie.
- Ach, mój Boże - powiedział - przecież to tylko zabawa! Pociągnął Mariannę za sobą. Schodzili po stopniach prowadzących nad rzekę.
- Naprawdę bardzo mi przykro - mówił Józef - że dziadek dowie się o tym właśnie w dniu, w którym kończy osiemdziesiąt lat.
- Nie możesz mu tego oszczędzić?
- Samego faktu nie, ale mogę mu oszczędzić wiadomości o nim, jeżeli mu tego przedtem nie powiedzą.

Józef otworzył drzwiczki samochodu, wsiadł, otworzył z drugiej

strony Mariannie i kiedy usiadła obok niego, objął ją ramieniem.

- Posłuchaj - rzekł - to zupełnie proste: ten odcinek ma dokładnie cztery i pół kilometra. Na osiągnięcie szybkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę potrzebuję trzystu metrów, a na zahamowanie, hojnie licząc, drugie trzysta metrów. Pozostają więc prawnie cztery kilometry, na które potrzeba mi dokładnie dwóch minut. Musisz tylko patrzeć na zegarek i powiedzieć mi, kiedy miną dwie minuty, żebym zaczął hamować. Rozumiesz? Chciałbym się raz przekonać, ile można wyciągnąć z tego wózka.

- To straszna zabawa - powiedziała Marianna.

- Jeślibym mógł dojść do stu osiemdziesięciu na godzinę, potrzebowałbym tylko dwudziestu sekund, ale wtedy musiałbym hamować na dłuższej przestrzeni.

- Przestań, proszę cię, przestań.

- Boisz się?

- Tak.

- Dobrze, więc damy temu spokój. Czy mogę jechać przynajmniej osiemdziesiątką?

- Ostatecznie, jeżeli ci tak bardzo na tym zależy.

- Nie patrz nawet na zegarek. Mogę przejechać tę odległość na oko, a potem wymierzyć przestrzeń, na której hamowałem, rozumiesz? Chcę tylko sprawdzić, czy oni nas nie nabierają z tymi swoimi szybkościomierzami.

Włączył silnik, przejechał powoli wąskie uliczki osiedla, szybko minął teren golfowy i zatrzymał się przy wjeździe na autostradę.

- Słuchaj - powiedział - przy osiemdziesięciu kilometrach na godzinę potrzebuję dokładnie trzech minut. W tym naprawdę nie ma cienia niebezpieczeństwa; jeżeli się boisz, to wysiądź i poczekaj tu na mnie.

- Nie, samego cię nie puszcę.

- To przecież ostatni raz - tłumaczył. - Może jutro mnie tu już nie będzie, a gdzie indziej nie ma takiej okazji.

- Ależ na nie zamkniętej trasie mógłbyś to o wiele lepiej wypróbować.

- Nie, właśnie najbardziej mnie nęci konieczność zahamowania przed samą tablicą. - Pocałował Mariannę w policzek.

- Wiesz, co zrobię?

- Nie.

- Pojadę czterdzieści na godzinę!

Marianna uśmiechnęła się, jednakże, kiedy Józef ruszył, spojrzała na szybkościomierz.

- Uwważaj - powiedział Józef, kiedy minęli kamień z cyfrą pięć - spójrz teraz na zegarek i oblicz czas jazdy do kamienia z cyfrą dziewięć. Jadę równo czterdzieści kilometrów na godzinę.

Marianna widziała w dali tablice, jak rygle zamykające ogromną bramę. Najpierw wyglądały jak płotki, potem robiły się coraz większe, rosły przygnębiająco, nieustannie. To, co wyglądało z daleka jak czarny pająk, okazało się skrzyżowanymi piszczelami, to, co przypominało dziwaczny guzik, zmieniło się w trupa czaszkę, unosiło się tak samo jak i napis, leciało ku niej, zdawało się już niemal dotykać chłodnicy: duża litera O słowa *grozi* wyglądała jak usta otwarte do krzyku. Wskazówka szybkościomierza drgała między liczbami 90 i 100, przelatywali obok dzieci na hulajnogach, mężczyzn i kobiet, którzy nie mieli już twarzy „na-po-pracy”, ostrzegawczo wymachiwali rękami, ich przeraźliwe głosy brzmiały jak posępny krzyk sępów.

- Słuchaj - powiedziała cicho Marianna - czy ty w ogóle jesteś?

- Naturalnie - odpowiedział uśmiechając się - i to dokładnie wiem gdzie. - Wpatrywał się w literę O słowa *grozi*. - Nie denerwuj się.

Na krótko przed fajerantem majster z przedsiębiorstwa rozbiórkowego zaprowadził Józefa do refektarza, gdzie ładowano gruz na transporter zsypujący go na ciężarówkę. Pod wpływem wilgoci, którą nasiąknął gruz, utworzyły się lepkie grudy z okruszków cegieł, resztek tynku i bliżej nie określonego pyłu. Plamy wilgoci występowały na ścianach, najpierw ciemne, potem coraz jaśniejsze, powiększały się, w miarę jak malało usypisko. Spod plam prześwitywała czerwień, błękit i złoto, ślady malowidła ściennego, które majstrowi wydało się cenne - scena Ostatniej Wieczerzy, przeżarta pleśnią: złoty kielich, biała Hostia, twarz Chrystusa, blada, z ciemnym zarostem, kasztanowe włosy świętego Jana. „Niech pan

spojrzy, panie Fahmel, tu widać ciemną skórę Judaszowego mieszka”. Majster ostrożnie starł pleśń suchym gałgankiem, z czcią odsłonił część malowidła: brokatowy obrus, dwunastu apostołów, ich stopy, brzegi obrusa, wyłożona płytami podłoga sali. Józef z uśmiechem położył dłoń na ramieniu majstra. „Dobrze, że pan mnie wezwał. Oczywiście musimy zachować ten fresk. Trzeba uprzątnąć cały gruz i wysuszyć ściany, zanim będzie można coś przedsięwziąć”. Już zamierzał odejść, na stole czekała herbata, chleb, masło i śledzie, piątkowa postna kolacja; Marianna była już zapewne w drodze z Stehlingers Grotte, miała po niego wstąpić, wybierali się na spacer. Właśnie wtedy, zanim się odwrócił, zobaczył w dolnym rogu malowidła litery YXZX; widział setki razy te charakterystyczne znaki X, Y, Z, kiedy mu ojciec pomagał rozwiązywać zadania matematyczne; rozpoznał je teraz ponad wyrwą w pułapie piwnicy, między stopami świętego Jana i świętego Piotra. Kolumnada w refektarzu była zburzona, sklepienie rozdarłe. Pozostał tylko ten kawałek ściany z Ostatnią Wieczerzą. YXZX. „Co się stało? - spytał majster dotykając jego ramienia. - Pan tak zbłądł... a może to tylko miłość?”. „To tylko miłość - odparł Józef - tylko miłość, niech pan się nie przejmuje. Dziękuję, że mnie pan tu wezwał”. Nie smakowała mu już herbata ani masło, ani śledzie; piątkowa postna kolacja. Nawet papieros mu nie smakował. Obszedł wszystkie budynki otaczające kościół opactwa, schronisko dla pielgrzymów, szukał znaków we wszystkich miejscach, które musiały mieć szczególne znaczenie z punktu widzenia statyki, znalazł jeszcze tylko jedno, samotne, małe x w piwnicy schroniska. Małe x, nieomylnie nakreślone tak charakterystycznym pismem ojca, jak nieomylnie charakterystyczne były: jego twarz, chód, uśmiech i surowa uprzejmość ruchów, kiedy nalewał wino, podawał chleb ponad stołem. Jego małe x. Dr Robert Fahmel, Biuro obliczeń statycznych.

- Błagam cię, Józefie - mówiła Marianna - oprzytomniej!
- Jestem przytomny - powiedział; puścił pedał gazu, postawił lewą stopę na pedale sprzęgła, prawą na hamulcu, nacisnął go. Zgrzytając, kołysząc się, samochód runął ku wielkiemu O słowa *grozi*, podniósł tuman kurzu, hamulce zapisały, wzburzeni

przechodnie podbiegali wymachując rękami, między *śmiercią* i skrzyżowanymi piszczelami ukazał się zmęczony dozorca nocny z garnuszkiem kawy w ręku.

- O Boże! - westchnęła Marianna. - Dlaczego mnie tak przestraszyłeś?

- Przepraszam cię - powiedział Józef cicho - bardzo cię przepraszam, poniosło mnie.

Szybko zawrócił i ruszył, zanim przechodnie zdążyli otoczyć samochód, przejechał cztery kilometry wolno, z lewą ręką na kierownicy, prawą obejmując Mariannę, minął teren golfowy, na którym wysportowane kobiety, wysportowani mężczyźni kroczyli ku szesnastemu, siedemnastemu, osiemnastemu dołkowi.

- Przebacz mi, naprawdę już nigdy tego nie zrobię - powiedział Józef.

Skręcił z autostrady, jechali teraz wśród spokojnych pól, cichymi skrajami lasu.

XYZ - te same znaki, które widywał na wyraźnych fotokopiach formatu pocztówkowego, którymi ojciec wieczorem bawił się jak kartami do gry. Projekt domu pod lasem dla wydawcy - XxX; rozbudowa gmachu towarzystwa „Societas” - YxY; dom nad rzeką dla nauczyciela - tylko Y; znaki między stopami świętego Jana i świętego Piotra.

Jechał wolno drogą wśród pól, na których pękate buraki wyglądały już spod olbrzymich zielonych liści; rżyska, łąki, spoza nich widoczne już Kozackie Wzgórze.

- Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć? - spytała Marianna.

- Dlatego, że sam tego jeszcze nie rozumiem, że jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Może to tylko absurdalny sen; może będę ci mógł to później wytłumaczyć, a może nigdy.

- Ale nie chcesz już zostać architektem?

- Nie.

- Czy dlatego pojechałeś prosto na tablicę?

- Może dlatego.

- Zawsze nienawidziłam ludzi, którzy nie wiedzą, co to są pieniądze - powiedziała Marianna. - Którzy w szalonym tempie pędzą prosto na tablice z napisem *śmierć*, którzy bez powodu straszą

przechodniów na ich uczciwie zasłużonej przechadzce po pracy.

- Ja miałem powód, żeby jechać z taką szybkością prosto na tablicę.

Zwolnił tempo, zatrzymał się na piaszczystej drodze poniżej Kozackiego Wzgórza, zaparkował wóz pod zwisającymi gałęziami sosny.

- Dlaczego stanąłeś tutaj? - spytała Marianna.

- Chodź, przejdziemy się kawałek - odpowiedział.

- Jest już późno - odparła. - Twój dziadek z pewnością przyjedzie pociągiem o wpół do piątej; to już za dziesięć minut.

Józef wysiadł, poszedł parę kroków w górę, zasłonił ręką oczy i spojrzął w kierunku Denklingen.

- Tak! - zawołał. - Widzę już pociąg nadjeżdżający z Doderingen, ten sam samowarek z czasów mego dzieciństwa i ta sama pora przyjazdu. Chodź, nic się nie stanie, jeśli poczekają na nas kwadrans.

Wrócił do samochodu, pomógł jej wysiąść i pociągnął ją za sobą piaszczystą drogą w górę; usiedli na polance; Józef wskazał na równinę, przesuwał palcem za pociągiem wlokącym się wśród pól buraczanych, łąk i rzysk w kierunku Kisslingen.

- Nie wiesz nawet - powiedział - jak dobrze znam wszystkie te wsie; jak często przyjeżdżaliśmy właśnie tym pociągiem; po śmierci matki mieszkaliśmy prawie stale w Stehlingen albo w Görlingen i chodziłem do szkoły w Kisslingen. Wieczorem wybiegaliśmy na pociąg, którym dziadek wracał z miasta, na ten pociąg, który w tej chwili właśnie odjeżdża z Denklingen. I wiesz, dziwna rzecz, zawsze mi się zdawało, że jesteśmy ubodzy, dopóki mama żyła i babka była u nas, dostawaliśmy do jedzenia mniej niż znajome dzieci i nigdy nie wolno mi było nosić porządnego ubrania, tylko przerobione ze starych. Musieliśmy patrzeć, jak babka darowuje nowe rzeczy obcym ludziom, rozdaje chleb, masło i miód, które przysłano z klasztoru i z majątków. My jedliśmy tylko sztuczny miód.

- Nigdy nie nienawidziłeś babki?

- Nie i sam nie wiem, dlaczego jej nie nienawidziłem za te bezsensowne dziwactwa; może dlatego, że dziadek zabierał nas do

pracowni i w tajemnicy dawał nam smakołyki; zabierał nas także do kawiarni Kronera i pozwalał nam się opychać do woli. Zawsze mówił: „To, co robią wasza matka i babka, to wielka, bardzo wielka rzecz - ale nie wiem, czy wy nie jesteście za mali do takich wielkich rzeczy”.

- Naprawdę tak mówił?

- Tak! - Józef roześmiał się. - Kiedy mama umarła, a babkę wywieziono, zostaliśmy sami z dziadkiem i mieliśmy dość jedzenia. Przez ostatnie lata wojny byliśmy prawie cały czas w Stehlingen. Słyszałem, jak pewnej nocy wysadzono w powietrze opactwo; siedzieliśmy w kuchni w Stehlingen, a chłopci z sąsiedztwa przeklinali niemieckiego generała, który wydał rozkaz zburzenia opactwa i mrużeli sami do siebie: *po-co-po- -co-po-co*. W parę dni później odwiedził nas ojciec; przyjechał amerykańskim samochodem w towarzystwie amerykańskiego oficera i pozwolono mu zostać z nami trzy godziny. Przywiózł nam czekoladę, a my lękaliśmy się tej lepkiej ciemnobrązowej rzeczy, której jeszcze nigdy nie jedliśmy. Skosztowaliśmy jej dopiero wtedy, kiedy pani Kloschgrabe, żona administratora, zjadła kawałek. Ojciec dał pani Kloschgrabe paczkę kawy, a ona powiedziała: „Może pan się nie obawiać, panie doktorze, pilnujemy dzieci jak naszych własnych”. I mówiła jeszcze: „Czy to nie hańba, żeby przed samym końcem wysadzać w powietrze opactwo!”, a jej mąż powiedział: „Tak, to prawdziwa hańba, ale może taka była wola boska”, a ona na to: „Są i tacy, którzy słuchają woli diabła”. Ojciec roześmiał się i amerykański oficer śmiał się także. Ojciec był dla nas bardzo serdeczny i kiedy musiał się z nami pożegnać, zobaczyłem go po raz pierwszy płaczącego. W ogóle nie myślałem, że umie płakać. Był zawsze spokojny i nie okazywał żadnych uczuć; nawet kiedy kończył się jego urlop i odprowadzaliśmy go na dworzec, nigdy nie płakał; wszyscy płakali, mama, babka, dziadek i my, ale on nie.

- Patrz - powiedział nagle wskazując pióropusz dymu - właśnie przyjechali do Kisslingen.

- Teraz dziadek pójdzie do klasztoru i dowie się o tym, co właściwie powinieneś był mu sam powiedzieć.

Starłem kredowe znaki między stopami świętego Jana i

świętego Piotra i małe x w piwnicy schroniska dla pielgrzymów. Nie odszuka ich, nie znajdzie, ode mnie się o nich nie dowie.

- Trzy dni - opowiadał - front przebiegał między Denklingen a miastem i wieczorami modliliśmy się z panią Kloschgrabe o życie dziadka. Wreszcie któregoś wieczora przyjechał z miasta, był blady i smutny, jakim go nigdy jeszcze nie widziałem, obchodził z nami ruiny opactwa i szeptał to samo, co mówili chłopci, to samo co szeptała babka w schronie przeciwlotniczym: *po-co-po-co-po-co*.

- Był na pewno szczęśliwy, że pomagasz przy odbudowie opactwa.

- Tak - powiedział Józef - ale muszę go tego szczęścia pozbawić. Nie pytaj dlaczego, ale muszę.

Pocałował Mariannę, odgarnął jej włosy za uszy, rozcapierzonymi palcami wyczesał sosnowe igły i ziarenka piasku.

- Ojciec wrócił dość prędko z niewoli i zabrał nas do miasta mimo protestów dziadka, który twierdził, że dzieci nie powinny wyrastać wśród ruin. Ale ojciec powiedział: „Nie mogę mieszkać na wsi i chcę mieć dzieci przy sobie, przecież prawie ich nie znam”. My także prawie go nie znaliśmy; z początku baliśmy się go i czuliśmy, że i dziadek się go boi. Zamieszkaliśmy wszyscy razem w pracowni dziadka, bo nasz dom był nie do użytku. Na ścianie pracowni wisiał ogromny plan miasta; wszystkie zburzone domy były mocno zakreskowane czarną kredką; kiedy odrabialiśmy lekcje przy stole kreślarskim dziadka, często słyszeliśmy, jak dziadek, ojciec i jacyś panowie rozmawiali stojąc przed planem. Często wybuchały spory, bo ojciec mówił: „Precz z tym

- wysadzić w powietrze” i pisał X przy którejś czarnej plamie, a inni powtarzali: „Na miłość boską, przecież nie możemy tego zrobić”; wtedy ojciec mówił: „Zróbcie to, zanim ludzie powrócą do miasta. Teraz wszystko stoi pustką i nie ma się czym krępować; zmiećcie to wszystko z powierzchni ziemi...”. A tamci znów: „To jest przecież fragment skarpy z framugą okienną z szesnastego wieku, a tu część kaplicy z dwunastego wieku”. Wtedy ojciec rzucił czarną kredkę i mówił: „Dobrze, róbcie co chcecie, ale mówię wam, że będziecie tego żałowali. Róbcie, co chcecie, ale beze mnie”. A oni mówili: „Ależ drogi panie doktorze, pan jest przecież

najlepszym specjalistą od wyburzania, nie może pan nam odmówić pomocy”. A ojciec: „Ale odmówię, jeżeli będę musiał oszczędzać każdy kurnik z czasów rzymskich. Dla mnie mury to tylko mury i wierzcie mi, panowie, że są wśród nich dobre i złe. Precz z tymi ruinami, wysadzić to w powietrze, zdobądźcie więcej wolnej przestrzeni”. Po ich wyjściu dziadek śmiejąc się mówił: „Mój Boże, musisz zrozumieć ich uczucia”, a ojciec, również śmiejąc się, odpowiadał: „Rozumiem nawet te uczucia, ale ich nie uznaję”; a potem mówił: „Chodźcie, dzieci, kupimy czekoladę”. Szliśmy na czarny rynek, ojciec kupował dla siebie papierosy, a dla nas czekoladę i przeciskaliśmy się z nim przez ciemne, na wpół zburzone sienie, wchodziliśmy na górę, bo ojciec chciał jeszcze zdobyć cygara dla dziadka. Zawsze kupował, nigdy nic nie sprzedawał. Kiedy przysłano nam ze Stehlingen albo z Górlingen chleb czy masło, kazał nam zabierać swoją część do szkoły i sami mogliśmy zdecydować, komu ją ofiarujemy. Kiedyś kupiliśmy na czarnym rynku to samo masło, które przedtem podarowaliśmy komuś, w paczce była jeszcze kartka pani Kloschgrabe, która napisała: „W tym tygodniu, niestety, tylko jeden kilogram”. Ale ojciec śmiał się z tego i powiedział: „No cóż, ludzie potrzebują także pieniędzy na papierosy”. Burmistrz znów przyszedł do nas kiedyś i ojciec powiedział mu: „W ruinach klasztoru Franciszkanów znalazłem brud zza paznokci pochodzący z czternastego wieku; niech pan się nie śmieje, mogę to udowodnić, ponieważ zawiera on domieszkę włókna z wełnianej przędzy, którą produkowano w naszym mieście tylko w czternastym wieku; to niezwykle rzadkie odkrycie w dziedzinie historii kultury, panie burmistrzu”. Burmistrz na to: „Pan się za daleko posuwa, panie Fahmel”, a ojciec: „Posunę się jeszcze dalej, panie burmistrzu”. Rut roześmiała się; siedziała właśnie koło mnie i gryzmoła w zeszyte zadanie z arytmetyki; wybuchnęła głośnym śmiechem, a ojciec podszedł do niej, pocałował ją w czoło i powiedział: „Masz rację, moje dziecko, to warte śmiechu”. A ja jej zazdrościłem, bo ojciec mnie nigdy jeszcze nie pocałował w czoło. Kochaliśmy go, Marianno, ale baliśmy się go jeszcze trochę, kiedy stojąc przed planem miasta z czarną kredką w rękę powtarzał: „Wysadzić - precz z tym”. Był bardzo

wymagający, jeśli chodziło o lekcje zadawane w szkole. Mówił mi zawsze: „Istnieją tylko dwie możliwości: nic nie umieć albo umieć wszystko. Twoja matka nic nie umiała, zdaje mi się, że nawet nie skończyła szkoły podstawowej, a jednak nie ożeniłbym się z inną kobietą. Więc musisz się zdecydować⁵”. Kochaliśmy go, Marianno, i kiedy sobie obliczam, że wtedy nie miał wiele ponad trzydzieści lat, trudno mi w to uwierzyć, bo zawsze uważałem go za znacznie starszego, chociaż wcale nie wyglądał staro. Bywał nawet czasem wesoły, dziś już taki nie bywa; kiedy rano wylaziliśmy z łóżek, on golił się już przy oknie i wołał do nas: „Dzieci, wojna się skończyła!” - chociaż wojna skończyła się już przed czterema czy pięcioma laty.

- Musimy iść - powiedziała Marianna. - Nie możemy pozwolić, żeby tak długo na nas czekali.

- Niech sobie poczekają - powiedział. - Muszę się jeszcze dowiedzieć, co oni z tobą robili, baranku. Przecież tak niewiele wiem o tobie.

- Baranku? - spytała. - Dlaczego baranku?

- Tak mi jakoś przyszło do głowy. Powiedz mi, co oni z tobą wyrabiali. Zawsze mnie śmieszy twój doderingenowski akcent: wcale do ciebie nie pasuje. Wiem tylko, że chodziłaś w Doderingen do szkoły, ale pochodzisz skądinąd, i że pomagasz pani Kloschgrabe w pieczeniu ciasta, gotowaniu i prasowaniu bielizny.

Marianna złożyła głowę Józefa na swoich kolanach, zasłoniła mu oczy i zaczęła mówić.

- Ze mną? Chcesz się dowiedzieć, co ze mną wyrabiali? Rzucali na mnie bomby i nie trafiali, chociaż bomby były takie duże, a ja taka mała. W schronie przeciwlotniczym ludzie wtykali mi do buzi słodycze. A bomby padały i nie trafiały we mnie; słyszałam tylko, jak wybuchają i jak odłamki lecą z szumem wśród nocy niby ptaki, a ktoś w schronie powiedział: „Dzkie gęsi lecą z szumem po nocy”. Mój ojciec był wysoki, przystojny, miał bardzo ciemne włosy; chodził w brązowym mundurze z mnóstwem złotych galonów i czymś w rodzaju srebrzyście połyskującego mieczyka u pasa; strzelił sobie w usta - nie wiem, czy widziałeś kiedy człowieka, który strzelił sobie w usta? Nie, prawda, że nie? W takim

razie dziękuj Bogu, że oszczędził ci tego widoku. Ojciec leżał na dywanie, krew płynęła po tureckich barwach, po smyrneńskim wzorze - to był prawdziwy smyrneński dywan, mój drogi. Matka była w przeciwieństwie do ojca jasnowłosa, wysoka, chodziła w niebieskim mundurze i w ładnym szykownym kapelusiku, nie nosiła mieczyka u paska. Miałam jeszcze braciszka, był młodszy ode mnie, jasnowłosy; braciszek wisiał na drzwiach z pętlą na szyi, kołysał się na konopnym sznurze, a ja się śmiałam, śmiałam się jeszcze wtedy, kiedy matka założyła i mnie pętlę na szyję, mówiąc do siebie: *on tak kazał*. Ale właśnie wtedy wszedł jakiś mężczyzna, nie miał mundur, złotych galonów ani mieczyka, trzymał tylko w ręku pistolet, wycelował nim w matkę, wyrwał mnie z jej rąk, a ja zaczęłam płakać, bo miałam już przecież pętlę na szyi i koniecznie chciałam bawić się razem z wiszącym braciszkiem w tę zabawę *on tak kazał*. Ale mężczyzna zatkał mi usta, zniósł mnie ze schodów, zdjął z szyi pętlę, wsadził mnie na ciężarówkę...

Józef usiłował zdjąć ze swoich oczu ręce Marianny, ale ona jeszcze mocniej je przycisnęła i spytała: - Nie chcesz już słuchać?

- Chcę - odparł.

- W takim razie musisz się zgodzić, że będę ci zasłaniała oczy; poza tym mógłbyś mi dać papierosa.

- Tutaj, w lesie?

- Tak, tutaj, w lesie.

- Wyjmij pudełko z mojej kieszeni w koszuli.

Czuł, że Marianna odpina guziczek kieszeni, wyjmując z niej papierosy i zapalki, prawą ręką mocno przyciskając mu oczy.

- Zapalę i dla ciebie papierosa, tutaj, w lesie - powiedziała.

- Miałam wtedy pięć lat i byłam taka milutka, że nawet na ciężarówce ludzie mnie rozpieszczali, wtykali mi słodycze do ust, myli mnie mydłem, kiedy ciężarówka się zatrzymywała. I strzelali do nas z armat i z karabinów maszynowych, i nie trafili nas. Jechaliśmy długo, nie wiem dokładnie jak długo, ale na pewno ze dwa tygodnie, a kiedyśmy się zatrzymywali, mężczyzna, który zepsuł mi zabawę w *on tak kazał*, brał mnie ze sobą, otulał mnie w derkę, układał obok siebie na sianie, na słomie, czasem na łóżku i kazał mi się nazywać ojcem. Nie umiałam mówić: ojciec; do

mężczyzny w ślicznym mundurze mówiłam zawsze: papo; ale potem się nauczyłam. Trzynaście lat nazywałam ojcem człowieka, który mi zepsuł zabawę. Dostałam łóżko, koldrę i matkę; była surowa, ale kochała mnie, i dziewięć lat spędziłam w ich czystym domu. Kiedy poszłam do szkoły, proboszcz powiedział: „Patrzcie, patrzcie kogo tu mamy, dostaliśmy najprawdziwszą w świecie poganeckę”. Inne dzieci, z których żadne nie było poganinem, zaczęły się śmiać, a proboszcz powiedział: „Wobec tego raz dwa zrobimy z naszej poganeckiej, z naszego dobrego baranka, małą chrześcijankę”. I zrobili ze mnie małą chrześcijankę. I baranek rósł, grzeczny i szczęśliwy, bawił się w kółko graniaste, w berka, potem w piłkę do dołka, skakał przez linkę i bardzo kochał rodziców. A potem nadszedł dzień, w którym w szkole uroniono parę łez, wygłoszono parę przemówień, wspomniano parę razy o zakończeniu pewnego okresu w życiu, i poszłam do krawcowej, nauczyłam się używać igły i nitki, nauczyłam się od matki sprzątać, piec ciasto i gotować, a wszyscy we wsi mówili: „Ona wyjdzie jeszcze kiedyś za mąż za księcia, nikogo gorszego sobie nie weźmie”. Ale pewnego dnia przyjechała do wsi wielka czarna limuzyna, a wąsaty człowiek, siedzący za kierownicą, zatrzymał wóz na rynku i nie wysiadając spytał ludzi: „Gdzie tu mieszkają Schmitzowie?”. A ludzie odpowiedzieli: „U nas jest wielu Schmitzów, o których panu chodzi?”. A mężczyzna powiedział: „O tych, którzy wzięli dziecko na wychowanie”. Wtedy ludzie powiedzieli: „Ach, ci Schmitzowie to Edward i jego żona, mieszkają tam, w bok od drogi, widzi pan? Zaraz za kuźnią, w tym domu, przed którym rośnie bukszpan”. A mężczyzna powiedział: „Dziękuję” i pojechał dalej, ale wszyscy poszli za samochodem, bo z rynku do domu Schmitzów było najwyżej pięćdziesiąt kroków. Siedziałam wtedy w kuchni i przebierałam sałatę, bardzo lubiłam to zajęcie. Obcinałam liście, zwieńdnięte wyrzucałam, świeże kładłam do sita, gdzie leżały zielone i czyste, a matka mówiła do mnie: „Nie powinnaś się martwić, Marianno, to nie ich wina; kiedy chłopcy mają trzynaście, czternaście lat, u niektórych zaczyna się to nawet, kiedy mają dwanaście, robią takie rzeczy; to natura, Marianno, a z naturą niełatwo sobie poradzić”. A

ja odpowiedziałam: „Ja się nie tym martwię”. „A czym?” - spytała matka. „Myślę o moim braciszku - powiedziałam - o tym, jak wisiał na drzwiach, a ja się śmiałam i nie wiedziałam, jakie to straszne, i że on nie był nawet ochrzczony”. Ale zanim matka mogła coś odpowiedzieć, drzwi się otworzyły - nie słyszałyśmy stukania - i od razu ją poznałam: wciąż jeszcze była jasnowłosa, wysoka i miała sztywny kapelusz, tylko nie nosiła już niebieskiego munduru. Podeszła prosto do mnie z otwartymi ramionami i powiedziała: „Ty musisz być moją Marianną - czy głos krwi nic ci nie mówi?”. Nóż, który miałam w ręku, zatrzymał się na chwilę w powietrzu, potem oczyściłam nim następny liść sałaty i powiedziałam: „Nie, głos krwi nic mi nie mówi”. „Jestem twoją matką”

- powiedziała ta pani. „Nie - zaprzeczyłam. - To jest moja matka. Nazywam się Marianna Schmitz”. - Chwilę milczałam, a potem powiedziałam: „*On tak kazał* i szanowna pani założyła mi pętlę na szyję”. Bo u krawcowej nauczyłam się, że do takich kobiet trzeba mówić „szanowna pani”.

Kobieta krzyczała, płakała, usiłowała mnie objąć, ale ja trzymałam nóż przy piersiach, skierowany ostrzem ku przodowi. Mówiła coś o szkole, o studiach, krzyczała, płakała, ale ja wymknęłam się drzwiami na podwórze, pobiegłam przez ogród, na przelaj polem do proboszcza i opowiedziałam mu o wszystkim. Proboszcz powiedział: „To twoja matka, natura ma swoje prawa, a dopóki nie będziesz pełnoletnia, ona ma prawo do ciebie. To niedobra sytuacja”. A ja na to: „Czyż ona nie straciła tego prawa, bawiąc się w *on tak kazał*”? „Jesteś sprytnym stworzeniem - powiedział proboszcz. - Zapamiętaj sobie dobrze ten argument”. Zapamiętałam go sobie dobrze i stale go wyciągałam, kiedy oni mówili o głosie krwi. Powtarzałam ciągle: „Nie słyszę żadnego głosu krwi, po prostu go nie słyszę”. A oni mówili: „To niemożliwe, taki cynizm jest przeciwny naturze”. „Owszem - odpowiadałam - *on tak kazał* było przeciwne naturze”. „Ależ to zdarzyło się przeszło dziesięć lat temu - mówili - i ona bardzo tego żałuje”. A ja na to: „Są rzeczy, których nie wystarczy żałować”. „Czy chcesz być surowsza niż Pan Bóg w swoich sądach?” - spytała ona. „Nie - odparłam. - Nie jestem Bogiem, więc nie mogę być tak miłosierna

jak On”. Zostałam u rodziców. Jednemu tylko nie mogłam zapobiec: nie nazywam się już Marianna Schmitz, tylko Marianna Droste. Czulałam się jak człowiek, któremu amputowano rękę czy nogę. I ciągle jeszcze - kończyła cichym głosem - myślę o moim braciszku, który musiał bawić się w *on tak kazał*. Czy I teraz uważasz, że jest coś jeszcze gorszego, tak złego, że nie możesz mi o tym powiedzieć?

- Nie, nie - powiedział Józef. - Marianno Schmitz, powiem ci o wszystkim.

Marianna zdjęła rękę z jego oczu, Józef usiadł i spojrzał na nią; nie próbowała się uśmiechnąć.

- Czegoś równie złego twój ojciec nie mógł zrobić - powiedziała.

- Nie - odparł Józef. - To nie było aż tak złe, ale jednak złe.

- Chodź, opowiesz mi o tym w samochodzie - powiedziała.

- Już prawie piąta i oni na nas czekają. Gdybym miała dziadka, nie pozwoliłabym mu czekać, a gdyby on był taki jak twój, nie byłoby rzeczy, której bym dla niego nie zrobiła.

- A dla mego ojca? - spytał.

- Nie znam go jeszcze - powiedziała. - Chodź. I nie wykręcaj się, powiedz mu, jak tylko będziesz miał okazję. Chodź.

Pociągnęła go za sobą, a on objął ją ramieniem i tak wrócili do samochodu.

Rozdział dziewiąty

Młody urzędnik spojrział z politowaniem na pięć szylingów angielskich i trzydzieści belgijskich franków, które Schrella położył na marmurowej ladzie.

- To wszystko?

- Tak - powiedział Schrella - to wszystko.

Młody urzędnik puścił w ruch maszynę do liczenia, bez zapalu kręcił korbką - już ta niewielka liczba obrotów korbki wyrażała pogardę - nagryzmolił szybko kilka cyfr na kartce, podsunął Schrelli monetę pięciomarkową, cztery dziesięcio- fenigówki i trzy pojedyncze fenigi.

- Kto następny, proszę.

- Mógłby mi pan powiedzieć - spytał cicho Schrella - czy

jedenastka jeździ do Blessenfeld?

- Czy jedenastka jeździ do Blessenfeld? Nie jestem informacją tramwajową - oświadczył młody urzędnik - a poza tym naprawdę nie wiem.

- Dziękuję - powiedział Schrella, wrzucił pieniądze do kieszeni, ustąpił miejsca przy okienku jakiemuś panu, który podsunął urzędnikowi całą paczkę szwajcarskich banknotów; usłyszał jeszcze, jak korbka maszyny do liczenia z szacunkiem bierze rozpęd do wykonania wielu obrotów.

Uprzejmość jest niewątpliwie najbardziej niezawodną formą wyrażania pogardy - pomyślał.

Hala dworcowa. Lato. Słońce. Radosny nastrój. Koniec tygodnia. Chłopcy hotelowi dźwigają walizki na peron; młoda niewiasta trzyma w podniesionych rękach tablicę: „Tu zbiórka jadących do Lourdes”. Sprzedawcy gazet, kioski z kwiatami. Młodzież z kolorowymi ręcznikami kąpielowymi wciśniętymi pod pachę.

Schrella przeszedł przez plac, zatrzymał się na wysepce tramwajowej, zaczął studiować tabliczkę informacyjną; jedenastka nadal jeździła do Blessenfeld. Stała właśnie przed czerwonym światłem między hotelem „Księżę Henryk” i katedrą św. Seweryna, podjechała, zatrzymała się, pasażerowie wysiedli i Schrella stanął w kolejce do przedniej platformy, aby uiścić opłatę za przejazd. Usiadł, zdjął kapelusz, otarł pot z czoła, przeczyszczył szkła okularów i kiedy tramwaj ruszył, na próżno czekał na przyptyw uczuć: nic; będąc uczniem cztery tysiące razy jeździł jedenastką do szkoły i z powrotem; palce poplamione atramentem, głupia paplanina chłopców jadących tym samym tramwajem, która zawsze sprawiała mu przykrość; stereometryczne przekroje kuli, plusquamperfectum, modus irrealis, broda Barbarossy rosnąca aż poza stół; *Intryga i miłość*, Liwiusz, Owidiusz w okładkach z szarozielonego kartonu, i w miarę jak tramwaj oddalał się od centrum w kierunku Blessenfeld, rozmowa stawała się coraz mniej chełpliwa. Już na krańcu Starego Miasta wysiadali ci, którzy umieli nadać swoim mutującym głosem najniższe brzmienie; rozpierchali się w

szerokich ciemnych ulicach, pośród solidnych domów; na krańcu Nowego Miasta wysiadali ci, których głosy nie miały już tak niskiego brzmienia; rozpierzchali się w węższych ulicach, pośród mniej solidnych domów. W wagonie pozostawało tylko dwóch lub trzech chłopców jadących aż do Blessenfeld, zabudowanego najmniej solidnymi domami; w czasie kiedy tramwaj, kołysząc się z boku na bok, mijał ogródki działkowe i zwirownie i zbliżał się do Blessenfeld, rozmowa przybierała zwykły ton. „Czy twój ojciec także strajkuje? U Gressigmanna dają już cztery i pół procent rabatu; margaryna staniała o pięć fenigów”. Oto park, w którym letnią zieleń dawno już wydeptano, a piaszczystą ziemię wokół płytkiego basenu rozorały tysiące nóżek dziecięcych, wymieszały ze śmieciami, papierami i potłuczonym szkłem butelek; ulica Gruffel, gdzie składy handlarzy starzyzną zapełniały się blachą, szmatami; gdzie stanęła nędzna buda z lemoniadą, wychudzony bezrobotny zamierzał wypróbować swe możliwości kupieckie; wkrótce przytył, obłożył swoją budę szkłem i chromem, ustawił w niej błyszczące automaty; teraz pęczniał od gromadzonych fenigów, nabrał władczych tonów, a przecież jeszcze przed paru miesiącami, byle handel szedł, uniżenie opuszczał dwa fenigi na cenie lemoniady, szepcząc lękliwie: „Tylko nikomu o tym nie mów”.

Schrella daremnie czekał na przyptyw uczuć, jadąc kołyszącą się jedenastką przez Stare i Nowe Miasto, mijając ogródki działkowe i zwirownie po drodze do Blessenfeld. Cztery tysiące razy słyszał wywoływane nazwy przystanków: ulica Boisseree, Park Północny, Dworzec Blessen, Aleja Środkowa; nazwy te dźwięczały teraz obco, jak ze snu innego człowieka, który na próżno usiłuje go opowiedzieć, brzmiały jak wołanie o pomoc z gęstej mgły, a niemal pusty tramwaj dojeżdżał do końcowego przystanku w to słoneczne letnie popołudnie.

Tam właśnie, na rogu ulicy Parkowej i Alei, stała budka, w której matka Schrelli próbowała handlować smażonymi rybami; nie powiodło jej się, bo miała zbyt miękkie serce. „Nie mogę przecież odmawiać głodnym dzieciakom kawałka ryby, kiedy przyglądają się, jak ją smażyć. Jakżebym mogła odmówić?”. A ojciec Schrelli odpowiadał: „Oczywiście, nie możesz odmawiać, ale musimy

zamknąć budkę, nie mamy już kredytu, plajta, kupcy nie chcą nam dostarczać towaru”. Obtoczone w bułce rybne filety skwierczały na wrzącym oleju, a matka kładła tymczasem na tekturowy talerzyk parę łyżek kartoflanej sałatki i współczujące serce matki *nie było nieugięte*. Z jej błękitnych oczu płynęły łzy, sąsiadki szeptały: „Zapłacz się na śmierć!”, a ona przestała jeść, i pić, pełnokrwista obfitość jej kształtów zmieniała się w niedokrwistą chudość; nic w niej nie pozostało z przystojnej bufetowej, tak lubianej w restauracji dworcowej; szeptała do siebie, Panie, Panie, przewracała postrzępione kartki książek do nabożeństwa swojej sekty, zapowiadających koniec świata, kiedy na ulicy, w unoszącym tumany kurzu wietrze, trzepotały czerwone chorągwie, a ludzie nieśli plakaty z podobizną Hindenburga; wrzask, bijatyki, strzelanina; piszczałki i bębny. Matka wyglądała po śmierci jak anemiczna chuda dziewczynka; pochowano ją w jednej z wielu takich samych mogiłek; parę astrów, cienki drewniany krzyż; Edyta Schrella 1896-1932; zapłakała się na śmierć, jej prochy zmieszały się z ziemią Północnego Cmentarza.

- Końcowy przystanek, proszę pana - oznajmił konduktor, opuścił swoją przegródkę, zapalił me dokończonego papierosa, poszedł ku przodowi wagonu. - Niestety, dalej nie jedziemy.

- Dziękuję.

Cztery tysiące razy wsiadał tu i wysiadał; końcowy przystanek jedenastki; zardzewiałe szyny gubiły się wśród dołów po wybranym piasku i baraków, które przed trzydziestu laty miały służyć budowie dalszego odcinka torów; kiosk z lemoniadą: chrom, szklane cylindry, błyszczące automaty; porządnie ułożone według gatunków tabliczki czekolady.

-Proszę o lemoniadę.

Zielony płyn w nieskazitelnie czystej szklance miał smak marzanny.

- Jeśli pan tak uprzejmy, proszę wrzucić papier do kosza na śmiecie. Smakuje?

- Dziękuję.

Udka kurczęcia były jeszcze ciepłe, także kruche białe mięso z piersi, w chrupiącej skórce, upieczone na najlepszym tłuszczu,

opakowane w celofanowy hermetyczny woreczek, zamknięty na specjalne piknikowe spinacze.

- Pachnie smakowicie. Może jeszcze szklaneczkę lemoniady do popicia?

- Nie, dziękuję, ale niech mi pani da sześć papierosów.

W otylej właścicielce kiosku można było jeszcze rozpoznać dawną delikatną, ładną dziewczynę; błękitne dziecięce oczy, które podczas przygotowania do Pierwszej Komunii pobudzały rozmarzonego katechetę do używania określeń „anielski” i „niewinny”, nabrały teraz kamiennej kupieckiej twardości.

- Razem wynosi dziewięćdziesiąt fenigów.

- Dziękuję.

Jedenastka, którą Schrella przyjechał, właśnie dawała sygnał odjazdu; za długo się wahał, był teraz na dwanaście minut uwięziony w Blessenfeld; zapalił papierosa, powoli sącząc resztkę lemoniady usiłował pod kamiennie różaną twarzą odszukać nazwisko dziewczyny, którą właścicielka kiosku była dawniej; kiedyś, kiedy jej anielskość dawno znikła, biegała z rozwianymi złotymi włosami po parku, wołała, śpiewała i wabiła chłopców do ciemnych sieni; wymuszała z ich ściśniętych z podniecenia krtani przysięgi miłosne

- a w tym samym czasie jej brat, tak jak ona złotowłosa i anielski, na próżno wzywał chłopców ze swej ulicy do szlachetnych czynów; terminator stolarski, zwycięzca w biegach na sto metrów; ścięty o świcie z powodu głupstwa.

- Jednak poproszę panią o jeszcze jedną lemoniadę - powiedział Schrella.

Patrzył na idealnie równy przedziałek we włosach młodej kobiety, która schyliła się podstawiając szklanekę pod kurek syfonu; jej bratem był Ferdi, anielski chłopiec, jej imię powtarzały chropawym szeptem młodzieńcze usta, podawały jedne drugim jak hasło otwierające bramy raju: Eryka Progul- ske wyzwała z tajemnych cierpień i *nic za to nie bierze*, bo lubi to robić.

- Czy my się nie znamy?

Z uśmiechem postawiła na ladzie szklanekę lemoniady.

- Nie - odparł Schrella, uśmiechając się także. - Nie wydaje

mi się.

Byle nie dopuścić do odtajania zamrożonych wspomnień, lodowe kwiaty spłynęłyby wówczas jak leniwa brudna woda; byle nie wypowiedzieć zaklęcia, nie oczekiwać powrotu surowych dziecięcych uczuć do rozmięklej duszy dojrzałej kobiety, nie dowiedzieć się, że teraz *coś za to bierze*.

- Trzydzieści fenigów. Dziękuję.

Siostra Ferdiego Progulske patrzyła na Schrelle z zawodową uprzejmością. Także i mnie wyzwoliłaś i nic za to *nie wzięłaś*, nie wzięłaś nawet kawałka czekolady, która rozmiękła w mojej kieszeni i przecież nie miała być zapłatą, tylko podarunkiem, ale ty go nie przyjąłeś; wyzwoliłaś mnie miłosierdziem twoich ust i rąk; mam nadzieję, że nigdy me powiedziałaś o tym Ferdiemu, miłosierdzie łączy się z dyskrecją; tajemnice przeobrażone w słowa mogą mieć śmiertelne działanie; mam nadzieję, że nie wiedział o tym w ów lipcowy ranek, kiedy ostatni raz ujrzał niebo; ja byłem jedynym chłopcem z całej ulicy, który okazał się gotowy do szlachetnych czynów: Edyta jeszcze się wtedy nie liczyła, miała dopiero dwanaście lat, nie można jeszcze było odcyfrować mądrości jej serca.

- Czy naprawdę się nie znamy?

- Nie, jestem tego pewny.

Dziś przyjąłabyś ode mnie podarek, twoje serce pozostało nieugięte, ale nie współczujące; w parę tygodni później utraciłaś niewinność dziecięcego występku, zdecydowałaś, że lepiej wyzbyć się miłosierdzia, nieomylnie wiedziałaś, że nie chcesz zostać wzdychającą jasnowosą flądram i zapłakać się na śmierć; nie, nie znamy się, naprawdę się nie znamy; nie dopuścimy do odtajania lodowych kwiatów. Dziękuję, do widzenia.

Po drugiej stronie wciąż ten sam lokal „Blesseneck”, w którym ojciec pracował jako kelner; piwo, wódka, krokiet mięsny, piwo, wódka, krokiet; wszystko podawane z wyrazem twarzy, w którym, jak u nikogo poza nim, łagodność łączyła się z zawziętością; z tym samym wyrazem twarzy podawał zarówno wódkę i krokiety z mięsą w „Blesseneck”, jak homara i szampana w restauracji hotelu „Książę Henryk” albo niewyspanym dziewczynom ulicznym śniadanie w

Górnym Porcie: piwo, kotlet, czekoladę i cherry brandy; ojciec przynosił na mankietach ślady tych lepkich śniadań, przynosił także dobre napiwki, czekoladę i papierosy, ale nie przynosił do domu tego, co inni ojcowie: radości z odpoczynku, która tak łatwo zmieniała się w krzyki i kłótnie, w zapewnienia

0 miłości i w lży pojednania; zawsze ta sama zawzięta łagodność w wyrazie twarzy, zabłąkany anioł, który ukrył Ferdiego pod szynkwasem; policjanci wyciągnęli go spomiędzy rur doprowadzających piwo, a Ferdi, już świadomy tego, że idzie na śmierć, jeszcze się uśmiechał. W domu zmywało się lepkie ślady z mankietów, gotowało się krochmal, żeby kelnerskiej koszuli ojca nadać sztywność i blask. Przyszli po niego dopiero następnego ranka, kiedy wychodził do pracy, trzymając pod pachą zawinięty w papier chleb z masłem

I czarne lakierki; wsiadł do ich samochodu i *nikt go już nigdy nie zobaczył*; kelner Alfred Schrella nie miał białego krzyżyka ani astrów. Nawet nie został *zastrzelony w czasie ucieczki -po prostu nikt go już nigdy nie zobaczył*.

Edyta gotowała krochmal, czyściła pastą zapasowe czarne trzewiki, prała białe krawatki, a ja się uczyłem, uczyłem się z łatwością: Owidiusz i przekroje kuli, zamiary i czyny Henryka Pierwszego, Henryka Drugiego, Tacyt, zamiary i czyny Wilhelma Pierwszego, Wilhelma Drugiego; Kleist i trygonometria; zdolny, zdolny, wyjątkowo zdolny; byłem dzieckiem robotniczym, musiałem zwalczyć tysiączne opory, aby móc się nauczyć tego, co inni, a poza tym zaprzysiągłem się szlachetnym czynom i miałem nawet własne upodobanie: *Hölderlina*.

Jeszcze siedem minut do odjazdu następnej jedenastki. Ulica Gruffel numer siódmy: świeżo otynkowany dom, przed nim zaparkowany samochód: zielony; rower: czerwony; dwie hulajnogi: brudne. Osiemnaście tysięcy razy naciskał ten dzwonek, żółtawoblady mosiężny guzik, jeszcze dziś dobrze znany jego kciukowi; tam, gdzie dawniej wypisane było nazwisko Schrella, dziś widniało Tressel; gdzie dawniej wypisane było nazwisko Schmitz, dziś widniało Humann; same nowe nazwiska, pozostało tylko jedno:

pani Fruhl; pożyczali od niej szklanek cukru, szklanek mąki, szklanek octu, kieliszek od jajka oliwy sałatkowej - ile było tych szklanek, tych kieliszków od jajek i na jaki procent; pani Fruhl zawsze napełniała szklanki i kieliszki od jajek tylko do połowy i robiła kreskę na framudze drzwi, pod wypisanymi literami M, C, O i O!; ścierała kreski wielkim palcem dopiero wtedy, kiedy jej oddawano pełną szklanek, pełny kieliszek od jajka, i szeptała w sieni domu, w sklepikach i na pogawędkach z przyjaciółkami, kiedy przy likierze jajecznym i sałatce z kartofli zajmowały się ginekologią w popularnym zakresie. Szeptala: „O Boże, ależ z nich głupcy!”. Pani Fruhl stosunkowo wcześniej zasmakowała w *sakramencie byka*, a także zmusiła męża i córkę, aby go przyjęli, w sieni domu wyśpiewywała: *Drżą spróchniałe kości*. Nie, żadne uczucie się w nim nie obudziło, tylko naskórek kciuka, który trzymał na jasnożółtym mosiężnym guziku, odczuł coś jak gdyby wzruszenie.

- Pan kogoś szuka?
- Tak, Schrellów. Czy już tu nie mieszkają?
- Nie - odpowiedziała dziewczynka - gdyby tu mieszkali, wiedziałabym o tym. - Była rumiana, ładniutka, balansowała na chwiejącej się hulajnodze, trzymając się ręką muru. - Nie, tacy nigdy tu nie mieszkali. - Nagle puściła się na hulajnodze przez ulicę, przez rynsztok, wołając: - Czy kto z was zna Schrellów?

Schrella zadrzał. Ktoś mógł odpowiedzieć: tak, wtedy on musiałby podejść, przywitać się, podzielić się wspomnieniami; „tak, Ferdi, oni go - twój ojciec, oni go - i Edyta, tak, wyszła dobrze za mąż” - ale rumiana dziewczynka daremnie pędziła od jednej grupki ludzi do drugiej, robiła śmiałe zwroty na swojej hulajnodze, wołała w otwarte okna: - Czy kto tutaj zna Schrellów? - Wróciła zgrzana, zatoczyła elegancki łuk, stanęła przed Schrellą.

- Nie, proszę pana, nikt takich nie zna.
- Dziękuję ci - powiedział z uśmiechem. - Chcesz dostać dziesiątaka?
- Tak! - Rozpromieniona dziewczynka ruszyła pędem ku budce z lemoniadą.
- Zgrzeszyłem, ciężko zgrzeszyłem - szeptał do siebie

uśmiechnięty Schrella, idąc ku pętli tramwajowej. - Lemoniadą z marzanny, kupioną na ulicy Gruffel, popijałem kurę z hotelu „Książę Henryk”; nie chciałem obudzić wspomnień, nie pozwoliłem, aby lodowe kwiaty odtajały; nie pragnąłem zobaczyć błysku poznania w oczach Eryki Progulske ani usłyszeć z jej ust imienia Ferdiego; tylko naskórek mego kciuka celebrował nawrót wspomnienia, poznał guzik dzwonka z jasnożółtego mosiądzu.

Szedł jak przez różgi między parami oczu obserwującymi go z chodnika, z okien i bram, oczami ludzi rozkoszujących się w promieniach letniego słońca wolnym wieczorem po pracy. Czy nikt spośród nich nie pozna jego okularów, jego chodu, charakterystycznego mrużenia oczu, nie pozna pod osłoną zagranicznego płaszcza tylokrotnie wykpiwanego wielbiela poezji Hölderlina, którego gonila drwiąca piosenka: „Schrella, Schrella, Schrella wiersze czyta”.

Z lękiem otarł pot z czoła, zdjął kapelusz, zatrzymał się na rogu i spojrzął w głąb ulicy Gruffel; nikt za nim nie szedł; młodzi chłopcy siedzieli na motocyklach, pochyleni w przód szeptem składali dziewczętom miłosne obietnice; butelki od piwa na parapetach okien skupiały na sobie promienie słoneczne. Tam naprzeciw stoi dom, w którym urodził się i mieszkał anioł; może istnieje jeszcze mosiężny guzik dzwonka, naciskany kciukiem Ferdiego piętnaście tysięcy razy; zielona fasada, połyskujące wystawy drogerii, reklama pasty do zębów tuż pod oknem, z którego Ferdi się tak często wychylał.

Droga przez park; tutaj pewnego lipcowego wieczoru przed dwudziestu trzema laty Robert pociągnął Edytę w zarośla; teraz siedzieli tam na ławkach emeryci, opowiadali sobie kawały, wachali rozmaite gatunki tytoniu, uskarżali się na złe wychowanie bawiących się dzieciaków; rozdrażnione matki zsyłały przekleństwa na głowy krnąbrnego potomstwa, wyzywały straszliwą przyszłość: *Niech cię atom porwie!* Chłopcy niosący pod pachą książeczki do nabożeństwa wracali od spowiedzi, jeszcze niezupełnie zdecydowani, czy porzucić stan łaski już zaraz, czy dopiero jutro rano.

Jeszcze minuta do odejścia najbliższej jedenastki; już od

trzydziestu lat zardzewiały szyny wybiegały w próżnię przyszłości. Siostra Ferdiego napełniała teraz czystą szklanekę zieloną lemoniadą; motorniczy dzwonił, dając znak odjazdu; znużeni konduktorzy gasili nie dopalone papierosy, poprawiali torby z pieniędzmi, wchodzili do swoich przegródek, dzwonili na alarm, bo daleko w tyle, gdzie urywały się zardzewiały szyny, jakaś starsza kobieta właśnie zaczęła biec.

- Dworzec Główny z przesiadką do portu - powiedział Schrella.

- Czterdzieści pięć.

Niesolidne domy, solidniejsze domy, bardzo solidne domy. Przesiadka, tak, szesnastka w dalszym ciągu jedzie do portu.

Skład materiałów budowlanych, skład węgla, rampa załadunkowa i dojrzał już, stojąc przy balustradzie starej śluzy, napis na szyldzie: „Michaelis - węgiel, koks, brykiety”.

Teraz tylko odwróci się, dwie minuty drogi i będzie mógł obudzić w sobie wspomnienia. Ręce pani Trischler wytrzymują próbę czasu, podobnie jak oczy starego Trischlera i wisząca na ścianie fotografia Alojzego; butelki z piwem, wiązki cebuli, pomidory, chleb i tytoń; zakotwiczone barki, chwiejne kładki, po których przenosi się zwinięte płótno żaglowe: olbrzymie poczwarki motyli popłyną w dół Renu, ku mgłom Morza Północnego.

Cicho było tutaj; za parkanem składu Michaelisa leżały świeżo usypane stopy węgla, na placu przedsiębiorstwa budowlanego góry jasnoczerwonych cegieł; odgłos człapiących kroków nocnego dozorczy za płotami i szopami pogłębiał jeszcze tę ciszę.

Schrella z uśmiechem przechylił się przez zardzewiałą barierę, odwrócił się i nagle się przestraszył: nie wiedział o nowym moście, Nettlinger także mu o nim nie mówił. Rozłożysty most zawisnął ponad starym basenem portowym, ciemnozielone filary tkwiły dokładnie w tym miejscu, w którym dawniej stał dom Trischlera; cień mostu pokrywał nabrzeże, na którym dawniej były urządzenia holownicze, olbrzymie puste stalowe wrota ponad rzeką tworzyły ramę dla niebieskiej próżni.

Ojciec najchętniej pracował w gospodzie Trischlera, obsługiwał szyprów, którzy w długie letnie wieczory siadywali z żonami w

ogrodzie na czerwonych krzeselkach, a Alojzy, Edyta i on łowili ryby w starym basenie portowym. Wieczność dziecięcej rachuby czasu, nieskończoność, jaką znał jeszcze tylko z wersetów poezji; z dała dzwoniły dzwony katedry św. Seweryna, ich dźwięki napełniały wieczór pokojem i ufnością, a Edyta swymi ruchliwymi rękami rysowała w powietrzu rytm drgań pławika, jej biodra, ramiona, całe jej ciało tańczyło w rytmie podskakującego pławika; nigdy nie złowili tu ryby.

Ojciec podawał złote piwo z białą pianą, z jego twarzy silniej promieniowała dobroć niż zawziętość, uśmiechając się wesoło, odmawiał przyjmowania napiwków, bo *wszyscy ludzie są braćmi*. Bracia, bracia! - wołał na głos w owe letnie wieczory; uśmiechały się zadumane twarze szyprów, ich ładne żony o ufnych oczach kręciły głowami wobec tak dziecinnego patosu, mimo to oklaskiwały go; bracia i siostry.

Schrella zszedł wolno na dół, minął basen portowy, w którym zardzewiałe pontony i łodzie czekały na handlarzy złomem. Zanurzył się głęboko w zielony cień, ujrzał pośrodku nurtu pracowite dźwigi ładujące części mostu na krypy, na których zwały złomu pojękiwały przygniecione ciężarem świeżego ładunku. Schrella odnalazł pompaticzne schody na górę, czuł, jak szerokie stopnie zmuszają go do uroczystego kroczenia; z upiorną ufnością pusta, czysta autostrada pięła się ku rzece, ku mostowi, gdzie tablice ze skrzyżowanymi puszczelami, olbrzymie trupie czaszki, czarno na białym stawiały tamę ufności. Tablice z groźbą *śmierć, śmierć* zamykały drogę na zachód, pusta zaś szosa na wschód prowadziła w nieskończoność lśniących liści buraczanych.

Schrella szedł dalej, przecisnął się między *śmiercią* i skrzyżowanymi puszczelami, koło baraku przedsiębiorstwa budowlanego, uspokoił nocnego dozorcę, który podnosił już ręce, by go ostrzec gwałtownym wymachiwaniem, ale opuścił je przekonany uśmiechem nadchodzącego. Schrella poszedł aż do końca autostrady; zardzewiałe zbrojenia, na których zwisały bryły betonu, świadczyły swym upartym piętnastoletnim trwaniem o wysokiej jakości niemieckiej stali; po drugiej stronie, za pustymi stalowymi wrotami, autostrada znów wybiegała koło terenu golfowego w

nieskończoność lśniących liści buraczanych.

Kawiarnia „Bellevue”. Aleja nadbrzeżna. Na prawo boiska sportowe, palant, palant. Piłka podbita przez Roberta i kule bilardowe, w które uderzali kijami w holenderskich knajpach, czerwień na tle zieleni, biel na tle zieleni, monotonna melodia kul, dźwięcząca niemal jak śpiew gregoriański; rosnące w nieskończoność figury tworzone przez trzy kule, jak surowa poezja wyczarowywana z zielonego sukna; nigdy nie zakosztowali *sakramentu byka*, na ślepo doznawali tortur, *pas' baranki moje* na podmiejskich łąkach, gdzie grano w palanta, na ulicy Gruffel i na ulicy Modesta, w zaułkach angielskich przedmieść i za murami więziennymi; *paś baranki- moje*, gdziekolwiek je spotkasz, nawet jeśli nie potrafisz robić nic lepszego niż czytać Hölderlina i Trakla, nic lepszego, niż piętnaście lat pisać na tablicy: wiąże, wiązałem, związałem, związę, związałem był, byłbym związał, w czasie kiedy dzieci Nettlingera bawiły się w wolanta na starannie wypielęgowanym trawniku - to jednak Anglicy najlepiej umieją robić

- a jego ładna żona, wypielęgowana, wypielęgowana, bardzo wypielęgowana, wołała z tarasu do męża, wyciągniętego na ładnym leżaku: „Włać ci kroplę dżinu do lemoniady cytrynowej?”, a on odpowiadał: „Owszem, proszę, ale dużą kroplę”, wobec czego żona, chichocząc, zachwycona jego dowcipem, wlewała dużą kroplę dżinu do lemoniady, schodziła z tarasu, siadała obok męża na drugim leżaku, równie ładnym jak tamten, oceniała ruchy najstarszej córki; może troszeczkę za chuda, trochę za koścista, trochę za dużo powagi na jej ładnej twarzączce; teraz, zmęczona, odłożyła raketkę, siadła na brzegu trawnika u stóp tatusia i mamusi - „kochanie, tylko mi się nie zazięb” - i spytała, ach, poważnie, jak zwykle: „Tatusiu, co to znaczy, co to dokładnie znaczy: demokracja?”. A ojcu moment ten wydał się odpowiedni do przybrania uroczystego tonu, odstawił więc szklankę z lemoniadą, wyjął z ust cygaro - to już piąte dzisiaj, marki Ernst-Rudolf - i zaczął objaśniać: „Demokracja...”. Nie, nie poproszę cię ani prywatnie, ani urzędowo

o wyjaśnienie mojej sytuacji prawnej; *ja nic za to nie biorę*,

złożyłem w kawiarni Zona dziecianną przysięgę, że będę strzegł szlachectwa bezbronności; moja sytuacja prawna pozostanie nie wyjaśniona; może Robert wyjaśnił ją za pomocą dynamitu, czy też nauczył się tymczasem śmiać albo przynajmniej uśmiechać; był zawsze poważny, nie mógł pogodzić się ze śmiercią Ferdiego, zamroził w formuły myśli 0 zemście, nosił je w mózgu jak bardzo lekki bagaż, ściśle formuły, nie rozstawał się z nimi w kwaterach podoficerskich 1 oficerskich przez całych sześć lat, nie śmiał się nigdy, chociaż Ferdi uśmiechał się jeszcze po aresztowaniu, aniół z przedmieścia, z ogrodów warzywnych ulicy Gruffel; tylko w trzech centymetrach kwadratowych naskórka na kciuku obudziły się wspomnienia; oparzona stopa nauczyciela gimnastyki i ostatni baranek zabity odłamkiem bomby: *ojca nikt już nigdy nie zobaczył*, nie został nawet *zastrzelony podczas ucieczki*. I nigdy nie odnaleziono choćby śladu piłki podbitej przez Roberta.

Schrella rzucił w otchłań niedopałek papierosa, podniósł się i wolno poszedł z powrotem; znów przecisnął się między *śmiercią* a skrzyżowanymi piszczelami, kiwnął głową spłoszonemu dozorczy nocnemu, raz jeszcze rzucił spojrzenie na kawiarnię „Bellevue” i ruszył czystą pustą autostradą ku horyzontowi, gdzie liście buraczane lśniły w promieniach słońca; autostrada musi w którymś miejscu krzyżować się z trasą szesnastki. Przesiadka przy dworcu, czterdzieści pięć fenigów; Schrella tęsknił do pokoju hotelowego, lubił przypadkowość takiego „domu”, anonimowość nędznych pokoi, które można było dowolnie zmieniać; lodowe kwiaty wspomnień nie tajały w nich; człowiek bez obywatelstwa, bez ojczyzny; a rano typowe śniadanie hotelowe, podane przez zaspanego kelnera w koszuli z przybrudzonymi mankietami, z gorsem, którego mu nikt nie nakrochmalił, tak jak to matka robiła zawsze z oddaniem. Może, jeśli kelner był po sześćdziesiątce, można by zaryzykować pytanie: „Czy pan nie znał kolegi po fachu nazwiskiem Schrella?”

Naprzód czystą pustą autostradą, ku niebu z lśniących liści buraczanych, mając za cały bagaż ręce w kieszeniach, rzucając na skraj drogi pieniążki dla Jasia i Małgosi. Poczłótki były jego jedynym znośnym kontaktem z życiem, podtrzymywanym jeszcze

po śmierci Edyty, ojca, Ferdiego. „Kochany Robercie, u mnie wszystko dobrze, mam nadzieję, że u Ciebie również. Pozdrów moją siostrzenicę, mego siostrzeńca, których nie znam, i twego ojca”. Dwadzieścia trzy słowa, za dużo tych słów; skracał tekst: „U mnie wszystko dobrze, mam nadzieję, że u Ciebie również, pozdrów Rut, Józefa, ojca”. Czternaście słów; to samo można było wyrazić dwukrotnie mniejszą liczbą; po cóż odbywać podróż, ścisnąć czyjeś dłonie, przez tydzień nie odmieniać: wiązę, związałem, związałem; zastać nie zmienionego Nettlingera, nie zmienioną ulicę Gruffel - kiedy nie ma już rąk pani Trischler.

Niebo z liści buraczanych, jak w zielonosrebrnym upierzeniu; w dole jechała szesnastka, kołysząc się z boku na bok na torze biegnącym pod autostradą; czterdzieści pięć fenigów; wszystko podróżowało. Nettlinger na pewno nie skończył jeszcze wyjaśniać znaczenia słowa „demokracja”; przedwieczorne światło; jego głos nabrął miękkich tonów; córka przyniosła z bawialni pled - jugosłowiański, duński lub fiński, w każdym razie: wspaniałe kolory - okryła nim plecy ojca, uklękła, aby z nabożeństwem wysłuchać dalszego ciągu, matka poszła do kuchni - „zostańcie na dworze, dzieci, takie piękne popołudnie i taki miły nastrój” - aby przygotować smaczne pikantne kanapki, wymieszać kolorową sałatkę.

Oczyma wyobraźni Schrella widział wyraźniejszy obraz Nettlingera niż podczas spotkania się z nim, kiedy tamten opychał się plastrami polędwicy, popijał je najlepszym, najlepszym, najlepszym ze wszystkich win - już pogrążony w rozmyślaniach, czym najgodniej uwieńczyć tę ucztę: serem, lodami, ciastem czy omletem? „Jedno musicie, panowie - powiedział dawny radca ambasady na zakończenie kursu «Jak zostać smakoszem» - jedno musicie sami dodać do tego, czego nauczyliście się tutaj: szczyptę, tylko szczyptę oryginalności”.

W Anglii pisał Schrella na tablicy: On powinien być być zabity; piętnaście lat wygrywał na ksylofonie mowy: żyję, żyłem, żyłem był, będę żył. Czy będę żył? Nigdy nie mógł pojąć, że są ludzie, których nudzi gramatyka. On jest mordowany, on był mordowany, on został zamordowany, on zostanie zamordowany; kto go

zamorduje? Moją jest zemsta, rzekł *Pan*.

- Koniec trasy, proszę pana, Dworzec Główny.

Tłok wcale się nie zmniejszył: kto z tych ludzi przyjechał, kto wyjeżdżał? Dlaczego nie siedzą w domu? Kiedy odchodzi pociąg do Ostendy? Albo do Włoch, do Francji? Tam również znajdzie się ktoś, kto pragnąłby się nauczyć: żyję, żyłem, żyłem był; on będzie zabity; kto go zabije?

- Pokój w hotelu? Jakiej kategorii? Tani?

Wyraźnie osłabła uprzejmość młodej osoby, przesuwającej ładny paluszek wzdłuż spisu; widocznie w tym kraju zapytanie o cenę uważane jest za grzech. *Zawsze brać to, co najdroższe*

- *to, co najdroższe, jest najtańsze*; mylisz się, ładna panienko, to, co tanie, jest tańsze, naprawdę, przesun swój ładny paluszek na sam dół spisu. Pensjonat „Modern”. Siedem marek. Bez śniadań. - Nie, dziękuję, wiem, jak trafić na ulicę Modesta, doprawdy trafię, numer szesnasty, to będzie tuż koło Bramy.

Kiedy skręcił za róg, omal nie wpadł na wiszącego dzika, cofnął się przed cielskiem ciemnoszarego zwierzęcia i byłby minął dom Roberta; tu wspomnienia mu nie groziły: tylko raz był w tym domu; ulica Modesta 8; przystanął przed błyszczącą mosiężną tabliczką, przeczytał: „Dr Robert Fah- mel, Biuro obliczeń statycznych, po południu nieczynne”; drżał przyciskając guzik dzwonka: to, czego nie był świadkiem, w czym nie brały udziału znane mu rekwizyty, przejmowało go głębiej: za tymi drzwiami umarła Edyta, w tym domu rodziły się jej dzieci, mieszkał Robert; już po brzmieniu dzwonka wewnątrz domu poznał, że nikt mu nie otworzy; dźwięk ten połączył się z dzwonieniem telefonu

- chłopiec z hotelu „Księżę Henryk” dotrzymał słowa; dam mu duży napiwek, jak będziemy tam grali w bilard.

Tylko o cztery domy dalej: pensjonat „Modern”. Nareszcie w domu; na szczęście w małym przedpokoju nie czuć było kuchennych zapachów. Świeża bielizna pościelowa, na której złoży znużoną głowę.

- Tak, dziękuję, sam trafię.

- Drugie piętro, trzecie drzwi na lewo. Niech pan uważa przy wchodzeniu na górę, drążki przytrzymujące chodnik obluźowały się

w paru miejscach; zdarzają się goście, którzy wszystko niszczą; pan nie życzy sobie, aby go obudzić? Jeszcze drobnostka: czy pan zechce zapłacić z góry, czy też nadejdzie pański bagaż? Nie? W takim razie bardzo proszę, osiem marek pięć fenigów łącznie z usługą; niestety, zmuszeni jesteśmy do takiej ostrożności, proszę pana, nawet by pan nie uwierzył, ile hołoty jest na świecie; a potem trzeba okazywać nieufność porządnym ludziom, tak już jest; bywają i tacy, którzy potrafią owinąć się bielizną pościelową albo tną poszewki na chustki do nosa; gdyby pan wiedział, z czym się spotykamy; nie życzy pan sobie pokwitowania? Tym lepiej, podatki i tak nas zżerają. Pan z pewnością oczekuje kogoś, żony, prawda? Może pan być spokojny, skieruję na górę...

Rozdział dziesiąty

Jego obawa okazała się nieuzasadniona: wspomnienia nie przeszły w uczucia, pozostały formułami, nie rozplynęły się w błogości ani w smutku, nie napełniły łękiem serca; serce nie brało w tym udziału: w tamtym miejscu stał o zmierzchu, między schroniskiem a opactwem, tam gdzie teraz leży stos fioletowych, mocno wypalonych cegieł; obok stał generał Otto Kósters, na którego mózgu obłęd wyrzył piętno w postaci jednej jedynej formuły: pole ostrzału; kapitan Fahmel, porucznik Schrit i dwaj chorążowie, Kanders i Hochbret; ze śmiertelnie poważnymi minami wmawiali w Ottona zwanego „Ostrzałem”, że nawet wobec tak czcigodnej budowli nie może być niekonsekwentny; inni oficerowie protestowali, roniący łzy mordercy stawali w obronie zabytku kultury, który można było uratować, padło nawet groźne słowo: zdrada stanu; ale żaden z nich nie umiał argumentować tak druzgocząco, płynnie i logicznie jak Schrit, który wahającemu się generałowi sugerował konieczność wysadzenia obiektu, „choćby dlatego, panie generale, aby dać dowód, że jeszcze wierzymy w zwycięstwo; ta bolesna ofiara przekona ludność i żołnierzy, że jeszcze wierzymy w zwycięstwo...” - i oto padają jak znany cytat słowa generała: „Powziąłem decyzję: wysadzajcie w powietrze, panowie. Kiedy chodzi o zwycięstwo, nie wolno nam oszczędzać nawet naszych uświęconych dóbr kultury; do roboty, panowie”. Ręce przy daszkach, stuknięcie obcasów.

Czy naprawdę miał kiedyś dwadzieścia dziewięć lat, był kapitanem, stał z generałem „Ostrzałem” w tym miejscu, w którym stoi teraz nowy opat i z uśmiechem wita jego ojca?

- Jesteśmy uszczęśliwieni, panie radco, że zechciał pan zrobić nam tę przyjemność i odwiedzić nas znowu; miło mi poznać pańskiego syna; Józef jest już niemal naszym przyjacielem, prawda, Józefie? Losy naszego opactwa związane są ściśle z losami rodziny Fahmelów - a nawet, jeśli wolno mi wspomnieć o tak osobistych sprawach, Józefa właśnie tutaj ugodziła strzała Amora. Niech pan spojrzy, panie doktorze, dziś młodzi ludzie nawet się nie rumieniają, kiedy mowa

o takich rzeczach. Panno Rut i panno Marianno, niestety, panie nie będą mogły wziąć udziału w zwiedzaniu opactwa.

Dziewczęta zachichotały; czyż matka, Józefina, a nawet Edyta nie chichotały tutaj tak samo, kiedy je wykluczano z grona mężczyzn? Wystarczyłoby w albumach z fotografiami zmienić głowy i modę.

- Tak, klauzura jest już zamieszкана - mówił opat. - A tu nasze oczko w głowie, biblioteka; proszę tędy, dokoła, oto cela dla chorych, na szczęście w tej chwili nie zajęta...

Nigdy nie chodził tu z kredą w rękę od jednego punktu do drugiego, nigdy nie kreślił na ścianach swojej tajemniczej mieszanki XYZ, szyfru nicości, który tylko Schrit, Hochbret i Kanders umieli odcyfrować; zapach tynku, zapach świeżej farby, świeżo heblowanego drewna.

- Tak, to zdołaliśmy uratować dzięki spostrzegawczości pańskiego wnuka - pańskiego syna, panie doktorze: malowidło w refektarzu przedstawiające Ostatnią Wieczerzę; oczywiście, zdajemy sobie sprawę, że nie jest to jakiś cenny zabytek kulturalny - proszę mi wybaczyć tę uwagę, panie radco - ale dzieła nawet tych szkół malarstwa zaczynają już być rzadkością, a my zawsze czuliśmy się zobowiązani do podtrzymywania tradycji; muszę panom wyznać, że do dziś zachwyca mnie wierność w oddawaniu szczegółów, jakiej hołdowali ci malarze. Proszę spojrzeć, z jaką pełną pietyzmu starannością namalowano tutaj stopy świętego Jana i świętego Piotra, stopy starszego i młodego mężczyzny; wierność w oddawaniu szczegółów.

Nie, tutaj nikt nie śpiewał: *Drżą spróchniałe kości*; nie

obchodzono tutaj święta wiosennego przesilenia; to tylko sen. Dystyngowany pan po czterdziestce, syn dystyngowanego ojca, ojciec pełnego świeżości, wybitnie inteligentnego syna, który z uśmiechem na twarzy towarzyszy obu panom w zwiedzaniu, chociaż zdaje się, że cała ta impreza bardzo go nudzi; za każdym razem, kiedy Robert zwracał się do Józefa, widział tylko ten jego uprzejmy, trochę znużony uśmiech.

- Jak panowie wiedzą, nie oszczędzono nawet zabudowań gospodarczych; od nich właśnie zaczęliśmy odbudowę, ponieważ naszym zdaniem stanowiły one pewnego rodzaju materialny warunek pomyślnego nowego startu; oto obora; oczywiście stosujemy dojaraki elektryczne; pan się uśmiecha

- ale pewny jestem, że nasz Ojciec Święty Benedykt nie miałby nic przeciw dojarkom elektrycznym. Pozwolą panowie, że każę tu podać skromną przekąskę? Na powitanie drogich gości: nasz słynny chleb, słynne masło i miód; panowie nie wiedzą, że każdy z naszych opatów umierając lub ustępując ze stanowiska przyjmuje od swego następcy zobowiązanie, że opactwo nie zapomni o rodzinie Fahmelów; państwo w istocie rzeczy należą do naszej klasztornej rodziny - ach, a otóż i młode damy; ależ oczywiście, mogą się panie już do nas przyłączyć.

Chleb, masło, wino i miód na gładkich deskach stołu; Józef objął jednym ramieniem siostrę, drugim Mariannę; jasna czupryna między dwiema ciemnymi głowami dziewcząt.

- Państwo wyświadczą nam ten zaszczyt i wezmą udział w poświęceniu opactwa? Kanclerz i członkowie gabinetu zapowiedzieli swe przybycie, będzie również parę osobistości z książęcych rodzin cudzoziemskich; cieszylibyśmy się ogromnie, mogąc powitać całą rodzinę Fahmelów jako naszych gości. Moje oficjalne przemówienie nie będzie stało pod znakiem oskarżenia, lecz pod znakiem pojednania, pojednania także z tymi siłami, które w swej ślepej gorliwości zburzyły naszą siedzibę, jednakże nie z tymi niszczyielskimi siłami, które znów zagrażają naszej kulturze; czy wolno mi zatem w tej chwili przekazać państwu nasze zaproszenie wraz z serdeczną prośbą o wyświadczenie nam tego zaszczytu?

Nie przyjadę na poświęcenie - myślał Robert - ponieważ nie pojednałem się z siłami, na których ciąży wina za śmierć Ferdiego, ani z tymi, które zawiniły śmierci Edyty, oszczędziły zaś katedrę św.

Seweryna; nie, nie pojednałem się ani z sobą, ani z duchem pojednania, które oni głosić będą w swoich oficjalnych przemówieniach. To nie ślepa gorliwość zburzyła ich siedzibę, lecz nienawiść, która nie była ślepa i nie przerodziła się jeszcze w skruczę. Czy mam wyznać, że to ja byłem sprawcą? Musiałbym zadać ból mojemu ojcu, który nie zawinił, może i mojemu synowi, choć i on nie zawinił, i opatowi, chociaż także i on nie zawinił; kto w ogóle zawinił? Nie pojednałem się ze światem, w którym jeden ruch ręki, jedno źle zrozumiane słowo przypląca się życiem.

Głośno powiedział:

- Serdecznie dziękuję, wielbny ojcze, wzięcie udziału w tej uroczystości sprawi mi prawdziwą przyjemność.

Nie przyjadę, wielbny ojcze - myślał stary Fahmel - gdy stałbym tu tylko jako pomnik siebie samego, a nie jako ten, kim istotnie jestem: starym człowiekiem, który dziś rano wydał swojej sekretarce polecenie, aby opluła jego pomnik; proszę się nie przerażać, wielbny ojcze; nie pojednałem się z moim synem Ottonem, który nie był już moim synem, lecz tylko jego zewnętrzną powłoką, i nie mogę święcić pojednania z tymi budynkami, chociaż sam je wznosiłem. Nikt nie odczuje braku rodziny Fahmelów; kanclerz, członkowie gabinetu, cudzoziemscy książęta i wszyscy dostojnicy Kościoła z pewnością zapełnią tę lukę. Czy to ty jesteś sprawcą, Robercie, i bałeś się powiedzieć mi o tym? Zdradziły mi to twoje spojrzenia, twoje ruchy w czasie zwiedzania opactwa; tylko, widzisz, mnie to nie ugodziło - może myślałeś przy tym o chłopcu, którego imienia nie znam, o tym chłopcu, który wrzucał twoje karteczki do naszej skrzynki na listy, i o kelnerze Grollu, o barankach, których nikt nie pał, także i my; nie święćmy więc pojednania: sorry, wielbny ojcze, ojciec to jakoś zniesie, nie odczuje naszego braku; niech ojciec każe przybić tablicę: „Wzniesione w roku 1908 przez Henryka Fähmela, liczącego lat dwadzieścia dziewięć, zburzone w roku 1945 przez Roberta Fähmela, liczącego lat dwadzieścia dziewięć” - co ty będziesz robił, Józefie, mając trzydzieści lat? Czy obejmiesz ojcowskie biuro obliczeń statycznych: będziesz budował czy burzył? Formuły są skuteczniejsze od zaprawy murarskiej.

Proszę chorałem dodać swemu sercu mocy, wielbny ojcze, i dobrze rozważyć, czy ojciec istotnie pojednał się z siłami, które

zburzyły klasztor.

-Serdeczne dzięki, wielbny ojcie - powiedział stary Fähmel - udział w tej uroczystości sprawi nam prawdziwą przyjemność.

Od łąk i nizin płynął już chłód, suche liście buraczane zwilgotniały, ściemniały, zapowiadały bogaty plon; z lewej strony, ponad kierownicą, jasna głowa Józefa, z prawej obie ciemne dziewczęce głowy; samochód cicho mknął ku miastu; czy ktoś tam śpiewa: „Żęliśmy, żęliśmy żyto”? To nie może być prawdą, podobnie jak smukła wieża katedry św. Seweryna rysująca się na horyzoncie.

Marianna odezwała się pierwsza:

- Nie jedziesz przez Doderingen?
 - Nie. Dziadek chciał jechać przez Denklingen.
 - Myślałam, że wybierzemy najkrótszą drogę do miasta?
 - Jeżeli zajedziemy do miasta na szóstą - powiedziała Rut
- będziemy mieli dość czasu. Na przebranie się potrzeba nam najwyżej godziny.

Rozmowa młodych brzmiała jak cichy szept w ciemnych podziemnych szybach, którym zasypani dodają sobie nawzajem otuchy; widzę światło; to złudzenie; ale ja naprawdę widzę światło; gdzie; nie słyszysz stukania drużyny ratowniczej; nie słyszę. Czy w pokoju gościnnym opactwa rozmawialiśmy głośno?

Niedobrze jest wyzwać formuły ze skostnienia, ujmować tajemnice w słowa, zmieniać wspomnienia w uczucia; uczucie umie zabić nawet tak dobre i surowe rzeczy, jak miłość i nienawiść; czy naprawdę istniał kiedyś kapitan Robert Fähmel, który tak swobodnie posługiwał się żargonem kasyna, z taką precyzją przestrzegał tamtejszych obyczajów, zgodnie z protokołem prosił do tańca żonę najstarszego rangą oficera, umiał wstrzemięźliwym głosem wznosić toasty za honor naszego umiłowanego narodu niemieckiego; ordynans, szampan; gra w bilard; czerwień na tle zieleni, biel na tle zieleni; biel na tle zieleni; aż pewnego wieczora stanął naprzeciw niego oficer, który trzymając kij bilardowy uśmiechnął się i powiedział: „Schrit, porucznik, jak pan widzi, specjalista od wysadzania w powietrze; podobnie jak pan, panie kapitanie, bronię kultury zachodniej za pomocą dynamitu”. Jego nie dręczyły duchowe rozterki, on umiał czekać i oszczędzać, nie potrzebował wciąż na nowo mobilizować serca i uczuć, nie upajał się tragedią, poprzysiągł sobie, że będzie wysadzał w powietrze *tylko* niemieckie mosty, *tylko*

niemieckie domy, że z jego powodu nie pęknie nawet szyba w rosyjskiej chałupie; czekać, grać w bilard, nie powiedzieć ani o jedno słowo za dużo - i wreszcie ujrzeliśmy leżący przed nami w wiosennym słońcu nasz wielki łup, na który musieliśmy czekać tak długo; opactwo św. Antoniego; a na horyzoncie łup, który miał nam ująć: katedrę św. Seweryna.

- Nie jedź tak prędko - powiedziała cicho Marianna.

- Przepraszam.

- Powiedz, dlaczego jedziemy przez Denklingen?

- Dziadek chce tam wstąpić - odparł Józef.

- Nie, Józefie - zaprotestowała Rut - nie wjeżdżaj w aleję. Nie widzisz napisu: „Wjazd tylko dla miejscowych”? Chyba się do nich nie zaliczasz?

Wielka delegacja: mąż, syn, wnuk i przyszła żona wnuka

- zstąpiła do zakłętego zamku.

- Nie, nie - powiedziała Rut - poczekam tu, na dworze.

Zostawcie mnie, proszę.

Wieczorem, kiedy przesiaduję z ojcem w bawialni, babcia mogłaby być z nami; ja czytam, on popija wino, grzebie w swoich kartotekach, układa jak pasjansa fotokopie pocztówkowego formatu; jest zawsze poprawny, nie ma nigdy rozluźnionego krawata ani rozpiętej kamizelki, nigdy nie wpada w ojcowską dezynwolturę; jest opanowany i troskliwy: „Nie potrzeba ci książek, sukienek, pieniędzy na podróż? Nie nudzisz się, dziecko? Może chciałabyś gdzieś pójść? Do teatru, do kina, potańczyć? Chętnie będę ci towarzyszył; a może miałabyś ochotę urządzić znowu podwieczorek dla koleżanek na tarasie, taka piękna pogoda”. Wieczorny spacer przed pójściem spać dokoła bloku domów, ulicą Modesta aż do Bramy; potem ulicą Dworcową do dworca. „Czujesz zapach dalii, dziecko?”. Przejściem pod ulicą, koło katedry św. Seweryna, koło hotelu „Książę Henryk”; „Gretz zapomniał zmyć z chodnika plamy krwi”; krew dzika zaschła i szerniała: „już w pół do dziesiątej, dziecko, pora spać; dobranoc”; pocałunek w czoło; zawsze uprzejmy, zawsze poprawny; „może wolałabyś, żebyśmy wzięli gosposię; nie sprzykrzyło ci się jedzenie w restauracji? Szczerze mówiąc, nie lubię obcych osób w domu”; śniadanie: herbata, bułeczki, mleko; pocałunek w czoło; i czasem zupełnie cicho: „Córeczko, córeczko...”. „Co takiego, ojcze?”. „Wyjedźmy stąd”. „Teraz, zaraz?”. „Tak.

Opuścisz lekcje w szkole dziś i jutro, pojedziemy niedaleko; tylko do Amsterdamu, to cudowne miasto, ciche, bardzo dobrzy ludzie - trzeba ich tylko poznać. Znasz ich?”. „Tak, znam ich. Ładnie tam, spacerujemy wieczorem nad kanałami”. „Jak szkło. Szkło. Cisza. Słyszysz, jacy cisi są tutejsi ludzie? Nigdzie nie są tak hałaśliwi jak u nas, nieustannie wrzeszczą, krzyczą, puszą się. Czy nie będziesz się nudziła, jeśli pogram jeszcze w bilard? Chodź ze mną, może cię to zabawi”.

Nigdy nie mogłam zrozumieć, na czym polega urok, jaki rzucał na starych i młodych ludzi, którzy wpatrywali się w niego, kiedy stał tam otoczony dymem cygar, z kuflem piwa obok na półeczce, i grał w bilard, w bilard; czy rzeczywiście byli z nim na ty, czy też brzmiało to tylko w ten sposób, kiedy się do niego zwracali po holendersku? Znali jego imię: Robert, R grzechotało w ich ustach jak twardy cukierek. Cisza. Tak dużo szkła nad kanałami. Nazywam się Rut, jestem półsierotą, moja matka umarła mając dwadzieścia cztery lata; ja miałam wtedy trzy lata i kiedy myślę o niej, myślę o siedemnastu albo o dwóch tysiącach lat, liczba dwadzieścia cztery do niej nie pasuje; tylko poniżej osiemnastu albo powyżej osiemdziesięciu; mnie zdawało się zawsze, że jest siostrą babci; znam tę wielką, pilnie strzeżoną tajemnicę, że babcia jest obłąkana, i nie chcę jej widzieć, dopóki będzie obłąkana; jej obłąd to kłamstwo, żałoba za grubymi murami, znam to, sama się tym często upajam i odpływam na falach kłamstwa: oficyna przy ulicy Modesta 8, zamieszкана przez upiory. *Intryga i miłość*’ dziadek zbudował klasztor, ojciec go wysadził w powietrze, Józef go odbudowywał. Co mi do tego; dziwiłoby was, gdybyście wiedzieli, jak mało mnie to obchodzi; widziałam, jak wynoszono trupy z piwnic, i Józef próbował wmówić we mnie, że to chorzy, których mają przewieźć do szpitala, ale czy chorych rzuca się jak worki na ciężarówkę? I widziałam, jak nauczyciel Krott w czasie pauzy chyłkiem wchodził do klasy i kradł kromkę chleba z masłem z tornistra Konrada Gretza; widziałam twarz Krotta, ogarnął mnie śmiertelny strach i modliłam się: „Boże błagam Cię, nie dopuść, żeby on mnie zauważył”, bo wiedziałam, że jeśli wykryje moją obecność, to mnie zamorduje; stałam za tablicą, gdzie szukałam zapinki do włosów, i spod tablicy widać było moje nogi, ale Bóg okazał miłosierdzie: Krott mnie nie zauważył; widziałam jego twarz,

widziałam, jak odgryzł kęs chleba i wyszedł z klasy; tego, kto widział taką twarz, nie może wzruszyć zburzone opactwo; i ta komedia później, kiedy Konrad Gretz odkrył kradzież i Krott apelował do nas, żeby sprawca się przyznał: „Dzieci, zdobądźcie się na uczciwość, daję wam kwadrans; do tego czasu winowajca musi się zgłosić, inaczej... Jeszcze osiem minut, siedem, sześć...”. Spojrzałam na niego, a on to dostrzegł i rzucił się do mnie: „Rut, Rut - krzyczał - ty? Czy ty to zrobiłaś?!”. Potrząsnęłam głową, zaczęłam płakać, bo znowu ogarnął mnie śmiertelny strach, a Krott powiedział: „O Boże, Rut, bądź uczciwa”. Chętnie przyznałabym się, ale wtedy on by zrozumiał, że ja wiem; więc płacząc potrząsnęłam głową; jeszcze cztery minuty, trzy, dwie, jedna, koniec. „Banda złodziei, banda kłamczuchów, za karę napiszecie dwieście razy: Pamiętaj, nie kradnij”. Ach, wy, ze swoimi opactwami! Musiałam dochowywać strasznych tajemnic, przeżywałam śmiertelny strach; jak worki rzucali ich na ciężarówkę.

Dlaczego byli tacy chłodni dla tego miłego opata? Co on zrobił, zabił kogoś czy ukradł kromkę chleba z masłem? Konrad Gretz miał zawsze dużo jedzenia, przynosił chleb z pasztetem i serem ziołowym; jaki diabeł wyrzał nagle z łagodnej, rozsądnej twarzy nauczyciela? Mord czaił się między jego nosem i oczami, między nosem i ustami, między uszami; jak worki rzucali trupy na ciężarówkę. A mnie bawiło, kiedy ojciec stojąc przed wielkim planem miasta drwił z burmistrza, kiedy kreślił swoje czarne znaki i mówił: „Precz z tym, wysadzić”; kocham go, tak samo kocham go teraz, kiedy wiem, czy Józef zostawił przynajmniej w samochodzie papierosy? Widziałam przecież, jak jakiś mężczyzna oddał obrączkę ślubną za dwa papierosy - za ile oddałby córkę, a za ile żonę? Z jego twarzy można było odczytać cennik: dziesięć, dwadzieścia, można by z nim dojść do porozumienia; z nimi wszystkimi można dojść do porozumienia; przykro mi, ojcze, ale miód, chleb i masło smakowały mi także potem, kiedy dowiedziałam się, kto to zrobił. Bawmy się dalej w ojca i córkę; każdy krok odmierzony, jak podczas konkursu tańca; po przekazce powinien był właściwie nastąpić spacer na Kozackie Wzgórze: Józef, Marianna i ja na przodzie, dziadek za nami, jak co sobota. „Nadażasz, dziadziu?”. „Dziękuję, jakoś daję sobie radę”. „Nie idziemy za prędko?”. „Nie, nie, dzieci. Chyba mogę usiąść na chwilę, czy też uważacie, że ziemia jest za

wilgotna?”. „Piasek jest suchy jak pieprz, dziadziu, i jeszcze nagrзany, można spokojnie usiąć; chodź, podaj mi rękę”.

„Oczywiście, dziadziu, zapal sobie papierosa, będziemy uważali, żeby nic się nie stało”.

Na szczęście Józef zostawił w samochodzie papierosy i zapalniczka funkcjonuje; dziadek kupuje mi takie ładne sukienki i swetry, o wiele ładniejsze niż ojciec, bo ojciec ma staroświecki gust, od razu widać, że dziadek ma doświadczenie, jeśli chodzi o dziewczęta, o kobiety; nie chcę zrozumieć babci, nie chcę, jej obłąd to kłamstwo, nie dawała nam nic do jedzenia i cieszyłam się, kiedy ją zabrano, a my mieliśmy co jeść; może masz rację, że była wielka i jest wielka, ale ja nie chcę słyszeć o wielkości; kromki chleba z masłem i pasztetem, bułki i sera ziołowego omal nie przypląciłam życiem; niechby wróciła do domu i wieczorami przesiadywała z nami, ale bardzo proszę, nie dawajcie jej klucza od kuchni; widziałam głód w twarzy nauczyciela i boję się głodu; dawaj im zawsze dość jedzenia, Boże, zawsze, żeby na ich twarzach nie pojawiał się ten straszny wyraz; taki nieszkodliwy pan Krott, który co niedziela wsiada do swego małego samochodu, aby udać się z rodziną do opactwa św. Antoniego na sumę; „która to dziś niedziela po Zielonych Świątkach, która po Trzech Królach, która po Wielkiejnocy?”. Miły człowiek z miłą żoną i dwójgim miłych dzieciątek: „Spójrz, Rut, prawda, że nasz Franio urósł?”. „O tak, państwa Franio urósł”, i nie myślę już o tym, że moje życie wisiało na włosku; nie, napisałam też posłusznie dwieście razy: „Pamiętaj, nie kradnij”; i oczywiście nie odmawiam, kiedy Konrad Gretz zaprasza mnie na party; u nich podają wyborny paszтет z gęsich wątróbek, kanapki z serem ziołowym, a jeśli ktoś nastąpi komuś na nogę albo przewróci kieliszek z winem, to nie mówi „przepraszam” ani „pardon”, tylko: „sorry”.

Trawa nad przydrożnym rowem jest ciepła, papieros Józefa ma w sobie goryczkę, a chleb z miodem smakował mi także potem, kiedy się dowiedziałam, że to ojciec wysadził w powietrze opactwo; jak cudownie wygląda Denklingen tam, daleko, w zachodzącym słońcu; powinni się pospieszyć, na przebranie się potrzebujemy co najmniej pół godziny.

Rozdział jedenasty

Niech pan podejdzie bliżej, generale. Nie ma się pan czego wstydzić; wszyscy nowicjusze są najpierw mnie przedstawiani, ponieważ ja przebywam najdłużej w tym ładnym domu; dlaczego pan uderza laską o ziemię, wybija dziury w miękkiej ziemi ogrodowej, dlaczego potrząsa pan głową na widok każdego muru, na widok kaplicy, i szepce pan: „Pole ostrzału”? To zresztą ładne słowa: pole ostrzału; wolny tor dla kul i pocisków; Otto, jak dalej? Kósters? Nie, nie życzę sobie zażyłości, niech pan nie podaje imienia, a poza tym imię Otto jest już zajęte; pozwoli pan zatem, że będę pana nazywała „Ostrzałem”? Widzę po panu, słyszę z pańskiego głosu, czuję w pańskim oddechu, że pan nie tylko zakosztował *sakramentu byka*, ale nim żył i konsekwentnie trzymał się tej diety. Słuchaj no, nowicjuszu, czy pan jest katolikiem? Oczywiście, zdziwiłabym się, gdyby tak nie było; i umie pan służyć do mszy? Oczywiście, wychowywał się pan u katolickich ojców; proszę wybaczyć, że się śmieję. Otóż od trzech tygodni szukamy nowego ministranta; Balloscha wypuścili stąd wyleczonego; może pan miałby ochotę czymś się tu zasłużyć? Jesteś przecież, mój drogi, spokojnym wariatem, niegroźnym dla otoczenia, masz tylko tego jednego, jedynego bzika, że przy każdej odpowiedniej i nieodpowiedniej okazji szepcesz: „Pole ostrzału”; chyba będziesz umiał przenosić mszał z prawej strony ołtarza na lewą i z lewej na prawą, i przyklęknąć przed tabernakulum, prawda? Jesteś przecież zdrowy jak rydz, to należy do twego zawodu, możesz tłuc się w piersi przy *mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa* i powtarzać *Kyrie eleison*; no, widzisz, do czego się czasem przydaje wykształcony generał, wychowany przez katolickich ojców; podam naszemu kapelanowi twoją kandydaturę na nowego ministranta, zgadzasz się, prawda?

Dziękuję; od razu można poznać prawdziwą rycerskość; nie, proszę tędy, naokoło, do cieplarni, chcę panu pokazać coś, co należy do pańskiego rzemiosła, i proszę, bez zbytecznej galanterii, bez wyzwalania wobec mnie jakichś kompleksów z lekcji tańca; mam siedemdziesiąt lat, a pan siedemdziesiąt trzy; wypraszam sobie całowanie w rękę, jakieś starcze flirty; niechże pan da spokój tym bzdurcom. Słuchaj; widzisz, co jest tam, za jasnozieloną szybą cieplarni? Tak, to broń, to arsenał naszego poczciwego ogrodnika; z

tej broni strzela do zajęcy i kuropatw, wron i sarn, bo trzeba ci wiedzieć, że nasz ogrodnik jest zapalonym myśliwym; otóż tam, między strzelbami leży taki ładny, poręczny, czarny przedmiot - pistolet; a teraz zrób użytek z tego, czego nauczono cię, kiedy byłeś chorążym czy podporucznikiem, i powiedz mi: czy taka rzecz jest naprawdę groźna, czy można tym zabić człowieka? No, tylko nie blednij, stary zawadiako, pochłaniałeś *sakrament byka* całymi furami, a teraz mdlejesz, kiedy ci zadają kilka prostych pytań; nie drzyj tak, co prawda jestem trochę obłąkana, ale nie przyłożę pistoletu do twojej siedemdziesięcioletniej piersi, nie oszczędzę państwu płacenia emerytury; ani mi w głowie oszczędzać czegokolwiek państwu; daj mi jasną wojskową odpowiedź na jasne wojskowe pytanie: czy można tym kogoś zabić? Tak? Dobrze. Jaka odległość gwarantuje maksymalną celność strzału? Dziesięć, dwanaście, najwyżej dwadzieścia pięć metrów?

Mój Boże, niechże pan się tak nie przejmuj! Jak bardzo potrafi się bać taki stary generał! Złożyć meldunek? Tu nie ma nic do meldowania; tak wam wbijano do głowy ciągle meldowanie, że nie możecie się bez niego obejść, co? Dobrze, niech pan mnie już pocałuje w rękę, ale proszę trzymać język za zębami, a jutro rano będzie pan służył do mszy, zrozumiano? Jeszcze tu nie mieli takiego przystojnego, siwego, dobrze zbudowanego ministranta; czyżbyś się zupełnie nie znał na żartach? Widzisz, mnie interesuje broń, tak jak ciebie interesuje pole ostrzału; czy nie możesz zrozumieć, że niepisane prawo tego przyjemnego domu każe pozwalać każdemu na jego słabostki? Ty masz swojego bzika na punkcie pola ostrzału; dyskrecja, mój drogi, pamiętaj, o wychowaniu, jakie ci dano - *naprzód i hura, i Hindenburg*; widzisz, to ci się podoba, trzeba tylko umieć dobrać właściwe słowa - przejdźmy tędy, koło kaplicy; nie chcesz tam wstąpić i obejrzeć terenu swojej przyszłej działalności? Spokojnie, staruszk, a więc pamiętasz jeszcze: trzeba zdjąć kapelusz, umoczyć palce prawej ręki w wodzie święconej, przeżegnać się, tak, bardzo ładnie; a teraz uklęknąć, spojrzeć na wieczną lampkę, odmówić Zdrowaś Maryja i Ojcze nasz, grzecznie, po cichutku; jednak z katolickim wychowaniem żadne nie może się równać; teraz trzeba wstać, zamoczyć palce w wodzie święconej, przeżegnać się, ustąpić kobiecie pierwszeństwa przy wyjściu, włożyć kapelusz, ślicznie, i otóż jesteśmy tu znowu: letni wieczór, piękne

drzewa w pięknym parku, ławeczka; *naprzód i hura, i Hindenburg*, to ci się podoba, prawda? A jak ci się podoba tamto: *muszę mieć karabin, muszę mieć karabin*; także, co? Daj spokój żartom; po Verdun skończyły się właściwie takie żarty; tam polegli ostatni rycerscy mężczyźni, za wielu rycerskich mężczyzn, za wielu kochanków naraz, za wielu młodych, dobrze wychowanych ludzi; czy próbowałaś kiedy obliczyć, ile nauczycielskiego trudu strwoniono tam w ciągu paru miesięcy? Daremnie? Dlaczego nigdy wam nie przyszło do głowy, żeby bezpośrednio po egzaminie czeladniczym albo po egzaminie maturalnym na korytarzu w Izbie Rzemieślniczej czy w Izbie Handlowej, czy wreszcie na korytarzu gimnazjum ustawić karabin maszynowy i wybić do nogi wszystkich tych młodych chłopców

O twarzach promieniejących notą „zdał”? Uważasz, że to przesada? W takim razie pozwól sobie powiedzieć, że prawda jest największą przesadą; mnie obtańcowywali jeszcze maturzyści z lat 1905, 1906, 1907 i bywałam na uroczystościach komersowych tych paniczków w korporanckich czapczkach

I piwoszków - ale z owych trzech roczników przeszło połowa zginęła pod Verdun, jak myślisz, ilu pozostało maturzystów z lat 1935, 1936, 1937? Albo z lat 1941, 1942 - wybierz, jaki chcesz rocznik; i nie zaczynaj znów drzeć, nie wiedziałam, jak bardzo potrafi się bać taki stary generał. Daj spokój, nie kładź rąk na moich rękach. Jak ja się nazywam? Zapamiętaj sobie: tutaj nie wolno pytać o takie rzeczy, tutaj nikt nie ma biletów wizytowych, tutaj nie pije się bruderszaftów, tutaj mówi się „ty” bez pytania, tutaj wie się, że wszyscy ludzie są braćmi, choćby byli wrogami; jedni zakosztowali sakramentu baranka, nieliczni, staruszku, inni sakramentu byka; moje imię brzmi: *muszę mieć karabin, muszę mieć karabin*, a nazwisko: *naprzód i hura, i Hindenburg*; odrzuć wszystkie swoje mieszczańskie przesady, swoje zasady *savoir-vivre*’u, tu jest społeczeństwo bezklasowe; i nie uskarżaj się z powodu przegranej wojny. Mój Boże, czy rzeczywiście przegraliście ją, już drugą z kolei? Takiemu jak ty życzyłabym siedmiu przegranych wojen. Ach, przestań lamentować, guzik mnie to obchodzi, ile wojen przegrałeś, utrata dzieci to gorsze niż utrata zwycięstwa; możesz tu, w sanatorium Denklingen, służyć do mszy, to bardzo godziwe zajęcie, i nie mów mi nic

oprzysiężeniu Niemiec; czytałam o tym w gazecie: przyszłość Niemiec jest dokładnie wytyczona. Jeśli już musisz płakać, to nie płacz tak płacziwie. I ciebie też skrzywdzono? Dotknięto cię na honorze? Po co komu honor, jeśli pierwszy lepszy obcy przybysz może go naruszyć, prawda? Ale teraz bądź zadowolony, tutaj, u czubków, masz spokojne schronienie, tutaj zajmą się każdym kuku twojej duszy, tutaj respektują wszelkie kompleksy. To tylko kwestia ceny: gdybyś był biedny, leczono by cię szturchańcami i zimną wodą, ale tu będą się z tobą bawić, jak zechcesz, możesz nawet mieć wychodne, iść do Denklingen na piwo; wystarczy, jeśli zawołasz: „Pole ostrzału! Pole ostrzału dla drugiej armii, pole ostrzału dla trzeciej armii!” - w tej chwili ktoś ci odpowie: „Tak jest, panie generale”; tutaj czas pojmowany jest nie jako całość, lecz rozłożony na fragmenty, nie pozwalają mu stać się historią; rozumiesz to? Owszem, wierzę ci, żeś widział już moje oczy u kogoś, kto miał czerwoną bliznę u nasady nosa, bardzo ci wierzę, ale takie dane i skojarzenia są tu wzbronione; tutaj jest zawsze dziś, dziś jest Verdun, dziś umarł Henryk i poległ Otto, dziś jest 31 maja 1942 roku, dziś szeptał mi Henryk do ucha: „*Naprzód i hura, i Hindenburg* Znałeś go, ścisłałeś mu dłoń albo raczej on tobie; ślicznie, ale teraz popracujemy sobie grzecznie; pamiętam jeszcze, która modlitwa była najtrudniejsza dla ministrantów, uczyłam się jej z moim synem Ottonem, przesłuchiwałam go z tej modlitwy: „*Suscipiat Dominus sacrificium de manibus tuis ad laudem et gloriam nominis sui*” - uwaga, teraz najtrudniejsza część, staruszku: „*ad utilitatem quoque nostram, totiusque Ecclesiae suae sanctae*” - powtarzaj za mną, „*ad utilitatem*”, a nie „*utilatem*”, ten błąd robią wszyscy; jeśli chcesz, napiszę ci tekst na kartce albo odczytaj go ze swojej książeczki do nabożeństwa. A teraz do widzenia, pora na kolację, życzę ci smacznego...

Czarną szeroką drogą, obok kaplicy, wróciła do cieplarni; tylko mury były świadkami, jak otwierała drzwi kluczem, przekradała się cicho obok pustych doniczek i pachnących zgnilizną grządek do kantorku ogrodnika; zdjęła pistolet ze stojaka; otworzyła czarną torebkę, miękka skóra przyłgnęła do pistoletu, zamek dał się z łatwością zatrzasnąć; uśmiechnięta, głaszcząc w przejściu puste doniczki, opuściła cieplarnię, zamknęła drzwi na klucz; tylko ciemne mury były świadkiem, jak wyciągnęła klucz z zamka i szeroką czarną

drogą wróciła do domu.

Huperts nakrywał do kolacji w jej pokoju; herbata, chleb, masło, ser i szynka; podniósł uśmiechniętą twarz i powiedział:

- Pani ślicznie dziś wygląda.
- Tak? - Położyła torebkę na komodzie, zdjęła kapelusz z ciemnych włosów, spytała z uśmiechem: - Czy ogrodnik mógłby mi przynieść trochę kwiatów?
- Nie ma go - odpowiedział Huperts. - Dostał urlop do jutra wieczór.
- A nikomu oprócz niego nie wolno wchodzić do cieplarni?
- Nie, proszę pani, on to sobie stanowczo zastrzegł.
- W takim razie muszę poczekać do jutra wieczór, a może kupię sobie kwiaty w Denkingen albo w Doderingen.
- Pani zamierza wyjść?
- Tak, pewno wyjdę, taki piękny wieczór. Wolno mi przecież?
- Oczywiście, oczywiście, proszę pani... A może mam zatelefonować do pana radcy albo do pana doktora?
- Sama to zrobię, Huperts, proszę mnie tylko połączyć z miastem, ale na długo, dobrze?
- Słucham, proszę pani.

Po wyjściu Hupertsza otworzyła okno, rzuciła klucz od cieplarni do dołu z kompostem, zamknęła okno, naląła herbaty i mleka do filiżanki, usiadła i przysunęła bliżej aparat telefoniczny. - Chodź, chodź - powiedziała cicho, lewą ręką spróbowała uspokoić drżącą prawą rękę sięgającą po słuchawkę. - Chodź, chodź - mówiła - gotowa jestem ze śmiercią w torebce powrócić do życia; nikt z nich nie wiedział, że wystarczy mi dotknięcie chłodnego metalu, zbyt dosłownie rozumieli słowo „karabin”; niepotrzebny mi karabin, pistolet jest równie przydatny; powiedz mi, która godzina, łagodny głosie, czy jesteś ciągle tym samym głosem i pod tym samym numerem telefonu? - Ujęła lewą ręką słuchawkę, odezwał się buczący sygnał centrali. - Wystarczy, aby Huperts przycisnął guziczek i wszystko już jest: czas, świat, teraźniejszość, przyszłość Niemiec. Ciekawa jestem, jak ona będzie wyglądała, kiedy opuszczę mój zaklęty zamek. - Nakręciła prawą ręką: jeden, jeden, jeden i usłyszała łagodny głos:

- W chwili nadania sygnału czasu minie godzina siedemnasta

pięćdziesiąt osiem minut i trzydzieści sekund. - Przytłaczająca cisza, uderzenie gongu - łagodny głos: - W chwili nadania sygnału czasu minie godzina siedemnasta pięćdziesiąt osiem minut i czterdzieści sekund. - Czas służył do jej twarzy, wypełniał ją śmiertelną bielą, a głos mówił: - Siedemnasta pięćdziesiąt dziewięć - dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt sekund... - Ostry dźwięk gongu.

- Godzina osiemnasta, 6 września 1958 roku - mówił łagodny głos. Henryk miałby czterdzieści osiem lat, Joanna czterdzieści dziewięć, a Otto czterdzieści jeden, Józef ma dwadzieścia dwa, Rut dziewiętnaście; a głos mówił: - W chwili nadania sygnału czasu minie godzina osiemnasta i jedna minuta.

- Ostrożnie, bo naprawdę zwariuję, zabawa stanie się rzeczą poważną, bezpowrotnie cofnę się do wiecznie trwającego dziś, nie odnajdę już progu, będę biegała dokoła obrośniętych murów i nie trafię do wejścia; bilet wizytowy czasu jak wyzwanie na pojedynek - nie przyjmować: 6 września 1958 roku - godzina osiemnasta, jedna minuta i czterdzieści sekund; dłoń pełna zemsty stłukła moje kieszonkowe lustro, zostały tylko dwa kawałki, w których widzę śmiertelną bledność mojej twarzy; słyszałam przecież wielogodzinny huk wysadzania w powietrze, słyszałam szepot oburzonych ludzi: „Wysadzili w powietrze nasze opactwo” - pielęgniarki i portierzy, ogrodnicy i chłopcy od piekarza kolportowali tę straszną wiadomość, której ja wcale nie uważam za taką straszną; pole ostrzału; czerwona blizna u nasady nosa; ciemnobłękitne oczy; kto to był? Czy on? Kto? Wysadziłabym w powietrze wszystkie opactwa świata, gdybym mogła odzyskać Henryka, obudzić ze śmiertelnego snu Joannę, Ferdiego, kelnera Grolla, Edytę - i gdybym mogła dowiedzieć się, *kim* był Otto. Poległ pod Kijowem; to brzmi tak głupio i pachnie historią; choć, staruszkule, nie będziemy się już bawili w ciuciubabkę, nie będę ci już zasłaniała oczu: ty kończysz dziś osiemdziesiąt lat, ja mam siedemdziesiąt jeden i mogę być prawie pewna, że z odległości dziesięciu, dwunastu metrów strzał będzie celny; chodźcie do mnie, wy, lata, tygodnie i dni, godziny i minuty, ileż to sekund? - Godzina osiemnasta, dwie minuty i dwadzieścia sekund. - Opuszczam moją papierową łódeczkę i rzucam się w ocean; śmiertelna bledność; może przetrwam. - Godzina osiemnasta, dwie minuty i trzydzieści sekund - to brzmi tak nagłoco; nie mam już czasu do stracenia, nie mogę

strwonić ani sekundy, prędko, proszę pani, proszę pani, dlaczego pani nie odpowiada

- proszę pani, proszę pani - potrzebuję taksówki, natychmiast, to bardzo pilne, niechże mi pani pomoże! Ach, powinnam była pamiętać, płyty patefonowe nie udzielają odpowiedzi; trzeba położyć słuchawkę, zdjąć słuchawkę, nakręcić: jeden, jeden, dwa - czy taksówki zamawia się również pod tym samym numerem co dawniej? - ...I będą państwo mogli

- mówił łagodny głos - obejrzyć wyświetlany w Denklingen film regionalny *Bracia 7, Moorhofl* początek seansów o osiemnastej i o dwudziestej piętnaście. Kino w Doderingen poleca państwu znakomity film: *Potęga miłości*. - Cicho, cicho, moja łódeczka została zniszczona, ale czyż nie uczyłam się pływać, w Bliicherbad w 1905 roku, miałam wtedy czarny kostium kąpielowy z kryzką i falbankami, skakałam głową naprzód z wysokości jednego metra; opanuj się, głęboki oddech, uczyłaś się przecież pływać - a co poleca łagodny głos pod numerem jeden, jeden, trzy? - ...A jeśli pani oczekuje wieczorem gości, proponujemy równie smaczne, jak tanie menu: na pierwsze danie - grzanki zapiekane z serem i szynką, następnie zielony groszek ze śmietaną, do tego lekki pudding z ziemniaków, sznyצל prosto z rusztu... - Proszę pani, proszę pani! - Płyty gramofonowe nie udzielają odpowiedzi.

- ...Goście niezawodnie docenią talenty znakomitej gospodyni. - Nacisnąć widelki, nakręcić jeden, jeden, cztery, łagodny głos: - ...A więc sprzęt campingowy zapakowany, zapasy gotowe i proszę nie zapominać: jeśli państwo zaparkują wóz na spadzistym terenie, należy przesunąć ręczny hamulec. A teraz życzymy miłej niedzieli w rodzinnym gronie.

Nie dam sobie rady; za dużo czasu muszę nadrobić, coraz większa bladłość wypelza mi na twarz, moja kamienna twarz nie mięknie od łez, czas, którego się wyparłam, w którym wagarowałam, tkwi we mnie jak uparte kłamstwo; lusterko, rozbite lusterko, powiedz, czy moje włosy rzeczywiście posiwiały w izbach tortur tych łagodnych głosów? Jeden, pięć - senny głos:

- Słucham, tu centrala Denklingen.
- Czy pani mnie słyszy? Słyszy mnie pani?
- Tak, słyszę panią.

Śmiech.

- Muszę dostać pilne połączenie z biurem architekta Fähmela, ulica Modesta 7 albo 8, oba adresy znajdzie pani pod nazwiskiem Fähmel, moje dziecko. Pani nie bierze mi za złe, że nazywam panią dzieckiem?

- Ależ nie, proszę pani.
- To bardzo pilna sprawa.

Szelest przewracanych kartek.

- Mam w spisie telefonicznym pana Henryka Fähmela i pana doktora Roberta Fähmela. Z którym z nich panią połączyć?

- Z Henrykiem Fahmelem.
- Proszę nie odkładać słuchawki.

Czy aparat telefoniczny stoi jak dawniej na parapecie okna, tak że on telefonując mógł patrzeć na ulicę i na dom przy ulicy Modesta 8, gdzie jego dzieci bawiły się na tarasie? I mógł patrzeć w dół na sklep Gretza, przed którego drzwiami wisiał dzik? Czy tam rzeczywiście dzwoni w tej chwili telefon? Słyszała bardzo odległe sygnały wywoławcze, przerwy między nimi wydawały jej się nieskończenie długie.

- Bardzo żałuję, proszę pani, nikt się nie zgłasza.
- Proszę, niech pani spróbuje połączyć z drugim numerem.
- Łączę.

Nic, nic, nie odpowiada.

- W takim razie niech mi pani zamówi taksówkę, moje dziecko.
- Bardzo chętnie. Gdzie ma przyjechać?
- Do sanatorium w Denklingen.
- Zaraz zamówię, proszę pani.
- Tak, Huperts, proszę zabrać herbatę i chleb, i wędlinę. I zostaw mnie samą. Zobaczą taksówkę, jak wjedzie w aleję; nie, dziękuję, niczego mi już nie potrzeba; naprawdę nie jesteś płytą patefonową? Ach, przepraszam, nie chciałam cię urazić - to tylko żart, dziękuję. Zimno jej było; czuła, jak twarz jej się marszczy, twarz staruszki, zmięta, zmęczona, widzi ją w szybie okiennej; łzy nie płyną; czy rzeczywiście srebrzysty czas wpęłza w jej ciemne włosy? Uczyłam się pływać, ale nie wiedziałam, że woda jest taka zimna; łagodne głosy dręczyły mnie, wbijały we mnie terażniejszość; babcia o srebrzystych włosach, gniew zmieniony w mądrość, myśl o zemście w przebaczenie; nienawiść pod cukrową warstewką mądrości; starcze palce kurczowo ściskające torebkę; złoto wynoszone z zakłętogo

zamku, okup.

Zabierz mnie stąd, najdroższy, wracam do ciebie. Będę twoją siwowłosą, kochaną starą żoną, dobrą matką i miłą babcią, o której można opowiadać przyjaciółom i przyjaciółkom, że jest naprawdę urocza. Nasza babcia była długie lata chora, ale wyzdrowiała, przywozi pełną torebkę złota.

Co będziemy jedli dziś w kawiarni Kronera? Grzanki zapiekane z serem i szynką, groszek ze śmietaną, do tego szynclę - i czy będziemy wołali: „Hosanna narzeczonej Dawida, która powróciła z zakłętogo zamku”? Gretz przy^ jdzie złożyć swoje uszanowanie: morderca własnej matki; \ głos krwi nie odezwał się w nim, nie odezwał się także w Ottonie; kiedy nauczyciel gimnastyki będzie przejeżdżał koło domu na swoim siwym rumaku, strzelę do niego. Odległość od pergoli do ulicy nie przekracza dziesięciu metrów - po przekątnej nie może wynosić dużo więcej niż trzynaście metrów; poproszę Roberta, żeby mi to dokładnie obliczył; w każdym bądź razie to się mieści w granicach maksymalnej celności strzału; generał „Ostrzał” wytłumaczył mi to, a on się na tym musi znać, nasz siwowłosy ministrant; jutro rano obejmie swoją służbę; czy do tego czasu nauczy się mówić nie „utilatem”, lecz „utilitatem”? Czerwona blizna u nasady nosa - więc jednak został kapitanem? Tak długo trwała wojna! Szyby brzęczały przy każdym nowym wybuchu i rano pył pokrywał framugi okien; napisałam palcem na warstwie pyłu: „Edyto, Edyto”

- kochałam cię bardziej, niż mi to mógł dyktować głos krwi; skąd przybyłaś do nas, Edyto, powiedz skąd?

Marszczę się coraz bardziej; będzie mnie mógł zanieść na rękach z taksówki do kawiarni Kronera; przyjadę punktualnie; jest teraz najwyżej godzina osiemnasta, sześć minut i trzydzieści sekund; moją pomadkę do ust zgmiotła czarna dłoń, pełna zemsty; i drżą moje spróchniałe kości; lękam się, jak oni będą wyglądali, moi współcześni; czy będą to ci sami ludzie co dawniej, czy tylko podobni do nich? I co będzie z naszym złotym weselem, staruszką, we wrześniu 1908 roku

- zapomniałeś? - 13 września; jak zamierzasz obchodzić złote wesele? Srebrnowłosa jubilatka, srebrnowłosa jubilat, dokoła niezliczona gromada wnuków; wybacz, że się śmieję, Dawidzie - nie byłeś Abrahamem, ale ja czuję w sobie odrobinę śmiechu Racheli;

tylko odrobinę, niewiele go się we mnie mieści, przynoszę go tylko tyle, ile mieści się w łupinie orzecha, i torebkę pełną złota; ale choć słaby jest mój śmiech, kryje w sobie potężną energię, potężniejszą niż dynamit Roberta...

Uroczyście, uroczyście, ale o wiele za wolno idziecie aleją; na przedzie syn Edyty, ale to nie Rut idzie obok niego; miała trzy lata, kiedy odeszłam, poznałabym ją jednak, nawet jeśli bym ją zobaczyła osiemdziesięcioletnią staruszką; to nie Rut; ruchu rąk się nie zapomina; łupina orzecha zawiera drzewo; jakże często widywałam ruchy rąk Rut u mojej matki, kiedy odgarniała sobie włosy z czoła; gdzie jest Rut, ona musi mi wybaczyć - to jakaś obca ładna dziewczyna; ach, to łono obdarzy cię prawnukami, staruszką; czy będzie ich siedmioro, siedem razy po siedmioro? Wybacz, że się śmieję; przybywacie jak heroldowie, wolno, o wiele za uroczyście; chcecie zabrać jubilatkę? Czekam, gotowa, pomarszczona jak prastare jabłko, możesz mnie znieść na rękach do taksówki, staruszką, ale prędko; nie mam już ani sekundy do stracenia; a oto i taksówka; widzicie, jak dobrze umiem koordynować plany? W każdym razie tego nauczyłam się jako żona architekta - przepuście taksówkę - z prawej strony tworzą szpaler Robert i ta ładna obca dziewczyna, z lewej mój staruszek z wnukiem; Robercie, Robercie, czy to jest miejsce, w którym musisz położyć komuś rękę na ramieniu? Czy potrzebujesz pomocy, podpory? Chodź, staruszką, wejdź, wnieś szczęście - świętujmy i weselmy się! Czas dojrzał!

Rozdział dwunasty

Portier z niepokojem spoglądał na zegar: już po wpół do szóstej, a Jochen dotychczas nie zjawił się, aby go zastąpić; gość w pokoju numer 11 śpi dwadzieścia jeden godzin bez przerwy, wywiesił na kłamec tabliczkę z napisem: *Proszę nie budzić!* a jednak dotychczas nikt jeszcze nie wyczuł ciszy śmierci za zamkniętymi drzwiami; nie słychać szepcików ani krzyku pokojówki; pora kolacji, ciemne garnitury, jasne suknie, dużo srebra, blask świec, muzyka; do homara w majonezie Mozart, do pieczystego Wagner, do deseru jazz.

Nieszczęście wisiało w powietrzu; portier z lękiem spoglądał na zegar; wskazówki o wiele za wolno przesuwały się ku punktowi, w którym nieszczęście miało się ujawnić; co chwila odzywał się telefon: pierwsze menu do pokoju 12; trzecie menu do pokoju 218;

szampan do czternastki; niedzielni wiarołomcy domagali się środków podniecających; pięciu globtroterów zbijało baki w hallu, czekając na autokar, który ich zawiezie na nocny samolot. - Tak jest, proszę pani, pierwsza na lewo, druga na prawo, trzecia na lewo, rzymskie groby dziecięce, wieczorem sztuczne oświetlenie, nie ma zakazu fotografowania. - W najdalszym kącie hallu babcia Blessick piła swój portwajn; wreszcie udało jej się zaanektować Hugona, który czytał jej teraz lokalne wiadomości prasowe: „Niepowodzenie złodzieja torebek. Wczoraj w Alei Ehrenfeldz-kiej jakiś młody człowiek próbował wyrwać torebkę przechodzącej starszej kobiecie, jednakże dzielna staruszka zdołała... Sekretarz Stanu Dulles...”.

- Bzdury, bzdury - powiedziała babcia Blessick - nie chcę słyszeć o polityce ani o sprawach międzynarodowych, interesują mnie tylko wiadomości lokalne.

I Hugo czytał:

- „Burmistrz miasta składa hołd zasłużonemu bokserowi...”.

Z szyderym grymasem czas odsunął chwilę wybuchu nieszczęścia - na razie brzęczały kieliszki, stawiano na stolikach srebrne półmiski, przy wtórze wzniosłej muzyki płynnymi ruchami wymieniano porcelanowe talerze; kierowca autokaru towarzystwa lotniczego stanął z ostrzegawczo podniesionymi rękami w drzwiach, które kołysały się za nim cicho w wybitej filcem framudze; portier nerwowo spoglądał na swój blok: „Od 18.30 zarezerwować pokój dla ulicy dla pana M., 18.30 dwuosobowy pokój dla radcy Fahmela z żoną, koniecznie od ulicy; 19.00 - zabrać na spacer pieska Kassi z pokoju nr 114”; właśnie przyniesiono dla tego kundla jaja sadzone według specjalnej recepty: żółtka na twardo, białka ledwo ścięte, do tego mocno przysmażona kiełbasa w plasterkach; i jak zwykle to wybredne bydło będzie kręciło nosem; gość z pokoju nr 11 spał już dwadzieścia jeden godzin i osiemnaście minut.

- Tak jest, proszę pani, sztuczne ognie rozpoczną się pół godziny po zachodzie słońca, a więc około dziewiętnastej trzydzieści; pochód związku bojowników około dziewiętnastej piętnaście; bardzo żałuję, nie jestem w stanie poinformować pani, czy pan minister będzie obecny na uroczystości.

Hugo czytał głosem chłopca, który dopiero co ukończył szkołę podstawową.

- „Ojcowie miasta wręczyli zasłużonemu bokserowi oprócz

dypłomu honorowego złotą plakietkę Marsiliusa, przyznawaną wyłącznie za wybitne zasługi na polu kultury. Piękną uroczystość zakończył bankiet”.

Globtroterzy nareszcie opuścili hall. - Tak jest proszę panów, bankiet opozycji lewicowej odbędzie się w niebieskiej sali - nie, bankiet opozycji prawicowej w żółtej sali, drogę wskazują odpowiednie napisy. - Który z nich jest z lewicy, a który z prawicy? Po ich wyglądzie trudno to poznać. Do takich rzeczy lepiej nadaje się Jochen, ma nieomylny instynkt, jeśli chodzi o zakwalifikowanie kogoś do właściwej grupy; potrafi rozpoznać prawdziwego pana w znoszonym ubraniu i proletariusza w najszykowniejszym garniturze; on umiałby odróżnić opozycję lewicową od prawicowej; nawet jadłospisy mają te same - ach, prawda, dziś ma się odbyć jeszcze jeden bankiet: rady nadzorczej organizacji instytucji użyteczności publicznej. - W czerwonej sali, proszę pana. - Wszyscy mają taki sam wyraz twarzy i wszyscy będą jedli na przekąskę homara w majonezie, lewicowcy, prawicowcy i rada nadzorcza; do przekąsek Mozart, do pieczystego i gęstych sosów Wagner, przy deserze jazz. - Tak, proszę pana, w czerwonej sali.

- Instynkt Jochena jest nieomylny w odgadywaniu przynależności społecznej, zawodzi natomiast, jeśli chodzi o coś więcej. Kiedy po raz pierwszy zjawiła się w hotelu owcza kapłanka, Jochen, nie kto inny, szepnął: „Uwaga, to najwyższa klasa”, a znów potem, kiedy przyszła ta mała, blada, z wijącymi się długimi włosami, i miała przy sobie tylko torebkę i książki z serii kieszonkowej, Jochen mruknął: „Dziwka”, a ja powiedziałem: „Ona idzie z każdym, ale *nic za to nie bierze*, więc nie jest dziwką”, a Jochen na to: „Ona idzie z każdym i bierze za to” - no, i okazało się, że Jochen miał rację. Ale jeśli chodzi o nieszczęście, to instynkt Jochena zawodzi; kiedy później przyjechała tamta promienna blondynka z trzynastoma walizkami, przyglądałem się, jak wchodzi do windy, i powiedziałem: „Załóż się, że jej już nie zobaczymy żywej”. A Jochen zachnął się: „Bzdura, ona tylko na parę dni zwiła od męża”. I kto miał rację? Ja! Proszki nasenne i tabliczka na drzwiach: *Proszę nie budzić*, spała całą dobę, potem rozszedł się szept: „Trup, trup w pokoju nr 118”; ładna historia, kiedy

0 trzeciej po południu zjawia się policja kryminalna, a o piątej trzeba wynosić zwłoki z hotelu; bardzo ładna historia.

Fe, a cóż to za bycza facjata? Szafa z miną dyplomaty, sto kilo żywej wagi, chód jamnika i ten garnitur! Pachnie mi ważną osobistością, trzyma się z tyłu, a dwaj pomniejsi ważniacy podchodzą do kontuaru: - Zarezerwowany pokój dla pana M. - Aha, tak jest, pokój 211. Hugo, zaprowadź panów na górę. - Trzysta kilo żywej wagi, spowite w angielską wełnę, sunie bezszelestnie na górę.

- Jochen, Jochen, na miłość boską, gdzieś się podziewał do tej pory?

- Przepraszam - powiedział Jochen. - Wiesz, że prawie nigdy się nie spóźniam; szczególnie, kiedy wiem, że żona i dzieci na ciebie czekają, wolałbym przyjść punktualnie. Ale widzisz, kiedy chodzi o gołębie, to moje serce waha się między obowiązkiem przyjaciela i obowiązkiem hodowcy, a kiedy wysylam w świat sześć ptaszków, to chcę, żeby wszystkich sześć do mnie wróciło; a tu, rozumiesz, wróciło ich punktualnie tylko pięć, a szósty nadleciał z dziesięcio- minutowym opóźnieniem, kompletnie wyczerpany, biedaczek. No, ale idź już; najwyższy czas, jeśli chcesz jeszcze znaleźć dobre miejsce do oglądania sztucznych ogni; tak, tak, widzę, opozycja lewicowa w niebieskiej sali, prawicowa w żółtej, a rada nadzorcza w czerwonej; no, ujdzie jak na koniec tygodnia; wszystko to jest o wiele mniej podniecające niż spotkanie filatelistów albo producentów piwa; nie ma obawy, dam sobie z nimi radę, będę się starał trzymać na wodzy uczucia, chociaż najchętniej opozycji lewicowej przetrzepałbym tyłek, a prawicowej i tym z użyteczności publicznej naplułbym w talerze; no, no, uspokój się, będę wysoko trzymał sztandar firmy; i zajmę się twoimi kandydatami na samobójców. - Słucham panią, przysłać Hugona o dziewiątej na grę w karty? Bardzo proszę. - Aha, to pan M. już jest? Nie podoba mi się ten pan M., stwierdzam to, chociaż go jeszcze nie widziałem. - Słucham pana, do pokoju 211 szampan i trzy Partagas-Eminentes; po aromacie ich cygar poznacie ich!

O Boże, a oto całe plemię Fahmelów!

Dziewczyno, dziewczyno, co się z ciebie zrobiło! Kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy, było to w czasie defilady przed cesarzem w 1908 roku, serce mi żywej zabiło, chociaż wiedziałem, że tego gatunku kwiatuszki nie rosną dla takich jak ja; przyniosłem czerwone wino do pokoju, w którym siedziałaś z mamusią i tatusiem; dziecko, dziecko, kto by pomyślał, że kiedyś staniem się

najprawdziwszą babcia

o srebrnych włosach i pomarszczonej twarzy; mógłbym cię jedną ręką wnieść do pokoju i dalibóg zrobiłbym to, gdyby mi było wolno; ale mi nie wolno, staruszeko, a szkoda, i dziś jeszcze jesteś piękna.

- Zarezerwowaliśmy pokój nr 212 dla pana i małżonki, panie radco, pardon, dla pańskiej małżonki i pana; bagaż na dworcu? Nie? Może posłać po coś do domu? Także nie? Ach, tylko na dwie godziny, żeby przyjrzeć się sztucznym ogniom i pochodowi związku bojowników. Oczywiście, sześć osób zmieści się doskonale, pokój ma duży balkon, a jeśli pan sobie życzy, możemy zsunąć łóżka. Nie potrzeba? Hugo, Hugo, zaprowadź państwa do pokoju 212 i podaj kartę win; młodych państwa skieruję do pokoju 212; naturalnie, panie doktorze, zarezerwowaliśmy salę bilardową dla pana i pana Schrelli, a Hugona wydebię do pańskiej dyspozycji, żeby tam nie wiem co; tak, to dobry chłopiec, pół dnia wisiał przy telefonie, raz po raz próbował się połączyć; myślę, że do końca życia nie zapomni numerów pana i pensjonatu „Modern”. Dlaczego związek bojowników urządza dziś pochód? Z okazji urodzin jakiegoś marszałka, zdaje mi się, że bohatera spod Husenwald; znów usłyszymy tę wspaniałą pieśń: *Ojczyzno, drżysz w posiadach*; ano cóż, niech sobie drży, panie doktorze. Słucham? Ze zawsze drżała? Jeśli mi pan pozwolił wyrazić mój osobisty pogląd polityczny, to powiedziałbym: Uwaga, jeśli znowu zacznie drzeć! Uwaga!

- Stałam tu już kiedyś - powiedziała cicho. - Przyglądałam się, jak maszerowałeś tam, na dole, podczas defilady przed cesarzem, w styczniu 1908 roku. Była pogoda jak na cesarskie zamówienie, najdroższy, iskrzący się mróz - zdaje mi się, że tak to nazywają poeci; drżałam z niepokoju, czy wytrzymasz ostatnią najtrudniejszą próbę: próbę munduru; na sąsiednim balkonie stał generał i przepił winem do ojca, mamy i do mnie; wytrzymałeś tę próbę, staruszek; nie patrz na mnie tak czujnie - tak czujnie nigdy na mnie w ten sposób nie patrzałeś, połóż głowę na moich kolanach, wypal swoje cygaro i wybac, jeśli drzę; boję się. Widziałeś twarz tego chłopca? Prawda, że mógłby być bratem Edyty? Boję się i musisz zrozumieć, że dlatego nie mogę wrócić do domu, może już nigdy do niego nie wrócę; nie mogę przekroczyć już tego kręgu - boję się, boję się o wiele bardziej niż wtedy; widocznie wy przywykliście już do tych twarzy, ale ja zaczynam tęsknić do moich spokojnych wariatów. Czy

wy jesteście ślepi? Tak łatwo was oszukać? Oni was zamordują nawet nie za jeden ruch ręki, nawet nie za kromkę chleba. Nie trzeba będzie nawet być brunetem czy blondynem ani okazywać metryki chrztu prababki - oni was zamordują, jeśli im się nie będą podobały wasze twarze. Nie widziałeś plakatów rozlepionych na murach? Czy wy jesteście ślepi? Człowiek po prostu nie wie, gdzie się znalazł. Mówię ci, najdroższy, przecież oni wszyscy zakosztowali *sakramentu byka*; głupi jak but, głusi jak pień i tak straszliwie niewinni jak ostatnie wcielenie byka; porządni, porządni; boję się, staruszku - nawet w 1935 i w 1942 roku nie czułam się tak obco wśród ludzi; być może, że to musi trochę potrwać, ale nawet stulecia nie wystarczą, żeby przyzwyczaić się do tych twarzy; porządni, porządni i ani śladu żalu w twarzy; czym jest człowiek bez żalu? Daj mi jeszcze kieliszek wina i nie spoglądaj tak podejrzliwie na moją torebkę; wy znaleźcie lekarstwo, ale ja sama muszę je zastosować; ty masz czyste serce i nawet nie podejrzewasz, jaki zły jest świat; domagam się dziś od ciebie jeszcze większej ofiary: odwołaj przyjęcie w kawiarni Kronera, rozwiń swoją legendę, nie żądaj od wnuków, aby opluwali twój pomnik, lecz nie dopuść, aby ci go wystawiono; ser z papryką nigdy ci przecież nie smakował - niech kelnerzy i dziewczęta z kuchni zasiądą przy odświętnie nakrytym stole i zjedzą twoją urodzinową ucztę; my zostaniemy tutaj, na balkonie, będziemy się rozkoszowali letnim wieczorem spędzonym w rodzinnym gronie, będziemy pili wino, przyglądali się sztucznym ogniom i pochodowi bojowników; przeciw czemu oni prowadzą bój? Czy mam zatelefonować do Kronera i odwołać przyjęcie?

Przed portalem katedry św. Seweryna zbierali się już mężczyźni w granatowych mundurach, stali grupkami, palili papierosy, nieśli niebiesko-czerwone chorągwie z wielką czarną literą B. Orkiestra dęta próbowała już pierwszych taktów pieśni: *Ojczyzno, drżysz w posadach*, na balkonach cicho brzęczały kieliszki do wina, metalicznie dźwięczały kubelki z szampanem, strzelały korki w wieczorny, ciemny błękit nieba; dzwony katedry św. Seweryna wybiły za kwadrans siódmą; trzech panowie w ciemnych garniturach wyszli na balkon pokoju nr 211.

- Czy pan istotnie sądzi, że oni mogą nam się przydać?
- spytał pan M.
 - Jestem tego pewny - odparł drugi.

- Bez wątpienia - zawtórował trzeci.
 - Ale czy nie odstręczymy więcej wyborców, niż ich zyskamy przez taką demonstrację naszych sympatii? - spytał pan M.
 - Związek bojowników nie jest uważany za organizację radykalną - odparł drugi pan.
 - Nie może pan nic stracić - powiedział trzeci - tylko zyskać.
 - Ile to głosów w najlepszym i w najgorszym razie?
 - W najlepszym około osiemdziesięciu tysięcy, w najgorszym około pięćdziesięciu. Niech pan się zdecyduje.
 - Nie mogę jeszcze powziąć decyzji - powiedział pan M.
 - czekam na wskazówki od K. Czy pan sądzi, że dotychczas udało nam się nie zwrócić na siebie uwagi prasy?
 - Udało nam się - powiedział drugi.
 - A personel hotelu?
 - Można liczyć na jego całkowitą dyskrecję - powiedział trzeci. - Wskazówki od pana K. powinny wkrótce nadejść.
 - Nie lubię tych facetów - oświadczył pan M. - Oni w coś wierzą.
 - Osiemdziesiąt tysięcy głosów może sobie nawet w coś wierzyć - zauważył drugi.
- Śmiech. Brzęk kieliszków. Telefon.
- Tak, mówi M. Czy dobrze zrozumiałem? Okazać sympatię?
- Dobrze.
- Pan K. powziął decyzję pozytywną, proszę panów. Wystawmy krzesła i stolik na balkon.
 - Co sobie pomyślą cudzoziemcy?
 - Oni i tak myślą zawsze nie to, co trzeba.
- Śmiech. Brzęk kieliszków.
- Zejdę na ulicę i zwrócę uwagę kierowników pochodu na pański balkon - powiedział drugi pan.
 - Nie, nie - mówił stary Fahmel - nie chcę położyć głowy na twoich kolanach i patrzeć na błękitne niebo; czy powiedziałaś w kawiarni Kronera, żeby przysłali tu Leonorę? Będzie rozczarowana; nie znasz jej; to sekretarka Roberta; dobre z niej dziecko i nie chciałbym, żeby ją ominęło to przyjęcie; wcale nie mam czystego serca i dobrze wiem, jaki zły jest świat; czuję się obco, bardziej obco niż wtedy, kiedyśmy poszli do „Kotwicy” w Górnym Porcie, żeby wręczyć pieniądze kelnerowi nazwiskiem Groll; tam na dole formuje

się pochód - ciepły letni wieczór, zmrok, aż tutaj dochodzi śmiech - czy mam ci pomóc, kochana? Może nie wiesz, że w taksówce położyłaś torebkę na moich kolanach; jest ciężka, ale nie dość ciężka - jaki użytek chcesz z tego właściwie zrobić?

- Chcę zastrzelić tego grubasa na siwym koniu. Widzisz, go, poznajesz?

- Myślisz, że mógłbym go kiedykolwiek zapomnieć? To on zabił we mnie śmiech, zerwał ukrytą sprężynę ukrytego mechanizmu zegara; to on kazał zgładzić jasnowłosego smyka, wywieźć ojca Edyty, Grolla i chłopca, którego imienia nie znamy; to on mnie nauczył, że jeden ruch ręki można przypłacić życiem; to on zmienił Ottona w jego zewnętrzną powłokę - a mimo to: ja bym go nie zabił. Często pytałem siebie, dlaczego osiedliłem się w tym mieście; aby się wzbogacić? Wiesz, że tak nie było. Dlatego, że ciebie kochałem? Nie - me znałem cię jeszcze wtedy i nie mogłem cię kochać. Ze względu na ambicję? Nie. Myślę, że chciałem się z nich tylko pośmiać, zawołać na zakończenie: przecież to była tylko zabawa! Czy chciałem mieć dzieci? Tak. I miałem je: dwoje umarło w dzieciństwie, jeden syn poległ, był mi obcy, bardziej obcy niż ci młodzi ludzie, którzy tam na ulicy niosą chorągwie; a drugi syn? „Jak się czujesz, ojczu? Dobrze, a ty? Dziękuję, dobrze. Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Nie, dziękuję, niczego mi nie potrzeba”.
Opactwo św. Antoniego?

Wybacz, że się śmieję, ukochana; pył; nie budzi we mnie nawet sentymentu, a jeszcze mniej uczuć; chcesz się jeszcze napić wina?

-Owszem, proszę.

Zdaję się na pięćdziesiąty pierwszy paragraf, najdroższy; ustawy są elastyczne... Patrz, tam na dole stoi nasz stary przyjaciel, Nettlinger; jest dość mądry na to, by nie występować w mundurze, ale jednak brać udział, ścisnąć dłonie, poklepywać po ramieniu, pomacać chorągwie; już jeśli mam kogoś zastrzelić, to raczej tego Nettlingera - ale jeszcze się zastanowię, może nie będę strzelała do tego muzeum, tam na dole; morderca mego wnuka jest na sąsiednim balkonie

- widzisz go? W ciemnym garniturze, porządny, porządny; ten myśli inaczej, działa inaczej, planuje inaczej; zdążył się czegoś nauczyć; biegle włada francuskim, angielskim, zna łacinę i grekę, i włożył już na jutro zakładkę w odpowiednie miejsce mszału:

piętnasta niedziela po Zielonych Świątkach; „która prefacja?” - zawołał do żony krzątającej się w sypialni. Nie zastrzelę tamtego grubasa na siwym koniu; nie będę strzelała do muzeum - tylko mały zwrot, odległość najwyższej sześć metrów, absolutna gwarancja celności; na cóż innego może się jeszcze przydać moje siedemdziesięcioletnie życie? Zabicie nie tyrana, lecz porządnego człowieka - śmierć przywoła na jego twarz wielkie zdumienie; chodź tu, nie drżysz, najdroższy, chcę zapłacić okup; to mi zrobi przyjemność; spokojnie oddychać, wycelować, obliczyć moment naciśnięcia kurka spustowego - możesz nie zatykać sobie uszu, najdroższy, to nie wywołuje głośniejszego huku niż pęknięcie balonika; wigilia piętnastej niedzieli po Zielonych Świątkach...

Rozdział trzynasty

Jedna blondynka, druga brunetka, obie wysmukłe, uśmiechnięte, obie w dopasowanych twarzowych kostiumach z czerwona-wobrazowego tweedu; ich ładne szyjki wyrastały ze śnieżnobiałych kołnierzyków jak łądzki kwiatów, obie mówiły biegle i bez cienia obcego akcentu po francusku i po angielsku, po flamandzku i po duńsku, władały także biegle i bez cienia obcego akcentu ojczystym językiem: niemieckim. Przystojne kapłanki nicości, które opanowały także łacinę i w pokoju dla personelu, mieszczącym się za kasą, czekały, aż przy barierce zbierze się grupa dwunastu turystów; gasiły cienkim obcasem nie dopalone papierosy, wprawnym ruchem odświeżały karmin ust, zanim wyszły na zewnątrz, aby wy badać, jakiej narodowości są tym razem goście czekający na oprowadzenie; z uśmiechem, bez cienia obcego akcentu, zadawały pytania o kraj, z jakiego pochodzą klienci, i języki, jakimi władają; turyści czekający na oprowadzenie podnosili ręce: siedmiu mówiło po angielsku, dwóch po flamandzku, trzech po niemiecku; potem jeszcze wesoło zadane pytanie, kto zna łacinę; Rut z wahaniem podniosła rękę; tylko jedna pani? Leciutki nalot żalu na ładnej twarzy z powodu tak skromnego połowu klientów o humanistycznym wykształceniu; tylko ta jedna pani doceni precyzję, z jaką przewodniczka wyrecytuje metryczne napisy nagrobków? Uśmiechnięta, z długą latarką pochyloną jak szpada, przewodniczka zaczęła pierwsza schodzić na dół; pachniało tu betonem i zaprawą wapienną, chociaż lekki szmer dowodził działania instalacji

klimatyzacyjnej; rozbrzmiewał angielski, flamandzki i niemiecki, bez cienia obcego akcentu; informacje dotyczące rozmiarów szarych prostokątnych bloków, szerokości rzymskiej ulicy - dalej widzimy schody z drugiego wieku - termę z czwartego wieku - proszę spojrzeć, w tym miejscu znudzeni strażnicy wryli na bloku piaskowca rysunek do gry w młynka - (co mówił kierownik kursu? - „zawsze podkreślać prawdziwie ludzkie akcenty”)

- tutaj rzymskie dzieci bawiły się rzucaniem kulek; proszę zwrócić uwagę na idealne spojenia płyt chodnika; rynna odpływowa: tędy spływała rzymska woda do prania, rzymska woda do mycia naczyń; szczątki małej prywatnej świątyni Wenus, którą kazał wznieść dla siebie pan namiestnik;

- w neonowym świetle uśmieszki gości, flamandzkie, angielskie uśmieszki - czyżby troje młodych Niemców istotnie się nie uśmiechało? - Czym da się wytłumaczyć głębokość fundamentów? Otóż w epoce powstania tych budowli grunt był tu niemal na pewno bagnisty, zielone wody gruntowe, zasilające rzekę, bulgotały w szczelinach skalistego podłoża. Czy państwo słyszą przekleństwa germańskich niewolników? Pot spływał z jasnych brwi na jasne twarze, a z nich na jasne brody; barbarzyńskie usta wypowiadały aliterowaną kłątwę: „Z ran zadanych przez przeklętych przybyszów zrodzi się zemsta za sprawą Wotana, biada, biada, biada”; chwilka cierpliwości, proszę państwa, jeszcze tylko parę kroków, widzimy szczątki gmachu sądu i oto: *rzymskie groby! dziecięce.*

(„Tutaj - uczył kierownik kursu - należy stanąć w milczeniu i poczekać z objaśnieniami, aż minie pierwsza fala wzruszenia; to już wyłącznie sprawa waszego instynktu, moje panie, jak długo przeciągnąć milczenie świadczące

o waszym wzruszeniu, zresztą zależeć to będzie również od każdorazowego składu grupy; proszę natomiast w żadnym razie nie pozwolić się wciągnąć w dyskusję na temat faktu, że nie są to groby rzymskich dzieci, lecz tylko nagrobki, i to nawet odnalezione w zupełnie innym miejscu”).

Płyty nagrobkowe, oparte o szare mury, tworzyły półkole. Kiedy minęła pierwsza fala wzruszenia, zaskoczeni goście spojrzeli w górę: ponad lampami neonowymi ujrzeli ciemno- błękitne wieczorne niebo; czyżby migotała na nim nawet wcześniej weszła gwiazda, czy też był to tylko odbłysek pozłacanych, posrebrzanych gałek poręczy,

który w okrągłej wieży wśrubowywał się w górę pięcioma łagodnymi skrętami?

- Na poziomie pierwszego skrętu - państwo widzą białą kreskę w betonie? - przebiegała ulica w czasach rzymskich, na poziomie drugiego skrętu - tam widzą państwo również białą kreskę w betonie, prawda? - ulica w średniowieczu, I wreszcie na poziomie trzeciego skrętu - mogę już chyba nie zwracać uwagi państwa na białą kreskę - dzisiejsza ulica. A teraz, proszę państwa, zajmijmy się napisami.

Z twarzą kamienną jak twarz bogini, uniosła w zgiętej ręce latarkę niby rękojeść pochodni.

DURA QUIDEM FRANGIT PARVORUM MORTE PARENTES
CONDITIO RAPIDO PRAECIPITATA GRADU
SPES AETERNA TAMEN TREBUET SOLACIA LUNCTUS...

Uśmiech w kierunku Rut, jedynej, która umiała ocenić piękno oryginału; nieznaczny ruch ręki, poprawiający kołnierzyk tweedowego kostiumu; lekkie opuszczenie latarki przed recytacją przekładu:

Choć twardy los ugodził rodziców wczesnym, nagle nad es złym zgonem małego,

w żalu nad jego młodym życiem, które należy już do raj, pociechą jest wieczna nadzieja.

W wieku sześciu lat i dziewięciu miesięcy kryje ta mogiła ciebie, Desideratusie.

Smutek siedemnastu stuleci padł na twarze, na serca, obezwładnił nawet zuchwy flamandzkiego pana w średnim wieku, który opuścił dolną szczękę, szybko zapchawszy gumę do żucia w najdalszy kącik jamy ustnej; Marianna wybuchnęła płaczem, Józef przycisnął jej ramię. Rut położyła Mariannie rękę na ramieniu, przewodniczka recytowała dalej z kamienną twarzą:
Hard a fate meets with the parents...

Niebezpieczny moment, kiedy z ciemnego grobowca wyszli znów na górę, na światło, na powietrze i letni wieczór; kiedy prastary smutek śmierci zapadł głęboko w serca, zmieszał się z przecuciem misterium bogini Wenus, kiedy samotni turyści wypluwali przed kasą gumę do żucia i próbowali łamaną niemiecką umówić się na spotkanie; dansing w hotelu „Książę Henryk”; spacer, kolacja - a lonely feeling, proszę pani; a tu trzeba być westalką, nie nawiązywać

zadnych flircików, odrzucać wszelkiego rodzaju zaproszenia; patrz na mnie, nie rusz mnie; no, Sir, no, no - a przecież sama czuła tchnienie rozkładu, żal jej było smutnych cudzoziemców, którzy, potrząsając głowami, mieli ponieść swój głód miłości na owe niwy, nad którymi włada jeszcze bogini Wenus i, biegła w kursach walut, nie wstydzi się podawać swej taryfy w dolarach i funtach, guldenach, frankach i markach.

A tu kasjer odrywa już bilety z rolki, jak gdyby wąskie drzwi wejściowe prowadziły do kina; człowiek ledwie zdąży zaciągnąć się parę razy papierosem w pokoju dla personelu, przełknąć jeden kęs chleba z wędliną, jeden łyk z termosu, i za każdym razem staje przed trudną decyzją: czy warto chować nie dopalonego papierosa, czy też lepiej zdusić go cienkim obcasem; jeszcze jedno zaciągnięcie się i jeszcze jedno, lewa ręka wyłowiła już z torebki pomadkę do ust, jednocześnie krnąbrne serce zdecydowało się złamać przysięgę westalki, a tu już kasjer wsadza głowę w drzwi: - Pośpiesz się, mała, dwie grupy już czekają, *rzymskie groby dziecięce* stają się prawdziwym szlagierem.

Uśmiechnięta dziewczyna podchodzi do barierki, pyta o narodowość i język turystów: czterech mówi po angielsku, jeden po francusku, jedna pani po holendersku i tym razem aż sześciu Niemców; z latarką pochyloną jak szpada, schodzi do ciemnego grobowca wieścić prastary kult miłości, odcyfrowywać prastary smutek śmierci.

Marianna płakała jeszcze, kiedy wyszli na dwór i mijali kolejkę czekających; zażenowani Niemcy, Anglicy i Holendrzy odwracali oczy od zapłakanej dziewczęcej twarzy; jakąż to bolesną tajemnicę kryją te ciemne lochy? Czy kto z nich czytał kiedykolwiek, że pomniki kultury mogą wyciskać łzy z oczu? Za sześćdziesiąt fenigów takie głębokie wzruszenie, jakie dostrzega się na twarzach niektórych ludzi w kinie tylko po bardzo złych albo bardzo dobrych filmach? Czy rzeczywiście kamienie mogą jednych wzruszać do łez, podczas gdy inni z zimną krwią wkładają do ust nowe tafelki gumy do żucia, chciwie zapalają papierosa, przekręcają filmy w aparatach, gotowi do zrobienia następnego zdjęcia, szukają już wzrokiem następnego obiektu: o, szczyt mieszczkańskiego domu, z piętnastego stulecia, akurat naprzeciw wyjścia; pstryk, szczyt domu dzięki procesowi chemicznemu został uwieczniony...

- Powoli, powoli, proszę państwa! - woła kasjer przez okienko. - Z uwagi na wyjątkową frekwencję postanowiliśmy powiększyć grupy zwiedzających do piętnastu osób. Proszę następnych troje państwa, sześćdziesiąt fenigów za bilet wstępu, cena katalogu marka dwadzieścia.

Wciąż jeszcze mijali kolejkę czekających, ciągnącą się pod ścianami domów aż do następnego rogu ulicy; wciąż jeszcze widać było ślady łez na twarzy Marianny; odpowiedziała uśmiechem Józefowi, mocno ściskającemu jej ramię, drugim uśmiechem podziękowała Rut za jej kojące dotknięcie.

- Musimy się pośpieszyć - powiedziała Rut. - Już za dziesięć minut siódma, nie powinniśmy im dać czekać.

- Za dwie minuty będziemy na miejscu - odparł Józef.

- Nie spóźnimy się. Wapienna zaprawa - widocznie i dziś sądzony mi jest ten zapach - i beton; wiecie, że oni to odkrycie w lochach zawdzięczają zapałowi ojca do wysadzania w powietrze? Kiedy zburzyli starą strażnicę, zapadło się pod nią jakieś sklepienie i otworzyło drogę do tych staroci; niech żyje dynamit! Ale, ale, jak ci się podoba nasz nowy wuj, Rut, czy na jego widok odezwał się w tobie głos krwi?

- Nie - odpowiedziała Rut - głos krwi nie odezwał się we mnie, ale wuj wydaje mi się miły; trochę oschły, trochę bezradny... czy on zamieszka u nas?

- Prawdopodobnie - powiedział Józef. - Czy i my tam będziemy mieszkali, Marianno?

- Chcesz się przenieść do miasta?

- Tak - rzekł Józef. - Chcę studiować statykę i wstąpić do czcigodnej firmy ojca. Czy ci się to nie podoba?

Przecięli ożywioną ulicę, weszli w spokojniejszą, Marianna stanęła przed wystawą sklepową, uwolniła się z objęć Józefa, strząsnęła z ramienia rękę Rut i zaczęła osuszać chusteczką mokrą twarz; Rut przyglądała sobie włosy, obciągnęła sweterek.

- Czy jesteście dostatecznie elegancko ubrane? - spytała.

- Nie chciałabym zrobić przykrości dziadkowi.

- Jesteście dostatecznie eleganckie - powiedział Józef. - Jak ci się podoba mój plan, Marianno?

- Nie jest mi obojętne, co będziesz robił - odparła. - Na pewno to dobrze, że zamierzasz studiować statykę, pytanie tylko, jaki użytek

chcesz zrobić ze swojej wiedzy.

- Budować albo wysadzać w powietrze, jeszcze nie wiem co - odparł.

- Dynamit jest już na pewno przestarzały - powiedziała Rut. - Muszą istnieć jakieś lepsze środki; pamiętasz, jaki ojciec był wesoły, kiedy mógł jeszcze coś wysadzać w powietrze? Taki poważny jest właściwie dopiero od czasu, kiedy nie ma już co wysadzać... Jakie wrażenie zrobił na tobie, Marianno? Podoba ci się?

- Tak - powiedziała Marianna. - Bardzo mi się podoba; wyobrażałam go sobie gorzej, myślałam, że jest bardziej oziębły, i niemal bałam się go, zanim go poznałam. Ale teraz wydaje mi się, że strach wobec niego byłby najmniej uzasadnionym uczuciem; będziecie się ze mnie śmiali, ale ja czuję się przy nim bezpieczna.

Józef i Rut nie śmiali się; wzięli Mariannę między siebie i poszli dalej; przed kawiarnią Kronera zatrzymali się, obie dziewczyny raz jeszcze przejrzały się w szybie zasłoniętej od wewnątrz zielonym jedwabiem, raz jeszcze przyglądziły włosy, zanim Józef z uśmiechem otworzył przed nimi drzwi.

- O Boże, jaka ja jestem głodna - powiedziała Rut.

- Dziadek na pewno zamówił dla nas coś pysznego.

Między zielono nakrytymi stolikami, stąpając po zielonym chodniku, szła ku nim pani Kroner, jej srebrne włosy były w lekkim nieładzie, wyraz twarzy zwiastował nieszczęście, wodniste oczy lśniły wilgocią, a głos drżał szczerym wzburzeniem.

- To państwo jeszcze o niczym nie wiedzą? - spytała.

- Nie - odparł Józef. - O czym?

- Musiało się stać coś strasznego; przed paru minutami babcia pana telefonicznie odwołała przyjęcie; państwo mają przyjść do hotelu „Książę Henryk”, pokój 212. Jestem nie tylko poważnie zaniepokojona, ale i głęboko rozczarowana, powiedziałabym nawet: obrażona, gdyby nie to, że, jak sądzę, muszą być jakieś ważne powody tej zmiany; dla solenizanta będącego naszym stałym gościem od pięćdziesięciu, nie, od pięćdziesięciu jeden lat, przygotowaliśmy naturalnie niespodziankę, prawdziwe dzieło sztuki - pokażę je państwu; co ja teraz powiem dziennikarzom i przedstawicielom radia, którzy mają tu przyjść około dziewiętej, po rodzinnej uroczystości? Co ja im powiem?

- Czy babcia nie powiedziała pani wyraźnie, dlaczego

odwołuje przyjęcie?

- Niedyspozycja - czy pani sądzi, że to... że to ta chroniczna, hm, niedyspozycja pańskiej babci?

- Nic jeszcze nie wiemy - powiedział Józef. - Czy pani mogłaby odesłać do dziadka podarunki i kwiaty?

- Owszem, naturalnie, ale czy przynajmniej państwo nie zechcieliby obejrzeć mojej niespodzianki?

Marianna szturchnęła go nieznacznie, Rut uśmiechnęła się, a Józef powiedział:

- Bardzo chętnie proszę pani.

- Byłam jeszcze smarkulą, kiedy dziadek pana przeniósł się do naszego miasta, miałam czternaście lat i praktykowałam tutaj, w zimnym bufecie; potem uczyłam się podawać i może pan sobie wyobrazić, jak często nakrywałam mu do śniadania, jak często uprzętałam kieliszek do jajka, przysuwałam marmoladę, a kiedy się pochylałam, żeby zabrać talerzyk z serem, zawsze spoglądałam ukradkiem na jego szkicownik; mój Boże, człowiek bierze przecież jakiś udział w życiu klientów, niech pan nie myśli, że my, ludzie interesu, jesteśmy pozbawieni uczuć, i czy pan przypuszcza, że zapomniałam, jak wtedy z dnia na dzień stał się sławny, jak dostał to wielkie zamówienie? Może klienci myślą, że wchodzi ot tak do kawiarni Kronera, zamawiają coś, płacą i wychodzą, ale niech pan nie sądzi, że ich los nie pozostawia na nas żadnego śladu...

- Ależ oczywiście - przytaknął Józef.

- Ach, wiem, co pan sobie myśli: kiedy ta stara da nam wreszcie święty spokój! Ale czy istotnie za wiele żądam prosząc, żeby państwo obejrżeli moją niespodziankę i powtórzyli dziadkowi, że sprawiłoby mi ogromną przyjemność, gdyby wpadł tu ją obejrzeć? Zdjęcia do prasy zostały już zrobione.

Poszli wolno za panią Kroner zielonym chodnikiem, między zielono nakrytymi stolikami, zatrzymali się, kiedy ona się zatrzymała, i mimo woli otoczyli duży czworokątny stół, przykryty lnianym płótnem; osłaniał on jakiś przedmiot o nieregularnych kształtach.

- Dobrze się składa, że jest nas czworo - powiedziała pani Kroner. - Czy mogę prosić, aby każde z państwa chwyciło za jeden z rogów obrusa? Jak powiem: „już!”, jednocześnie podniesiemy go w górę.

Marianna leciutko pchnęła Rut ku nie obsadzonemu jeszcze lewemu rogowi; we czworo ujęli obrus. - Już! - powiedziała pani Kroner i wszyscy razem podnieśli obrus; obie dziewczyny zbliżyły się do siebie, połączyły ze sobą trzymane rogi, a pani Kroner starannie złożyła płótno.

- O Boże - zawołała Marianna - ależ to wierna kopia opactwa św. Antoniego!

- Prawda? - promieniała pani Kroner. - Proszę spojrzeć: nie zapomnieliśmy nawet o mozaice nad głównym wejściem

- a tu winnica.

Model oddawał nie tylko autentyczne proporcje budowli, ale i jej barwy: ciemny kościół, jasne zabudowania gospodarcze, czerwony dach schroniska dla pielgrzymów, kolorowe okna refektarza.

- Całość - mówiła pani Kroner - wykonana jest nie z cukru ani z marcepanu, lecz z ciasta; nasz prezent urodzinowy dla pana rady - najlepsze ciasto sękaczowe. Sądzi pan, że dziadek pański nie mógłby wpaść tu na chwilę i obejrzeć modelu, zanim odeślemy mu go do pracowni?

- Na pewno wpadnie i obejrzy prezent - powiedział Józef

- pozwoli pani, że już teraz złożę podziękowanie w jego imieniu; musiał mieć jakieś ważne powody, jeśli odwołał przyjęcie, i pani nas z pewnością zrozumie...

- Oczywiście, rozumiem, że państwo musicie tam iść

- nie, proszę już nie zakrywać, zapowiedziała się telewizja...

- Chciałbym teraz móc jedno z dwojga - mówił Józef, kiedy przecinali plac przed katedrą św. Seweryna - śmiać się albo płakać; ale nie mogę ani tego, ani tego.

- Ja wiem tylko, że raczej miałabym ochotę płakać - powiedziała Rut - ale nie płaczę. Co to za ludzie? Patrzcie, jakie zamieszanie - co oni tu robią z pochodniami?

Zgiełk, stuk kopyt, rżenie koni, głosy nawykłe do wydawania komend wzywały do formowania pochodu, instrumenty dęte wydawały ostatnie próbne dźwięki; niegłośny, ostry i krótki odgłos wpadł w ten hałas jak coś zupełnie obcego.

- O Boże, co to było? - spytała z lękiem Marianna.

- To był strzał - odparł Józef.

Minąwszy Bramę Modesta Leonora przestraszyła się; ulica była pusta; ani śladu terminatorów, zakonnic, ciężarówek, ruchu

ulicznego; jaśniał tylko w głębi, przed sklepem, biały fartuch pani Gretz, różowe obnażone ręce przesuwają mydliny szczotką do szorowania; brama drukarni zamknięta na głucho, jak gdyby nigdy już nie miano tam drukować budujących tekstów na białym papierze; dzik leżał na schodach z wyciągniętymi nogami, z raną w boku, pokrytą warstwą zakrzepłej krwi; powoli wpychano go do wnętrza sklepu; po purpurowej twarzy Gretza można było odgadnąć ciężar zwierzęcia; tylko na jeden z telefonów odpowiedziano jej: nie w domu numer siedem, nie w domu numer osiem, lecz w kawiarni Kronera.

- Mam pilną sprawę do doktora Fahmela.

- Nie ma go tu. Przyjęcie zostało odwołane. Czy to panna Leonora? Oczekują pani w hotelu „Książę Henryk”.

Listonosz zadzwonił gwałtownie do jej drzwi, kiedy była w wannie; ostry dźwięk dzwonka nie zapowiadał nic dobrego; wyskoczyła z wanny, narzuciła na siebie płaszcz kąpielowy, owinęła ręcznikiem mokre włosy, otworzyła drzwi i odebrała ekspres; Schrit napisał adres swoim żółtym ołówkiem, przekreślił kopertę czerwoną kredką i z pewnością jego osiemnastoletnia córka pognąła na rowerze do urzędu pocztowego; pilna sprawa.

„Droga panno Leonoro! Niech Pani spróbuje skomunikować się niezwłocznie z panem Fahmelem; wszystkie obliczenia statyczne obiektu budowlanego X5 są błędne; w dodatku pan Kanders, z którym przed chwilą rozmawiałem przez telefon, przesłał dokumentację - błędną - bezpośrednio do zleceniodawcy, wbrew naszym zwyczajom; sprawa jest tak pilna, że przyjadę jeszcze dziś wieczorem pociągiem pośpiesznym, jeśli do godziny 20-tej nie otrzymam od pani wiadomości, że coś zostało przedsięwzięte; sądzę, że nie potrzebuję pani wyjaśniać, jaki wielki i poważny jest obiekt budowlany X5. Serdeczne pozdrowienia - Schrit”.

Już dwa razy mijała hotel „Książę Henryk”, zawracała niemal aż pod sklep Gretza na ulicy Modesta i znów szła z powrotem; bała się awantury, która niezawodnie wybuchnie; sobota była dla niego święta, mógł jeszcze znieść, jeśli w sobotę nagabywano go w sprawach prywatnych, ale nigdy w sprawach biurowych; jeszcze brzmiało jej w uszach: „Głupie stworzenie”; siódma dopiero dochodzi, można w ciągu kilku minut połączyć się telefonicznie ze Schritem. Dobrze, że stary pan Fahmel odwołał przyjęcie; widok

Roberta Fahmela jedzącego i pijącego wydałby się jej świętokradztwem. Ze strachem myślała o obiekcie X5; nie była to prywatna budowa, jakiś „dom wydawcy na skraju lasu” ani „dom nauczyciela nad rzeką” - nie miała odwagi o niej myśleć, tak bardzo to było tajne, ukryte głęboko w kasie panczernej; aż dech jej zapařło, czyż pan Fahmel nie rozmawiał nawet z Kandersem cały kwadrans przez telefon na temat tego obiektu? Leonora bała się.

Gretz wciąż jeszcze szarpał dzika, stopień po stopniu udawało mu się wciągać zwierzę na schody; posłaniec z ogromnym koszem kwiatów zadzwonił do bramy drukarni, portier otworzył, wziął kosz, zamknął bramę; chłopiec z rozczarowaniem spoglądał na napiwek leżący na jego dłoni; powiem temu miłemu staruszkowi - pomyślała Leonora - że portier nie stosuje się do jego polecenia, aby każdemu posłańcowi dawać dwie marki; na dłoni posłańca nie błyszczało srebro, tylko matowy miedziak.

Odwagi, Leonoro, odwagi, zaciśnij zęby, opanuj lęk, wejdz do hotelu. Jeszcze raz umknęła za róg; teraz dziewczynka z koszem delikatesów weszła w bramę drukarni; i ona spoglądała z rozczarowaniem na napiwek; przekłety łajdak z tego portiera - myślała Leonora - stanowczo powiem o tym panu Fahmelowi.

Dopiero za dziesięć siódma; zaproszono ją do kawiarni Kronera, kazano przyjść do hotelu „Książę Henryk”. A ona zjawi się z wiadomością w sprawie biurowej, czego on w sobotę nie znosi; może ze względu na obiekt X5 wyjątkowo tym razem inaczej zareaguje? Potrząsnęła głową i z rozpaczliwą odwagą pchnęła wreszcie drzwi; przestraszona poczuła, że od wewnątrz je przytrzymało.

Dziecko, dziecko, w stosunku do ciebie znowu pozwolę sobie na prywatną uwagę; podejdz bliżej, miejmy nadzieję, że przyczyny twego onieśmienia nie należy szukać w celu twojej obecności tutaj, lecz wyłącznie w jej fakcie; widziałem już dużo młodych dziewcząt wchodzących przez te drzwi, ale takiej jak ty jeszcze mi się nie zdarzyło widzieć; to nie dla ciebie miejsce, w tej chwili mamy w hotelu tylko jednego klienta, do którego wpuściłbym cię nie wypowiadając prywatnych uwag. Tym klientem jest Fahmel; mógłbym być twoim dziadkiem, więc daruj mi moją prywatną uwagę: czego szukasz w tej jaskini zbójców? Rzuczaj za siebie okruszyny chleba, żebyś mogła odnaleźć drogę powrotną;

zabłądziłaś, moje dziecko: ten, kto ma tu jakieś interesy do załatwienia, wygląda inaczej niż ty, a jeszcze całkiem inaczej wygląda ten, kto ma do załatwienia sprawy prywatne; podejdź bliżej.

- Do doktora Fahmela? Aha, sekretarka. W pilnej sprawie?

Niech pani zaczeka, każę go poprosić do telefonu. Mam nadzieję, że hałas z ulicy nie będzie pani przeszkadzał.

- Leonora? Cieszę się, że ojciec panią zaprosił, i niech pani zapomni o tym, co powiedziałem dziś rano. Dobrze, Leonoro? Ojciec oczekuje pani w pokoju 212. List od pana Schrita? Cała dokumentacja dla X5 błędnie obliczona? Dobrze, zajmę się tym, zatelefonuję do Schrita. W każdym razie dziękuję pani i do zobaczenia wkrótce.

Leonora odłożyła słuchawkę, podeszła do portiera, już otworzyła usta, aby zapytać o drogę do pokoju Fahmela, kiedy przestraszył ją obcy, niegłośny, ostry dźwięk.

- O Boże - powiedziała - co to było?

- To był wystrzał z pistoletu, moje dziecko - odparł Jochen.

Czerwień na tle zieleni, biel na tle zieleni; Hugo stał oparty o biało lakierowane drzwi, z rękami założonymi w tył; figury wydawały mu się mniej precyzyjne, rytm kul zakłócony, czyżby to nie były te same kule, ten sam stół najlepszej produkcji, najstaranniej utrzymywany? I czy ręka Fahmela nie zrobiła się jeszcze lżejsza, jego uderzenia jeszcze dokładniejsze, kiedy wydobywał figury z zielonej nicności? A jednak Hugonowi zdawało się, że rytm kul jest zakłócony, mniejsza precyzja figur; czy to Schrella przyniósł ze sobą nieustanną terażniejszość, odczynił urok: to się dzieje tu, dziś, o godzinie osiemnastej czterdzieści cztery, w sobotę, szóstego września 1958 roku; dziś Hugo nie czuł się przenoszony 0 trzydzieści lat wstecz, o cztery naprzód, znowu o czterdzieści wstecz i wreszcie odrzucany w terażniejszość; to była nieprzerwana terażniejszość, popychająca przed sobą wskazówkę sekundnika: tu, dziś, teraz. Z sali jadalnej dochodziły niespokojne odgłosy: płacić, kelner, płacić; wszyscy się śpieszyli na ognie sztuczne, do okien, przyjrzeć się pochodowi; śpieszyli się do rzymskich grobów dziecięcych; czy flesze rzeczywiście doprowadzono do porządku? Pan nie wiedział, że M. to znaczy minister? Elegancki, prawda? Płacić, kelner, płacić.

Nie na próżno były zegary, nie na próżno posuwały się wskazówki: piętrzyły minutę po minucie, sumowały je w kwadransie i półgodziny, mogłyby przeprowadzić obliczenia dokładnie co do roku, godziny i sekundy; czy w rytmie toczących się kul nie dźwięczało pytanie: Robercie, gdzie jesteś, Robercie, gdzie byłeś? I czy Robert uderzeniami kija bilardowego nie pytał: „Schrella, gdzie jesteś, Schrella, gdzie byłeś?”. Czy ich gra nie była czymś w rodzaju młynków do odprawiania modłów, litanią odmawianą kijami i kulami bilardowymi na zielonym suknie? *Po-co-po-co-po-co* i *zmiłuj się nad nami! Zmiłuj się nad nami!* Schrella uśmiechał się i potrząsał głową za każdym razem, kiedy odchodząc od bandy, pozostawiał Robertowi utworzone z kul figury.

Także i Hugo mimo woli potrząsał głową po każdym uderzeniu kija bilardowego: uleciał czar, osłabła precyzja gry, zakłócony został rytm toczących się kul, podczas gdy zegar dawał tak dokładną odpowiedź na pytanie: *Kiedy?* - Godzina osiemnasta pięćdziesiąt jeden, 6 września 1958 roku.

- Ach - powiedział Robert - dajmy temu spokój, nie jesteśmy już w Amsterdamie.

- Tak - powiedział Schrella - masz rację, dajmy temu spokój. Czy chłopiec jest nam jeszcze potrzebny?

-Owszem - odparł Robert - mnie jest potrzebny, chyba że wolałbyś odejść, Hugo? Zostań więc, włóż kije do stojaka, schowaj kule i przynieś nam, proszę, coś do picia... Nie, zostań tu, synu; chcę ci jeszcze coś pokazać; spójrz, cały stos papierów, które dzięki stemplom i podpisom zmieniły się w dokumenty. Tylko jednej rzeczy brak jeszcze: twego podpisu - kiedy go złożysz, staniesz się moim synem! Czy przyjrzałeś się moim rodzicom, kiedy zanosieś im wino? Będą twoimi dziadkami, Schrella wujem, Rut i Marianna siostrami, a Józef bratem; będziesz moim synem, którym Edyta nie mogła mnie już obdarzyć; co też powie mój stary, kiedy mu w dniu urodzin przedstawię nowego wnuka o uśmiechu Edyty?... Pytałeś czy ten chłopiec jest nam jeszcze potrzebny, Schrella? Jest nam potrzebny, i bylibyśmy szczęśliwi, gdyby on nas potrzebował; albo raczej: brak nam go... słyszysz, Hugo, brak nam ciebie. Nie możesz być synem Ferdiego, a jednak z jego ducha jesteś poczęty... Cicho, chłopcze, nie płacz, idź do swego pokoju i przeczytaj te papiery; uważaj, kiedy będziesz szedł korytarzem, bądź ostrożny, mój synu!

Schrella rozsunał zasłony, wyjrzał na plac; Robert wyjął pudełko papierosów, Schrella podał ogień; obaj zapalili.

- Zwolniłeś już pokój w hotelu?

- Nie.

- Nie chcesz zamieszkać u nas?

- Jeszcze nie wiem - odparł Schrella. - Boje się domów, w których człowiek się urządza i pozwala, aby banalne fakty przekonały go, że życie toczy się dalej i czas przynosi pojednanie; wtedy Ferdi stałby się tylko wspomnieniem, mój ojciec snem, a przecież oni tutaj zabili Ferdiego i mój ojciec stąd zniknął bez śladu; wspomnienia o nich nie zawierają nawet spisy żadnej grupy politycznej, ponieważ obaj nie uprawiali polityki; nawet żałobne pienia gmin żydowskich ich nie dotyczą, ponieważ nie byli Żydami; może Ferdi żyje przynajmniej w aktach sądowych; tylko my dwaj myślimy

o nim, twoi rodzice i ten stary portier na dole - twoje dzieci już nie; nie mogę osiąść w tym mieście, gdyż jest dla mnie za mało obce, tu się urodziłem, tu chodziłem do szkoły, chciałem wyzwolić ulicę Gruffel z rzuconej na nią kłatwy, zaniósłem tam w sobie słowo, którego nigdy nie wypowiedziałem, nawet w rozmowie z tobą, Robercie, jedyne słowo, po którym oczekuję czegoś dla tego świata; i teraz również go nie wypowiem; może będę ci je mógł zdradzić później, na dworcu, kiedy mnie odprowadzisz na pociąg.

- Chcesz jeszcze dziś wyjechać?

- Nie, nie dziś, pokój w hotelu jest właśnie tym, czego mi trzeba: kiedy zamykam za sobą drzwi, to miasto staje się dla mnie równie obce, jak inne miasta. W tym pokoju mogę sobie wyobrazić, że wkrótce będę musiał wyjść gdzieś, gdzie udzielał lekcji języka niemieckiego, do jakiejś klasy, w której zetnę z tablicy zadanie arytmetyczne, aby napisać na niej kredą: „Ja wiąże, ja wiązałem, ja związałem, ja będę wiązał, ja wiązałem był - ty wiążesz, ty wiązałeś”. Lubię gramatykę, tak jak lubię poezję. Myślisz może, że nie chciałbym tu osiąść, ponieważ nie widzę przyszłości politycznej tego kraju; wydaje mi się raczej, że nie mógłbym tu osiąść, ponieważ zawsze byłem i dziś jeszcze jestem całkowicie apolityczny. -

Wskazał na plac przed oknami i uśmiechnął się. - To nie ci ludzie na dole odstraszą mnie; tak, tak, wiem wszystko i widzę ich tam, Robercie, Nettlegera, Vacana; nie boję się tego, że oni tu są, tylko

tęgo, że nie ma tamtych; których? Tych, którzy to słowo czasem wypowiadają w myśli, a może nawet mówią je szeptem. Wiesz, kiedy w Hyde Parku słyszałem, jak pewien stary człowiek pytał: „Jeśli w^o Niego wierzycie, dlaczego nie czynicie tego, co On kazał?”. To głupie, praweła, nierealistyczne, co, Robercie? Paś baranki moje, Robercie

- ale oni hodują same wilki. Z czym powróciliście z wojny do domów? Z dynamitem? Znakomita zabawka, doskonale rozumiem twoją namiętność, nienawiść do świata, na którym nie było miejsca dla Ferdiego i Edyty ani dla mego ojca i Grolla, ani dla chłopca, o którym dotychczas nie wiemy, jak się nazywał, ani dla tego Polaka, który podniósł rękę na Vacana. Dlatego zbierasz materiały statyczne, jak inni zbierają barokowe Madonny, założyłeś sobie kartotekę formuł, a i mój siostrzeniec, syn Edyty, ma już dość zapachu wapna, szuka formuły swojej przyszłości nie w wylatanych murach opactwa św. Antoniego. Co znajdzie? Czy będziesz mógł dać mu właściwą formułę? Może odnajdzie ją w twarzy swego nowego brata, którego ojcem chcesz zostać? Masz rację, Robercie, nie *jest* się ojcem, tylko się nim *zostaje*; głos krwi to kłamstwo, tylko ten inny głos jest prawdziwy - oto powód, dla którego się nie ożeniłem; nie miałem odwagi zaufać, że podołam ojcostwu, nie mógłbym znieść, gdyby moje dzieci stały się dla mnie tak obce, jak Otto stał się obcy dla twoich rodziców; nawet wspomnienie matki i ojca nie dodało mi odwagi, a ty także nie wiesz jeszcze, jacy będą kiedyś Józef i Rut, którego sakramentu zakosztują - nawet jeśli chodzi o dzieci twoje i Edyty, nie możesz mieć pewności; nie, nie, Robercie, musisz zrozumieć, dlaczego nie zwolnię pokoju w hotelu i nie zamieszkać w domu, w którym wyrósł Otto i w którym umarła Edyta; nie mógłbym co dzień patrzeć na skrzynkę do listów, do której tamten chłopiec wrzucał twoje karteczki... Czy to jeszcze ta sama skrzynka?

- Nie - odparł Robert. - Wstawiliśmy nowe drzwi, tamte były podziurawione jak sito odłamkami bomb; tylko posadzka jest ta sama - on stapał po niej.

- Czy przechodząc tamtędy myślisz o nim?

- Tak - powiedział Robert. - Myślę o nim i może to właśnie jest jednym z powodów, dla których zbieram formuły statyczne.

Dlaczego nie powróciłeś wcześniej?

- Dlatego że bałem się, aby to miasto nie było dla mnie za mało obce; dwadzieścia dwa lata stanowią dobrą warstwę izolacyjną, a czyż to, co my dwaj mamy sobie do powiedzenia, nie zmieści się na pocztówce? Bardzo chciałbym przebywać blisko ciebie, ale nie tutaj; boję się, a ludzie, których tu zastałem... czyżby mi się tylko wydawało, że są nie mniej źli niż ci, których wtedy pozostawiłem?

- Prawdopodobnie nie mylisz się.

- Co się stało z takimi ludźmi jak Enders? Pamiętasz go, taki rudzielec; miły chłopiec, na pewno nie był brutalny. Co tacy jak on robili na wojnie i co robią teraz?

- Chyba nie doceniasz Endersa; był nie tylko miły, on... no, on nigdy nie zakosztował *sakramentu byka* - dlaczego nie mielibyśmy określić tego tak po prostu, jak to robiła Edyta? Enders został księdzem, po wojnie wygłosił kilka kazań, których nigdy nie zapomnę; gdybym ci powtórzył jego słowa, nie brzmiałyby tak dobrze, jak kiedy on je wypowiadał.

- A co teraz robi?

- Zapakowali go na głuchą wieś, do której nawet kolej nie dojeżdża; wygłasza tam kazania ponad głowami chłopów i dzieciarni szkolnej; oni go nie nienawidzą, po prostu go nie rozumieją, nawet na swój sposób szanują go jak poczciwego idiotę; czyż nie powtarza im ciągle, że wszyscy ludzie są braćmi? Oni wiedzą lepiej i pewno w duchu zapytują siebie: „Ejże, czy on aby nie jest komunistą?”. Nic innego nie przychodzi im na myśl; wiesz, ilość szablonów bardzo się zmniejszyła; nikt nie wypadłby na pomysł, aby uważać twego ojca za komunistę. Nawet Nettlinger nie był taki głupi - dziś nie umieliby zakwalifikować twego ojca inaczej. Enders mógłby paść baranki, ale dają mu tylko kozły; jest podejrzanym osobnikiem, ponieważ zbyt często mówi o Kazaniu na Górze; może pewnego dnia dojdą do przekonania, że jest to zbyt czysty wtręt i skreślą je zupełnie. Może odwiedzimy Endersa, a wracając autobusem na stację kolejową, zabierzemy ze sobą więcej rozpaczy niż pocieszenia; lepiej czułbym się na księżycu niż w takiej wsi - odwiedzimy go, aby się ćwiczyć w miłosierdziu; powinno się nawiedzać uwięzionych. Dlaczego przyszedł ci na myśl Enders?

- Zastanawiałem się, kogo miałbym ochotę zobaczyć; pamiętaj, że musiałem zniknąć stąd przed skończeniem szkoły. Ale

boję się spotkań, odkąd zobaczyłem siostrę Ferdiego.

- Widziałeś ją?

- Tak. Ma kiosk z lemoniadą na końcowym przystanku jedenastki. Nie byłeś tam nigdy?

- Nie. Bałem się, że ulica Gruffel mogłaby mi się wydać obca.

- Wydała mi się bardziej obca niż wszystkie ulice na świecie. Nie chodź tam, Robercie. Czy Trischlerowie rzeczywiście nie żyją?

- Tak - odparł Robert - i starzy, i Alojzy; zatonęli razem z „Anną Katarzyną”. Trischlerowie od dawna już nie mieszkali w porcie; musieli się stamtąd wynieść, kiedy rozpoczęto budowę mostu; źle się czuli w wynajętym mieszkaniu w śródmieściu, potrzebna im była woda i barki. Alojzy chciał ich przewieźć na „Annie Katarzynie” do przyjaciół w Holandii, ale barka została zbombardowana; próbował jeszcze wyciągnąć rodziców z koi, było jednak za późno, woda wdarła się już do wnętrza i nie mogli się wydostać. Długo trwało, zanim wpadłem na ich ślad.

- Gdzie się o tym dowiedziałeś?

- W „Kotwicy”. Chodziłem tam co dzień i wypytywałem szyprów. Wreszcie znalazłem takiego, który wiedział, co się stało z „Anną Katarzyną”.

Schrella ściągnął z powrotem zasłony, wrócił do stołu i zgasił papierosa w popielniczce. Robert poszedł za mm.

- Myślę - odezwał się - że powinniśmy teraz pójść na górę do rodziców; chyba że wolisz nie brać udziału w rodzinnej uroczystości?

- Owszem, pójdę z tobą, ale czy nie zaczekamy na chłopca? Powiedz jeszcze, co robi na przykład taki Schweugel?

- Naprawdę cię to interesuje?

- Tak; dlaczego pytasz, czy mnie to interesuje?

- Czy w swoich pokojach hotelowych i pensjonatowych myślałeś o Endersie i Schweuglu?

- Tak, i jeszcze o Grewem i Holtenie - tylko oni nie brali udziału w napaściach na mnie, kiedy wracałem ze szkoły...

I Drischka także. Co się z nimi dzieje? Żyją jeszcze?

- Holten nie żyje, poległ - odparł Robert. - Ale Schweugel żyje; jest literatem i za każdym razem, kiedy telefonuje albo przychodzi, każe Rut mówić, że mnie nie ma w domu; wydaje mi się równie

nieznośny, jak jałowy; po prostu nudzi mnie; ciągle gada o tym, co jest mieszczańskie, a co nie jest mieszczańskie, i zapewne uważa, że do niego odnosi się to drugie; i cóż z tego? To mnie po prostu nie interesuje; kiedyś pytał także o ciebie.

- Ach, a co się stało z Grewem?

- Jest członkiem partii, ale nie żądam, żebym ci powiedział jakiej. Zresztą to nie ma znaczenia. A Drischka produkuje „samochodowe lwy”, bardzo pokupny artykuł, dzięki któremu zrobił duże pieniądze. Nie wiesz jeszcze, co to jest „samochodowy lew”? Jak pobędziesz tu parę dni, to się dowiesz. Każdy właściciel samochodu, który ma o sobie dobre wyobrażenie, musi posiadać takiego lwa Drischki, ułożonego na półce pod tylną szybą wozu - a w tym kraju nie znajdziesz człowieka, który by nie miał o sobie dobrego wyobrażenia... Dostatecznie im się wbija do głowy to dobre wyobrażenie

o sobie; wynieśli coś niecoś z wojny, wspomnienie cierpień
1 ofiar, ale dziś mają o sobie dobre wyobrażenie - nie widziałeś tych ludzi w hallu na dole? Przychodzili na trzy rozmaite bankiety: na bankiet opozycji lewicowej, najwyższej organizacji instytucji użyteczności publicznej i na bankiet prawicowej opozycji - ale musiałbyś być geniuszem, żeby zorientować się, który z nich idzie na który z bankietów.

-Tak - powiedział Schrella. - Siedziałem tam jakiś czas, czekając na ciebie. Właśnie zjawiali się pierwsi uczestnicy i obito mi się o uszy słowo „opozycja”; najwcześniej przyszły niewiniątka, ciura demokracji, małe ważniaki, o których się mawia, że są *zupełnie znośni*; rozmawiali o markach samochodów i domkach kempingowych, a także komunikowali sobie nawzajem, że Riwierą zaczyna wchodzić w modę, właśnie dlatego, że jest tak zapchana, i że właśnie teraz - na przekór wszelkim prognozom

- wśród intelektualistów zaczynają być modne wyjazdy organizowane przez biura podróży. Jak to się zwykło nazywać w tym kraju: obustronny snobizm czy też dialektyka? Musisz mi te rzeczy objaśnić; angielski snob powiedziałby: za dziesięć papierosów sprzedam panu moją babkę - ale tutejsi ludzie sprzedaliby naprawdę swoje babki, i to za pięć papierosów; bo oni także swój snobizm traktują poważnie. Potem rozmawiali o szkołach, jedni byli za kierunkiem humanistycznym, inni przeciw;

no, pięknie. Podśluchiwałem ich, bo tak bardzo chciałem się dowiedzieć czegoś o ich prawdziwych troskach; coraz to szeptem powtarzali z czią nazwisko gwiazdy, której dziś oczekują. Kretz - czy ci to coś mówi?

- Kretz - powiedział Robert - to, że tak powiem, gwiazda opozycji.

- Słowo opozycja słyszałem wiele razy, ale z ich rozmów nie mogłem wywnioskować, przeciw[^] czemu się ona kieruje.

- Jeśli czekali na Kretza, to musieli należeć do opozycji lewicowej.

- Zdaje mi się, że dobrze słyszałem: ten Kretz jest pewnego rodzaju sławą, tym, co się zwykło nazywać nadzieją?

- Tak - potwierdził Robert - oni wiele sobie po nim obiecują.

- Widziałem go - ciągnął Schrella. - Przyszedł ostatni; jeśli on jest ich nadzieją, to chciałbym wiedzieć, jak by wyglądała ich rozpacz... Wydaje mi się, że jeślibym kiedy miał kogoś zamordować, to właśnie jego. Czy wy jesteście ślepi? Naturalnie, on jest mądry i wykształcony, cytuje Herodota w oryginale i oczywiście brzmi to jak niebiańska muzyka w uszach tych ciurów, którzy nigdy nie wyzbęda się swego bzika na punkcie wykształcenia. Ale mam nadzieję, Robercie, że nawet na minutę nie zostawiłbyś córki ani syna sam na sam z tym Kretzem. Przecież on ze snobizmu już sam nie wie, jakiej jest płci. Oni robią podkład muzyczny do zagłady, ale robią go źle, brak tylko largo, a będziesz miał pogrzeb trzeciej klasy...

Przerwał mu dzwonek telefonu; Robert poszedł w kąt pokoju i podniósł słuchawkę; Schrella stanął za nim.

- Leonora? - mówił Robert. - Cieszę się, że ojciec panią zaprosił, i niech pani zapomni o tym, co powiedziałem dziś rano. Dobrze, Leonoro? Ojciec oczekuje pani w pokoju 212. List od pana Schrita? Cała dokumentacja dla X5 błędnie obliczona? Dobrze, zajmę się tym, zatelefonuję do Schrita. W każdym razie dziękuję pani i do zobaczenia wkrótce.

Robert odłożył słuchawkę i odwrócił się znów do Schrelli.

- Myślę, że... - powiedział, ale przerwał mu obcy, niegłoś- ny, ostry dźwięk.

- Mój Boże - powiedział Schrella - to był strzał.

- Tak - potwierdził Robert. - To był strzał. Myślę, że powinniśmy teraz pójść na górę.

Hugo czytał: „Zrzeczenie się: Niniejszym wyrażam zgodę, aby mój syn, Hugo...” - u dołu urzędowe stemple, podpisy, ale głos, którego się bał, nie odezwał się w nim; jakież to głos wewnętrzny kazał mu zakrywać nagość matki, kiedy po powrocie z ulicznych łowów rzucała się na posłanie i szeptem odmawiała swoją śmiertelną litanię *po-co-po-co-po-co*? Czuł dla niej litość, okrywał ją, przynosił jej coś do picia, nie zważając na to, że mogą napaść na niego, bić, przeżywać *barankiem bożym*, przekradał się do sklepiku, żebrał o dwa papierosy dla matki. Jakież to głos wewnętrzny kazał mu grać w kanastę z owym coś-podobnego-nie-powinno-się-było-urodzić, ostrzegał go, aby nie przekraczał progu pokoju owczej kapłanki? Jakież to głos podpowiadał mu teraz powtarzane szeptem słowo: - Ojciec.

Aby zagłuszyć strach, który go ogarniał, Hugo dorzucał inne słowa: brat i siostra, dziadek, babka i wuj - ale one nie zagłuszały w nim strachu; więc szukał dalszych słów - dynamika i dynamit, bilard i poprawność, blizny na plecach, koniak i papierosy, czerwień na tle zieleni, biel na tle zieleni

- ale strach nie ustępował. Może złagodzi go jakieś działanie? Otworzył okno, zobaczył szemrzący w dole tłum; czy był to groźny, czy też przyjazny szmer? Sztuczne ognie na granatowym niebie; pioruny, z których wykwiwały olbrzymie kwiaty; pomarańczowe snopy, niby sięgające po coś ręce; zamknął okno; pogłaskał fioletowy mundur wiszący na ramiączku koło wyjścia; otworzył drzwi na korytarz: aż tu, na górę, dochodziły odgłosy wzburzenia: ciężko ranny w pokoju 211! Gwar głosów, kroki w tę i tamtą stronę, w górę i w dół, i wciąż ten sam przenikliwy głos policjanta: - Proszę stąd odejść! Proszę odejść!

Odejść stąd! Odejść! Hugo bał się i szeptem powtarzał słowo: - Ojciec! - Dyrektor powiedział: „Będzie nam ciebie brakowało czy to konieczne? Tak nagle?”. A on nie powiedział głośno, tylko pomyślał: to konieczne, tak nagle, czas dojrzał. Ale kiedy Jochen przyniósł wiadomość o zamachu, dyrektor zapomniał o zdziwieniu z powodu odejścia Hugona. Dyrektor przyjął meldunek Jochena nie z przerażeniem, lecz z zachwytem, nie potrząsnął smutnie głową, lecz zatarł ręce. „Wy wszyscy nie macie o niczym zielonego pojęcia. Na

takim skandalu hotel może zrobić świetny interes. Posypią się ogromne tytuły w dziennikach. Morderstwo to nie samobójstwo, Jochen - a morderstwo polityczne to nie byle jakie morderstwo. Jeśli on nie umarł, to musimy stwarzać takie pozory, jakby miał umrzeć. Wy nie macie o tym zielonego pojęcia, tu trzeba koniecznie przemycić zwrot: «Walczy ze śmiercią». Proszę od tej chwili łączyć ze mną wszystkie telefony, żeby który z was nie palnął jakiegoś głupstwa.

O Boże, nie róbcie takich nieszczęśliwych min! Chłód, spokój, wyraz twarzy świadczący o subtelnym ubolewaniu, jak u kogoś, kogo wprawdzie dotknął wypadek śmierci, ale kto się pociesza oczekującym go spadkiem. Marsz, naprzód, wszyscy do roboty! Zobaczycie, że zaleje nas deszcz telegraficznych zamówień na pokoje. I to akurat pan M.! Nie wyobrażacie sobie nawet, jakie to ma znaczenie. Byle nam tylko nie spadło teraz na głowę jakieś samobójstwo. Proszę natychmiast zatelefonować do pokoju numer 11; niech sobie nawet ten facet wpadnie we wściekłość, niech nawet opuści hotel, psia krew, przecież sztuczne ognie musiały go obudzić! Naprzód, do broni, moi drodzy!”

Ojciec - myślał Hugo - musisz przyjść po mnie, oni mnie teraz nie przepuszczą do pokoju 212. - Flesze rozbłyskały w wypełnionej szarym cieniem klatce schodowej, ukazał się oświetlony prostokąt windy; przywieziono gości do pokoi od 213 do 226, którzy z powodu kordonu policyjnego dojechali do trzeciego piętra i musieli teraz zejść schodami dla personelu; z otwartej windy dobiegała wrzawa; uienmc garnitury, jasne suknie, wzburzone twarze, UM.I wyi/iu.ij.ur słowa: „Coś podobnego!” i „To skand.il!”

Za późno przymknął **Plugo** drzwi **swego pokoju ilosi i cgl.i** go, już biegła korytarzem; zdążył jeszcze przekręcić klucz od wewnątrz, już szarpnięto klamką.

-Otwórz, Hugo, otwórz! - prosiła.

- Nie.

- Rozkazuję ci otworzyć!

- Przed kwadransiem przestałem pełnić służbę w hotelu proszę pani.

- Odchodzisz?

- Tak.

- Dokąd?

- Do mego ojca.
- Otwórz, Hugo, otwórz, nie będę ci już zadawała bólu ani cię straszyla; nie możesz odejść; wiem, że nie masz ojca, wiem o tym na pewno; jesteś mi potrzebny - Hugo, jesteś tym, na którego oni czekają, wiesz dobrze, że tak jest. Zobacysz cały świat, w najelegantszych hotelach wszyscy będą leżeli u twoich stóp; możesz nic nie mówić, bylebyś był. Twoja twarz... Hugo, proszę cię, otwórz, nie możesz odejść!

Gwałtowne poruszanie się klamki przerywało jej słowa, stawiało cesury w błagalnym rytmie jej głosu.

- Naprawdę nie ze względu na mnie, Hugo. Zapomnij o tym, co mówiłam i co robiłam; to wszystko z rozpacz
- wyjdź ze względu na nich - oni czekają na ciebie, jesteś naszym barankiem.

Klamka poruszyła się raz jeszcze.

- Czego pan tu szuka? - spytała owcza kapłanka.
- Szukam mego syna.
- Hugo jest pańskim synem?
- Tak. Otwórz, Hugo.

Pierwszy raz nie powiedział „proszę” - pomyślał Hugo. Przekreślił klucz w zamku, otworzył drzwi.

- Chodź, chłopcze, pójdziemy stąd.
- Dobrze, ojcze, idę.
- Nie masz więcej rzeczy?
- Nie.
- Chodź.

Hugo wziął walizkę, rad był, że plecy ojca zasłoniła twarz kapłanki, słyszał jej szloch jeszcze na schodach dla personelu.

- Nie płaczcie, dzieci - mówił stary Fahmel - ona przecież wróci i zostanie z nami; zmartwiłoby ją, gdyby się dowiedziała, że pozwoliliśmy, aby wino skwaśniało; on nie jest niebezpiecznie ranny i mam nadzieję, że wielkie zdumienie nie zniknie już z jego twarzy; oni wszyscy uważają się za nieśmiertelnych - taki mały ostry dźwięk może zdziałać cuda. Dziewczęta, zatroszczcie się, proszę, podarki i kwiaty. Leonora zajmie się kwiatami, Rut życzeniami, Marianna podarunkami. Porządek to połowa życia - ciekawe, co też stanowi jego drugą połowę? Nic na to nie poradzę, moje dzieci, nie mogą być smutny. To wielki dzień, przywrócił mi żonę i obdarował mnie

synem - czy mogę cię tak nazywać, Schrella? Brat Edyty. Nawet wnuka dostałem, co, Hugo? Nie mogę się jeszcze zdecydować, by nazywać cię wnukiem; co prawda, jesteś synem mego syna, ale jednak nie moim wnukiem, nie wiem, jaki głos każe mi nie nazywać cię wnukiem.

Siadajcie, dziewczęta przygotowują nam kanapki; bierzcie się do plądrowania koszu z delikatesami, moje dzieci, i nie przewracajcie tych stosów, które Leonora tak ładnie uporządkowała; najlepiej niech każde z was siądzie na jednym roczniku: może pan weźmie stos O, Schrella, ten jest najwyższy; Robercie, czy mogę ci zaproponować następny według wysokości, rocznik 1910? Józefie, wyszukaj sobie jakiś inny, 1921 też jest niezły. No, a teraz siadajcie. Wypijmy pierwszy łyk za pana M.: oby zdumienie nie znikło już z jego twarzy. Drugi łyk za moją żonę: niech Pan Bóg pobłogosławi jej pamięci. Schrella, niech pan wyrzrzy, proszę, kto stuka do drzwi.

Niejaki pan Gretz pragnie złożyć mi swoje uszanowanie? Mam nadzieję, że nie przytaszczył na plecach swego dzika. Nie? Chwała Bogu. Niech pan mu powie, drogi Schrella, że nie mogę go przyjąć; a może ty, Robercie, uważasz, że jest to odpowiedni dzień i odpowiednia godzina na przyjęcie niejakiego pana Gretza? Prawda, że nie? Dziękuję, Schrella. W tym dniu i o tej godzinie należy odrzucić fałszywe sąsiedzkie uczucia; dwa słowa można przyplacić życiem: „To grzech i hańba” mówiła stara pani Gretz; jeden ruch ręki, jedno źle zrozumiane mrugnięcie można było przyplacić życiem. Tak, Hugo, proszę cię, dolej wina - mam nadzieję, że się nie obrazisz, jeśli tutaj, w rodzinnym gronie, ocenimy i wykorzystamy twoje umiejętności.

Postaw spokojnie te duże bukiety przed widokiem opactwa św. Antoniego, mniejsze po obu jego stronach, na półce z planami; możesz zdjąć i wyrzucić te rulony; wszystkie są puste i służą tylko jako dekoracja - chyba że jest wśród nas ktoś, kto zamierza jeszcze zrobić użytek z tego cennego papieru? Może ty, Józefie? Dlaczego siedzisz tak niewygodnie? Wybrałeś sobie rocznik 1941, to chudy rocznik, chłopcze. Już 1945 byłby lepszy, wtedy spadał na mnie grad zamówień, prawie jak w roku 1909, ale odrzuciłem je. Jedno „sorry” odebrało mi chęć budowania. Rut, ulóż karty z życzeniami na stole kreślarskim, każe wydrukować podziękowania, a ty mi pomożesz je

adresować; kupię ci za to coś ładnego u Herminy Horuschka; jak powinien brzmieć tekst podziękowania? „Niniejszym serdecznie dziękuję za życzenia nadesłane z okazji moich osiemdziesiątych urodzin”. Może do każdego podziękowania dołączyć własnoręczny rysunek, co o tym myślisz, Józefie? Jakiegoś pelikana albo węża - a co byście powiedzieli na byka? Józefie, proszę cię, teraz ty otwórz i zobacz, kto nas tak późno nachodzi?

Czworo pracowników kawiarni Kronera? Przynieśli prezent i uważasz, że nie powinienem ich odprawić? Dobrze, w takim razie niech wzejdą.

Dwóch kelnerów i dwie bufetowe wnieśli ostrożnie przez drzwi prostokątną długą deskę, przykrytą śnieżnobiałym płótnem; stary wzdrygnął się: trup? Czy to, co sterczy jak kij i unosi białe płótno, jest nosem? Nieśli uważnie, jak drogocenne zwłoki; panowała zupełna cisza; ręce Leonory układającej bukiet znieruchomiały w powietrzu, Rut trzymała kartę ze złożoną obwódka, Marianna zapomniała odstawić pusty kosz.

- Nie, nie - odezwał się starzec cicho - proszę nie stawiać na podłodze; dzieci, przynieście dwa kozły do planów.

Hugo i Józef przynieśli z kąta kozły, ustawili je pośrodku pracowni, ponad rocznikami 1936 do 1939; i znów zapanowała cisza, pośród której obaj kelnerzy i bufetowe ułożyli deskę na kozłach, stanęli u czterech rogów, chwycili końce obrusa

i na krótką, ostrą komendę starszego kelnera: - Już! - unieśli płótno. Starzec spurpurowiał, skoczył ku modelowi z ciasta, podniósł ręce jak dobosz, zbierający siły do gniewnego werbla,

i przez chwilę zdawało się, że zmiążdży dzieło kunsztu cukierniczego; ale opuścił ręce, zwisły bezwładnie wzdłuż ciała; potem roześmiał się cicho, skłonił się bufetowym i obu kelnerom, wyprostował się, wyjął z kieszeni portfel i każdemu z czworga wręczył po banknocie jako napiwek.

- Proszę przekazać pani Kroner moje serdeczne podziękowanie - powiedział spokojnie - i zakomunikować jej, że ważne wypadki zmuszają mnie do wypowiedzenia codziennych śniadań. Ważne wypadki. Od jutra nie będę jadał śniadań w kawiarni Kronera.

Począł, aż kelnerzy i bufetowe opuszczą pracownię, i zawołał:

- Dalej, dzieci, podajcie mi duży nóż i talerz do ciasta!

Zaczął od kopuły wieńczącej kościół opactwa, ściął ją
i podał talerz Robertowi